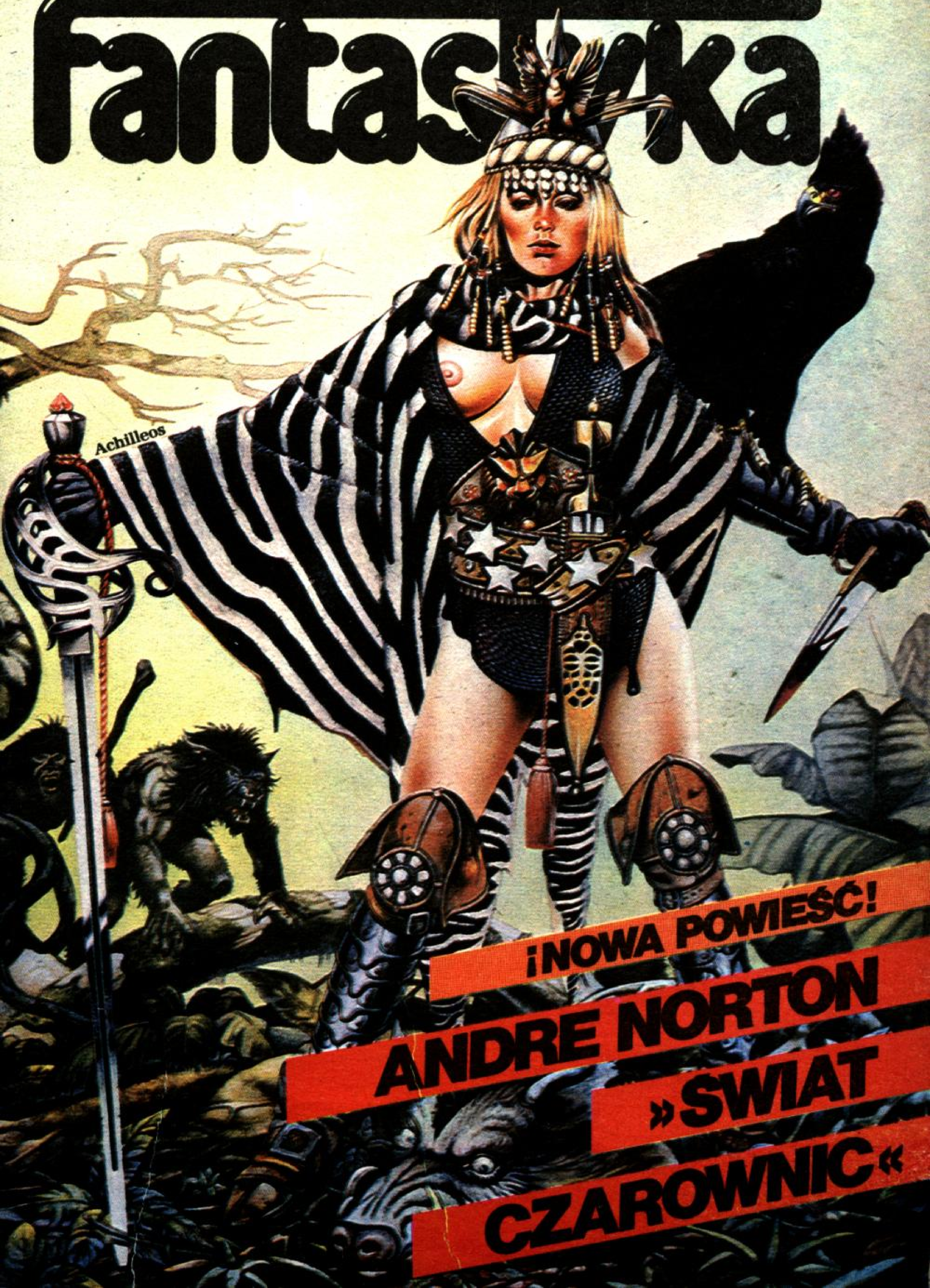
MIESIĘCZNIK
6(9) czerwiec 1983 cena 50 zł



FOSS

Na przykładzie Fossa

Na całym świecie grafika jest nierozerwalnie połączona z twórczością science fiction. Jest próbą nadania realnych kształtów fantastycznym światom opisanym w literaturze i w filmach. Drugą jej funkcją, czasami ważniejszą, jest reklamowanie twórczości fantastycznej. Bardzo typowego przykładu tego rodzaju grafiki dostarcza twórczość Christophera Fossa. Pierwsze kroki w tej dziedzinie stawiał Foss studiując architekturę na uniwersytecie w Oxford. Twierdzi, że cała jego twórczość jest wynikiem fascynacji światem maszyn, której uległ mieszkając w dzieciństwie na terenie dworca kolejowego.

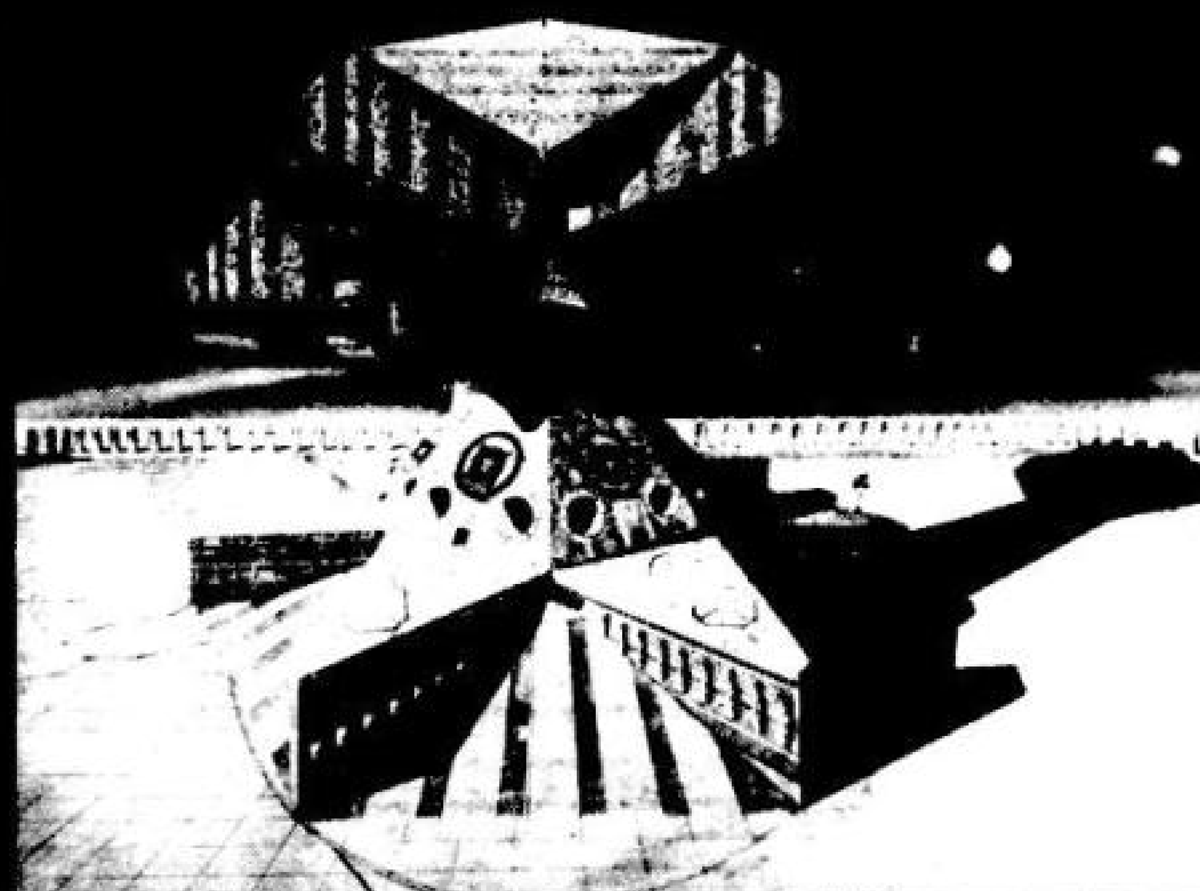
Będąc już znanym ilustratorem, zainteresował się filmem. Jednej z wytwórni zaproponował scenografię do filmu „Superman", która jednak ze względu na swoje skomplikowanie, została odrzucona. Następnymi już zrealizowanymi pracami są scenografie do filmów „Alien Dune".

Na ilustracjach: projekt wstępny do sceny z filmu „Superman" (na pierwszym planie opuszczone zakłady budowlane) oraz projekt wstępny do filmu Dune (pałac imperatora).

Ilustracje pochodzą z albumu 21-st Century Foss, Dragon's World, Ltd.









11
W najwspanialej urządzonym świecie, gdzie ludzkie życie jest chronione i regulowane przez troskliwych opiekunów, mogą się zdarzać sytuacje wymagające dramatycznych osobistych decyzji, nieprzewidzianych przez tych, którzy urządzili ten świat i jego mieszkańców.

Borys Nikolski „Ryzyko"

...3...2...1...



Tak jesteśmy skonstruowani, że zarówno siebie, jak i świat, który nas otacza, poznajemy niejako detalicznie. Skrawek po skrawku. Nasza wiedza narasta z okruchów. W miarę jej narastania umysł ludzki poszukuje dla tego czego się dowiedział ogólnej, a więc niejako czarodziejskiej, zasady rządzącej tym, co w nas i tym, co naokoło.

Jest coś baśniowego w sposobie naszego rozumowania, naszego postrzegania i określania świata. Zdobywszy pakiet udokumentowanych informacji pragniemy zatrzymać bieg zjawisk magicznym zaklęciem, jedną formułą.

W gruncie rzeczy właściwością współczesnego człowieka jest liczenie na to, że za pomocą jednego leku zdoła wykurować się ze wszystkich swych chorób, przy użyciu jednego środka odnowić swoją młodość, a za pomocą jednego odkrycia uda mu się zniszczyć śmierć. Te rachuby zdaje się umacniać naukowe poznanie, według którego całym światem fizycznym i nie tylko fizycznym muszą rządzić identyczne prawa. Cała zaś materia, z jakiej wszystko wokół zbudowane i my sami także, ma się składać na pewno z jednakowych podstawowych cegiełek.
Niestety, nauka, wprzężona do tych dość zaborczych pobożnych życzeń, sprzeniewierza się często magicznym praktykom. Podawany przez nią obraz zarówno świata, jak i nas okazał się dynamiczny, zmienny, coraz bogatszy i coraz trudniejszy w swoim bogactwie do ogarnięcia i podporządkowania pojedynczym formułom. Znakomicie ukazuje sprzeczności między potocznym pojmowaniem świata, a naukowymi odkryciami poemat pióra amerykańskiego pisarza, Johna Updike'a, wydany w roku 1963. Jednym z jego bohaterów jest NEUTRINO – kolejna z licznie ciągle przez naukę odkrywanych podstawowych cząstek materii. Tych cegiełek, które mają się składać na wszystko co nas otacza i na nas samych. Nawiasem mówiąc wykrywa się ciągle nowe cegiełki i konstrukcja powstała z tej różnorodności materiałów wcale nie wygląda na sensowną czy nawet klarowną.
Neutrino odkryto w 1930 r. na drodze czysto spekulatywnej, teoretycznej. W ćwierć wieku później otrzymano je w stosie atomowym w Savannah River. Niedawno zaś przemknęła jak duch przez wiele fachowych i mniej fachowych czasopism naukowych wieść, iż neutrino to 90 procent materii tego wszechświata. Kto się w tym wszystkim połapie i wyzna, jeśli owo neutrino samo jest faktycznie bardziej... do ducha niż do materii podobne. Pisze poeta:

„Neutrino jest ogromnie małe,
Nie ma w nim elektrycznych sił.
Nie waży nic i nie współdziała
Z niczym. Z nikim się nie wiąże.
Ziemia dla niego – pusty krążek,
Który z łatwością przelatuje wskroś
Jak promień światła przez przejrzyste szkło.

Ono przebija w lot mosiężne zbroje,
Najtwardszą stal, mury i bram podwoje.
Łamie bariery najróżniejszych klas.
Ono najszlachetniejszy upokarza gaz
I do ogiera ostro się dobiera.
Jak bezbolesna, wielka gilotyna
Przez nasze głowy gęste trawy ścina."

Jakże daleki jest ten obraz podstawowej cegiełki materii od stałości i namacalności przedmiotów jakimi się na co dzień i od święta otaczamy. Nauka skomplikowała widzenie świata bardziej niż próbowały to zrobić najbogatsze wyobrażenia pisarzy science fiction.
Baśniowe odkrycia i osiągnięcia nauki to dzisiaj niebagatelna konkurencja dla fantastyki. Jedną z odwetowych reakcji na ten stan rzeczy był nawrót pisarstwa do baśniowości, do mitów, legend i bajek, które kiedyś przecież zapładniały umysły, torując właśnie drogę samej nauce.
Dzisiejsza „fantasy" – baśń SF – różni się jednak ogromnie od swych pradawnych pierwowzorów. Dla mnie najbardziej uderzające jest w niej to, że łączy ona w przemyślny sposób zdobycze nauki z ...magią. Czary i technika często idą w niej w parze. Proszę odwiedźcie państwo krainę współczesnych czarownic. Łatwo do niej dotrzeć: z drogi dzisiejszych niebezpieczeństw zbaczając nagle w krętą dziką ścieżkę i przywołując jedynie na pomoc siłę czarodziejskich kamieni. Pełno ich przecież na świecie.
Oto kraina czarownic, czy raczej „Świat czarownic", jak zatytułowała swój utwór pisarka Andre Norton. Podzieliliśmy tę powieść na dwa odcinki. A ponieważ u nas „fantasy" w swoim klasycznym, czystym gatunku to dziedzina właściwie zupełnie, lub prawie zupełnie, nieznana, odbiór jej przez naszych Czytelników należy do wielkich niewiadomych. Dobrze by więc było, aby po lekturze podzielili się z nami swoimi opiniami.
Mnie osobiście rzecz mocno wciągnęła. Czytałem ją szybko i zachłannie, i z pewnym strachem, myśląc od czasu do czasu „jak daleko stąd do zwyczajnej science fiction, jak bardzo daleko do nauki".

W stronę baśni zmierza także opowiadanie Somtowa Sucharitkula, oryginalne w swej wschodniej przewrotności. Bajeczny sposób malowania służy tu jednak wyraźnie kpinie z nowoczesnych „bogactw ducha i materii", jakimi szczyci się dzisiejszy człowiek, a które jednocześnie stały się jego nieznośnym pancerzem. Przyjemnie „fantasy" doprowadzać do absurdu.

Absurdalnie zabrzmiały również opinie naszego krytyka, Leszka Bugajskiego, który w recenzji z niezwykle kontrowersyjnej książki psychiatry i psychologa światowej sławy Carla Junga – niemal autorytatywnie stwierdza istnienie UFO. Zaskoczyło mnie to troche, ale jednocześnie podbudowało w moich działaniach na rzecz fantastyki. Dlatego też wówczas natychmiast przetłumaczyłem fragment poematu Updike'a, ten o neutrino. Innego typu prozę niż „zaczarowana" i baśniowa prezentuje w tym naszym kolejnym orbitowaniu znany radziecki pisarz Borys Nikolski. Utwór zatytułowany „Ryzyko", po mistrzowsku napisany, cechuje niebanalna analiza psychologiczna i społeczna. Jest to rodzaj science fiction bardzo u nas ostatnio popularny.

W słowniku polskich pisarzy fantastycznych – znany prozaik Jan Dobraczyński. W bogatej jego twórczości znajduje się tylko jedna powieść SF. Zrobiła ona jednakże dużą karierę międzynarodową. Tłumaczono ją na wiele języków na całym świecie. Drukujemy fragment tej powieści na „Pożółkłych kartkach".

Wzbudzi także na pewno zainteresowanie publikacja, jakiej wielu naszych Czytelników od dawna się domaga. Rzecz na temat filmu. W tym przypadku na temat techniki filmowej w znanych obrazach science fiction! Z ilustracjami! Poza tym zapowiadam wszystkie stałe rubryki, z komiksem włącznie. Piszę zaś to wszystko przed samą Wielkanocą i przyszło mi na myśl, że powinienem złożyć życzenia świąteczne. Sam się jednak wyśmiałem ze swego zamiaru. Toż ten numer otrzymają Czytelnicy, w najlepszym razie, w czerwcu – wówczas, kiedy zaczną wybierać się nie na święta, lecz na letnie urlopy. Łączę więc do życzeń aktualnych w chwili pisania felietonu najlepsze życzenia wakacyjne. Słońca, słońca, słońca!

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 –

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK
fantastyka
02-784 Warszawa-Ursynów,
ul. Służby Polsce 2,
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)
Redaguje zespół:
Adam Hollanek (red. nacz.)
Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).
Opracowanie graficzne: Marek Zalejski, Andrzej Brzezicki
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.
Warunki prenumeraty:
● **dla zakładów pracy**
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.
● **dla prenumeratorów indywidualnych**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy,
– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi, ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Łódź nr 47018-1603,
● **prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę** przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty:
● od prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" do 31 sierpnia 1983 r. na IV kwartał br.
● od instytucji, zakładów pracy i prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych na wsi i w małych miasteczkach do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.
Druk i oprawa P.Z.Graf. RSW Łódź. Zam. 1372/83/r. N. 150 000 egz. M-6

SŁOWA GURU

(The Words of Guru)

Cyril M.Kornbluth

Wczoraj kiedy szedłem na spotkanie z Guru, zatrzymał mnie jakiś człowiek.
– Chłopcze, co tutaj robisz o pierwszej w nocy? – zapytał. – Dlaczego nie jesteś w domu? Czy twoja matka wie, gdzie jesteś? Ile masz lat? Stanowczo za mało, żeby włóczyć się o tak późnej porze.
Spojrzałem na niego i zauważyłem, że jego włosy są zupełnie siwe, więc wybuchnąłem śmiechem. Starzy ludzie są ślepi, właściwie to żaden z ludzi nie ma daru widzenia. Zdarza się, że młode kobiety widzą niektóre rzeczy, ale mężczyźni rzadko dostrzegają cokolwiek.
– Włóczę się o tak późnej porze, aby zobaczyć się z Guru.
– Guru? – zdziwił się stary. – Kto to jest Guru? Na pewno jakiś cudzoziemski przybłęda. Odradzam ci kumanie się z cudzoziemcami, młody człowieku. Kto to jest Guru?
Powiedziałem mu kim jest Guru, a potem, jak tylko zaczął ględzić o bzdurach i tanich komiksach, wypowiedziałem jedno ze słów, których Guru mnie nauczył i ten człowiek przestał mówić. Wspomniałem już, że był stary, a jego stawy były zesztywniałe, nie zwalił się zatem na ziemię bezwładnie, lecz padł sztywno jak kłoda, a jego głowa trzasnęła o kamień. A ja poszedłem dalej.

Pomimo że nie nadszedł jeszcze dzień moich dwunastych urodzin, wiem o wielu sprawach, o których nie mają pojęcia ludzie starzy. Pamiętam też dobrze to, czego inni chłopcy w moim wieku nie pamiętają. Pamiętam, jak narodziłem się z ciemności i pamiętam hałaśliwe odgłosy, jakie wówczas wydawali nade mną ludzie. Później, kiedy miałem już dwa miesiące, zacząłem pojmować, że owe odgłosy oznaczają to samo, co dzieje się w mojej głowie, że i ja mogę takie odgłosy wydawać, co niezmiernie wszystkich zaskoczyło.
– Mówi! – powtarzali do znudzenia. – Taki mały! Klaro, co o tym sądzisz?
Klara była moją matką. Odpowiadała:
– Nie mam pojęcia, co o tym sądzić. W mojej rodzinie nigdy nie było geniuszy. Ani w rodzinie Joe'ego, jestem zupełnie pewna.
Joe był moim ojcem.
Pewnego dnia Klara przyprowadziła mężczyznę, którego nigdy przedtem nie widziałem i powiedziała, że to dziennikarz – taki, co to pisze różności w gazetach. Dziennikarz próbował ze mną rozmawiać – mówił do mnie tak, jak bym był zwykłym dzieckiem. Nie raczyłem mu odpowiadać, patrzyłem tylko na niego dopóki nie spuścił wzroku i nie poszedł sobie. Dostałem za to burę od Klary.
W jakiś czas później Klara przeczytała mi urywek z gazety, w której ten dziennikarz pisywał. Ten urywek był podobno śmieszny – było tam coś o tym, jak dziennikarz zadawał mi wielce skomplikowane pytania, a ja w odpowiedzi gaworzyłem jak niemowlak. Wszystko to było oczywistą nieprawdą – nie powiedziałem do niego ani słowa, a on nie zadał żadnego ze swoich pytań.
Słuchałem, jak Klara czyta, ale słuchając obserwowałem, jak niby-ślimak pełznie po ścianie. Kiedy skończyła, spytałem:
– Co to jest, tamta szara istota?
Spojrzała w kierunku, który wskazałem, ale nie zobaczyła nic.
– Jaka szara istota, Piotrze? – spytała. Żądałem, aby nazywała mnie pełnym imieniem, Piotr, a nie Piotruś czy coś równie głupiego.
– Jaka szara istota?
– To jest wielkości twojej dłoni, Klaro, ale jest miękkie – nie wygląda, żeby miało jakieś kości w środku. Pełznie do góry, ale z przodu nie ma wcale głowy. Nie ma też nóg.

Wydało mi się, że się wystraszyła, ale próbowała mnie uspokoić, tak jak uspokaja się dzieci, kładąc rękę na ścianie i próbując dotknąć tego, co jakoby tam było. Kierowałem jej dłonią, w lewo, w prawo, aż wreszcie jej dłoń przeszła przez sam środek niby-ślimaka. Wtedy zrozumiałem, że ona nie jest w stanie go ujrzeć, że w ogóle nie wierzy, że on tam jest. Przestałem więc napomykać o niby-ślimaku, dopiero po paru dniach spytałem:

– Klaro, jak się nazywa taka rzecz, którą jeden człowiek widzi, a drugi nie może zobaczyć?

– To się nazywa złudzenie, Piotrze – odpowiedziała.– Jeżeli dobrze cię zrozumiałam, chodzi o złudzenie. Nie powiedziałem nic, pozwoliłem, aby jak zwykle położyła mnie do łóżka. Gdy zgasiła światło i wyszła, odczekałem jakiś czas, a potem cichutko zawołałem:
– Złudzenie! Złudzenie!
Momentalnie zjawił się Guru – po raz pierwszy. Skłonił się nisko, zawsze tak czynił od tamtej pory i rzekł:
– Czekałem.
– Nie wiedziałem, że tak się ciebie przyzywa – powiedziałem.
– Będę gotów na każde twoje wezwanie. Będę cię uczył, Piotrze – jeżeli chcesz się uczyć. Czy wiesz, czego będę cię uczył?
– Jeżeli będziesz mnie uczył o szarej istocie na ścianie, będę słuchał pilnie – powiedziałem. – Będę słuchał pilnie, gdy będziesz mnie uczył o sprawach realnych i o sprawach nierealnych.
– Niewielu, bardzo niewielu chce się uczyć o takich sprawach – powiedział Guru poważniejąc. – A są jeszcze inne sprawy, takie, o których nikt nigdy nie chciał się uczyć. Są takie rzeczy, których cię uczył nie będę.
– Nauczę się tego, czego nikt nigdy nie chciał się uczyć. Nauczę się również tego, czego uczyć nie chcesz.
– Mistrz, objawił się mistrz – powiedział Guru z półuśmieszkiem na ustach. – Mistrzu, Guru jest na twoje rozkazy!
Wtedy to poznałem jego imię. Tej samej nocy nauczył mnie słowa, za pomocą którego można było uczynić coś niewiele znaczącego, dajmy na to sprawić, aby popsuła się żywność.
Od tamtego czasu do naszego spotkania wczorajszej nocy Guru nie zmienił się wcale, chociaż ja jestem już tego wzrostu, co on. Jego skóra wciąż jest tak samo sucha i lśniąca jak była, a jego twarz tak samo wychudła, okolona grzywą czarnych, bardzo sztywnych włosów.

Pewnej nocy, kiedy miałem dziesięć lat, odczekałem w łóżku wystarczająco długi czas, aby Joe i Klara sądzili, że usnąłem na dobre. Potem zostawiłem w łóżku tę rzecz, która zjawia się, gdy się wypowie jedno ze słów Guru, a sam ześliznąłem się na dół po rynnie. To było bardzo łatwe, łaziłem po rynnie w górę i w dół od czasu, gdy skończyłem osiem lat.
Spotkałem się z Guru w parku Inwood Hill.
– Spóźniłeś się – powiedział.
– Wcale się nie spóźniłem – odrzekłem. – Dobrze wiem, że nigdy nie jest za późno na jedną z tych rzeczy.
– Skąd wiesz? – jego głos był ostry. – To jest twój pierwszy raz!
– Niewykluczone, że również ostatni. Nie podoba mi się ten pomysł. Jeżeli stwierdzę, że drugi raz nie da mi więcej wiedzy niż pierwszy, nie będzie drugiego razu.
– Nie wiesz nic – powiedział. – Nie masz pojęcia, jakie to jest. Głosy, ciała śliskie od maści, buchające płomienie, rytuał, który wypełnia mózg! Nie będziesz miał o tym pojęcia, dopóki sam nie weźmiesz w tym udziału.

– Zobaczymy. Czy możemy wyruszyć stąd?
– Tak – powiedział Guru. Potem nauczył mnie potrzebnego słowa i obaj wypowiedzieliśmy je jednocześnie.
Miejsce, w którym znaleźliśmy się zaraz potem było zalane czerwonym światłem, a ściany chyba kamienne. Oczywiście nie było tam mowy o realnym widzeniu, więc światło tylko wydawało się czerwonym, a kamienie nie były kamieniami.
Podeszliśmy do ognia, a jedna z tych, które tam były wyszła nam naprzeciw i zatrzymała nas.
– Kto jest z tobą? – zwróciła się do Guru, nazywając go innym imieniem. Nie wiedziałem, że nosi on również i to imię, a zdziwiłem się, bo było to imię oznaczające wielką potęgę.
Guru prześliznął się po mnie szybkim spojrzeniem.
– To jest Piotr. Wspominałem ci o nim wielokrotnie.
Wtedy spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, prężąc i wyciągając ku mnie swoje wysmarowane maścią ramiona.
– Ach – powiedziała miękko, tak miękko jak koty, z którymi czasem rozmawiam nocami.– Ach, to jest Piotr. Czy przyjdziesz do mnie, kiedy cię wezwę, Piotrze? Czy może wezwiesz mnie sam którejś nocy, gdy będziesz samotny?
– Nie rób tego! – powiedział Guru, odpychając ją gniewnie.– Jest zbyt młody, możesz go zepsuć, uczynić niezdolnym do nauki!
Poszliśmy dalej, a ona wrzasnęła w ślad za nami:
– Guru i jego uczeń! Wspaniała para! Chłopaku, on nie jest bardziej rzeczywisty niż ja! Ty jesteś tu jedyną rzeczywistą istotą!
– Nie słuchaj jej – mruknął Guru – jest szalona, szaleje z podniecenia. One zawsze są podniecone do szaleństwa tu w tym miejscu, gdy nadchodzi czas.
Zbliżyliśmy się do ognisk i siedliśmy na kamieniach.
Te, które tam były, zabijały zwierzęta i ptaki, a z martwymi robiły różne rzeczy. Krew zlewano do kamiennej czary, którą podawano sobie w tłumie z rąk do rąk. Ta, która siedziała po mojej lewej stronie, wręczyła mi naczynie.
– Pij! – powiedziała, wykrzywiając usta w uśmiechu, który odsłonił jej piękne, białe zęby. Wypiłem dwa łyki i oddałem czarę Guru.
Kiedy czara obeszła wszystkich, rozebraliśmy się do naga. Niektóre, jak Guru, nie nosiły żadnego ubrania, ale wiele było ubranych – te teraz zrzucały z siebie wszystko.
Ta, która siedziała po lewej, przysunęła się bliżej, poczułem na twarzy jej oddech.
– Każ jej przestać, Guru – powiedziałem. – Wiem, że to nie należy do rytuału.
Guru przemówił do niej ostro w ich języku, a ona warknęła gniewnie i przesiadła się dalej.
Rozpoczęliśmy śpiewy, klaszcząc w dłonie i uderzając się po udach. Jedna z nich wstała i dziko przewracając oczami zaczęła powolny taniec dookoła ognisk. Mocno zwierała szczęki i tak gwałtownie wyrzucała ramiona, że słyszałem, jak trzeszczą jej stawy łokciowe. Posuwiście krocząc po kamiennym podłożu, wygięła się w tył tak, że głową prawie sięgnęła stóp. Mięśnie jej brzucha wystąpiły jak rzemienie, a oleista maść ściekała po jej ciele i nogach. Kiedy jej dłonie oparły się o ziemię, zwaliła się w drgawkach, cienko i przenikliwie zawodząc do wtóru zaśpiewom i klaskaniom reszty.
Następna powtórzyła cały rytuał, a my śpiewaliśmy dla niej głośniej, a jeszcze głośniej dla trzeciej. Potem zaś, kiedyśmy wciąż klaskali i bili się po udach, jedna z tych, które tam były schwyciła trzecią tancerkę, rzuciła ją na ołtarz i rozpruła kamiennym nożem. Blask ognia zalśnił na ostrzu ciosanym z obsydianu. Krew tancerki spłynęła rowkiem, wykutym jak rynna w bryle ołtarza. Wówczas śpiewy ucichły, a ogniska zostały pogaszone. Jednak pomimo ciemności mogliśmy widzieć, bo wszystko to, rzecz jasna, wcale się nie działo – to było tylko złudzenie, wszyscy ci ludzie i rzeczy byli zaledwie pozorem rzeczywistości. Tylko ja byłem realny. Pewnie dlatego one tak bardzo mnie pożądały.
Kiedy ostatni płomień zgasł, Guru, niezwykle podniecony i przejęty, wyszeptał:
– Obecność.
Z kałuży krwi, która wyciekła z ciała trzeciej tancerki, wynurzyła się Obecność. Wzrostem przewyższała wszystkich, a gdy mówiła, jej głos był najdonośniejszy, a gdy rozkazywała, rozkazy jej były wykonywane.
– Lejcie krew! – rozkazała, a my haratališmy nasze ciała okruchami krzemieni. Obecność wyszczerzyła zęby w uśmiechu – jej zęby były większe, ostrzejsze i bielsze niż zęby kogokolwiek z nas.
– Czyńcie wodę! – rozkazała, a my pluliśmy na siebie nawzajem. Obecność łopotała skrzydłami i przewracała oczami, a oczy jej były większe i czerwieńsze niż oczy kogokolwiek z nas.
– Czyńcie ogień! – rozkazała, a my zialiśmy na siebie nawzajem dymem i płomieniami. Obecność tupała nogami, a



Rudolf Hansner

z jej ust rykiem buchały niebieskie płomienie – większe i gwałtowniejsze niż nasze.
Potem Obecność powróciła do krwawej kałuży, a my roznieciliśmy ognie na nowo. Guru siedział zapatrzony przed siebie nieruchomym wzrokiem. Dotknąłem jego ramienia. Skłonił się, jak gdyby było to nasze pierwsze spotkanie tej nocy.
– Nad czym się tak zamyśliłeś? – spytałem. – Musimy już iść.
– Tak – powiedział z wysiłkiem – Chodźmy już.
Więc wypowiedzieliśmy słowo.

Pierwszym człowiekiem, którego zabiłem, był zakonnik, brat Paweł. Było to w szkole, do której chodziłem pobierać nauki. Niektóre nauki – Guru nie uczył wszystkiego. Zdarzyło się to niecały rok temu, a wydaje się, jakby to było bardzo dawno. Tak wielu pozbawiłem życia od tamtego dnia.
– Jesteś bardzo zdolnym chłopcem, Piotrze – powiedział wtedy zakonnik.
– Dziękuję, bracie Pawle.
– Jest jednak w tobie coś, czego nie pojmuję. Powinienem porozmawiać z twoimi rodzicami, ale myślę, że oni tego nie rozumieją. Byłeś – jak to się mówi – cudownym dzieckiem?
– Tak, bracie Pawle.
– Tak, to się zdarza. Słyszałem, że tak bywa za sprawą gruczołów. Wiesz, co to są gruczoły?
Przestraszyłem się. To, o czym mówił, obiło mi się kiedyś o uszy, ale nie byłem pewien, czy chodzi o małe, grube, zielone karzełki, które noszą wyłącznie metalowe ubrania, czy też o istoty o wielu odnóżach, z którymi rozmawiałem kiedyś w lesie.
– Skąd o tym wiesz? W jaki sposób się o nich dowiedziałeś? – spytałem.
– Piotrze, drogi chłopcze! Czemu się tak wystraszyłeś? Ja o gruczołach nie wiem praktycznie nic, ale ojciec Fryderyk się na tym zna. Ma książki na ten temat, chociaż wątpię, żeby wierzył we wszystko, co w nich piszą.
– To nie są dobre książki, bracie Pawle – powiedziałem. – Takie książki powinno się palić.
– Cóż za okropny pomysł, chłopcze. Ale, wracając do twojej sprawy...
Nie mogłem pozwolić mu na więcej, odkrył i tak za wiele. Wypowiedziałem jedno ze słów, których wyuczył mnie Guru. Z początku brat Paweł wyglądał na bardzo zaskoczonego, a potem – jakby dostał strasznych boleści. Runął na pulpit, a ja zmacałem mu puls, aby się upewnić, bo nigdy przedtem nie używałem tego słowa. Był martwy.
Z zewnątrz dobiegł mnie odgłos ciężkich kroków, więc uczyniłem się niewidzialnym. Do klasy wszedł ojciec Fryderyk. Ledwo się powstrzymałem, żeby i jego nie zabić za pomocą słowa, ale wiedziałem, że wzbudziłoby to podejrzenie. Wymknąłem się z klasy kiedy schylał się nad martwym zakonnikiem myśląc, że ma przed sobą śpiącego.
Przemknąłem korytarzem do pełnego książek gabinetu księdza, pospiesznie zwaliłem wszystkie tomy na stos i podpaliłem je swoim oddechem. Potem pobiegłem na szkolne podwórko i upewniwszy się, czy nikt nie patrzy, uczyniłem się znowu widzialnym. To było bardzo łatwe.
Nazajutrz zabiłem człowieka, którego mijałem na ulicy.

Niedaleko od mojego domu mieszkała dziewczyna, miała na imię Mary. Miała wówczas czternaście lat. Pożądałem jej równie mocno, jak pożądały mnie tamte, z Jaskini Poza Czasem i Przestrzenią.
Kiedy zobaczyłem się z Guru, a Guru się skłonił, opowiedziałem mu o tej dziewczynie. Guru spojrzał na mnie, bardzo zdumiony.
– Doroślejesz, Piotrze – powiedział.
– Dorośleję, Guru. Bliska jest chwila, w której twoje słowa będą dla mnie za słabe.
Guru roześmiał się.
– Chodź, Piotrze – rzekł. – Chodź za mną, jeśli masz życzenie. Jest pewna sprawa, która musi być rozstrzygnięta.

Cyril M.KORNBLUTH

urodził się w 1923 roku w Nowym Jorku. Od najmłodszych lat związany był z amerykańskim fandomem SF. Jako autor krótkich opowiadań zadebiutował już w wieku 15 lat. Swoją obecność na rynku wkrótce ugruntował licznymi tekstami publikowanymi przez większość liczących się magazynów. Swoje opowiadania podpisywał wówczas pseudonimami S.D.Gottesman i Cecil Corwin.
Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Stanowym w Chicago wstąpił do wojska. Brał udział w kampanii europejskiej. Po powrocie do USA pracował jako dziennikarz w Trans-Radio-Press w Chicago. Od 1951 roku zajął się profesjonalnie pisarstwem. Zmarł w wieku 35 lat w 1958 roku. W literackim dorobku Kornblutha najwyżej cenione są opowieści napisane wspólnie z Frederickiem Pohlem: **„The Space Merchants"** (1953), **„Wolfbane"** (1959), **„Search the Sky"** (1954) oraz z Judith Merril: **„Outpost Mars"** (1952) i **„Gunner Cade"** (1952)

Przesunął językiem po swoich wąskich, purpurowych wargach i dodał:
– Wspominałem ci, co to będzie.
– Pójdę – powiedziałem. – Naucz mnie słowa.
Guru nauczył mnie słowa i wypowiedzieliśmy je jednocześnie.
Miejsce, w którym znaleźliśmy się zaraz po tym nie przypominało żadnego z miejsc, w których byłem z Guru poprzednio. To było Niemiejsce. W innych miejscach zwykle dawało się zauważyć chociaż pozorny ruch czasu i materii, tam zaś nie było nic – nawet pozoru. Tam Guru i inni porzucali swoje widzialne kształty i stawali się tym, czym byli naprawdę. Tylko w Niemiejscu mogli tego dokonać, w żadnym innym.
To nie była Jaskinia, bo Jaskinia była Poza Czasem i Przestrzenią, a to miejsce nie dawało się umiejscowić. Dlatego to było Niemiejsce.
Nie ma słów, pozwalających opisać to, co się tam działo. Powiem tylko, że przedstawiono mnie pewnym istotom, które nigdy stamtąd nie odchodzą. Wszyscy muszą przychodzić do nich. Istoty te nie mają nawet pozoru barwy czy też kształtu.
Wówczas dowiedziałem się, że mogę zostać jednym z nich, że wybrano właśnie mnie, jedynego z mojej planety. Nie musiałbym jednak wiecznie przebywać w Niemiejscu, jak one, mógłbym żyć jak dotychczas.
Odeszliśmy z Guru, wypowiadając słowo.
– A więc? – Guru żądał decyzji, patrząc mi w oczy.
– Zgadzam się – powiedziałem. – Ale teraz, naucz mnie jednego słowa...
– Aha – powiedział, uśmiechając się obleśnie. – Dziewczyna?
– Tak – powiedziałem. – Potrzebuję słowa, które będzie dla niej znaczyło wiele.
Guru nauczył mnie tego słowa, a obleśny uśmiech nie schodził mu z warg.
Mary, która wówczas miała czternaście lat, ma dzisiaj piętnaście i jest, jak mówią, nieuleczalnie chora psychicznie.

Zeszłej nocy znowu widziałem się z Guru – już po raz ostatni. Kiedy się zbliżyłem, skłonił się nisko.
– Piotrze – powiedział ciepło.
– Naucz mnie słowa – odpowiedziałem.
– Jeszcze nie jest za późno, Piotrze.
– Naucz mnie słowa.
– Jeszcze możesz się cofnąć. Za pomocą wiedzy, którą zdobyłeś, możesz opanować świat. Pomyśl, Piotrze! Nieprzebrane ilości złota, sardonyks, klejnoty! Zwały przepysznego aksamitu, ciężkie, haftowane gobeliny!
– Naucz mnie słowa.
– Pomyśl, Piotrze, o domu, który mógłbyś zbudować. O domu z białego marmuru, pośrodku każdej bryły migoczący rubin. Brama tego domu byłaby z kutego złota, a sam dom zbudowany wokół strzelistej wieży z kości słoniowej, wyrastającej na całe mile w turkusowe niebo. Twoje oczy odpoczywałyby na płynących w dole obłokach.
– Naucz mnie słowa.
– Mógłbyś rozgniatać w ustach winne grona o smaku roztopionego srebra. Mógłbyś bez końca słuchać śpiewu słowików wschodu i śpiewu skowronków, śpiewu dźwięczącego tak, jak dźwięczałaby gwiazda poranna, gdyby mogła śpiewać. Twoje nozdrza wypełniałaby wiecznie woń spikanardu, kwitnącego tysiące tysięcy lat. Twoje dłonie dotykałyby puchu purpurowych łabędzi himalajskich, miększego od obłoków zachodu.
– Naucz mnie słowa.
– Mógłbyś posiadać kobiety o wszystkich odcieniach skóry – od czerni hebanu do bieli śniegu. Mógłbyś posiadać kobiety twardsze od krzemieni i kobiety miększe od obłoków zachodu.
– Naucz mnie słowa.
Guru skrzywił wargi w złym uśmiechu. A potem nauczył mnie słowa.
Nie wiem, czy wypowiem to słowo, ostatnie słowo, którego nauczył mnie Guru. Może wypowiem je dziś, może jutro, a może dopiero za rok.
To jest słowo, które rozsadzi tę planetę – tak, jak laska dynamitu rozsadza przegniłe jabłko.

Przełożył Andrzej Sapkowski

DZIEŃ w Mallworld

(A Day in Mallworld)

Somtow Sucharitkul

A więc:
Dlaczego samotna, niezadowolona z życia, uczciwa kilkunastoletnia dziewczyna ze Strefy Biblijnej, czyli ja, zapragnęła nagle ukraść rodzinny samochód, wymknąć się z kolonii i teleportować w niedzielę do Mallworld?
Ludzie mają zupełnie fałszywe wyobrażenie o ludności Strefy Biblijnej. Po pierwsze, wcale nie jesteśmy wszyscy jednakowi; są cztery kolonie: trzy L-5 przesiedlone z orbity ziemskiej i czwarta - Katolicy - asteroid Watykan, tak jak większość innych kolonii. Nasza kolonia, Godzone, to mieszanka Amiszu, Buddyzmu i Hari Kriszna... ale podejrzewam, że wy, „cywilizowani" intelektualiści, nawet nie znacie różnic. Tych, którzy posądzają nas o prowincjonalizm, chcę poinformować, że Strefa Biblijna leży w odległości zaledwie jednej setnej A.U. od Centrum, czyli tylko jednego miliona mil, co przy dzisiejszej telekomunikacji...
Największym nieporozumieniem jest uważanie nas za odmieńców. Otóż, ja na przykład nawet nie jestem pobożna. Mieszkamy w zupełnie porządnych mieszkaniach, o wymiarach dziesięć na dziesięć. Prowadzimy odpowiednią kontrolę urodzeń, chodzimy do świątyni tylko raz w tygodniu, mamy dwa samochody (oczywiście jeden do długich tras) i kawałek ziemi na dachu. Gdyby nie moja prosta szafranowa sukienka, wyglądałabym zupełnie jak Babilonka. Mam normalne, czarne włosy, piegi, małe piersi, regularne okresy i zupełnie zwyczajne swojskie imię: Zoe McOmar.
I tak jak każdy w tym całym zapadłym systemie słonecznym, chcę się stąd wydostać. No tak, tu właśnie jest różnica: ja się wydostanę.

W niedzielę przed moją eskapadą byliśmy w świątyni. Mój mały braciszek, w nieporządnie założonej sukience, chrupał glonowy baton na tylnym siedzeniu, a nasz pojazd unosił się w wyznaczonej drodze. Sznury pojazdów ciągnęły wokół nas, nad i pod nami, dalej niż sięgał mój wzrok. Zajmowały całą przestrzeń aż do sufitu Godzone... a za tablicą rozdzielczą, za kilkuset pojazdami, lśnił wysoki na milę napis:

MEKKA ● JEROZOLIMA ●
BENARES - WYBIERZ

Przednią szybę wypełnił holo-obraz Ashoki Toscaniniego, patriarchy Godzone.
- Zesłano na nas plagę Selespridaru, nędzni grzesznicy! - zagrzmiał. Miał około dwunastu centymetrów wzrostu (nasz samochód to stary model), boski wiatr targał jego czarnym płaszczem i płomiennymi włosami. - Pokutujcie! - krzyczał. - Inaczej Selespridar zepchnie nas jeszcze głębiej w otchłań piekielną...

Muszę wyjaśnić, że wśród patriarchów Godzone i niewielkiej grupy otumanionych wiernych, czyli „wybrańców Boga", panuje przekonanie, że niefortunna sytuacja w jakiej znalazła się ludzkość, to rezultat popełnionych grzechów, wyliczonych w „Karmadharmadevaphasa", poemacie epickim z przełomu XX i XXI w.
Nikt ze znanych mi Godzończyków nie wierzył w to ani trochę, traktując to jako ładnie brzmiący mit... chociaż faktem jest, że za Saturnem jest wielka bariera, bariera, która zamyka nas w naszym małym Wszechświatku, dopóki Homo sapiens nie osiągnie odpowiedniego stopnia rozwoju świadomości.

...właśnie na ekranie pojawił się holo Selespridończyka. Był nieziemsko piękny. Oni wszyscy są tacy: lśniący, wysocy, typu humanoidalnego, z wyjątkiem jaskrawoniebieskiej skóry i płomiennych karmazynowych włosów, które przy każdym ruchu światło rozjarzało tysiącem błysków... Wiele czytałam na ich temat i w tym właśnie, ubranym w trzywarstwową tunikę, rozpoznałam Kluthariona, zarządcę systemu słonecznego.
- A oto sam szatan! - grzmiał głos Ashoki Toscaniniego. - To te demony Bóg zesłał, by ukarać nas za grzechy... żałujcie, żałujcie, nikczemne dzieci grzechu...

Czas na litanię. Włączyła się Mamtata, mrucząc mechanicznym głosem:
- Teraz módlcie się, jak grzeczne dzieci. Zoe, Amahl bądźcie dobrymi dziećmi...

Skrzywiłam się. Rodzice od dziesięciu lat nie zmienili programu naszej starej, zwariowanej niańki. Zerknęłam w bok: moi prawdziwi rodzice siedzieli, pobożnie złożywszy ręce, z prawej strony. Moje niezadowolenie z życia było w siedemdziesięciu pięciu procentach spowodowane ich nadmierną gorliwością.
Zacisnęłam powieki i znów stanął przede mną Selespridończyk. Był sto razy piękniejszy niż gwiazda rocka (a mogę przysiąc, że oni wszyscy malują sobie twarze na niebiesko) i pragnęłam go tak bardzo, że omal się nie rozpłakałam. To nie było tylko pożądanie, ale poczucie niesprawiedliwości, zamknięcia nas, ludzi w naszym własnym świecie, podczas gdy tam, na zewnątrz, Selespridończycy żyli otoczeni niewyobrażalnymi wspaniałościami, jak bogowie techniki. Po prostu chciałam ich zobaczyć. Może dotknąć. Potwornie przytłaczająca jest dla człowieka świadomość, że jest się w klatce, nawet jeżeli ta klatka jest sferoidą o średnicy dziewiętnastu A.U.

Otworzyłam oczy (mamrocząc słowa modlitwy przez cały czas) i rozejrzałam się wokoło. Zobaczyłam samochody stojące jak zwykle w równych szeregach, lśniące w oddali litery i kretyńskiego kaznodzieję, i zdałam sobie sprawę, że mam tego dosyć. Musiałam się jakoś wydostać, a kiedy mówisz sobie WYDOSTAĆ SIĘ tak stanowczo, to znaczy, że masz zamiar w ogóle wydostać się z klatki. Jedynym sposobem, by to zrobić jest przekonanie jakiegoś Selespridończyka, by zabrał cię ze sobą, a w Strefie Biblijnej nie ma Selespridończyków. Trzeba jechać do Mallworld... wielkiego centrum handlowego, gdzie można czasem spotkać Selespridończyków - bogatych turystów, antropologów badających różne kultury, urzędników, gapiów przyglądających się tubylcom.

W następną niedzielę wymknęłam się z domu przed świtem i wyprowadziłam nasz długodystansowy pojazd z garażu. Już od dwóch dni miałam prawo jazdy i dokładnie znałam wszystkie czynności.

Nic nie widziałam; jeszcze nie zapalono świateł, a nie jesteśmy tak rozrzutni jak na Marsie lub Gawimedzie i nie mamy prywatnych źródeł światła. Wcale się nie bałam. Przestało się dla mnie liczyć wszystko, oprócz wolności. Zaczęłam to traktować jak alegorię Dawida i Goliata...
Szybko wystukałam dane na „zewnątrz", a potem numer karty kredytowej ojca - nauczyłam się go na pamięć w sekrecie już przed laty. Tablica rozdzielcza pokryta była rysunkami i przyciskami, jak wszystkie urządzenia spoza Strefy Biblijnej. Skonstruowano ją dla ludzi, którzy w przeciwieństwie do nas, nie potrafią czytać. Przez chwilę ogarnęła mnie irracjonalna obawa, że maszyna pozna mnie w jakiś sposób i da mi porządną nauczkę, ale wkrótce pojazd przebił sklepienie i już był na zewnątrz.,
Tak po prostu! Bez zastanowienia zaprogramowałam kurs na najbliższy interport (by udać się poza sferę, trzeba oczywiście zrobić transsref).
I wtedy naprawdę się przeraziłam. Moja kolonia kurczyła się gwałtownie, przybierając kształt szarego cylindra. Czy to możliwe, żeby tu było aż tak czarno! Czy nie ma żadnych gwiazd? Na starych filmach holo zawsze były gwiazdy, a teraz wszystko było całkowicie czarne. Moje oczekiwanie, że ujrzę gwiazdy, było sprzeczne z logiką, ale wiecie, zawsze wyobrażałam sobie przestrzeń taką, jaka była, zanim oni się pojawili. Ta pustka brutalnie przypomniała mi, że ludzi skazano na banicję. Powinnam sięgać wzrokiem w nieskończoność, ale zamiast tego byłam wciśnięta w 19 A.U. czarnej, przygnębiającej klaustrofobii...
Mimo to nie przestałam wpatrywać się w ekran. Byłam osłupiała i zafascynowana. Dopiero teraz zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Perspektywa spotkania Selespridończyka i przekonania go, by zabrał mnie z tej niewoli wydawała się coraz bardzie odległa. W rozpaczy gotowa byłam wrócić do domu. Ale im bardziej wydawało się to nieprawdopodobne, tym mocniej pragnęłam urzeczywistnić swoje marzenia. A było to marzenie całej ludzkości, nawet tej z lepszych sfer.
Kiedy dostrzegłam pierścień świateł otaczający interport, wcisnęłam program na Mallworld, by dać pojazdowi czas na wyliczenie kąta skoku i prędkości. Wszystkie te techniczne urządzenia opracowane zostały przez Selespridon. Zawsze starali się pomóc nam, biednym ludziom, ułatwiając nam przetrwanie wieków, w czasie których byliśmy przygotowywani do czegoś, czego nie byliśmy w stanie pojąć.
Pojazd przyspieszył, na sekundę wcisnęło mnie w fotel. Potem opadł na lądowisko interportu i wyłonił się w normanej przestrzeni. Byłam w Mallworld.

Mallworld! Największe centrum handlowe wszechczasów, gdzie możesz kupić wszystko, cokolwiek sobie wymyślisz! Z wyglądu przypominało Godzone. Ten sam, znajomy cylindryczny kształt, lśniący bladym światłem w ciemności. Ale kiedy zbliżyliśmy się, zobaczyłam ogromne transparenty z plastikaniny rozpięte nad bramami wjazdowymi. Jaskrawe, żółte, turkusowe i szkarłatne litery krzyczały:

WITAJ W MALLWORLD - TU GDZIE SPEŁNIAJĄ SIĘ
WSZYSTKIE MARZENIA
PONAD TYSIĄC SKLEPÓW
KAŻDEGO DNIA MILION KUPUJĄCYCH Z UKŁADU SOL
I Z GWIAZD

„Na Boga, któż w dzisiejszych czasach potrafi przeczytać te napisy" - pomyślałam sobie. Pędziłam w stronę parkingu, na którym pojazd się zatrzymał. Wzięłam jeszcze trochę pieniędzy z konta taty i wysiadłam. Zdjęłam moją szafranową sukienkę - nie chciałam wyglądać jak prowincjuszka - i zostałam tylko w monomolekularnym kombinezonie. Miałam nadzieję, że wyglądał na tyle dziwacznie, by można go było uznać za ostatni krzyk mody, a poza tym opalizujący turkusowy kolor wspaniale podkreślał kolor moich oczu.

Lekko wskoczyłam na napowietrzny pas transmisyjny prowadzący z parkingu do centrum Mallworld. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, bo to napowietrzne metro zrobione było z najnowszego materiału Selespridońskiego: z niczego. Działało na tej samej zasadzie osłony siłowej, która pozwoliła na zamknięcie ludzi w człowieczym zoo.

Unoszona w powietrzu przez dwa lub trzy kilometry, myślałam z goryczą: przyjemniaczki, rzucają nam wynalazki wyższej techniki jak okruchy z pańskiego stołu, szklane paciorki dla prymitywnych tubylców... (Wiem o tych szklanych paciorkach, bo w Strefie Biblijnej uczymy się historii Ziemi, jesteśmy bardzo staroświeccy i przywiązujemy wagę do przeszłości).

Stałam w głównym korytarzu przy Bramie Pięć Zero Siedem i rozglądałam się bezradnie wokoło.

To było przerażające. Ze wszystkich stron strumienie ludzi pędziły w kierunku maleńkich kabin. Jak oni się w nich mieścili? Aha - to muszą być te słynne kabiny mini-demat! Żadnych schodów, wind, eskalatorów! Oburzyło mnie marnotrawstwo energii, ale to typowa rozrzutność Babilończyków. I wszyscy wystrojeni byli jak choinki w foyer seminarium Hari Kriszna. Otyłe kobiety obładowane paczkami, elegantki z automatycznymi siatkami na zakupy... ale skąd można wiedzieć, gdzie iść? Miałam ochotę się rozpłakać.
- No, gdzie mogę znaleźć cokolwiek? - powiedziałam ze złością na głos.

Sześciocentymetrowy człowieczek w okropnym różowym mundurku podfrunął do mnie, zatrzymując się tuż przed moi nosem. Już chciałam go trzepnąć, kiedy odezwał się:
- Jestem mechanicznym Mallprzewodnikiem 22214037. Wzywałaś mnie?

Poczułam się zakłopotana, ale pomyślałam sobie, że to przecież tylko maszyna i powiedziałam:
- Jestem tu pierwszy raz!
- Co chcesz kupić?
- Nic. Szukam Selespridończyka.
- Obawiam się, że nie jestem zaprogramowany na takie pytanie. Czy chcesz wezwać unowocześniony model przewodnika?
- Hmm... nie. Nie masz jakiegoś prospektu czy czegoś w tym rodzaju?
- Już dawno się ich nie używa. Kto dzisiaj potrafi czytać?

- No tak. Gdzie można spotkać Selespridończyków? Czy jest to jakieś szczególne miejsce, wiesz, z pokazami tutejszych tańców dla turystów lub coś podobnego?

Komputoludek oczywiście nie był w stanie zrozumieć tej mojej uwagi, musiałam jakoś wykazać swoją wyższość, choćby tylko dla własnej satysfakcji." Może powinnam coś kupić" - pomyślałam troszkę z poczuciem winy: wydawanie pieniędzy kłóciło się z wpajanymi mi od najmłodszych lat zasadami... ale przecież miałam trochę własnych pieniędzy, zarobionych zeszłego lata zbieraniem chmielu na wyrób Gozpiwa. Zastanawiałam się, na jak długo ich wystarczy...

- Mówiłem już, że jestem tylko Mallprzewodnikiem, panienko. Bardziej skomplikowane odpowiedzi można uzyskać od specjalnego komputera po uiszczeniu odpowiedniej opłaty. Czy mam wezwać taki komputer?

- Hmm, nie. - Kosztowałoby to pewnie trzy lub cztery razy więcej niż u nas, czyli więcej pieniędzy niż kiedykolwiek w życiu widziałam.
- Rozumiem. Czy w takim razie masz zamiar coś kupić?
- Cóż, jestem głodna - powiedziałam.
- Restauracje są na poziomie H46. Wystarczy podać ten numer kabinie. - Odfrunął. Zupełnie jak elf.

Ledwo wpakowałam się do najbliższej kabiny i krzyknęłam H46, kiedy znalazłam się zupełnie w innym otoczeniu. W jednej chwili rozbłysły wokół mnie napisy:

ZJEDZ U JOEGO
WSPANIAŁA SZTUCZNIE SPREPAROWANA SUROWA RYBA
SMAKOŁYKI OBCYCH KUCHNI TO NASZA SPECJALNOŚĆ

i wiele innych napisów w językach, których nie znam. Przeważały jednak reklamy obrazowe, a niektóre, wykrzykiwane, rozbrzmiewały mi w uszach ogłuszająco... i ci trajkoczący ludzie, biegnący nie wiadomo gdzie... nie wiedziałam, że można czuć się tak samotnie, kiedy wokoło się tyle dzieje...
Trafiłam wreszcie na restaurację z normalnymi daniami:

ZJEDZ CO CHCESZ - JADŁODAJNIA BUCKEROGEROOO!

Restauracja wydała mi się ogromna w porównaniu z ciasnymi korytarzami, że aż zakręciło mi się w głowie. Trzy kondygnacje sal, kabiny ze świstem przecinające powietrze, figurki ziemskich kowbojów na koniach recytujące menu i oślepiające światła. Niestety, tylko ludzie. Żadnego obcego.
Czułam się bardzo mała, więc usiadłam tyłem do sali. Przywołałam ręką kowboja, który natychmiast zawisł w powietrzu nad moim ramieniem. Zamówiłam zwyczajne danie.
Odprężyłam się trochę, leniwie obserwując dobrze znany proces odtwarzania się kotleta z szybko-klonowej odżywczej papki. Wspaniale... zupełnie tak jak w domu.
Tylko co robić dalej?
- Dzień dobry. - Nawet nie musiałam odwracać głowy. Ten głęboki, nieziemski głos!
To był Selespridończyk. Teraz gapiłam się na niego z szeroko otwartymi oczami. Miał dwa i pół metra wzrostu, był błękitny jak niebo starej ziemi, z obłokiem szokująco purpurowych włosów, miękko opadających na ramiona i ubrany był w czterowarstwową tunikę. Znaczyło to, że był wyższy rangą nawet od samego Kluthariona.

W takim razie, co mógł tutaj robić?
Rozmaite myśli przelatywały mi przez głowę, a on tylko patrzył na mnie. Tak intensywnie, że aż upuściłam widelec i niechcący uruchomiłam mechanizm, który unosił kabinę. Nawet tego nie zauważyłam. Jego spojrzenie było tak zniewalające, hipnotyzujące. Nie dziwię się, że tym przede wszystkim nas pokonali. Pragnęłam go! To nie było pożądanie. Nie, w uczuciu, które mnie ogarnęło, była jakaś nieokreślona nutka erotyzmu, ale nie tylko: pragnienie tego, czego był symbolem, wolności, przygody i ogromu wszechświata.
- Jestem... jestem Zoe McOmar - przedstawiłam się zakłopotana.
- Ze Strefy Biblijnej, jak sądzę?
- Co... skąd pan wie?
- Tylko ktoś ze Strefy Biblijnej mógłby jeść w tak podłej restauracji. I przypuszczam, że jesteś uciekinierką...

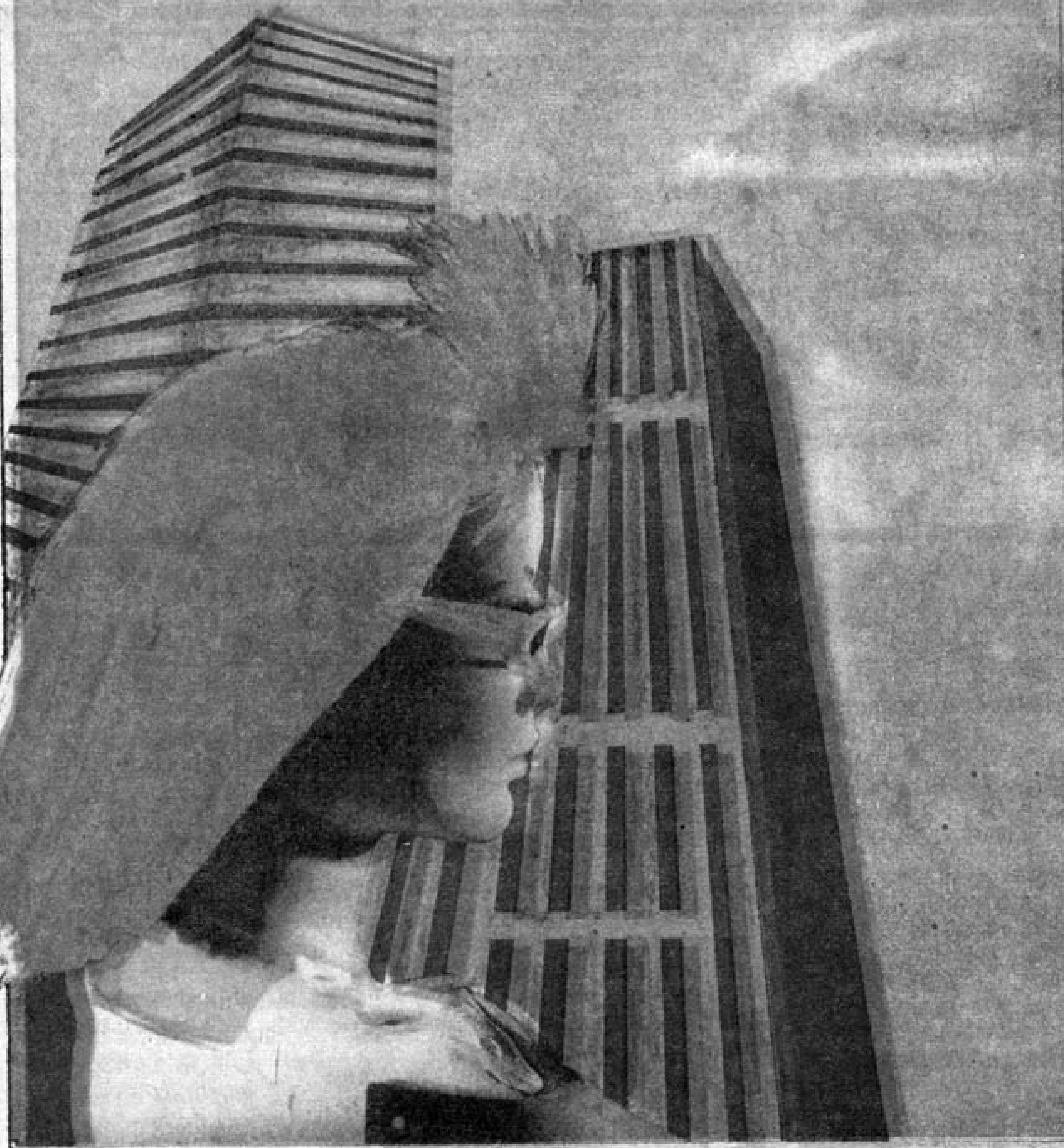
Byłam zupełnie zbita z tropu. Widocznie w Mallworld było tak wiele osób w takim jak ja położeniu, że każdy od razu mógł odgadnąć, kim jestem. Ach, te moje wspaniałe pomysły! Kabina krążyła powoli w trzecim sektorze restauracji...
- Nie martw się, mała - powiedział łagodnym głosem. - Tu jest wielu uciekinierów, ale niewielu z nich trafia się okazja taka jak tobie. Jest coś, w czym mogę ci pomóc, nieprawdaż? Mogę wyciągnąć cię z tego nieszczęsnego systemu, prawda?
Utkwiłam wzrok w jego twarzy i patrzyłam, patrzyłam, patrzyłam...
- Tak - rozmyślał głośno obcy. - Ludziom niełatwo pogodzić się z myślą, że są uwięzieni. Nawet jeśli tym więzieniem jest cały Układ Słoneczny. Nie pomyliłem się w mojej ocenie natury ludzkiej. Bardzo niebezpieczny gatunek, bardzo. Ale cóż, jest jak jest - myślę że mogłabyś ocalić mi życie. Zgadzasz się na taką wymianę przysług?
- Ale jak? Jesteś Selespridyńczykiem czwartej warstwy, a ja tylko człowiekiem i... - „Bawi się" - pomyślałam. „Dręczy mnie, kpi z moich marzeń. Bo już mnie złapał. Wie, że zrobiłabym wszystko..."
- Będę szczery, grozi mi kara śmierci. Jutro muszę oddać się w ręce władz z powodu przestępstwa popełnionego wieki temu. Widzisz, teraz muszę coś znaleźć.
Kiwnęłam potakująco głową. Wiedziałam o co mu chodzi. Wysokiej rangi Selespridończykom wolno było opóźnić wykonanie wyroku i udać się na poszukiwanie.
- Rozumiesz - mówił dalej - przestępstwem, które popełniłem, był brak współczucia, za co karze się przez strącenie do czarnej dziury A'anakoitha, około dwunastu perseków od mojej rodzinnej planety. Umrę natychmiast, to oczywiste, ale... ze względu na rozszerzenie czasu, będzie się wydawało, że moje zmaltretowane ciało nadal wisi w otworze jako przykład dla niegrzecznych dzieci, jeszcze przez wiele generacji. Nie mogę na to pozwolić, bo moje dzieci narażone byłyby na odrzucenie ich przez społeczeństwo.
Niewiele zrozumiałam z tego co powiedział, ale jasne było, że potrzebował pomocy. Jego słowa wzbudziły we mnie nie tylko współczucie, ale i zaciekawienie. Mówił o czarnych dziurach i persekach

tak, jakby to były zwyczajne rzeczy! I wiedziałam, że w Selespridonie oficjalny okres poszukiwań trwał jeden n'huat, znacznie dłużej niż ludzkie życie.
Był on więc kimś w rodzaju Latającego Holendra, jeśi znacie to określenie z ziemskiej mitologii.
– A czego właściwie szukasz? – zapytałam. – Czy to ma być pokuta przez umiłowanie, czy coś w tym rodzaju? – Pojęcie to znałam z mitów ziemskich, a poza tym patriarcha Godzone ciągle wałkował ten temat w swoich kazaniach.
Obcy roześmiał się. Jego śmiech zabrzmiał głucho i rozpaczliwie. Z twarzy, pięknej jak zawsze, nie można było odczytać, co czuje.
– Takie zadanie dają tylko wtedy, kiedy są pewni, że przestępca zasługuje na śmierć. Mam znaleźć odpowiedź na pytanie, co to jest życie.
Tupnęłam nogą w podłogę kabiny, która stanęła z powrotem na ziemi.
– Ależ to śmieszne!
– Nie potrafię tego dokładnie przetłumaczyć – powiedział. – Chodzi mi o... ug'unnieth, to znaczy... no cóż, kiedyś ludzie się na tym znali doskonale, potrafili znaleźć właściwą odpowiedź, a ponieważ twój system jest takim pogmatwanym magazynem starożytnej wiedzy i prymitywnych przedmiotów, o których zapomniała nasza wysoko rozwinięta cywilizacja, więc pomyślałem sobie...
– No tak. Hokus pokus. Przybyłeś tu szukając magii czy czegoś w tym rodzaju. A więc z pewnością trafiłeś na właściwą osobę! Pochodzę ze Strefy Biblijnej, jak wiesz, i wiem wszystko na temat znaczenia życia i temu podobnych spraw...
– Właśnie dlatego przyszedłem najpierw do tej restauracji – powiedział Selespridończyk.

– Po pierwsze – powiedział (dowiedziałam się, że nazywa się Zhangif) – nie możesz zostać w tym kombinezonie. Mnie to oczywiście nie przeszkadza, ale mieszkańcy Mallworld zwracają baczną uwagę na strój. – Chodźmy po ubranie dla ciebie – zaproponował.
Wskoczyliśmy do kabiny i wydałam polecenie „Do autosklepu". Wiedziałam, że w dużym magazynie z pełną obsługą nie dam sobie rady. Wybrałam coś szybko, a on z roztargnieniem podstemplował za mnie komp-kartę kredytową.
Wybrałam klasyczny strój. Nie z tych pornograficznych nowoczesnych fatałaszków, które całkowicie zakrywają piersi, by wyglądały lubieżnie i nieprzyzwoicie. Byłam tak staroświecka, że właściwie zostałam naga.
– Dobry gust – zauważył. – Strój niewinnej małej dziewczynki. Cóż, sądzę, że to zasługa dobrego wychowania.
Nagle zaczął mówić gorączkowo i niecierpliwie:
– Szybko. Musimy znaleźć sens życia. Umrę, jeśli go nie znajdę, kobieto, pomóż mi!
– Myślę, że najlepiej zacząć od religii – powiedziałam powoli. – To jest coś przyjemnego i prostego. Chyba gdzieś w Mallworld jest jakaś świątynia? – skierowałam to pytanie do różowego człowieczka, który pojawił się nad moim ramieniem.
– Sto katedr, sześćset czterdzieści dwie kaplice i Czytelnia Nauki Chrześcijańskiej – wyrecytował komprzewodnik. – Do której mam wskazać drogę wielmożnemu panu?
Zwróciłam uwagę na jego uniżony ton, z jakim przemawiał do Panów Galaktyki.
– Sądzę, że zaczniemy od mojej świątyni – powiedziałam. – Podaj mi numer poziomu do neo-Amisz-Buddo-Kriszno-logizmu (w domu nazywamy to po prostu religią, ale znałam jej oficjalną nazwę).
– Rekreacjonistów, Reformistów czy Rekonstrukcjonistów?
– Nie wiedziałam, że są jakieś sekty. Taka jak w Godzone.
– Rekonstrukcjonistów. Poziom wewnętrzny. Kabiną łącznikową nr 3 na dół do holu do przenośnika. Tam jest napęd zerowy. Po drodze zaopatrzcie się w magnobuty.
Zhangif już gnał do przodu z nieopanowaną niecierpliwością. Patrzyłam, jak szedł z rozwianą purpurową grzywą. Pociągała mnie jego zwierzęca popędliwość. Był bogiem. I mógł uczynić mnie równą bogom. Zaczęłam biec za nim. Bez kombinezonu poczułam się wolna. Mogłam dokonać wszystkiego!

Znaleźliśmy się w olbrzymiej, idealnie kulistej sali o lustrzanych ścianach. Tylko kilku ludzi, a wszyscy odbijali się milion razy w gładkich ścianach, ich odbicia były maleńkie jak laleczki... Magnesy, które pojawiły się w moich dłoniach przypięłam do stóp. Schwyciłam mocno rękę Selespridończyka – niezwykła poufność – i unieśliśmy się do góry. Znałam już uczucie towarzyszące takim podróżom, ale teraz wydawało mi się, że jestem taka maleńka w przepastnym, bezdennym naczyniu. Byłam przejęta, a nawet trochę przestraszona.
– WITAJCIE – rozległ się śpiewny, wysoki i niesamowity głos – W KRĘGU REKONSTRUKCJONISTYCZNEJ NEO-AMISZ-BUDDO-KRISZNO-LOGISTYCZNEJ PRAWDY. NABOŻEŃSTWO ROZPOCZNIE SIĘ ZA CHWILĘ. REDUKUJĘ SIĘ PRZYCIĄGANIE DO ZERA... NIECHAJ LEKKOŚĆ BĘDZIE SYMBOLEM DUSZY CZŁOWIEKA W OPIECE BOSKIEGO OM.
Teraz naprawdę przydały mi się specjalne buty. Bez nich uniosłabym się jak bańka mydlana. Trochę kręciło mi się w głowie.
W tej właśnie chwili w centrum kuli pojawił się Patriarcha Mallworld. Ledwo go widziałam, tak był daleko i to do góry nogami. Wyglądał tak samo jak Ashoka Toscanini, nasz Patriarcha. To podobieństwo zaszokowało mnie, chociaż wiedziałam że wszyscy patriarchowie byli klonowani z pierwszego założyciela naszej grupy wyznaniowej.
Zaczął kazanie podniosłym tonem. Od razu wiedziałam, że nic nam to nie pomoże. Mówił dosłownie to samo co słyszałam w zeszłym tygodniu, o niegodziwości Selespridończyków! Identyczne zwroty, subtelne aluzje.
– Fascynujące – powiedział Selespridończyk, nie odrywając wzroku od małej figurki. – Może, może naprawdę... Zamilkłam na dłuższy czas, podczas gdy recytowano długą listę diabelskich selespridianizmów. Jeśli Zhangif uzna, że znalazł to, czego szukał, to nie miałam najmniejszego zamiaru wyprowadzać go z błędu. Wszyscy poza nami wyszli przed końcem kazania.
Rozpromieniony patriarcha przypłynął ku nam. Po raz pierwszy w życiu znalazłam się tak blisko jednego z nich.
– Świetne kazanie – smutno powiedział Zhangif. – Ale...
– Dziecko drogie, jestem zachwycony! Ale czemu chodzisz tak dziwacznie i rozpustnie ubrany?
– Ojcze, to jest... – wtrąciłam pospiesznie.
– Tak, wiem, córko – powiedział patriarcha. – Otrzymałaś przebaczenie.
– W takim razie – zdecydowałam się zapytać (nie mogłam się powstrzymać od myśli, że jeśli to był robot, to coś było nie w porządku z jego obwodami) – może mógłby pan mu pomóc? Musi dowiedzieć się, co to jest życie...
Patriarcha zamyślił się, posapując.
– Trochę, trochę nam się spieszy – ponagliłam.
– Ha! Od kiedy jestem tutaj, jeszcze nikt nie zadał mi sensownego pytania! – krzyknął, zataczając kręgi w powietrzu i władczo wymachują rękami w stronę nieistniejącego tłumu. – Nie wiecie jakie to ma dla mnie znaczenie... tutaj, w opętanym przez forsę Mallworld już zapomniano o filozoficznych dysputach. Nie, nie, doprawdy rządzi teraz nami zło, moje dzieci!
Znów zbliżył się do nas. Nagle twarz jego przybrała groźną minę.
– Pragniecie wciągnąć mnie w pułapkę swoimi diabelskimi pytaniami, niewinną, dziecięcą nagością. Czuję tu sztuczkę samego Szatana – a ty, przebrany za Selespridończyka?
Równie nagle stał się miły i opiekuńczy. Położył dłonie na naszych ramionach i powiedział:
– Proszę, weźcie tę taśmę – obawiam się, że to tylko dźwiękowa taśma, cóż można zrobić, brak nam funduszy, ciężkie czasy nastały. Wysłuchajcie jej uważnie. Niewielka opłata będzie automatycznie pobrana z waszego konta. „Karmadharmadevaphasa" to poemat epicki, ułożony przez ludzkie wcielenie samego proroka po zwycięskiej walce z Josephem Smithem Apostatą. Niepotrzebne wam znaczenie życia, potrzebne wam wsparcie duchowe. Mimo, to przebaczono wam – wam – wam – wam...
Ojciec Ashoka (jak go nazwałam w myśli) gwałtownie skurczył się do rozmiarów pokrętła w komputerze i odfrunął, mamrocząc „awaria, awaria" metalicznym głosem, po czym zniknął zupełnie, zostawiając nas samych w ogromnej sali.
– Przeciążenie – stwierdziłam.
Obcy odezwał się, tak jakby mówił sam do siebie:
– Nie, nie to wcale nie to... kiedy zaczął mówić o problemie zła i moralnym aspekcie obecności Selespridończyków już myślałem, że wiem. Ale pojęcie ug'unnieth... och ug'unnieth...
– Co właściwie oznacza ten termin? Gdybyś mi wytłumaczył, może łatwiej byłoby mi pomóc. Wiem wiele na temat ludzi, ale nie potrafię zrozumieć twoich nieziemskich koncepcji, jeśli mi nie pomożesz.
– To jest szersze pojęcie – powiedział – bardziej uniwersalne i w pewien sposób bardziej dotyczy rzeczywistości. Rozumiesz? A'anuuk glemeshtoforsht, ang n passmolokhian sarod...
– Przepraszam – przerwałam mu. – Gdybyś powiedział mi to po angielsku, myślę, że naprawdę mogłabym ci pomóc!
– No cóż, w tym właśnie tkwi problem, moja mała. Gdyby można to było przetłumaczyć na wasz nieprecyzyjny język, nie musiałbym szukać tej odpowiedzi. Ale jedno jest pewne: kiedy natrafimy na właściwe rozwiązanie, będę wiedział, że to jest właśnie to.

Następne kilka godzin poświęciliśmy na studiowanie innych religii. Wyznawcy Zen zapewnili nas, że nie ma czegoś takiego jak sens życia. Wydawało mi się, że to całkiem dobra odpowiedź, ale nie zadowoliła Selespridończyka.
– Oczywiście, że jest coś takiego – powiedział. – Gdyby nie było, to po co miałbym szukać?
– Czy przedstawiciele twojej rasy często przybywają do Układu Słonecznego w poszukiwaniu odpowiedzi na różne pytania?
– Ależ tak, moje dziecko! Najbardziej prymitywne miejsce w całym wszechświecie i tak wielu rytualnych obrzędów i starodawnej mądrości nie ma nigdzie indziej... Zaczynam podejrzewać, że jedynym powodem dla którego Rada podtrzymuje wyizolowanie tego systemu, jest zapewnienie materiału badawczego.
Uraziło mnie to wyznanie. Byłam wściekła na nich wszystkich. Patriarcha nie mylił się twierdząc, że są nikczemni. Nagle poczułam ślepą nienawiść do każdego Selespridończyka w Galaktyce. Wykorzystywali nas do swoich celów. Niezależnie od tego, czy byłam stworzeniem niższego rzędu czy nie, musiałam się wydostać z


Andrzej Brzezicki

jaśniających umysł. Przejdźmy do sali kwasu.
Ataki ogarniającej go na przemian apatii i ożywienia stały się gwałtowniejsze. Mógł tego nie wytrzymać. Pociągnęłam go za sobą wzdłuż długiego rzędu kabin Auto-zgłebienia, przez następną salę Levitolu, podczas gdy on mruczał coś do siebie ponuro w swoim dziwnym języku.
Przeszedłszy przez labirynt Korytarza Symulowanej Rzeczywistości, stanęliśmy przed kuszącym napisem:
„TU ODKRYJESZ SENS ŻYCIA"
– To coś dla nas – powiedział Selespridończyk, nagle obudziwszy się z odrętwienia.
ZAPRASZAMY DO POKOIKU NA ZAPLECZU
Obcy trząsł się, jego włosy sterczały pionowo do góry, a ciało wydzielało ostry, erotyczny zapach. Udając, że tego nie zauważam, powiedziałam:
– Nie znajdziesz nic bardziej typowego dla tego regionu. Używano tego jeszcze na Starej Ziemi, a więc musi być tak niewyobrażalnie stare...
(Jaka ze mnie idiotka! „Niewyobrażalnie stare"? Przecież ten osobnik urodził się prawdopodobnie przed pierwszym lotem kosmicznym!)
Jakby na potwierdzenie moich słów komputoludki, których rój pojawił się nagle wokół nas, miały fryzury afro, dżinsy i brudne podkoszulki. Wprost emanowały tysiącletnią mądrością, przypominając maleńkich Apollinów, Mohammedów i Kennedych.
– No jak, Zhangif, idziemy?
– Och... – westchnął. Podążyliśmy za przedziwnym rojem do pokoiku, który okazał się starożytną recepcją. Przy biurku siedziała prawdziwa istota ludzka, co podkreślało autentyczność scenerii. Chociaż trzeba przyznać, że dziewczyna wyglądała trochę dziwnie, bo na szyi miała kosmetycznie przeszczepioną szczątkową głowę.

„Pochodzi z pewnością z Babilonu" – pomyślałam. Najbogatsza kolonia, z Deimos. Wpatrywałam się w tę głowę, próbując obliczyć ile kosztowałoby sprawienie sobie czegoś takiego.
– Czemu się tak przyglądasz? – zapytała. – Ach, temu – roześmiała się. – To mój braciszek. Widzisz. Przedsiębiorstwo Storkways popełniło jakiś błąd przy jego urodzeniu i to wszystko, co udało mi się uratować. Wydaje ci się dziwaczne? Mnie nie. Wszyscy tutaj...

Nagle otworzyła szeroko oczy.
– Ty jesteś Selespridończykiem! – Przeszła pod biurkiem i zaczęła oddawać cześć boską obcemu.
– Nietrudno odgadnąć, jaką ona wyznaje regligię. Ufologizm – powiedziałam pogardliwie. – Słuchaj, spieszy nam się, a mój przyjaciel pragnie poznać sens życia.
– Och, pańska wizyta jest dla mnie błogosławieństwem, proszę, niech pan usiądzie...
Dwa powietrzne fotele sfrunęły spod sufitu. Usadowiliśmy się na nich. Dwóch ludzi w staroziemskich strojach – jeden w garniturze, drugi w kimonie – weszło do pokoju ze strzykawkami do zastrzyków podskórnych.
– Ja nie – powiedziałam pośpiesznie. – Tylko ten Selespridończyk.

Podeszli do niego. Sekretarka-recepcjonistka zaczęła wygłaszać pogadankę na temat narkotyków psychotonicznych:
– „Kwas" był używany na Ziemi od wieków przez poszukiwaczy znaczenia. Po raz pierwszy został zastosowany przez mędrca, którego nazwisko według rozmaitych źródeł brzmiało Tim O'Leary, Zeus lub Oscar Wilde. „Kwas" ten był kiedyś bardzo niebezpiecznym związkiem organicznym. Jednakże teraz, dzięki znakomitemu postępowi nauki możemy używać pochodnej tego związku o łagodniejszym działaniu. Jest to jedyna zmiana w starodawnym rytuale...

Mówiła tak jednostajnie ze względu na hipnotyczny rytuał, czy była po prostu nudną, znudzoną osobą? Zgasły światła. Dwaj pseudo-starożytni pochylili się złowieszczo nad Zhangifem. Ich starodawne ubrania lśniły w ultrafioletowym świetle (chyba tak jak w starożytnej dyskotece). Recepcjonistka nadal snuła swą opowieść, opisując właściwości i strukturę narkotyków, gnębienie jego zwolenników przez Rząd Ziemski w Ciemnowieczu i wiele innych powszechnie znanych faktów. Strzykawka do zastrzyków podskórnych, jak się dowiedziałam, była jedynie „autentycznym" rekwizytem, narkotyk podawano doustnie.
To wszystko działało usypiająco. Czułam, że gdzieś odpływam, zrobiło mi się jeszcze ciemniej, cieplej i przytulniej.

klatki. Musiałam im udowodnić, że człowiek nie jest tylko kosmicznym odpadkiem.
– No tak – krzyknęłam – co teraz mam zrobić? Nie potrafisz mi nawet wytłumaczyć o co ci chodzi, uważasz, że ludzie są zbyt ograniczeni, by zrozumieć wasze pompatyczne idee.
– Oczywiście, że jesteście zbyt głupi – powiedział. – Jesteście rasą zboczeńców, morderców, kanibali, pomyleńców! – Trząsł się z wściekłości i był tak piękny, że czułam się rozdarta między nienawiścią i pożądaniem.

Zatrzymaliśmy się przed kabiną.
– No i co? – zapytałam.
– O ile wiem, wasz rytuał seksualny ma w sobie wiele z ug'unnieth...
– Ach, to! – zaczerwieniłam się aż po pięty. „Do diabła" – pomyślałam – „jestem postępowa i nie zamierzam robić tego z kimś, kogo nie lubię".) – Widzisz, nigdy tego nie robiłam i nie mam doświadczenia.
– Och, myślałem, że mogłabyś zademonstrować.
– Przykro mi Zhangif. Czy jest coś innego, w czym mogłabym ci pomóc? Opowiedz mi o tym swoim ug'unnieth.
– Więc, te wasze religie są całkiem ciekawe, ale spotyka się je we wszystkich niższych cywilizacjach. Trudno opisać co to jest ug'unnieth za pomocą ograniczonego zasobu słów waszego języka, ale może... coś bardziej... etnicznego?
– Może narkotyki – powiedziałam bez entuzjazmu. – Niektórzy ludzie uważają, że dzięki nim można odnaleźć sens życia...

I w ten sposób znalazłam się w miejscu, w którym zgodnie z daną mamie obietnicą, nigdy nie miała stanąć moja noga. W jaskini zła. Otchłani niegodziwości.

Było tam zupełnie jak w szpitalu. Nieduży, prostokątny pokój, wypełniony setką ludzi lewitujących w dziwnych pozycjach. Nie wiem w jaki sposób udawało im się nie wpadać na siebie nawzajem; prawdopodobnie podświadomie reagowali na otoczenie, mimo wpływu...
– Ach, to jest sala Levitolu – powiedziałam, z przekonaniem osoby znającej się na rzeczy. (To nie było trudne: czasem toaleta w szkole wyglądała tak samo). – Mamy Levitol nawet w Godzone. Myślę, że potrzeba ci czegoś mocniejszego.
Para zastygła w uścisku zbliżała się do nas, potem u... ła się w górę by zrobić ósemkę wokół dwóch zawieszonych w powietrzu chłopców, za małych jeszcze, by przebywać w takim miejscu. Twarze mieli zesztywniałe w grymasie zdradzającym nękające ich poczucie winy.
Nie zwracając uwagi na te znane mi scenki, powiedziałam:
– Chyba powinieneś spróbować jednego z naszych środków roz-

Usłyszałam wrzask Zhangifa.
Zerwałam się na równe nogi i krzyknęłam:
- Niech ktoś zapali światło!
- Zostałem otruty, otruty... - Zabłysło światło, oślepiające mnie na chwilę.

Nie zapytałam go, czy ten związek może mu zaszkodzić. „Naprawdę jestem tak głupia, jak to powiedział obcy" - pomyślałam sobie, patrząc jak Selespridończyk wije się w agonii, personel biega bezradnie i wreszcie ucieka, zostawiając nas samych. Ale sobie napytałam biedy. Jeśli Selespridończyk umrze przeze mnie...
- Szybko... - powiedział z trudem. - Do łazienki, muszę to z siebie wylać, inaczej zginę, szybko...

Pomogłam mu podnieść się z fotela i wzięłam go pod rękę. Przez wyjście awaryjne wydostaliśmy się na korytarz. Musiałam go ciągnąć, a był potwornie ciężki.

Gdzie tu mogła być łazienka?
Z trudem posuwaliśmy się wzdłuż korytrza. Byłam tak przestaszona, że chciało mi się płakać. Krzyknęłam:
- Komputer, mallprzewodnik, czy jest tu ktoś...?
Nagle zapanowała całkowita cisza i ciemność. Dziesięć czy jedenaście sekund... Wstrzymałam oddech. Selespiridończyk oparł się całym ciężarem na moim ramieniu.

Światła zapaliły się. Ludzie pędzili z krzykiem popychając się i wpadając na siebie nawzajem.
UWAGA CHWILOWA PRZERWA W DOPŁYWIE ENERGII - basowy głos pokonał wrzawę. - ZAPALONO ŚWIATŁA AWARYJNE, PROSZĘ POZOSTAĆ NA SWOICH MIEJSCACH. ZA OKOŁO DWANAŚCIE MINUT WSZYSTKO BĘDZIE DZIAŁAŁO NORMALNIE.

Byłam przerażona. Nie będzie żadnych kierunkowskazów. Wszystkie kierunkowskazy zamilkły. Kompletnie oszołomieni ludzie mijali nas. Znaki wizualne działały bez zakłóceń, ludzie mogli rozpoznać rysunki albo holo i trafić tam gdzie chcieli, ale... głosy ludzkie bez gwaru automatów brzmiały jakoś inaczej, dziwnie. Pierwszy raz to słyszałem. Obcy dyszał ciężko, jego twarz stała się z niebieskiej stalowoszara i pomyślałam, że jeżeli nie dostanę się natychmiast do łazienki, to on zwymiotuje na podłogę, a ja zostanę złapana, ukarana, wysłana do domu i...

Po prawej stronie zobaczyłam drzwi...
Ku moje radości, widniał na nich zwyczajny napis w języku angielskim: TOALETA. Co za szczęście, że nie unowocześnili łazienek! Otworzyłam drzwi i zaciągnąwszy obcego do najbliższego klozetu, trzymałam go za rękaw, podczas gdy on...

Kilka minut później czuł się już zupełnie dobrze. Staliśmy na korytarzu. Patrzyłam na niego ze smutkiem. Włączono już prąd i Mallworld wypełnił szmer znajomych dźwięków.
Nie udało mi się. Będę musiała zostać na zawsze w Mallworld, tak jak wielu innych uciekinierów, stać się dzieckiem korytarzy... już czułam się tak, jakbym mieszkała w Mallworld całe życie. Zapomniałam zupełnie o moim domu.
- No cóż - powiedziałam - myślę, że zrobiłam wszystko, co mogłam.
Obcy znowu był przygnębiony.
- Tak. Za jakąś godzinę wrócę do swoich i oddam się w ręce sprawiedliwości...
- A więc żegnaj.
- Zaczekaj... zanim odejdziesz... czy mogę cię o coś zapytać? - powiedział Selespridończyk. - W jaki sposób znalazłaś łazienkę, kiedy nie działały żadne ogłoszenia? Czy wy, ludzie, macie jakiś instynkt, czy kieruje wami jakiś prymitywny mechanizm, dzięki któremu możecie trafić do celu?

- Ależ nie. Po prostu przeczytałam napis na drzwiach - odpowiedziałam ze zniecierpliwieniem. Miałam dosyć już jego widoku. Chciałam przyzwyczaić się do życia w Mallworld.
- Przeczytałaś? Nie wiem co to znaczy. Co właściwie...
- Chcesz powiedzieć, że nie umiesz czytać?
- Co to jest „czytać?"
- Posłuchaj! - powiedziałam, wskazując na jakiś napisany znak. - LODOWISKO CIOCI ABEDAH... BADANIA PSYCHIKI... UMIERASZ? MOŻEMY PRZYWRÓCIĆ CI ŻYCIE!

- Niewiarygodne! - powiedział Zhangif.
I wtedy ogarnął mnie niepohamowany śmiech.
- To znaczy, że wy, z całą waszą imponującą techniką, siłą, która pozwala rządzić wam Galaktyką, z tym wszystkim - nawet nie potraficie czytać?
Nagle zrozumiałam.
- Mam to twoje „znaczenie życia", Zhangif! To musi zadowolić twoją Radę! - Złapałam go za rękę. Poszedł za mną posłusznie, ciągle jeszcze pogrążony w apatii. Przywołałam różowego komputoludka.
- Księgarnia - powiedziałam rozkazująco. Wiedziałam już jak traktować te stwory, nie byłam zalęknioną dziewczynką, jak przed kilkoma godzinami! - Pewnie powiesz mi, że macie ich w Mallworld cztery tysiące.
- Niestety, w ogóle nie mamy, panienko - powiedział komputoludek, siadając na moim ramieniu.
- Jak to? - Serce biło mi mocniej. Kiedy udało mi się rozwiązać zagadkę...
- Może znajdziecie jakąś książkę w jednym ze składów staroci na poziomie A1. To najstarszy poziom w Mallworld.

Pomieszczenie było niewiele większe od kabiny, zagracone porozrzucanymi stertami rupieci. Jeden człowiek trzymał pieczę nad tym wszystkim.
- Czego chcesz, dziecko? To są rzeczy tylko dla kolekcjonerów i muzeów...o, przepraszam pana - zmienił ton zobaczywszy towarzyszącego mi Selespridończyka.
- Słownik - powiedziałam.
Staruszek spojrzał na mnie zaskoczony, potem rozpromienił się nagle.
- Moje drogie dziecko...! - wyjąkał. Wyciągnął prawdziwą książkę.
- To jest oryginalny „Oxfordzki Słownik Angielski" z dwudziestego pierwszego wieku, szanowni państwo - powiedział. - Wspaniale nadaje się na przycisk do taśm, albo...
- Bierzemy - powiedziałam szybko, a Zhangif posłusznie odcisnął kartę kredytową. Wzięłam książkę do ręki... była bardzo ciężka... i znalazłam hasło „Życie".
- Spójrz tutaj - pokazałam Zhangifowi.
Zajrzał do książki z zaciekawieniem.
- „ŻYCIE: stan lub właściwość bycia żywym, żyjącym. Przeciwieństwo śmierci" - przeczytałam definicję. - Ta rzecz zawiera znaczenie wielu innych słów - dodałam.
- Zdumiewające! - wykrzyknął Zhangif. - Jak to jest zrobione? Za pomocą telepatii. Opanowania ludzkich odczuć?
- Nie, nie, głuptasie... te małe znaczki są odpowiednikami słów. Dawno temu wszyscy umieli czytać. Ale potem wynaleziono rzecz zwaną telewizją, później holowizję i teraz tylko w Strefie Biblijnej uczymy się czytać. Wyobraź sobie, że kiedyś był to jedyny sposób przekazywania wiedzy!
Zhangif wziął ode mnie książkę i zaczął ją przeglądać.
- Trzymasz do góry nogami - roześmiałam się.
- Tak - powiedział - to z pewnością coś nowego. Zapomniana sztuka starożytności, doprawdy... bez wątpienia etniczne... przedmiot rytualny... krystalizacja wszechświatów za pomocą symboli na papierze... ocaliłaś mi życie, mała.
- Przyjmą to?
- Dziecinko, to jest najczystszy ug'unnieth! Już mi się poprawił humor. Zasłużyłaś na podróż do gwiazd... - ogarnęło go niezwykłe podniecenie i musiałam biec, by dotrzymać mu kroku, korytarzem, do kabiny, tunelu powietrznego, na parking i...

— Zamknij oczy.
Byłam w statku nieznanej konstrukcji, wszystko było jakieś inne. Zamknęłam oczy. Byłam szczęśliwa, nie tylko dlatego, że udało mi się wydostać z klatki, ale również dlatego, że wiedziałam więcej niż obcy, odniosłam swoje małe intelektualne zwycięstwo...
Czułam, że statek przyspieszył.
- Teraz otwórz oczy - powiedział cicho.
Zrobiłam to. Selespridończyk wydzielał teraz silny, odurzający zapach. Miałam nadzieję, że wytrzyma do powrotu do swego świata.
Spojrzałam na ekrany i zobaczyłam... zobaczyłam...
Jak mogło być ich tak wiele?
Wszędzie gwiazdy. Myślałam, że zemdleję z szaleńczej radości, nie mogłam uwierzyć, że są tak piękne... i to wszystko oglądałam i przeżywałam ja, Zoe McOmar, mała dziewczynka z zakamarka wszechświata!
Świetnie to załatwiłam.

Przełożyła **Anna Miklińska**

Somtow SUCHARITKUL

W życiu codziennym awangardowy kompozytor, jeżdżący bez przerwy między Nowym Jorkiem a Bangkokiem, gdzie się urodził i mieszkał. Pisze SF od 10 roku życia. Drukował opowiadania m.in. w Analogu i Isaac's Asimov SF Magazine. Obecnie 28-letni kompozytor prowadzi wykłady na szeregu uniwersytetów amerykańskich na temat współczesnej muzyki Południowo-Wschodniej Azji, to znaczy w dużej mierze o sobie i swoich pracach.

R ryzyko

(Risk)

Borys Nikolski

— Boję się o ciebie, Eryku – ze smutkiem powiedziała Julia. – Jesteś ziemianinem, chociaż urodziłeś się już tutaj. Nie stałeś się jednym z nas, rozumiesz? Bardzo się o ciebie boję.
– A wy, kim wy jesteście? Czy nie jesteście ziemianami?
– Nie – pokręciła głową. – Co z nas za ziemianie? Od Wielkich Wstrząsów, czyli od czasu, gdy Naczelna Rada podjęła decyzję o samoizolacji już kilka pokoleń urodziło się tu, na Rezie. Ja, mój ojciec, dziadek, nawet pradziadek... Nikt nas nie widział Ziemi.

Eryk i Julia jedli śniadanie w pokoju, przypominającym salon starego parostatku – przez ilumiatory można bysło nawet zobaczyć błyszczącą w promieniach porannego słońca, bezkresną dal gładkiego, spokojnego morza i poczuć wkradający się do pokoju, delikatny zapach nasyconej solą wody. Była to oczywiście tylko iluzja. Na Rezie – sztucznej, stworzonej myślą i rękami człowieka planecie – nie mogło być i nie było morza. Porównać by ją można, używając ziemskich pojęć, do ogromnego, gęsto zasiedlonego miasta. W jej gigantycznych wnętrznościach bezustannie pracowały setki superrobotów, nieprzerwanie dudniły zakłady biosyntezy, cała ogromna sieć zamkniętego obiegu, zaspokajająca potrzeby sztucznej planety – samotnej wyspy, zagubionej w bezkresie przestrzeni kosmicznej.

Oboje szczególnie sobie cenili takie poranne chwile, gdyż potem rozdzielały ich na długo, aż do samego wieczora, obowiązki służbowe. Toczone przy śniadaniu rozmowy były zwykle swobodne i wesołe. Ich stosunki miały ten lekki, półżartobliwy odcień, który rodzi się między ludźmi, odczuwającymi głęboką wzajemną sympatię. Dziś jednak nastrój Eryka był inny.

– Powiedz mi, Julio – w jego głosie brzmiała nieoczekiwana powaga – czy nigdy nie przyszła ci do głowy myśl, że im bardziej racjonalnie zorganizowane jest nasze życie, im bliższe jest doskonałości, tym mniej mamy możliwości wyboru, swobody wyboru?
– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć – zaniepokoiła się. Zawsze, gdy czegoś nie rozumiała Eryk widział w jej oczach błysk zaniepokojenia, a nawet strachu.
– Nie rozumiem – powtórzyła. – Co miałeś na myśli?
– Nic szczególnego – Eryk uśmiechnął się. – Po prostu przypomniałem sobie, że nasi dalecy przodkowie mogli wybierać przynajmniej między omletem a kaszą manną. My takiej możliwości nie mamy. Ten problem jest rozwiązany za nas przez Wielki, Wszechmocny i Jedyny...

Dał jej możliwość obrócenia rozmowy w żart, ale Julia potraktowała jego słowa poważnie.
– W dalszym ciągu nie wiem, co cię niepokoi. Tak było zawsze, odkąd pamiętam i tak będzie w przyszłości. To niezbędne, dla naszego dobra...

Słyszał to już niejednokrotnie. Julia powtarzała niemal dokładnie słowa Starszego Opiekuna, który miał pieczę nad Erykiem, gdy chodził on na pierwszy kurs przygotowawczy. „Na Jedynym Systemie – mówił Starszy Opiekun – spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeństwo i stan zdrowia – fizycznego i moralnego – każdego członka społeczeństwa. Czy można zaprzeczyć, że jest to jedno z najbardziej istotnych i godnych szacunku zadań? Tylko w zamierzchłej przeszłości uważano, że człowiek ma prawo swobodnie decydować o swym zdrowiu, nie oszczędzać się, czy nawet umierać za głupstwa, bezmyślnie i bez pożytku. My wychodzimy z założenia, że zdrowie człowieka to nie tylko jego osobista własność i jego osobiste, a przy tym największe bogactwo, ale również własność i największe bogactwo całego społeczeństwa. Dlatego narażanie własnego zdrowia należy rozpatrywać jako ciężkie przestępstwo, wymierzone przede wszystkim w społeczeństwo". Tym słowom oczywiście nie można było odmówić racji. Ale mimo wszystko...

– Nie podoba mi się twój nastrój – dobiegł go głos Julii. – A poza tym ty wcale nie masz racji. Właśnie to zrozumiałam. Mówisz – nie mamy swobody wyboru. Ale to nie jest tak. My także mamy wybór. My także dokonujemy wyboru, tylko... jak by to powiedzieć... no, w inny sposób... No tak, po prostu, my dokonujemy wyboru w innej formie. I to wszystko. Nauczyliśmy się dokonywać wyboru za cenę mniejszego wysiłku, niemal niezauważalnie dla siebie, automatycznie. A przede wszystkim – nieomylnie.
– Nieomylnie... O właśnie – nieomylnie – Eryk uczepił się tego wyrażenia. – W tym wszystkim najbardziej zabawne jest to, że nieomylny wybór już nie jest wyborem. To po prostu realizacja najlepszej, ale też jedynej możliwości. Żadna inna nie istnieje. To prawda, chociaż brzmi paradoksalnie.

Julia patrzyła na niego uważnie.
– Mówisz tak, jakby cię do czegoś zmuszano. A przecież nic się nie dzieje wbrew twojej woli. Na przykład teraz – naciśniesz guzik i zostanie ci podane takie właśnie śniadanie, jakiego dzisiaj potrzebuje twój organizm, o potrzebnej ci ilości kalorii i odpowiednim smaku. I co w tym złego? To właśnie ty dokonujesz wyboru, zrozum Eryku, ty i nikt więcej.

Tak, to wszystko wiedział. Wiedział, że dziesiątki widocznych i niewidocznych czujników nieprzerwanie przesyłają do Elektronicznej Służby Zdrowia sygnały na temat każdego mieszkańca Rezy, a stamtąd, z analizatorów Służby Zdrowia, do Bloków Odżywiania, Bloków Nadzoru, Bloków Snu i Racjonalnego Odpoczynku... Żadna, nawet najmniejsza zmiana w ogranizmie nie umknie uwadze przyrządów.
– Przecież to są sprawy zasadnicze, a ty mi je tłumaczysz, jakbym był uczniem sieci wstępnego wychowania przygotowawczego, a nie inżynierem wyższego stopnia... – powiedział Eryk.
– To dlatego, że dzisiaj rozumujesz jak dziecko.
– Nie, Julio, nie. – Pokręcił głową. – Dzieci w ten sposób nie rozumują. One we wszystko wierzą. Dopiero gdy dorosną zdarza się, że któregoś pięknego dnia pada im na duszę cień zwątpienia.
– Nie mów tak! – krzyknęła Julia. – Zwątpienie to pierwszy krok do choroby! To choroba!
– Nie wiem – powiedział Eryk. – Mnie też od wczesnych lat dziecinnych uczono, że nic nie paraliżuje woli w tym stopniu co wątpliwości. Wiesz przecież, że moi rodzice byli kosmonautami, ostatnimi, którym udało się przylecieć na Rezę i przez to zmuszonymi do pozostania tutaj na zawsze. Jedno z ich, kosmonautów, przykazań brzmiało właśnie tak: wątpliwości to zguba. To prawda, że zdarzają się sytuacje i istnieją zawody, w których nie ma dla nich miejsca. A mimo wszystko...
– A mimo wszystko zwątpienie oznacza odchylenie od normy – ze smutkiem powiedziała Julia. – Bardzo bym nie chciała, aby nagle uznano cię z chorego. Byłabym bardzo zmartwiona. Już się do ciebie przyzwyczaiłam. Bardzo by mi cię brakowało... I tych naszych rozmów również...

Eryk ujął jej dłoń.
– Nie bój się o mnie – powiedział. – To tylko chwilowy nastrój. Przejdzie. Już przeszedł. Przecież ja również wcale nieźle uczyłem się we wszystkich – młodszych, starszych i wszelkich innych systemach przygotowawczych. Miałem mądrego Opiekuna. Tak więc również ja mam mocno zakodowane twierdzenie, że Zasada Ścisłego Racjonalizmu jest jedyną, którą na Rezie można stosować. Życie tutaj byłoby niemożliwe, gdybyśmy się nią nie kierowali...

Tak, to trzeba było umieć – nie wpaść w rozpacz na samotnym kosmicznych tułaczu i nie tylko zachować, ale i rozwinąć, tysiąckrotnie pomnożyć wiedzę i te umiejętności, które założyciele Rezy przywieźli z Ziemi. Można sobie wyobrazić jak niezwykłym, nadludzkim wysiłkiem to opłacono.
– No tak, teraz dobrze – powiedziała Julia. – Teraz mogę za postępy w dziedzinie nauk społecznych postawić wam wyższą ocenę.

Zaśmiała się z ulgą i Eryk odpowiedział jej uśmiechem. W

tym momencie na ściennej tablicy koło ich stolika zamigotały alarmującym pomarańczowym światłem dwa niewielkie kwadraciki.
Eryk spojrzał na zegarek.
– Zgadza się. Przypominają nam, że już minutę i dwadzieścia sekund temu powinniśmy przystąpić do śniadania. A my zajmujemy się rozmowami. Naruszenie zasad przyprawia naszych elektronicznych opiekunów o niezwykłe zdenerwowanie.
– Jedyny System jest punktualny – powiedziała Julia.
– To wszystko jest piękne – powiedział Eryk, naciskając guzik. – Tylko ja już chyba przestaję rozumieć: on jest dla nas czy my dla niego? Kto dla kogo?
– Źle stawiasz pytanie, Eryku. Ani on dla nas, ani my dla niego. Po prostu jesteśmy nierozdzielni, stanowimy jedną całość.
Po niewidocznej – magnetycznej – taśmie transportera podpłynęły do stolika dwa niewielkie, zakryte naczynia. Każde z nich było inaczej oznaczone. Eryk wyciągnął rękę po naczynie Julii.
– Zamienimy się!
– Coś ty! Nie można! – krzyknęła przestraszona, chwytając go za rękę.
– Żartowałem – powiedział Eryk. – To oczywiście był żart. Wybacz, nie wiedziałem, że się tak przestraszysz. Wiesz, spojrzałaś na mnie takim wzrokiem, jakbym cię chciał otruć.
– Ty znów swoje – powiedziała niezadowolona. – Wydawało mi się, że już doszliśmy do porozumienia.
– Tak, tak. Jeszcze raz przepraszam. Ale widzisz, tak się przestraszyłaś, tak spojrzałaś na mnie, że pomyślałem: może tak rzeczywiście jest, może ty masz rację, może to słuszne, że doprowadziliśmy do takiego stanu, że każde odchylenie od normy, nawet najmniejsze, jest dla nas zgubne? Niewielkie wahania temperatury, nieco więcej lub nieco mniej wchłoniętych kalorii, najmniejsze przemęczenie, słabiutki przeciąg – wszystko grozi nam zgubą. Jesteśmy jak rośliny w cieplarni!
– W istocie, Eryku, masz rację. Jesteśmy rzeczywiście roślinami w cieplarni. Ale żyjemy, myślimy, pracujemy. Żyjemy! To jest najważniejsze.

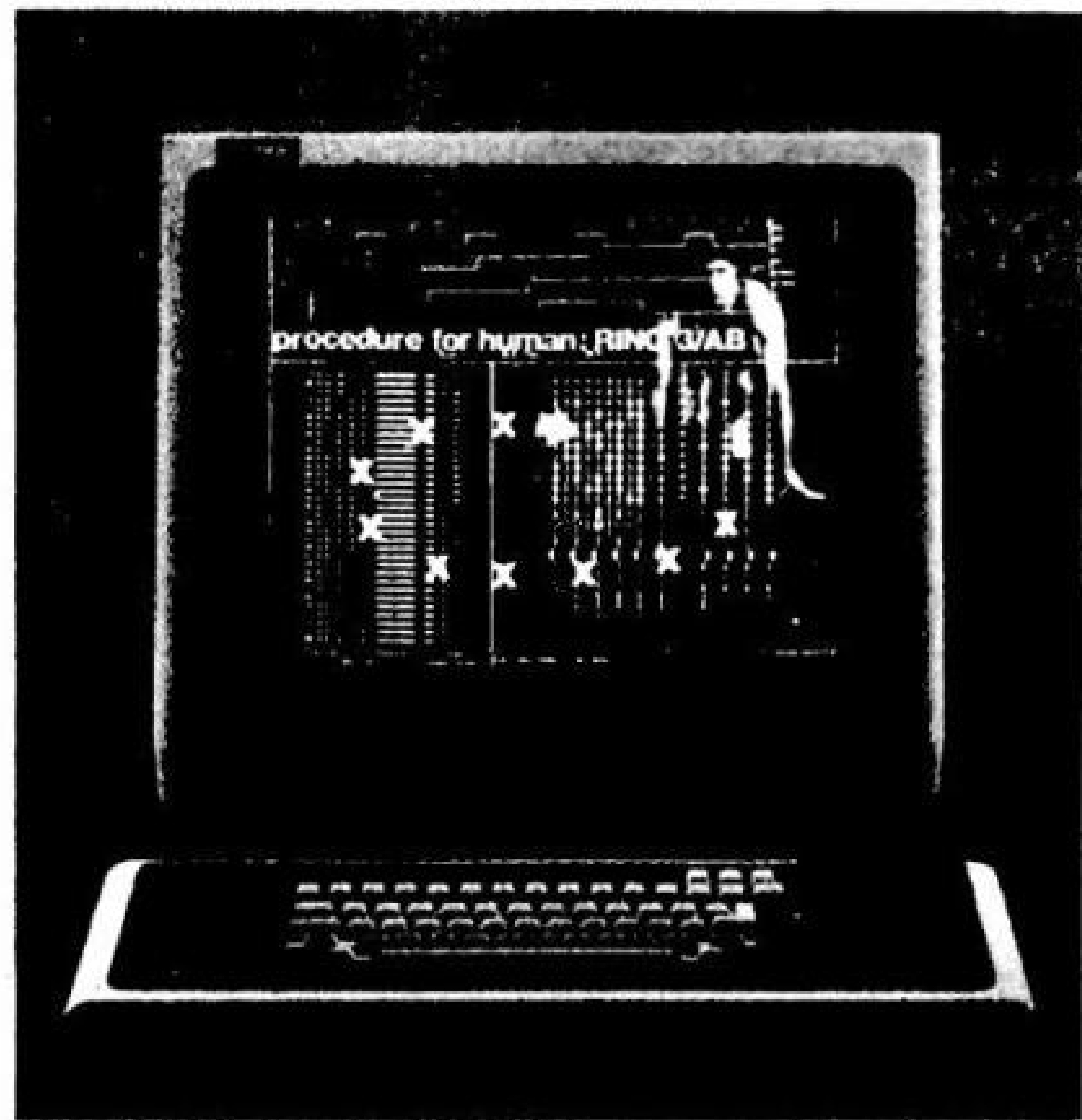
Zamilkła, a potem już innym tonem powiedziała:
– Boję się o ciebie, Eryku. Jesteś ziemianinem, chociaż urodziłeś się już tutaj. Nie stałeś się jednym z nas, rozumiesz? Bardzo się o ciebie boję.

Później, jadąc w stronę sektora, w którym pracował, Eryk wracał do ostatnich słów Julii. Była bardzo wrażliwa i oczywiście miała rację. Tęsknota za Ziemią, za tą Ziemią, o której opowiadał mu ojciec, nigdy nie opuszczała Eryka. Sam nie wiedział dlaczego najlepiej zapamiętał opowieść ojca o tym, jak kiedyś razem z matką zostali złapani przez ulewny deszcz. Biegli do rzeki przez łąkę i dogoniła ich burza. Co to była za burza! Zapewne tylko katastrofy odległych gwiazd, które Eryk czasem oglądał przez teleskop Rezy, mogły się z nią równać. „Od razu zapadła ciemność, błyskawice rozdzierały niebo, oświetlając ciężkie sino-czarne chmury, a cały świat jakby nagle się zmienił, przycichł i wstrzymał oddech. A potem chlusnęła ulewa. Och, jaka ulewa! Z nieba runął wodospad. A myśmy biegli, wziąwszy się za ręce, biegli, rozbryzgując powstałe momentalnie kałuże, nie widząc drogi przed sobą, nad naszymi głowami grzmiały gromy, błyskawice opasywały niebo... Owładnęły nami na równi – strach przed tym potężnym, pierwotnym żywiołem oraz radosne, szczęśliwe poczucie wolności...!" Tak opowiadał ojciec. Julia nie miała takich wspomnień. Oczywiście tutaj, na Rezie, istniały strefy wypoczynkowe – równo podstrzyżone zielone łączki otoczone zadbanymi zaroślami, staranne zagajniki, nawet wiła się między nimi mała, przejrzysta rzeczka – ale to wszystko była imitacja. W porównaniu z tym, o czym opowiadał ojciec wszystko było tak zdyscyplinowane, tak teatralne, że tęsknota Eryka tylko wzrastała, gdy widział te łączki i laski. Julia nie zrozumiałaby go, gdyby próbował jej o tym opowiedzieć. Najprawdopodobniej by się obraziła za tych, którzy tyle wysiłku włożyli w stworzenie tutaj tych obszarów, przypominających ich dawną, daleką i już zapomnianą ojczyznę. I miałaby rację. Eryk doskonale to rozumiał.

Do pracy Eryk jak zwykle przyjechał kapsułą. Tutaj, w dużej półokrągłej sali już świeciły słabo ekrany specjalnej apartaury inżynieryjnej, przypominające dawne displeje. W zależności od potrzeby mogły one odtworzyć tok rozumowania badacza, przeprowadzić korektę, uporządkować rozliczne warianty, dostarczyć odpowiednich formuł, wykreślić wstępne rysunki czy nawet całość konstrukcji. Grupa inżynierów wyższego stopnia, w skład której wchodził Eryk, pracowała nad jednym z najważniejszych dla Rezy problemów – poszukiwaniem nowych sposobów otrzymywania energii.
Erykowi ta praca odpowiadała, zdążył się już przyzwyczaić, a nawet przywiązać do swojego displeja, poznał jego cechy szczególne, jego charakter – jednym słowem traktował go niemal jak żywe, rozumne stworzenie. Czuł radosną dumę, gdy myślał o tym, że jego praca w jakimś, niechby nawet najmniejszym stopniu przyczynia się do oddalenia od Rezy największego niebezpieczeństwa – braku energii. Od Rezy – znaczyło również – od Julii. Dzisiaj jednak działo się z nim coś niezrozumiałego. Nie przestawał, nawet patrząc na ekran displeja, myśleć o Julii. Dotychczas nigdy mu się to nie zdarzyło. Starał się skupić na pracy i nie mógł, nic z tego nie wychodziło...

Wieczorem Eryk znów spotkał się z Julią. Spacerowali po maleńkim ogrodzie zimowym. Było tu cicho i przyjemnie. Monotonnie szemrały niewielkie wodotryski, spod dziwacznie ułożonych kamieni sączyło się słabe światło. Jednak Eryk był w posępnym nastroju i Julia od razu to zauważyła.
– Co się stało? – spytała, patrząc mu z niepokojem w oczy.
– Ciągle to samo. Wiesz, że zawsze bardzo lubiłem swoją pracę. Byłem z niej dumny, pracowałem z zaangażowaniem, wierzyłem, że przynosi korzyści, niechby małe, całej Rezie. A tymczasem... Tymczasem okazuje się, że nikt nie może zaręczyć, iż przez te wszystkie lata moja praca była potrzebna! Gnałem jak wiewiórka w bębnie tylko dla własnej przyjemności!
– Wytłumacz wreszcie, co się stało.
– Dzisiaj mi wyjaśniono, co oznacza Zasada Ścisłego Racjonalizmu w odniesieniu do naszej pracy. Wiesz? Ach, domyślasz się? Mimo wszystko ci powiem: a więc Zasada Ścisłego Racjonalizmu znaczy, że społeczeństwo potrzebuje tylko tego, co najlepsze, tylko tego, co każdy z nas zdolny jest dać z siebie w ciągu najlepszych minut swego życia, w chwili największych możliwości twórczych! A kto decyduje o tym, kiedy te minuty następują? Oczywiście Elektroniczna Służba – elektroniczni psycholodzy, elektroniczni psychiatrzy, elektroniczne diabli wiedzą co jeszcze...
– Nie klnij Eryku, proszę cię – powiedziała Julia żałośnie.
– Klnij, nie klnij, przecież nie w tym rzecz! Czuję się opluty, poniżony, znieważony. Tyle lat wyobrażałem sobie, że moja praca jest pożyteczna, że ktoś jej potrzebuje, że jestem niezastąpiony, a potem dowiaduję się, że przez te wszystkie lata prawdopodobnie byłem „odłączony". Okazuje się, nawet taki termin istnieje. Ten, który według wszelkich biorytmicznych charakterystyk nie znajduje się w swej najwyższej dyspozycji twórczej, jest po prostu odłączony od kanałów odbioru informacji. I tylko wyobraża sobie, że pracuje, a w rzeczywistości jak dureń, ostatni idiota, gra w podchody z samym sobą...
– Wszystko wyolbrzymiasz, Eryku – powiedziała Julia. – Zawsze miałeś skłonności do przesady. Przecież pracować można nie tylko dla wyników pracy, ale również dla gimnastyki umysłowej, w celu osiągnięcia tego szczytu dyspozycji twórczej, o którym mówiłeś...
– To znaczy, że ty wiedziałaś? Wiedziałaś, Julio?
– Tak, mówił mi o tym ojciec. Naszemu społeczeństwu rzeczywiście nie jest potrzebna praca dla pracy. Rzecz jednak w tym, Eryku, że nie możemy sobie pozwolić na wprowadzenie w życie idei nie najwyższego lotu. Kiedyś postępowano w prostszy sposób – przed rozpoczęciem pracy przeprowadzano badania i tych, którzy nie osiągnęli wymaganego poziomu, po prostu odsyłano do domu. To jednak źle oddziaływało na ludzi. Teraz, gdy nasz Jedyny System dysponuje ogromną ilością danych o każdym z nas i możliwością błyskawicznego ich przetwarzania, społeczeństwo może pozwolić, by pracowali wszyscy. Jednak

tylko służby Jedynego wiedzą, czyje pomysły idą, jak to się mówi, do wspólnego kotła czyli do Głównego Centrum Informacyjnego, a czyje – nie. To prawda, niektórzy rzeczywiście muszą pracować na próżno, rzeczywiście są odłączeni. Nie na to nie poradzisz, Eryku. Jednocześnie to, kto w danym momencie pracuje efektywnie, a kto jak się wyraziłeś, gra z samym sobą w podchody, jest tajemnicą, której w żadnym wypadku nie można wyjawić. Każdy powinien pracować maksymalnie wydajnie, wykorzystywać wszystkie swoje możliwości. Służby Jedynego same starają się o to, by człowieka, który osiągnął szczyt swoich możliwości, podłączyć do Głównego Centrum...
– Czyż nie jest to poniżające?
– Poniżające? Dlaczego? – Julia zdziwiała się szczerze. – Zasada Ścisłego Racjonalizmu i to wszystko. A w gruncie rzeczy, czy nie od nas samych, od każdego z nas, zależy to jak pracujemy?
– Może masz rację, Julio, nie wiem. Jednak cały czas nie opuszcza mnie wrażenie, że zmieniłem się w robota. Jestem człowiekiem, a chcą mnie zrobić robotem...
– Znów nie podobają mi się twoje słowa – powiedziała Julia i w jej oczach pojawił się smutek. – Dlaczego nigdy wcześniej nie mówiłeś w ten sposób?
– Nie wiem. Po prostu ostatnio wiele rozmyślałem. A być może... Być może dlatego, że ty się pojawiłaś. Gdy jestem z tobą, mam szczególną chęć być człowiekiem...
– Czego ci brakuje, aby czuć się człowiekiem?
– Nie wiem. Znów nie wiem. Może prawa do popełniania błędów, tylko tego...
– Błędy? Popełnianie błędów jest nierozumne, a wszystko, co jest nierozumne, jest złe. Czy nie jest to prawda?
– Tak, tak, Julio, ale mnie mimo wszystko brakuje tego prawa. I jeszcze, jak mi się wydaje, możliwości poświęcenia czegoś dla drugiego człowieka. Zasada Ścisłego Racjonalizmu zabrania również tego.
– Poświęcenia? – powtórzyła Julia z namysłem. – A po co poświęcać cokolwiek? Jesteś jednak bardzo dziwny, Eryku. Dziś myślałam o tobie cały dzień. Jesteś bardzo dziwny...
– Tak, prawdopodobnie jestem dziwny... A wiesz, czego bym teraz najbardziej chciał?
– Czego?
– Biec razem z tobą pod ulewnym deszczem i żeby nad głowami grzmiały nam gromy i przelatywały błyskawice.
Julia ze zdziwnieniem uniosła brwi.
– O! To musi być straszne!
– Trochę straszne, trochę radosne. To niemal tak, jak wyjść w otwarty kosmos.
– W otwarty kosmos? – powtórzyła i nagle zamyśliła się, zamknęła w sobie. Eryk miał wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć, do czegoś się przyznać i nie może się zdecydować. Ale ze wszystkich stron migały już pomarańczowe sygnały ostrzegawcze: naruszenie zasad jest niedopuszczalne! Naruszenie zasad jest niedopuszczalne! Mijał czas wieczornych przechadzek.



Andrzej Brzezicki

Następnego dnia przy śniadaniu Julia powiedziała:
– Nie zdążyłam powiedzieć ci wczoraj najważniejszego – zaproponowali mi pracę w otwartym kosmosie.
– Tobie? – nie mógł ukryć zdumienia.
– Tak – zdawała się tego nie zauważać i ze spokojną rzeczowością mówiła dalej. – Na jednym z naszych sztucznych satelitów zepsuła się aparatura obserwacyjna. Automaty remontowe przesyłają niejasne dane o charakterze awarii. Zdecydowano więc wysłać tam niewielką ekspedycję. Zaproponowali mi, abym weszła w jej skład.
– A ty? Zgodziłaś się?
– Zgodziłam.
Gdyby zaproponowano to jemu, Erykowi, też by nie odmówił. Kiedyś praca w otwartym kosmosie była jego największym marzeniem. Zdawał nawet egzaminy na astronawigatora. Ale to on, a Julia...
– Nie martw się – powiedziała nagle z niezwykłą dla niej miękkością. – To jeszcze nieprędko. Nie wcześniej niż za miesiąc. Jeszcze zdążymy się sobie znudzić – dodała uśmiechając się. – A potem nawet nie zdążysz się obejrzeć, a ja już będę z powrotem.
Pocieszała go jak małego chłopczyka. Uderzyła go jej nieoczekiwana łagodność i jawna obawa przed przyczynieniem mu zmartwienia.
– Mimo wszystko bardzo niechętnie rozstanę się z tobą, nawet na krótko – nie zauważył, że powtarza niemal dokładnie słowa, które niedawno słyszał od niej.
– Będę o tobie myślała. Cały czas będę o tobie myślała, cały czas... – powiedziała wstając.

Tego dnia Eryk ledwie doczekał wieczora. Miał dużo do omówienia z Julią.
Gdy przyszedł na miejsce umówionego spotkania do ogrodu zimowego, nie było jej jeszcze. Zaniepokoiło go to – tutaj, na Rezie, punktualność była nieodrodną i naturalną cechą człowieka. Czekał dziesięć minut, piętnaście – wciąż nie nadchodziła. Spróbował połączyć się z nią za pomocą wewnętrznego systemu wideofonicznego – nikt nie odpowiadał. Nie było jej w domu. Zapytał Centrum Informacyjnego i odpowiedziano mu, że w chwili obecnej miejsce pobytu Julii jest niewiadome. Rzadko się zdarzało usłyszeć od Centrum Informacyjnego słowo „niewiadome". Najprawdopodobniej oznaczało to, że nie chcieli, nie uważali za konieczne powiedzieć mu, gdzie Julia przebywa. Ale dlaczego?
Wrócił do siebie, do swojej komory mieszkalnej. Wydawało mu się, że nie uśnie do rana. Jednakże wszędobylskie czujniki dały Elektronicznej Służbie Zdrowia sygnał o jego samopoczuciu. Eryk usłyszał miękki trzask włączającego się promiennika, umieszczonego nad jego łóżkiem. W ciągu kilku minut twardo spał.

Na śniadanie Julia nie przyszła. Tym razem Centrum Informacyjne odpowiedziało mu, że Julia przechodzi cykl przygotowań do lotu. W takim razie dlaczego sama o tym nie powiedziała ani słowa? Przeciwnie, żartowała nawet – „Jeszcze zdążymy się sobie znudzić". I nieoczekiwanie zniknęła, bez uprzedzenia, bez pożegnania. Eryk starał się połączyć z Centrum Przygotowań do Lotów. Nikt nie odpowiadał. Jeden dziwny przypadek gonił następny. Przez dwa dni Eryk miotał się, szukał, starał się uzyskać jakieś informacje, próbował uzyskać wideofoniczne połączenie z Julią. Bez skutku. Poczuł się ostatecznie zapędzony w kozi róg, gdy jeden z kolegów z pracy powiedział mu, że w przeddzień widział Julię w strefie wypoczynkowej. Wydało mu się przy tym, że była ona jakby czymś zdenerwowana, a może po prostu zmęczona. Zaraz po pracy Eryk pognał tam, jakby spodziewał się wciąż jeszcze ją tam zastać. Okazało się, że wejście do strefy jest zamknięte. Dziesiątki razy naciskał guzik, otoczony wianuszkiem zapraszających słów: „Proszę wejść! Strefa wypoczynkowa wita!", ale drzwi pozostawały zamknięte. Potem pojawił się napis: „W strefie wypoczynkowej odnotowano wahania temperatury. Wchodzić nie zaleca się". Ta dziwna, jakby obca składnia i to – „Nie zaleca się" w tłumaczeniu na potoczny język oznaczało: „Nie wolno, surowo wzbronione".

I znów Eryk wrócił do swej komory z niczym. Miał wrażenie, że ktoś gra z nim w ciuciubabkę. Potężna służba informacyjna, wideofonia pokrywająca siecią całą planetę i w końcu jego własna energia – wszystko wydawało się być bezsilne wobec zwykłego zbiegu okoliczności.

Zaczął chyba rozumieć, co to oznacza. Nie, jeszcze nie chciał wierzyć, ale podejrzenie już kłuło jak cierń. Wszystko co mu się ostatnio przydarzyło mogło znaczyć jedynie, że gdzieś tam, we wszechmogącym elektronicznym mózgu zostało podjęte postanowienie: jego kontakty z Julią są niepożądane.

Tak, nie mógł nie wiedzieć – jego zachowanie w ostatnich dniach, jego wątpliwości, to co mówił Julii – wszystko, kropla po kropli zbierało się, akmulowało w supertajnych zakamarkach Jedynego Systemu. Elektroniczne bloki zestawiały, analizowały, prognozowały. Chwiały się szale niewidzialnej wagi – na jedną rzucono Eryka – jego wady, rozdzierające duszę wątpliwości, rozmowy na zakazane tematy, na drugą Julię – jej zalety, młodość, czystość, niewzruszoną wiarę w Zasadę Ścisłego Raconalizmu... Postanowienie zostało powzięte, wyrok zapadł. Tego typu postanowień nigdy nie podejmowano pochopnie, uważano, że powinno się wykluczyć najmniejszą możliwość pomyłki. Ale jeśli już się zdecydowano...

Serce zamarło Erykowi w piersi, ściśnięte lodowatymi dłońmi. W tym momencie zadziałał biostymulator i wszystko wróciło do normy.

Oczywiście nic im nie groziło – ani jemu, ani Julii. Co więcej, Eryk był pewien, że nikt nigdy ani jednym słowem nie wyrazi niezadowolenia z treści i tonu jego rozmów z Julią, czy też jego zachowania i postępków. Nikt prosto w oczy nie będzie mu robił wymówek, nie obwini go. Byłoby to uważane za uwłaczające godności człowieka.

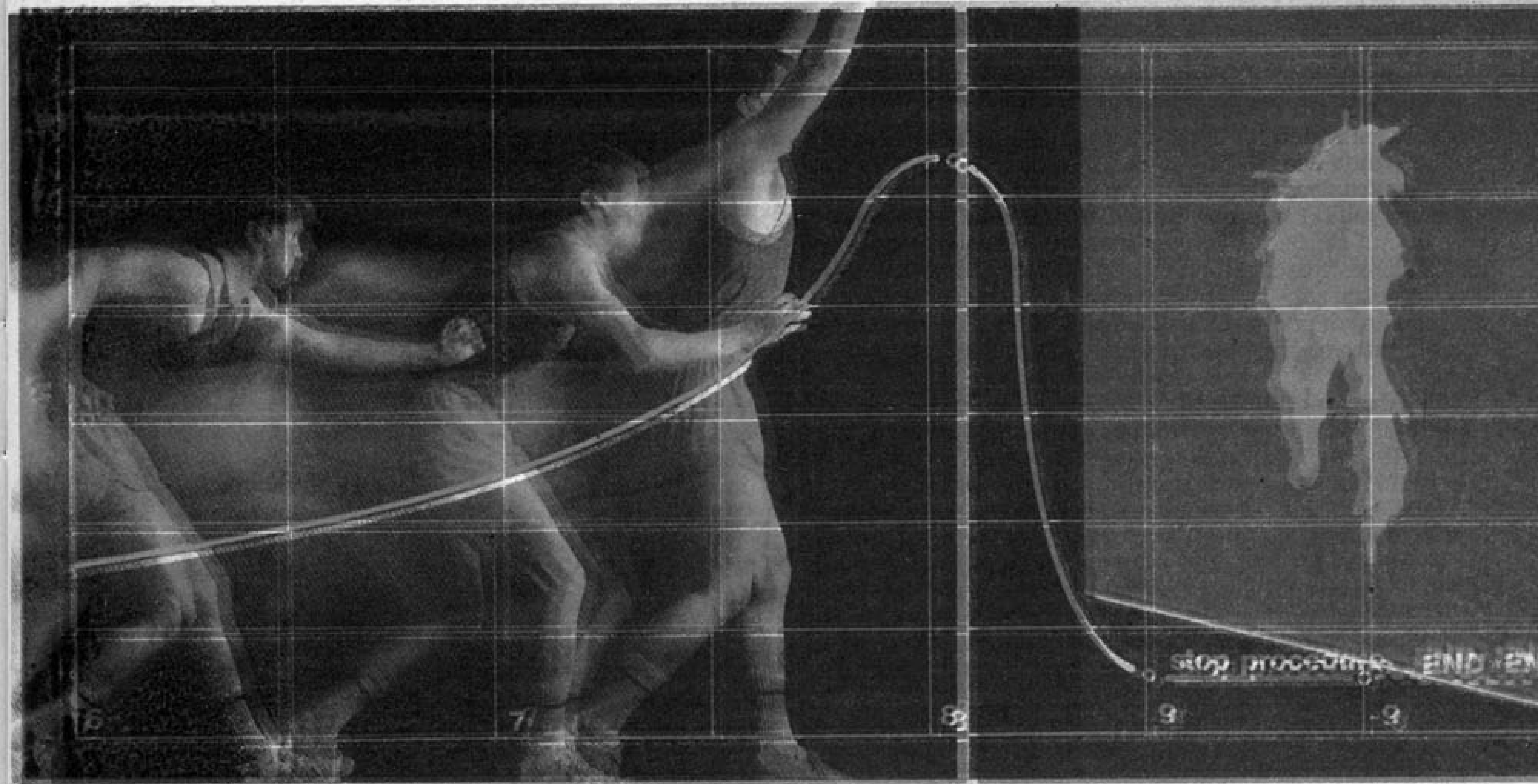
Nie, nie stanie się nic, co mogłoby znieważyć, poniżyć czy choćby urazić jego lub Julię. O to mógł być spokojny. Wiedział jednak, że jeśli rzeczywiście uznano, że ich kontakty są „niepożądane", życie jego i Julii będzie odtąd z jakichś niewiadomych im przyczyn układało się tak, że już więcej się nie spotkają. A jeśli się nawet spotkają, będzie to oznaczało, że Jedyny System uznał, że ich kontakt dla nikogo nie stanowi już niebezpieczeństwa...

W czasie jednego z ostatnich spotkań ich rozmowa przypadkowo zeszła na ten właśnie temat – tak, jakby Eryk przeczuwał co im niesie niedaleka przyszłość.
– Również tutaj, w samym sednie naszego człowieczeństwa – w miłości! – nie mamy swobody wyboru! – mówił z gorzką zapalczywością. – Wystarczy, że jeden człowiek zainteresuje się drugim, stwierdzi, że ten drugi jest mu drogi, a już odpowiednie służby Jedynego zaczynają grzebać się w przeszłości jego i jego przodków, szukać obciążeń dziedzicznych, analizować genetyczną i psychiczną zgodność lub niezgodność, zaczynają obliczać, podliczać, zestawiać! I tylko od ich decyzji zależy los tego człowieka! Czy to nie jest przymus?

– A po co stosować przymus? – odpowiedziała jak zwykle spokojna, cierpliwa i rozsądna. – U nas przymus nie istnieje. Takim ludziom po prostu w ten sposób ułoży się życie, że będą musieli się rozstać. Z przyczyn zupełnie obiektywnych. I to wszystko. A czy na Ziemi, w tych dawnych czasach, które tak lubisz wspominać, było inaczej? Czy nie zdarzało się, i to bardzo często, że kochający się ludzie byli zmuszeni do rozstania przez ślepy przypadek, głupie nieporozumienie, ze względu na niezgodność charakterów, zakaz rodziców czy przez milion innych przyczyn? Ale to jeszcze pół biedy. A ilu ludzi żyło razem jakby tylko dlatego, by się nawzajem zadręczać, marnować sobie życie, płodzić dzieci, które jeszcze przed urodzeniem były nieszczęśliwe... Według ciebie na tym właśnie ma polegać swobodny wybór?
– Przedstawiłaś zbyt ponury obraz – powiedział Eryk. – Całe dzieje ludzkości mówią o wyrywaniu się z mroków niewiedzy, nienawiści, niewoli ku mądrości, dobroci i światłu! I właśnie teraz, gdy zrobiliśmy tak wielki krok naprzód, gdy rozum i wiedza stały się naszymi bogami i znamieniem naszych czasów, właśnie teraz jesteśmy zmuszani do podporządkowania się cudzej woli jak małe, nieodpowiedzialne dzieci!
– Mądrość. Sam powiedziałeś – mądrość. A nie ślepe uczucie. Przecież Jedyny System jest również dzieckiem naszej mądrości. Jest w nim zamknięta część każdego z nas: i tych, którzy żyją współcześnie, i ich przodków. System jest naszym wspólnym, i dlatego wyższego rzędu, rozumem. Tak więc wcale nie podporządkowujemy się cudzej woli, niepotrzebnie używasz takich słów.
– Ale czym można usprawiedliwić to, że dwoje kochających się ludzi nie może być razem, czym?
– Jedyny System ma lepsze rozeznanie, zna to, czego my nie znamy – naszą przyszłość. On odpowiada za nasz los, za przyszłość każdego z nas z osobna i wszystkich razem.
– A czy on rozumie, że tym samym zadaje ludziom cierpienia? – po raz pierwszy Eryk złapał się na tym, że myśli o Jedynym Systemie jak o żywej istocie. Wszechmogącej i wrogiej. I przestraszył się tego.
Julia uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.
– Myślę, że rozumie. Wszystkie nasze emocje utrwalają się w jego pamięci. Ale widzisz, Eryku – mówiła wciąż tak samo cierpliwie i rozsądnie – cierpienia zadane nieodwzajemnioną, niezaspokojoną miłością uszlachetniają, wynoszą na wyższy poziom, dodają człowiekowi energii twórczej. Cierpienia powodowane miłością rozpadającą się, nieudaną, z dnia na dzień zabijaną własnymi rękoma, miłością zmieniającą się powoli w nienawiść i wzajemny wstręt, takie cierpienia wypełniają duszę człowieka złością i okrucieństwem. Musisz się więc zgodzić, że w decyzjach podejmowanych przez Jedyny jest głęboka mądrość.
Tak oto toczyła się wtedy ich rozmowa, a teraz Eryk przypominał ją sobie słowo po słowie, powtarzał, wsłuchiwał się w intonację, z jaką Julia mówiła, w każdy odcień jej głosu. Tak, wtedy jeszcze powiedziała:
– Nie możemy zdać się na ślepy przypadek, nie możemy dopuścić do tego, aby na Rezie urodziło się choćby jedno dziecko skazane na nieszczęśliwe życie. Ze wszystkim można się pogodzić, poza jednym – cierpieniem dziecka. Nie można go ani usprawiedliwić, ani niczym wynagrodzić.
Tak, miała wtedy rację. Julii nie można było odmówić zdolności logicznego myślenia. Nie znalazł wówczas żadnych kontrargumentów. Ale co by Julia powiedziała teraz, gdy wola Jedynego zaciążyła nad ich własnym losem? Co teraz czuje? Rozpacz? Ból? Gorycz? A może gotowa jest pogodzić się, uznać racje Systemu?
Mimo rozpaczy, mimo tęsknoty, która go wypełniała, gdy mówił sobie, że stracił Julię już na zawsze, w głębi duszy tliła się jednak nadzieja. Może się przecież okazać, że ich spotkania, ich kontakty są niepożądane tylko w trakcie przygotowań do lotu – po to, by Julia miała możliwość maksymalnego skupienia się, odrzucenia wszystkiego, co nie wiąże się z czekającą ją w kosmosie pracą. Wydało mu się, że takie przyczyny ich seperacji są całkowicie prawdopodobne. Należy się tylko uzbroić w cierpliwość, doczekać powrotu Julii i wszystko ułoży się po staremu. Im dłużej myślał, tym bardziej był o tym przekonany. Należy tylko doczekać powrotu, tylko doczekać...

O tym, że przygotowania do lotu weszły w ostatnią, przedstartową fazę, że ekspedycja, licząca troje ludzi już znajduje się w śluzie, szykując się do przejścia do szybu, w którym czeka na nich statek kosmiczny, Eryk dowiedział się z komunikatu Służby Informacyjnej. Od tej chwili już nie istniało dla niego nic, poza oczekiwaniem na nowe komunikaty.
Jednakże Służba Informacyjna milczała.
Według jego obliczeń ekspedycja już powinna była wy-

Borys NIKOLSKI
– żyjący i tworzący w Związku Radzieckim literat średniego pokolenia. W swojej twórczości sięga głównie po tematykę współczesną, interesuje się problemami moralnymi zrodzonymi przez dzisiejszy odhumanizowany świat. Opowiadanie „Ryzyko", zaczerpnięte z miesięcznika „Aurora" jest jedną z jego nielicznych „ucieczek" w tematykę science fiction.



Andrzej Brzezicki

startować, a kanały wideofonii wciąż nie przynosiły żadnych nowych wiadomości. Eryk gubił się w domysłach. Julia powiedziała, że ekspedycja nie będzie długa. Ale co to znaczy niedługa? Trzy dni? Tydzień? Miesiąc?
Nigdy dotychczas Eryk nie odczuwał takiego zdenerwowania. Jego nastrój zmieniał się od nadziei do skrajnego niepokoju, by za chwilę znów wrócić do nadziei. Starał się nie zdradzić ze swym wzburzeniem, by niepotrzebnie nie przyciągać uwagi Elektronicznej Służby Zdrowia Psychicznego. Chociaż – jak to zrobić? „Możecie oszukać swoje otoczenie, możecie oszukać swoich bliskich, możecie w końcu oszukać siebie samych, ale nigdy nie oszukacie przyrządów" – to słowa Starszego Opiekuna, które niejednokrotnie słyszał w dzieciństwie. Mimo wszystko Eryk dał sobie słowo, że jeżeli cała ta sprawa skończy się dobrze, jeżeli uda mu się spotkać z Julią, nigdy więcej nie będzie się rozwodził na temat swoich wątpliwości, będzie zachowywał się jak przystało człowiekowi, uznającemu Zasadę Ścisłego Racjonalizmu za naczelną i niepodważalną. A w ogóle – o jakich wątpliwościach będzie mógł mówić, jeżeli znów zobaczy Julię!
I znów, jak przedtem, z niepokojem oczekiwał na komunikaty Służby Informacyjnej. Jaka była przyczyna uporczywego milczenia kanałów łączności? Co się tam, w otwartym kosmosie teraz dzieje? Co?
W końcu – wydanie nadzwyczajne. Ledwie odczytał te słowa, ledwie usłyszał głos i zobaczył na ekranie twarz lektora – od razu zrozumiał, że coś się zdarzyło, że stało się coś niedobrego.
Komunikat był krótki: „W trakcie przedstartowych przygotowań w strefie śluzowania zaszła awaria. Odnotowuje się ucieczkę tlenu. Zgodnie z obowiązującą instrukcją, zablokowane zostały wszystkie przejścia do zagrożonej strefy. Sytuacja ekspedycji jest krytyczna. Stracono kontolę nad pełniącymi służbę w strefie śluzowania robotami. Sytuację komplikuje gwałtowny wzrost zawartości dwutlenku węgla w atmosferze sektorów przylegających do śluzy oraz znacznie przekraczający normę wzrost temperatury i niebezpieczeństwo radioaktywnego skażenia atmosfery. Elektroniczna Służba Awaryjna przystąpiła do opracowywania planu działań ratowniczych".
Eryk siedział bez ruchu, całkowicie oszołomiony. Julia! Co z nią? Czy jeszcze żyje? A może jest ranna? Nieprzytomna? Potrzebuje pomocy? Nie, nie mógł uwierzyć, że jest skazana na śmierć, bez względu na treść komunikatów. Ona powinna wrócić. I on, Eryk, zrobi wszystko by wróciła. Opanowała go żądza czynu, natychmiastowego działania. Czuł, że jest silny i zdecydowany jak nigdy dotąd.
Połączył się z centrum Służby Awaryjnej.
– Inżynier wyższego stopnia gotów ochotniczo wziąć udział w operacji ratunkowej. Stopień niebezpieczeństwa nieważny.
– Zrozumiałem – zadźwięczała odpowiedź – Zrozumiałem. Umieszczam na liście ochotników. Wasz numer – 57. Powtarzam: wasz numer – 57 – głos w sposób oczywisty należał do robota. – Informuję: w chwili obecnej całkowicie wyklucza się możliwość zbliżenia do strefy śluzowania ze względu na skrajne zagrożenie życia.
– Ale ja jestem gotów! Rozumiecie? Gotów?
– Zrozumiałem – powtórzył robot tym samym mechanicznym, beznamiętnym głosem. – Wasz numer – 57. Informuję: w chwili obecnej całkowicie wyklucza się możliwość zbliżenia do strefy ze względu na skrajne zagrożenie życia.
Erykowi nie pozostało nic innego jak przerwać połączenie. Tak więc, 57 numer. To znaczy, że przed nim zgłosiło się już 56 ochotników. Ciekawe jak to wytłumaczyć z punktu widzenia Zasady Ścisłego Racjonalizmu. W każdym razie fakt, że nie jest sam, że są ludzie, którzy tak jak on myślą, przeżywają, boją się o los członków ekspedycji, o los Julii, wypełnił go nowymi siłami i nadzieją.

Zanim Służba Informacyjna nadała nowy komunikat, minęło kilka następnych, długich godzin. „Próba wprowadzenia do strefy śluzowania automatycznej kapsuły ratowniczej zakończyła się niepowodzeniem. W obecnej chwili podejmowane są nowe próby uratowania ekspedycji. Sytuacja w strefie śluzowania uległa dalszemu pogorszeniu. Obniża się zawartość tlenu w atmosferze. Łączność z uwięzionymi w śluzie została przerwana".
Dopiero terz Eryka ogarnął prawdziwy strach. Dotychczas wierzył, że operacje ratunkowe zakończą się szczęśliwie. A teraz... Teraz musiał siedzieć tutaj, bezsilny, bez szansy udzielenia Julii pomocy. Każda minuta zwłoki grozi jej śmiercią.
Niemal czuł, jak Julia dusi się tam, w śluzie. Jeżeli rzeczywiście to się stanie, jeżeli rzeczywiście Julia zginie, nigdy sobie nie wybaczy obecnej bezczynności.
Wiedział, co powinien robić. Zdecydował się.
Tylko jeden człowiek mógł mu pomóc. Członek Naczelnej Rady Rezy, jego były Starszy Opiekun. Wystarczy jedno jego słowo, a przed Erykiem otworzą się wszystkie drzwi. Zrozumie, musi zrozumieć. Nie może mu odmówić. Od czasu ich rozstania Eryk ani razu nie przypomniał temu człowiekowi o swoim istnieniu. Ale teraz nadeszła ta chwila – tylko on, on jeden może pomóc uratować Julię.
Eryk wiedział, że nie łatwo jest spotkać się z tymi, którzy faktycznie rządzą Rezą – z którymkolwiek z członków Naczelnej Rady. Mimo wszystko uwierzył, że gdy tylko wymieni swoje imię były Opiekun przypomni go sobie i znajdzie pięć minut, aby go wysłuchać.
Nie omylił się. Członek Naczelnej Rady rzeczywiście przyjął go prawie natychmiast po tym, jak Eryk powiedział kim jest. W ślad za robotem-przewodnikiem Eryk przeszedł

obok migających sygnalizacyjnymi lampkami bloków elektronicznych, obok uważnie nad czymś pracujących robotów, minął długi korytarz, wjechał na górę szybkobieżną windą i znalazł się w końcu w ogrodzie zimowym, jak dwie krople wody podobnym do tego, w którym spotykał się z Julią. I chociaż nie był przesądny, ta zbieżność wydała mu się szczęśliwą wróżbą. Tu właśnie, siedząc na lekkim krześle czekał na niego były Starszy Opiekun. Bardzo się postarzał – jego twarz, niegdyś energiczna, z silnie zarysowanym podbródkiem, jakby wyschła, zwiędła, oczy straciły intensywny błękitny kolor, stając się wodnistoniebieskie.

– Powiedziano mi po co przyszedłeś – powiedział Członek Naczelnej Rady Rezy cichym, prawie bezdźwięcznym głosem. – Aby nie tracić czasu na próżno powiem od razu – w niczym ci nie mogę pomóc. Całkowicie wyklucza się możliwość zbliżenia do strefy śluzowania ze względu na skrajne zagrożenie życia.

Słowo w słowo powtórzył informację, przekazaną przez robota, nawet z tą samą, mechaniczno-beznamiętną intonacją. Nieprzyjemnie to Eryka zaskoczyło.

– Ale dlaczego? – spytał. – Jestem gotów pójść. Nie boję się niebezpieczeństwa. Przecież tam giną ludzie! Uwierzcie mi, dam sobie radę! Potrafię tam dotrzeć!

– Dam sobie radę... potrafię... – powtórzył Członek Naczelnej Rady Rezy tym samym bezdźwięcznym głosem. Eryk musiał wytężyć słuch, by wyłowić poszczególne słowa. – To się łatwo mówi. Widzisz, Eryku, cała bieda jednak w tym, że każdy z nas ma granicę swoich możliwości, granicę możliwości człowieka... Jeśli chcesz, mogę ją wyliczyć z dokładnością do jednej tysięcznej. Zresztą już ją obliczono. To są liczby, a nie emocje, Eryku, to są dokładne obliczenia. Tak więc, jeśli ci mówią „całkowicie wyklucza się" to znaczy, że to stwierdzenie oparte jest na mocnych podstawach.

– Ale ja was proszę! – powiedział Eryk. – Czy nie można zrobić wyjątku? Ze względu na nadzwyczajne okoliczności? Przecież jeszcze starożytni mówili – „wyjątek potwierdza regułę".

Starzec pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – To nieprawda. Starożytni się mylili. Wyjątek nigdy nie potwierdza reguły. Dlatego nie dopuszczamy do wyjątków. Żadnych wyjątków.

– Ale na waszych i moich oczach giną ludzie! Zróbcie cokolwiek! Jeżeli nie mnie, to poślijcie kogokolwiek innego, ale poślijcie kogoś!

– Jaki by to miało sens, Eryku? Czy to będzie mądre, jeżeli zamiast trojga ludzi zginie sześcioro? Będzie mądre?

– Mądre! Niemądre! Wszyscy się chowacie za te słowa! Nie wiem co jest mądre, a co nie, ale wiem, że zdarzają się sytuacje, gdy lepiej poświęcić siebie niż...

– Poświęcić się? – przerwał mu starzec. – Złożyć ofiarę z siebie na rzecz innego człowieka? Co to znaczy? Czy jedno życie może być mniej cenne od drugiego? A czy ten, dla kogo poniesiono taką ofiarę, kto – świadomie czy nie świadomie – ją przyjął, mógłby wiedząc to przeżyć choćby minutę? Nie wyobrażam sobie takiego człowieka. Zasada Ścisłego Racjonalizmu nie może dopuścić do zaistnienia podobnej sytuacji.

Eryk czuł jak grzęźnie w rozmowę z tym starym człowiekiem tak, jakby tu przyszedł by spokojnie pofilozofować, a nie by ratować życie ludzkie.

– Proszę was po raz ostatni – powiedział. – Nie mogę odejść z niczym. Nie mogę – w jego głosie brzmiała gorycz.

Starzec długo milczał, przymknąwszy powieki. Potem powiedział:

– No dobrze, powiem. Powiem ci prawdę. Nawet gdybym chciał ci ustąpić, zrobić wyjątek, nie mógłbym, gdyż nie leży to w mojej mocy. Tak, nie dziw się, naprawdę nie mógłbym. Naiwnością byłoby przypuszczać, że ja czy ktokolwiek z Naczelnej Rady Rezy wydaje polecenia Jedynemu, że wystarczy jedno moje słowo... Nie, Eryku, nie. Proces zaszedł już zbyt daleko. System jest już niesterowalny, rozwija się pomimo nas i nikt nie może tego zmienić. Jedyny Elektroniczny System, ten mózg Rezy, istnieje samodzielnie i niezależnie od nas. W pewnej mierze jesteśmy wszyscy jego jeńcami. I w tym zawiera się nasze nieszczęście i nasze ocalenie. Gdyby było inaczej po prostu nie przeżylibyśmy. Oczywiście kiedyś Jedyny był przedłużeniem rozumu i rąk człowieka, ale od tego czasu minęło już bardzo wiele lat i już dawno wydostał się spod naszej kontroli, już dawno się nam nie podporządkowuje. Być może w swoim czasie nie zauważyliśmy granicy, której nie należało przekraczać, być może... Teraz już za późno o tym rozprawiać. Nie mieliśmy innego wyjścia. Inaczej po prostu nie przeżylibyśmy...

– Przeżyć... – w zadumie powiedział Eryk. – Czy istnieje tylko ten, jedyny cel? I czy nie zapłaciliśmy zbyt wysokiej ceny za prawo do przetrwania?

Starzec nie odpowiedział i Eryk wstał.

– No cóż... – powiedział. – W takim razie ja sam. Sam.

Starzec otworzył szeroko wodnistobłękitne oczy i spojrzał uważnie, jakby chciał utrwalić w pamięci jego wygląd.

– Nie rób tego, Eryku – powiedział. – Zginiesz. Słyszysz mnie? Zginiesz, Eryku.

Jednak Eryk już go nie słuchał. Odchodził wypełniony goryczą, strachem, bezsilną złością. W jego głowie już dojrzało postanowienie. Nic go nie powstrzyma. Było mu wszystko jedno – jeśli zginie Julia, on także nie ma po co żyć.

Najpierw kapsułą, potem szybkimi ruchomymi chodnikami, przez strefę wypoczynkową i znów ruchomymi chodnikami Eryk zbliżał się, niemal nie zauważając przebytej drogi, do strefy śluzowania. I dziwna rzecz – wystarczyło, że naciskał guzik, a przegrody rozsuwały się, drzwi otwierały. Nikt mu nie przeszkadzał, jakby nie było już nikogo, kto mógłby się przeciwstawić jego woli, skoncentrowanej jak laserowa wiązka na jednym celu. A może kipiący w nim wulkan emocji sprawił, że jego elektroniczni opiekunowie stracili na moment głowę, poczuli się zbici z tropu. W tej chwili Eryk był daleki od zastanawiania się nad tą zagadką.

Przed nim, obok zamkniętej na głucho przegrody pulsował groźny napis: „Śmiertelne niebezpieczeństwo! Śmiertelne niebezpieczeństwo!" Ostrzegawczo wyła syrena.

Eryk przyszedł tu owładnięty jedynym pragnieniem – przedostać się do śluzy. Jak postąpi potem, w jaki sposób pomoże Julii i jej kolegom nie wiedział. Miał nadzieję, że gdy uda mu się dotrzeć do rejonu katastrofy, posłuży się robotami – ratownikami. A jeśli mu się to z jakiejś przyczyny nie uda, przynajmniej będzie przy Julii, do końca.

W pobliżu przegrody krzątały się roboty ratownicze. Jeden z nich ostrzegawczo poniósł rękę.

– Śmiertelne niebezpieczeństwo! Śmiertelne niebezpieczeństwo!

Eryk ostrym i zdecydowanym tonem powiedział:

– Słuchać mnie! Wszyscy mają mnie słuchać!

Gdy tylko włożył indywidualne ubranie ochronne, z którym nie rozstawał się od momentu usłyszenia komunikatu o katastrofie, skrzydła ciężkich drzwi rozsunęły się powoli. Poszedł naprzód i znalazł się w małym przechodnim pomieszczeniu. Za nim weszły roboty. Drzwi, przez które przeszedł zamknęły się i wtedy zaczęły się otwierać następne. Przez rozszerzający się otwór wtargnęło rozgrzane powietrze. Za drzwiami kłębiła się para.

Eryk ruszył naprzód. Roboty posłusznie podążały za nim, jakby do tej pory brakowało im właśnie tego – siły przykładu.

To, co się zdarzyło później, Eryk pamiętał tylko jako oderwane strzępy obrazów.

Kłęby pary, wyjąca syrena, ciemna woda pod nogami...

Następna zachowana w pamięci scena – robot ratowniczy laserowym palnikiem przecina ostatnie przejście do śluzy...

– Potem nie było już nic. Ciemność. Ostry zapach spalenizny, więznąca w gardle słodka, lepka ślina...

Ocknął się w sali szpitalnej. Dyżurujący przy nim robot-sanitariusz troskliwie się nad nim pochylał, poprawiał pościel, podawał wodę. Eryk kilkakrotnie tracił i odzyskiwał przytomność i zawsze widział koło siebie tego robota. Gdy po raz kolejny otworzył oczy, pochylała się nad nim twarz Julii. Uciekł w ciemność, przekonany, że to halucynacja, miraż, przywidzenie chorego. Potem spojrzał w stronę robota. Nie było go. Na jego miejscu siedziała Julia.

– Nareszcie... – powiedział. – Nareszcie...

Patrzyła na niego zatroskanym, uważnym wzrokiem.

– Eryk... – powiedziała biorąc go za rękę. – Jestem taka szczęśliwa, że ty... że z tobą... nie stało się nic strasznego...

Wiesz przecież, oni byli przekonani, że skazujesz się na śmierć, że nie możesz nie zginąć... Teraz mówią – to niepojęte, to niemożliwe, to jakiś cud. Według wszelkich obliczeń, wszelkich danych powinieneś był zginąć... Eryk...
– Jeszcze pożyjemy... – powiedział uśmiechając się słabo. Julia delikatnie gładziła jego dłoń. Było cicho, tylko skądś ze szpitalnego korytarza dobiegł go głos lektora:

– Przekazujemy komunikat Głównej Służby Informacyjnej. Zgodnie z opracowanym przez Elektroniczne Centrum programem badań psychiki człowieka, w ostatnim czasie na Rezie został przeprowadzony eksperyment pod nazwą „Granica ludzkich możliwości". Eksperyment przebiegł pomyślnie i dostarczył Elektronicznemu Centrum bogatego materiału faktograficznego, który obecnie jest starannie opacowywany i klasyfikowany. Końcowe rezultaty eksperymentu będą przekazane w późniejszym...
– Eksperyment... – szepnął wstrząśnięty Eryk. – To był tylko eksperyment...
– Nieprawda! – powiedziała Julia. – To kłamstwo! Nie wierz im Eryku, słyszysz? Nie wierz!
Po jej policzkach płynęły łzy.

Przełożył **Darosław J. Toruń**

■



Robert Hornik

Andrzej Drzewiński

Posłaniec

Artemid już od dłuższego czasu myślał o jednym. Celny kopniak żołnierza kanejskiego wstrząsnął jego wnętrznościami. Zmusił do wyłącznego poświęcenia się bólowi, sadystycznie wzmaganemu przez rwanie przywiązanych do włóczni rąk i nóg. Otworzył oczy. W świetle pochodni nie mógł dojrzeć celu, ku któremu był niesiony, ale na cóż mógł liczyć on, pokonany żołnierz. Jęknął z obudzoną na moment wściekłością. Tak się dać podejść, całkowita klęska armii, wszyscy zabici. Gdyby nie koń, który go nakrył zdychającym ciałem...

Cisza świadczyła, że znalazł się na miejscu przeznaczenia. Tamci z kimś rozmawiali, nie rozumiał języka. Rozpoznał jednak pijacki bełkot i człowiek cuchnący niesfermentowanym piwem przystawił mu żagiew nieomal do twarzy. Zaskwierczały przypalone włosy, a ciało wygięło się próbując ujść ogniowi. Szyderczy śmiech i ktoś splunął mu w twarz, lecz chybił. Jeden z tragarzy postawił koniec włóczni na ziemi i ciało Artemida zsunęło się. Skrzypnęły zawiasy i jednym, mocnym wyrzutem został ciśnięty do środka. Zamknęli go.

Podłoga cuchnęła zwierzęcymi odchodami i brudem, łańcuch czy też uprząż wbijała się w brzuch, jednak brakowało mu sił, aby przewrócić się na plecy. W pierwszej chwili sądził, że jest w lochu, czy piwnicy i dopiero za jakiś czas przyjmujące ciemność oczy dostrzegły stojące przy ścianach koryta. Lecz nie to było najistotniejsze. W kącie, oświetleni smugą księżycowego światła siedzieli ludzie. Jeden z nich, jak monstrualny pająk, sunął ku niemu.



– Kim jesteś? – pytanie to nareszcie padło w ojczystym języku.

– Centurion Artemid. Ty zaś kim jesteś?

– Żołnierz, nazywają mnie Plebo.

Mówiąc to sprawdził jego więzy, a potem, nie wiadomo skąd wyciągniętym ostrzem, przeciął sznury. Artemid uniósł się i sycząc z bólu zaczął odrywać wżarte w ciało konopne włókna.

– Ilu nas tu jest?

– Razem z tobą ośmiu.

– Czy są jacyś oficerowie?

Plebo zawahał się

– Tak... chyba jeden.

– Dlaczego chyba?

– Nie odzywa się do nas.

Artemid całą wolę skupił na próbie powstania. Kiedy ruszył za Plebo, z podziwem zerknął na jego szerokie bary. Chciałby mieć takiego żołnierza u siebie, lecz czy kiedykolwiek będzie miał ku temu okazję?

Już z daleka wyczuł, który z nich jest oficerem. Niski blondyn o złamanym nosie siedział samotnie pod oknem obok zawalonego koryta. Żołnierze nawet nie poruszyli się, kiedy do nich podeszli. Przy tym, który jęczał został Plebo.

– Centurion Artemid – wypowiedział swoje imię o ton za głośno.

Tamten musiał to zauważyć, gdyż niechętnie zerknął w górę.– Czy to teraz ważne? Siadaj.

Próbując znaleźć suche miejsce dostrzegł na szyi oficera metalowy łańcuch. Z wrażenia aż zapomniał, jak mu przeszkadza smród pomieszczenia.

– Trybun – wyciągnął palec. – Jesteś trybunem.

Człowiek pod oknem spojrzał na medalion i z niechęcią pokiwał głową.

– Widzisz, zapomniałem wyrzucić – mruknął i chwycił Artemida za połę. – Tak, jestem trybun Lukjusz, ale wiesz gdzie to mam?

Zanim słowa dotarły do Artemida uczuł dłoń na ramieniu. Był to Plebo.

– Potrzebuję koszuli na szarpie, jeden z nas mocno krwawi.

Odtrącił rękę.

– Jak to... nie zostanę w samej kurcie.

– Zostawcie żołnierzu centuriona – powiedział Lukjusz i niezdarnie zaczął ściągać ubranie. – Jemu koszula może być jeszcze potrzebna.

Artemid poczerwieniał. Takie poniżenie, pomyślał, lecz nie odezwał się ani słowem, dopóki Plebo był przy nich.

– Trybunie Lukjuszu – mówił z naciskiem. – Nie dość, że gardzicie swoją pozycją to jeszcze ośmieszacie...

Przerwał mu skrzekliwy śmiech. Byłby przysiągł, że tamten jest serdecznie rozbawiony.

– Centurionie – usłyszał – jak to się stało, że mając tak walecznych i honorowych oficerów przegraliśmy tę bitwę?

– Jak to się stało? – syknął przez zęby.

Tym razem glina zmieszana z gnijącymi odpadkami nie przeszkodziła mu. Opadł na kolana.

– Stało się tak dlatego, że nasi dowódcy dali się jak dzieci nabrać na przejrzysty manewr Kanejczyków. Dlatego, że pozwolili ich konnicy obejść skrzydła i zamknąć wszystkie centurie w kotle.

Lukjusz przestał się śmiać i z zaciekawieniem śledził twarz Artemida.

– Dlatego, że po godzinie walki, kiedy jeszcze mieliśmy przewagę w ludziach, konsul zamiast zarządzić odwrót kazał atakować ciężkozbrojnych. Wiadomo było, że nie mamy już włóczni.

Lukjusz podrzucił w palcach kilkakrotnie medalion.

– Trochę masz racji centurionie, ale tylko trochę – uniósł dłoń i jeden po drugim rozwierał palce. – Po pierwsze: po bitwie zawsze jest łatwiej krzyczeć, że wszystko z góry było wiadomo. Po drugie: zważ, że to nasza konnica została najpierw podstępem i zdradą odcięta od sił głównych, a potem zatłuczona w tym wąwozie. Po trzecie: konsul Marek zginął w pierwszych minutach, kiedy osobiście starał się przyjść jej z pomocą.

Artemid przechylił głowę, aż dosięgnął ściany chlewu.
– Co innego słyszałem w czasie walki.
Lukjuszowi błysnęły ironicznie oczy.
– W czasie bitwy wiele się słyszy.
Zamilkli. Z gromadki leżących, od czasu do czasu słychać było bulgotliwy oddech. Wyglądało, jakby jego właściciel się dusił.
– Jak ci się zdaje centurionie, po co nas tu trzymają?
Pytanie było retoryczne i jakby trochę szydercze. Artemid dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz trybuna zanim odparł.
– Powiedz, jak wiesz.
– Ale ty się nie domyślasz – tamten nalegał.
– Nie, nie domyślam!
Lukjusz bawił się jego złością.
– Walczyć was uczą, ale o obyczajach wroga nikt nie pomyśli – mówiąc, przebierał palcami ogniwa łańcucha. – Kanejczycy mają zwyczaj darowania wolności jednemu z jeńców. Wybierają go spośród pozostałych przy życiu. Trzeba przyznać, że przy ich sposobie walki niewielki mają wybór. Żeby nie było wątpliwości to powiem, że resztę jeńców zabijają, a samego posłańca wyprawiają do swoich.
– Po co?
Lukjusz z wyrzutem zerknął na Artemida.
– Wyobraź sobie. Jesteś w stolicy, wojska ruszyły na spotkanie wroga, którego muszą powstrzymać. W mieście niepokój, wszyscy oczekują nowin. A tu przybywa żołnierz, jedyny pozostały przy życiu z całej armii. Opowiada o klęsce i, chcąc nie chcąc, o potędze wroga. Zalękniony, pełen strachu, mimo woli gloryfikuje najeźdźców, osłabia morale i wiarę tych, którzy przecież muszą stanąć do ostatniej walki o kraj. Teraz już rozumiesz?
– Na bogów, nie można do tego dopuścić! Obydwaj wiemy, jakie nastroje są w stolicy. Niech ten człowiek otworzy sobie lepiej żyły.
Lukjusz zniża głos do szeptu.
– Uspokój się. Tego nikt nie zrobi. Sądzę, że nawet ty. No powiedz, zrobiłbyś to...
– Lukjuszu – szept jest cichy, niedosłyszalny – kogo oni wybiorą?
– Nie wiem. Zdaje się, że nie ma żadnej reguły. Wybiera i piętnuje żelazem sam Osteron. Nie bój się, rano będzie wiadomo.

Artemid stał przy ścianie i w zamyśleniu wydłubywał glinę. Wreszcie otworzył szerzej oczy i potakując myślom odwrócił się ku tamtym. Wyglądało, że śpią, może jedynie Lukjusz oddychał zbyt szybko.
– Żołnierze – krzyknął, zapominając o strażach. – Czy wiecie, dlaczego oni nas tu trzymają?
Milczeli, więc odpowiedział sam sobie.
– Słuchajcie! Jutro jeden z nas zostanie wybrany przez tego mordercę Osterona i wypuszczony na wolność, aby mógł zanieść naszym matkom i braciom straszną wieść o klęsce. Nie pytajcie nawet, co Osteron uczyni z pozostałymi. Kto walczył dzisiaj, ten nie może mieć wątpliwości.
Podszedł, prawie dotykając siedzących postaci.
– Lecz nie to jest ważne. Przed wypuszczeniem w drogę Osteron osobiście wypali posłańcowi swój znak. Wiecie już o co chodzi?
Potoczył wzrokiem.
– Osobiście, on sam to zrobi. Wystarczyłoby chwycić miecz, drąg albo, jak kto ma siły, zadusić żmiję. To będzie jedyna szansa, gdyż nikomu z nich nie przyjdzie do głowy, że ten jeden, któremu zostało darowane życie, odważy się na takie szaleństwo. A wtedy? – głos wibrował mu w gardle. – Wtedy potęga Kanejczyków padnie jak ślepy i kulawy. Czymże oni są bez wodza? Niczym. On jeden zbudował i umocnił to plugawe państwo. Jego zabić to zabić państwo.
Umilkł, chciwie oczekując odpowiedzi. Lecz słyszał jedynie świst własnego oddechu i śmiech Lukjusza. Tylko oczy żołnierzy świadczyły, że nie uronili ani jednego słowa. Trzasnął pięścią w dłoń i skoczył ku trybunowi.
– Ty... ty karle... – dławił się. – Czymże jesteś, kto ci dał prawo?
Lukjusz gwałtownym ruchem chwycił go obydwiema dłońmi za włosy i przyciągnął do siebie.
– Uspokój się, szaleńcze – szepnął mu do ucha. – I nie bluźnij.
Artemid daremnie próbował uwolnić się z niespodziewanie silnego chwytu. Wilgotny oddech muskał mu twarz.
– Czego ty od nich oczekujesz? Są przyuczeni do walki, a nie do podejmowania zawiłych decyzji. Teraz muszą sami to przemyśleć i sami dojść do tego. Rozkazem ich nie zmusisz.
Puścił jego głowę.
– Na mnie też nie pluj.
Artemid odskoczył.
– Więc rób – wydyszał. – Rób coś.
Lukjusz bez słowa zaczął coś zsuwać z palca. Jeszcze moment i trzymał w ręku pierścień. Zwykły, miedziany, nie wzbudzający pożądania w rabusiach.
– Oczywiście nie wiesz, co to jest?
Pokręcił głową.
– Co widzisz z dołu?
Zbliżył twarz.
– Mały kołeczek.
– Zgadza się. Jeśli go wyciągniesz, najlepiej zębami, u góry wysunie się kolec. Biada temu, kto się nim ukłuje.
Artemid z wrażenia przestał oddychać.
– Wystarczyłoby tym... – wydusił.
– Zgadza się. Osteron po jednym ukłuciu padnie martwy. Na to nie ma ratunku.
– Skąd to masz?
– Każdy z trybunów ma coś takiego, na wszelki wypadek – dodał i zrzucił przedmiot na dłoń Artemida.
Ten omal go nie upuścił.
– Jak to... dajesz mi go?
– Bierz. Tobie bardziej się przyda.

Obudził go nienaturalny, piskliwy głos, który starał się być groźny. To tłumacz stojący przed kilkoma Kanejczykami był źródłem hałasu.
– Wstańcie wreszcie psubraty! Tu idzie o wasze życie.
Ociągając zebrali się w świetle drzwi. Najwyższy rangą Kanejczyk miał nieduże oczy i obwisły lewy policzek, ślad dawnego cięcia. Tłumacz wyszczekał jego słowa.
– Dostojność pyta się, ilu was jest?
Artemid zerknął na Lukjusza, lecz ten stał sztywny i milczący.
– Siedmiu – odparł ktoś z tyłu. – Jest nas tylko siedmiu.
Artemid nie zmiażdżył Plebo wzrokiem tylko dlatego, iż dostrzegł strach na twarzy tłumacza.
– Jak to siedmiu? – rozbiegły mu się oczy. – Ktoś uciekł?!
Kanejczycy również okazali zaniepokojenie, lecz umilkli, gdy jeńcy rozstąpili się na boki. Można było teraz dostrzec leżącego człowieka. Głowę miał tak przechyloną ku tyłowi, iż grdyka celowała prosto w powałę, zasłaniając twarz. Okryta rdzawymi szmatami klatka piersiowa była nieruchoma. Kanejczyk, ten z blizną, wzruszył ramionami i uniósł rękę. Stojący za nim chwycili leżącego za nogi i wywlekli na zewnątrz. Ponownie zaszczekał tłumacz.
– Jego najwyższa dostojność wódz Osteron postanowił darować jednemu z was niegodnych życie.
Artemid spojrzał kącikiem oka na Lukjusza. Trybun miał dumnie uniesioną twarz.
– Aby dać wam wszystkim równe szanse, zostaniecie poddani próbie – ponownie odezwał się tłumacz. – Wojska wielkiej armii kanejskiej zostaną w tej okolicy przez jakiś czas, aby nabrać sił do ostatecznego pokonania waszego władcy. W tym czasie zbudujemy arenę, na której stoczycie między sobą walkę. Kto przeżyje, będzie wolny.
Tłumaczowi jarzyły się oczy w podnieceniu i zanim przełożył ostatnie słowa, dodał coś od siebie.
– Wy świnie, będziecie tańczyć jak osły w cyrku – otarł nos rękawem. – Teraz zostaniecie rozdzieleni, abyście przypadkiem nie doszli do porozumienia psującego widowisko.

Przez całe dwa tygodnie, jakie spędził w namiocie, nie odezwał się ani słowem. Po dniach przemyśleń upewnił się w jednym. Pokona wszystkich, musi to zrobić, a później zabije Osterona. Gdy ten przyłoży rozżarzone żelazo do ramienia, z pewnością będzie spoglądał mu w twarz oczekujący grymasu bólu, a wtedy jeden cios i imperium kanejskie upadnie w proch.
Jeszcze się uśmiechał, gdy gwałtownie odskoczyła zasłona. Przyszli. Mrużąc oczy od dawna nie oglądanego słońca stąpał niepewnie za strażnikami. Suche powietrze unosiło spod stóp kłęby żółtego kurzu.
Potknął się i łapiąc równowagę jakby odzyskał słuch. Usłyszał bliski szmer tysiąca ludzi. Zasłaniając oczy można było dojrzeć, iż zbocza wąwozu, ku któremu podążali obsadzone są morzem głów kanejskich żołnierzy. Zaklął bezsilnie i potknął się po raz wtóry. Wtedy dojrzał innych: Lukjusza, Plebo i tamtych, których imion nie dane mu było poznać. Nie powitali się nawet. Po co?
Ściany wąwozu coraz wyraźniej zamykały pas nieba i coraz pewniejszym stawał się plan Kanejczyków. Szli ku rzędom ceglanych murów pokrywających cały środek wąwozu. Żółta barwa ścian tylko nieznacznie odróżniała się od podłoża, wszystko było suche, jałowe i monotonne. Ryk kanejskich żołnierzy narastał, spadło kilka kamieni. Lecz gest stojącego na skalnej półce człowieka uciszył tłum i uświadomił Artemidowi władzę Osterona. W dusznej ciszy podeszli do ceglanego labiryntu. Pod pierwszym murem leżała broń: włócznie, tarcze i miecze. Stał przy nich oficer z blizną na policzku.
– Zostaniecie poddani próbie – zaszczekał tłumacz zza jego pleców.
– Każdy z was może wybrać dowolny rodzaj i wziąć dowolną ilość broni. Wejdziecie do labiryntu jednocześnie, każdy przez inne wyjście. Macie walczyć...
Tu Kanejczyk uniósł rękę i szyderczym wzrokiem omiótł zbocza.
– Macie walczyć na śmierć i życie, dając przykład naszym żołnierzom. Ktokolwiek będzie próbował opuścić labirynt przed zachodem słońca, zginie. Moi łucznicy już się o to postarają.
Jakby na pokaz, stojący dotąd z boku żołnierze z kołczanami na plecach zaczęli ostentacyjnie napinać łuki.
– O zachodzie słońca, gdy rozlegnie się głos trąb, ten, który ocaleje będzie mógł wyjść. Ale tylko jeden. Gdy wyjdzie dwóch, obydwaj zginą.

Oparł się plecami o mur i ocierając strużki potu przekręcił głowę. Widoczna część labiryntu była pusta. Mur po drugiej stronie, tak jak i ten, o który się opierał, był o głowę wyższy od niego. Mógłby podskoczyć i sprawdzić co jest dalej, lecz bał się. Wystarczyłaby jedna strzała prosto w twarz... Nad cegłami, w dalszej perspektywie czerniały na tle skał sylwetki Kanejczyków. Zamknął oczy. To okropne uczucie mieć usta pełne gestej i gorzkiej śliny. Te sucze pomioty nie dały im nic do picia.
Odkleił się od muru, gdzie nadaremnie szukał cienia i ocierając dłonią plecy ruszył dalej. Nie potrafił zbyt długo osłaniać się tarczą od słońca, była zbyt ciężka.
Dziwiąc się sobie, drobił teraz flegmatycznie krok za krokiem i jedynie na zakrętach wzmagał czujność. Na razie jednak nie natrafił na nikogo. Labirynt był duży, można w nim było długo szukać śmierci, depcząc bez ustanku ceglany gruz i rozpalony piasek. Przedsionek piekła, przyszło mu na myśl. Miał cichą nadzieję, że uda się możliwie jak najdłużej unikać walki. Niech się wyrżną, myślał, a on wypoczęty tym łatwiej poradzi sobie z ostatnim. Przecież musi zwyciężyć.
Za najbliższym załomem dojrzał wreszcie przeciwnika, lecz już pierwszy rzut oka wyjaśnił sprawę. Żołnierz miał rozpłatane gardło, aż do kręgosłupa. Obok w kałuży krwi leżała pęknięta tarcza, którą obsiadły tysiące much; dużych i zielonych. Artemid wzdrygnął się i przeskoczył ciało. Szybkim krokiem uciekał od wirującego, brzęczącego kłębowiska.
Gdy przystanął dla zaczerpnięcia tchu, dopadł go daleki ryk Kanejczyków. Gdzieś niedaleko, za którymś z ceglanych murów ktoś kogoś mordował. Zrezygnowany wytarł dłonie w kurtkę i mocniej ujął włócznię. Wtedy dopiero pojął, że ów zauważony przez niego kształt leżący u końca korytarza jest człowiekiem. Plama na szczycie muru i rozmazane smugi krwi wyjaśniały sprawę. Zakrzywione palce ściskały jeden z wielu bełtów tkwiących w ciele.
– Uciekłeś – wyszeptał. – Po prostu uciekłeś i nic nie zrobiłeś.
Westchnął.
– Szkoda.
Zamknął powieki Lukjuszowi i ruszył dalej dziwiąc się sobie, że tak mu żal tego człowieka.

Stał przy kolejnym zabitym i zastanawiał się, na czym mu teraz najbardziej zależy. Ocaleniu życia, zabiciu Osterona, czy położeniu kresu tej mordędze. Jakże małe są wielkie sprawy, kiedy człowiek słania się na nogach ze zmęczenia, upału i strachu. Jakże szybko traci się pamięć o tym dla kogo, po co, w imię czego? Gdyby mógł, uciekłby jak najdalej od tego miejsca. Niestety, trzeba iść i dopełnić przeznaczenia.
Od dawna zdawał sobie sprawę, że idzie czyimś śladem; krwawym i jednoznacznym. Jeszcze jeden trup i będzie wiedział kto zbiera żniwo: Plebo czy inny żołnierz.
Nie zastanawiając się skręcił na najbliższych rozstajach w lewo i faktycznie, przypuszczenia spełniają się. Piąty trup nie jest trupem Plebo. Nieznany żołnierz leży na boku i jedynym wyjaśnieniem dziwnej pozycji jest wystające z pleców ostrze włóczni. Krew jeszcze nie zdążyła wyschnąć. Artemid nie przygląda się dłużej. Do zachodu słońca pozostało niewiele czasu. Przyspieszając kroku pilnie wypatruje rosłej sylwetki tego, którego chciał mieć w swoim oddziale. Głęboko oddychając przez nos zbiera siły do walki. W tej chwili jest to z pewnością najważniejsza walka w jego życiu. Nie myśli jednak o tym i gdy za kolejnym murem dostrzega sylwetkę Plebo, decyzję podejmuje błyskawicznie. Najpierw jęczy Artemid, a potem oszczep rozpruwający powietrze. Z oddali dobiega ryk Kanejczyków. Plebo jest jednak wspaniały. Pada na twarz pozwalając ostrzu musnąć kark i już stoi naprzeciwko. Za nim w murze widać wybity otwór. Artemid unosi tarczę i do bólu ściska rękojeść miecza.
Jednocześnie zaczynają zataczać kręgi wokół siebie. Jak uwiązani, trzymają wciąż tę samą odległość. To nieprawdopodobne, ale zza tarczy Plebo widać tylko oczy. Nic więcej, ani kawałka ciała. Artemid ostrożnie przestawia stopy. Pamięta o swoich długich nogach i wysoko umieszczonym środku ciężkości. Dlatego te zgięte kolana i ów posuwisty krok. Przekleństwo! Wszędzie jest twarde podłoże, żadnych kamieni, lecz on się potyka. Odzyskuje równowagę za późno. Z trzaskiem w tarczę wbija się oszczep Plebo. Długi, ciężki, o wiele cięższy od jego oszczepu, zaczyna mu ściągać tarczę w dół. Końcówka drzewca wibruje w powietrzu naśladując drżenie mięśni. Widzi, że tamten zacieśnia krąg. Jeszcze czeka, ale wie, że prędzej czy później omdlałe ramię Artemida da miejsce do ciosu. Centurion krzyczy i celując wbitym oszczepem w głowę tamtego – szarżuje. Piasek chłoszcze łydki, łoskot zderzenia. Mur wylatuje na oczach Artemida w niebo, a on sam wali się na spaloną ziemię. Krew płynie z rozbitej twarzy, lecz on nie zważa na to. Przewraca się na plecy. Olbrzymi żołnierz, już niczym nie przypominający Plebo, unosi miecz. Jego koniec celuje w słońce. Ostatnia szansa, przemyka przez myśl Artemidowi, jestem ostatnią szansą. Nadludzkim wysiłkiem ciska w tamtego mieczem, lecz Plebo z łatwością odbija żelazo i tnie. Artemid zamiera w połowie oddechu. Jego wygięte ciało drga na piasku. Purpura ścieka wzdłuż rękawów aż do dłoni. Unosi je wbrew wszelkim prawom ku żołnierzowi, podaje, lecz mocny kopniak odrzuca z powrotem. Z pięści wysuwa się niewielki miedziany pierścień i toczy do martwego boku. Gdzieś za murami odzywają się trąby. Plebo kładzie stopę na torsie i z chrzęstem wyciąga miecz. Trąby grzmią niecierpliwie.

Osteron był szczupłym człowiekiem o rysach twarzy bardziej przypominających filozofa niż wojownika. Lecz na tym kończyło się podobieństwo. Wyblakłe, groźne oczy, gwałtowne ruchy i głos tak nie pasujący do sylwetki.
Stali teraz przed głównym namiotem wodza. Na podium między paleniskami z rozżarzonym węglem leżał osadzony na drewnianej rączce sygnet Osterona. Z tysięcy żołnierzy każdy chciał go dojrzeć, stąd też słychać było przekleństwa i wrzaski. Mieli również jeszcze jeden powód do zniecierpliwienia. Do obozu przyszły beczki z piwem, które miały być otwarte po ceremonii oswobodzenia. Na razie musieli czekać, ale nie narzekali. Tego rodzaju widowiska zawsze należały do udanych.

Ryk wstrząsnął ich gardzielami. Na podium wszedł Osteron odziany w purpurową szatę z naszytym czarnym orłem na piersiach. Trzask tysięcy uderzających o tarcze pięści ogłuszał. Wódz był zadowolony. Nie uciszał żołnierzy, chciał właśnie tego. W niemilknącym hałasie, między czwórką łuczników wszedł za nim na podium żołnierz pokonanej armii. Był obnażony do pasa.
– Widzisz naszą potęgę! – zaskowyczał ten sam tłumacz. – Idź do swoich władców i opowiedz co ujrzałeś. Niech odstąpią od oporu.

Osteron podniósł rączkę i włożył metal między węgle. Plebo nie przyglądał się dłużej jego powolnym ruchom. Wodził wzrokiem po szeregach kanejskich żołnierzy, gdzieniegdzie tylko przedzielonych szarymi plamami namiotów.

Tłum ponownie zaryczał, znak, że Osteron wyjął sygnet. Uniósł go w górę, tak samo jak w górę uniosły się łuki otaczających podium żołnierzy, a potem mocno przycisnął rozpalone żelazo do ramienia Plebo. Zaskwierczał tłuszcz i strużka bladego dymu uniosła się ku górze. Osteron z uznaniem obserwował twarz, której jedynie źrenice minimalnie się zwęziły. Na jasnej skórze wyraźnie odcinał się wypalony znak, wokół czerwieniała i puchła skóra. Plebo spoglądał na to z pustką w oczach. Jedynie uważny obserwator mógłby zauważyć kurczowo zaciśnięte mięśnie szczęk. Osteron rozejrzał się po zamilkłych żołnierzach i powiedział parę słów. Ich intonacja była tak jednoznaczna, że tłumach był tu zbędny. Żołnierze zatoczyli się śmiechem. Osteron zadowolony, zawtórował im gromko, lecz chrzest łamanych kości zdusił jego radość. Szybki jak błyskawica cios Plebo wbił mu nałokietnik w twarz. Posoka trysnęła na orła i zaskwierczała w pobliskim palenisku. Osteron chciał krzyczeć, lecz wbita w podniebienie szczęka i zgnieciona krtań pozwalała jedynie na głuche jęki. Szczęknęły cięciwy i Plebo z bełtem wbitym w czoło zwalił się z podium. Żołnierze odskoczyli robiąc miejsce jego ciału. Pozostały na estradzie człowiek dusił się własną krwią. Słaniając się, zrzucił węgle i jak pajac podrygiwał wśród płonących okruchów.

Nagle jak duchy zjawili się dwaj oficerowie i nie pozwolili upaść konającemu. Chwycili go pod ramiona i biegiem podążyli ku namiotowi. Tłum szalał. Szeregi rozsypywały się w mgnieniu oka. Na ziemię spadały porzucone tarcze i miecze. Dyscyplina i porządek rozpadały się z każdą sekundą, grożąc przemianą żołnierzy w rozdygotany motłoch.
– Stójcie, głupcy! – krzyknął ktoś ku temu rosnącemu chaosowi. Wydawało się, że głos ten przejdzie bez echa, lecz stało się inaczej. Żołnierze zwrócili twarze ku podium. Oficer z blizną na policzku ścisnął szatę na piersi.
– Czyż przestaliście wierzyć w wodza! Jesteście jak psy, w które starczy rzucić kamieniem, a te tchórzliwie uciekają z podkulonym ogonem? Uspokójcie się. Wódz nasz, Osteron żyje!
Pomruk niedowierzania, ale i nadziei, przetoczył się nad głowami stojących.
– Nie wierzycie, to patrzcie. Patrzcie, co może nieśmiertelny.
Tłum powiódł wzrokiem ku wejściu do namiotu wodza. Zasłona była nieruchoma. Tłum spojrzał ponownie na oficera, lecz jego pewny i zdecydowany wygląd zmusił do ponownego obrócenia głów.

Zasłona umknęła w bok i ukazał się Osteron. Tłum wstrzymał oddech, a potem zawył. Waliły pięści, huczały miecze.
– Bogowie! – Osteron stał już na podium. – Bogowie mnie uratowali!

Wódz krzyczał i nikt nie zwrócił uwagi, że z tyłu namiotu, między wozami transportowymi przenoszono zawinięte kilkakrotnie w płótno czyjeś ciało. Niosący je oficerowie mieli zaciśnięte usta i jednakowy wyraz szarych twarzy. Gdy składali zwłoki na ostatnim wozie i zaprzęgali konie, mogli dosłyszeć głos swego nieśmiertelnego wodza.
– Teraz widzicie, że zwyciężymy, gdyż bogowie są z nami. Widzicie!
Nie słuchali dłużej i zacięli konie. Stukając wóz toczył się poza obręb obozu.

Sierpień 1982

O autorze: patrz „Słownik polskich autorów fantastyki"

■

Simon bez słowa puścił się w dół do tej obietnicy szczęścia, możliwości usunięcia kurzu z zaschniętego gardła i udręki soli z umęczonej skóry.

Kiedy po chwili wystawił z wody ociekającą kroplami głowę i ramiona, zorientował się, że nie ma Korisa. A był pewny, że kapitan wyszedł w ślad za nimi z pieczary Volta.

– Gdzie Koris? – zapytał Tunstona, który właśnie postękując z zadowolenia nacierał twarz kępkami mokrej trawy. Jivis leżał na brzegu strumienia, z zamkniętymi oczami.

– Poszedł dopełnić obowiązku wobec człowieka, który został na dole – wyjaśnił obojętnie Tunston. – Żaden gwardzista nie staje się pastwą wiatru i fal, jeśli jego dowódca może oddać mu ostatnią przysługę.

Simon zarumienił się. Zapomniał o tym zmaltretowanym ciele na plaży. Chociaż należał do gwardii Estcarpu z własnej woli, nie czuł się jednym z nich. Estcarp był zbyt stary, jego mieszkańcy i jego czarownice – zbyt obcy. Ale co obiecywał Petronius, kiedy oferował mu możliwość ucieczki? Że człowiek, który z tej oferty skorzysta, znajdzie się w upragnionym świecie swego ducha. Był żołnierzem, znalazł się w świecie, w którym prowadzono wojny, a jednak nie był to jego sposób walki i ciągle czuł się bezdomnym cudzoziemcem.

Przypominał sobie kobietę, z którą uciekał przez wrzosowiska, nie wiedząc, że jest ona czarodziejką z Estcarpu, przebiegł w myślach wszystko, co z tego wynikło. W czasie ucieczki były momenty, kiedy łączyła ich niewypowiedziana bliskość. Ale później to także zniknęło.

Kiedy opuszczali Sulcarkeep, kobieta była na innym statku. Czy z tamtym statkiem równie źle obeszło się bezlitosne morze? Simon drgnął, poruszony czymś, czego nie chciał uznać, czepiając się uparcie roli obserwatora. Przewracając się na trawie, ułożył głowę na zgiętym ramieniu, wykorzystując dawno zdobytą umiejętność zmuszenia się do snu siłą woli.

Obudził się również nagle, bardzo czujny. Nie mógł spać długo, bo słońce jeszcze wciąż stało dość wysoko. W powietrzu unosił się zapach jedzenia. W zagłębieniu skały płonął niewielki ogień, nad którym Tunston obracał ryby wbite na ostre gałązki. Koris spał obok swego topora, we śnie jego chłopięca twarz wydawała się bardziej ściągnięta i wyniszczona zmęczeniem. Jivin leżący na brzuchu nad samym strumieniem udowadniał, że był nie tylko mistrzem jazdy konnej, kiedy wyciągnął rękę, w której trzepotała kolejna złowiona ryba.

Na widok nadchodzącego Simona Tunston uniósł brwi.

– Bierz swoją część – wskazał na rybę. – Nie jest to porcja jak w kantynie, ale na razie musi wystarczyć.

Simon sięgnął po rybę, ale ręka jego zamarła w bezruchu, kiedy dostrzegł napięcie na twarzy Tunstona. Popatrzył w ślad za jego spojrzeniem. Nad ich głowami zataczał szerokie, płynne kręgi czarny ptak z białą szeroką literą V na piersi.

– Sokół! – słowo to w ustach Tunstona zabrzmiało jak ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem znacznie poważniejszym niż zasadzka w drodze do Sulcarkeepu.

ŚWIAT CZAROWNIC

Andre NORTON

(Witch World)

Przełożyła Aniela Tomaszek

Alice Mary (Andre) NORTON
urodziła się w Cleveland w 1912 roku. Jako pisarka zadebiutowała w latach trzydziestych. Obok fantastyki naukowej pisuje powieści kryminalne, szpiegowskie i historyczne. W przeciągu pięćdziesięciu lat pracy twórczej opublikowała ponad 90 książek, spośród których największe uznanie przyniosły jej fantastyczne opowieści „*Witch World*" i „*Time Trader*". Z zawodu jest lektorem w dziale dziecięcej SF w Gnome Press.

Przygoda w Sulcarkeep

Niebezpieczny głaz

Ukośna kurtyna deszczu okrywała zakopconą ulicę, wypłukując z murów sadzę. Jej metaliczny smak czuł na wargach wysoki szczupły mężczyzna idący szybkim krokiem wzdłuż ścian budynków, wpatrujący się intensywnie w otwory bram i prześwity bocznych uliczek.

Simon Tregarth opuścił stację kolejową dwie, a może już trzy godziny temu. Nie miał dłużej powodu, by zwracać uwagę na mijający czas. Przestało to mieć jakiekolwiek znaczenie, a Simon nie zmierzał do żadnego celu. Jak ścigany, uciekinier, czy może... ale nie, jednak nie ukrywał się. Wyszedł na środek chodnika, czujny, gotowy, wyprostowany, z głową uniesioną jak zwykle.

W tych pierwszych szalonych dniach, kiedy zachował jeszcze iskierkę nadziei, kiedy ze zwierzęcą wprost przebiegłością stosował każdy możliwy wykręt, kiedy zaciemniał i gmatwał własne ślady, kiedy kierował się czasem, liczył godziny i minuty, tak, wtedy uciekał. Teraz po prostu szedł, i będzie kontynuował ten marsz aż do chwili, gdy śmierć, zaczajona w jednej z bram, szykująca zasadzkę w którymś z zaułków, wyjdzie mu na spotkanie. Ale nawet wtedy zginie posługując się swoją bronią! Prawa ręka Simona, włożona głęboko do przemoczonej kieszeni płaszcza, pieściła tę broń - gładką powierzchnię śmiertelnie niebezpiecznego narzędzia, które pasowało do dłoni tak, jakby stanowiło integralną część wspaniale wytrenowanego ciała.

Simon uświadomił sobie, że jest zmęczony. Z braku snu, konieczności ciągłego czuwania. Zwolnił kroku przed oświetlonym wejściem, odczytał napis na wilgotnej markizie. Portier otworzył wewnętrzne drzwi i mężczyzna stojący na deszczu przyjął owo milczące zaproszenie, wkraczając w świat ciepła i zapachu jedzenia.

Zła pogoda musiała odstraszyć klientów. Może dlatego szef sali zajął się nim tak szybko. A może to krój ciągle jeszcze eleganckiego garnituru chronionego przed wilgocią przez zdjęty właśnie płaszcz, może nieznaczna, ale nieomylnie wyczuwalna arogancja w sposobie bycia - cecha człowieka, który przyzwyczajony był do wydawania rozkazów i do tego, żeby posłusznie je wypełniano - zapewniły Simonowi dobry stolik i usłużność kelnera.

Simon uśmiechnął się kwaśno przebiegając wzrokiem kartę, ale w uśmiechu tym czaił się cień autentycznego humoru. W każdym razie skazaniec zje przyzwoity posiłek. Własne odbicie wykrzywione na wygięciu wypolerowanej cukiernicy uśmiechnęło się do Simona. Wydłużona, ładnie zarysowana twarz, ze zmarszczkami w kącikach oczu, głębszymi liniami wokół ust, opalona, czerstwa, ale w jakiś sposób nie zdradzająca wieku. Podobnie wyglądał mając lat dwadzieścia, tak samo będzie się prezentował koło sześćdziesiątki.

- Halo, Volcie! - Koris wyciągnął swą długą rękę gestem pozdrowienia. - Pozdrawiam cię ja, Koris, kapitan gwardii Estcarpu i przekazuję ci wiadomość, że świat nie zmienił się bardzo, odkąd go opuściłeś. Ciągle toczymy wojny, a pokój gości między nami jedynie na krótko, teraz jednak z Kolderu może przyjść nasz koniec. A ponieważ morze pozbawiło mnie broni, proszę cię o twoją broń! Jeżeli dzięki tobie staniemy jeszcze raz przeciwko Kolderowi, niech pomoże nam twój topór.

Koris wszedł na pierwszy stopień podwyższenia i ufnie wyciągnął rękę. Simon usłyszał zdławiony krzyk Jivina, nerwowy oddech Tunstona. Ale Koris uśmiechał się zaciskając dłoń na rękojeści topora i przyciągał do siebie broń. Siedząca postać wydawała się tak żywa, iż Simon spodziewał się niemal, że szponowate palce zacisną się i wyciągną z powrotem tę broń olbrzyma z rąk mężczyzny, który o nią błagał. Ale topór z łatwością znalazł się w dłoni Korisa, jak gdyby ten, który trzymał tę rękojeść od wielu pokoleń, nie tylko przekazał ją chętnie, ale popchnął w stronę kapitana.

Simon spodziewał się, że ostrze rozleci się ze starości. Ale kapitan uniósł topór wysoko, opuścił go na dół zatrzymując o cal od kamieni stopnia. W rękach Korisa topór był żywą rzeczą, subtelną i piękną jak każda wspaniała broń.

- Będę ci wdzięczny do końca życia, Volcie! - krzyknął Koris. - Tym wyrzeźbię zwycięstwo, bo nigdy jeszcze taka broń nie spoczywała w mojej dłoni. Jestem Koris, kiedyś z Gormu, Koris brzydal, Koris kaleka. Ale jeśli ty zechcesz, zostanę Korisem zwycięzcą, a twoje imię raz jeszcze będzie sławne na tej ziemi!

Może brzmienie głosu naruszyło wiekowe prądy powietrza. Jedynie to, zdaniem Simona, mogło stanowić coś w rodzaju racjonalnego wyjaśnienia. Bo siedzący mężczyzna, czy postać na jego podobieństwo, zdawała się kiwnąć głową, raz, dwa, trzy, jakby na potwierdzenie wybujałych obietnic Korisa. I ciało, które przed sekundą jeszcze wydawało się tak solidne, na ich oczach rozsypało się w proch.

Jivin ukrył twarz w dłoniach, a Simon powstrzymał okrzyk. Volt - jeżeli był to Volt - zniknął. Na krześle pozostał tylko pył, nic więcej, i topór w rękach Korisa. Tunston, człowiek pozbawiony wyobraźni, pierwszy zwrócił się do swego zwierzchnika:

- Jego służba dobiegła końca, kapitanie. Teraz zaczyna się twoja. To było dobre, że poprosiłeś go o broń. Myślę, że przyniesie nam szczęście.

Koris raz jeszcze zamachnął się toporem, z niezwykłą zręcznością przecinając powietrze zakrzywionym ostrzem. Simon odwrócił się od pustego krzesła. Od chwili znalezienia się w tym świecie zetknął się z magią czarownic i zaakceptował ją jako część nowego życia, teraz równie spokojnie zaakceptował to, co widział. Ale nawet zdobycie legendarnego topora Volta nie da im wody ani pożywienia, które są niezbędne. I to właśnie powiedział swoim towarzyszom.

- To także prawda - przyznał Tunston. - A jeżeli nie ma stąd innego wyjścia, musimy wrócić na brzeg i tam próbować.

Tylko, że było inne wyjście, w ścianie za wielkim krzesłem widoczny był kamienny łuk zasypany ziemią i gruzem. Zabrali się do kopania posługując się nożami i dłońmi. Byłaby to wyczerpująca praca nawet dla ludzi wypoczętych. Simon wytrzymał ją tylko dzięki nowo nabytemu strachowi przed morzem. W końcu udało im się przekopać przejście, za którym ukazały się drzwi.

Kiedyś musiały być zrobione z masywnego miejscowego drewna. Nie zniszczyła go żadna zgnilizna, raczej naturalne procesy chemiczne zachodzące w ziemi przemieniły je w krzemienną, twardą substancję. Koris gestem nakazał im odejść.

- To moje dzieło.

- Raz jeszcze topór Volta uniósł się w powietrze. Simon omal nie krzyknął, przekonany, że wspaniałe ostrze topora się wyszczerbi. Rozległ się brzęk, topór uniósł się znowu i opadł z całą siłą mocarnych ramion kapitana.

Drzwi rozłupały się, jedna ich część przechyliła się na zewnątrz. Koris stanął z boku, a trzej pozostali starali się zwiększyć tę szczelinę. Uderzyło ich światło dnia, a świeżość wiatru kazała zapomnieć o stęchliźnie podziemnej komnaty.

Usunęli szczątki drzwi robiąc wystarczająco szerokie przejście, przekopali się przez kłębowisko suchych pnączy i wydostali na stok wzgórza, porosłego plamami świeżej trawy i usianego złotymi punkcikami żółtych kwiatów. Znajdowali się na szczycie skały, która z tej strony dochodziła do strumienia.

– To znaczy, że jest bardzo ważne? – Simon wskazał na wejście do pieczary. – Może to nawet być skarbiec królów, jeżeli tylko pozwoli nam dotrzeć do wody.

– Woda! – powtórzył cichutko Jivin. – Woda, kapitanie? – zwrócił się z ufnością do Korisa.

– Jeszcze nie, towarzyszu. Jeszcze mamy kawałek drogi.

Przekonali się, że metoda pełzania na rękach i kolanach, jaką zastosował Simon, była niezbędna, by dotrzeć do wejścia. Koris przeczołgał się szybko prawie bez opierania się na nogach, zdzierając sobie skórę na dłoniach i ramionach.

Przed nimi istniało przejście, ale było tu tak ciemno, że macali rękami ściany, a Simon obmacywał przestrzeń przed sobą.

– Nie ma wyjścia! – Wyciągniętymi rękami dotknął solidnej skały. Jednak zbyt szybko wydał ten werdykt, bo z prawej strony ukazał się blask światła i Simon odkrył, że pasaż w tym miejscu skręca w prawo. Tutaj przynajmniej można było zobaczyć, gdzie się stawia nogę, więc przyspieszyli kroku.

Było wystarczająco widno, by mogli aż nazbyt wyraźnie zobaczyć jedynego mieszkańca owej kamiennej komnaty. Siedział wygodnie na krześle wykonanym z tego samego kamienia, na którym stał, ręce trzymał na szerokich oparciach, głowa opadała mu na piersi jakby spał.

Dopiero kiedy Jivin wypuścił powietrze jakby z łkaniem, Simon zdał sobie sprawę, że znaleźli się w grobowcu. Mroczna cisza pomieszczenia zamknęła się za nimi, jakby zatrzaśnięto ich w skrzyni, z której nie ma ucieczki.

Ponieważ Simon czuł się nieco przestraszony i nieswój, zdecydowanym krokiem podszedł do dwóch kamiennych bloków, na których opierało się krzesło, patrząc wyzywająco na siedzącą postać. Krzesło i siedzącą na nim postać pokrywała gruba warstwa kurzu. Jednak Tregarth mógł się zorientować, że ten mężczyzna – wódz, kapłan, król – czy kimkolwiek był za życia, nie należał do tej samej rasy co mieszkańcy Estcarpu lub Gormu.

Pergaminowa skóra była ciemna i gładka, jakby sztuka balsamowania przekształciła ją w lśniące drewno. Rysy na pół ukrytej twarzy cechowała wielka siła i energia, a nad całością dominował zakrzywiony nos. Podbródek siedzącego był niewielki, ostro zakończony, a zamknięte oczy osadzone głęboko. Robił wrażenie człekokształtnej istoty, której dalekimi przodkami nie były zwierzęta z rzędu naczelnych, lecz ptaki. Tę iluzję pogłębiał jeszcze fakt, iż jego ubranie, skryte pod grubą warstwą kurzu, wykonane było z materii przypominającej pióra. Wąską talię ściskał pas, a na poręczach fotela spoczywał topór takiej długości i rozmiarów, że Simon wątpił, czy śpiący mógł go w ogóle kiedykolwiek unieść.

Włosy siedzącego wyrosły w spiczasty grzebień, a wysadzany kamieniami łańcuch podtrzymywał je na kształt pióra. Na szponowatych palcach rąk opartych na ostrzu i rękojeści topora błyszczały pierścienie. Krzesło, siedzący na nim mężczyzna i topór wojenny wytwarzały taką aurę obcości, że Simon zatrzymał się przed wejściem na podwyższenie.

– Volt! – okrzyk Jivina przypominał jęk grozy. Potem jego słowa stały się dla Simona niezrozumiałe, Jivin mamrotał w nieznanym języku coś, co mogło przypominać modlitwę.

– Pomyśleć, że legenda okazała się prawdziwa! – Koris stanął obok Tregartha. Jego oczy błyszczały takim samym ogniem jak w tę noc, kiedy próbowali wydostać się z Sulcarkeepu.

– Volt? Prawda? – powtórzył Simon, a człowiek z Gormu odpowiedział z niecierpliwością.

– Volt trzymający topór, Volt miotający gromy, Volt, który służy teraz jako postrach dla niegrzecznych dzieci! Kraina Estcarpu jest stara, jej wiedza pochodzi z czasów, zanim człowiek zaczął pisać swą historię, opowiadać legendy. Ale Volt jest starszy! Należy do tych, którzy byli przed takim człowiekiem, jakiego znamy dziś. Jego gatunek wymarł, zanim ludzie uzbroili się w kij i kamień, by bronić się przed zwierzętami. Tylko, że Volt dożył do czasów pierwszego człowieka. I pierwsi ludzie znali jego i jego topór. Bo Volt w swej samotności ulitował się nad ludźmi i swoim toporem wskazał im drogę do wiedzy i władzy, zanim on także odszedł. W niektórych miejscach pamiętają o nim z wdzięcznością, choć boją się go, nie mogąc zrozumieć kim był. A gdzie indziej nienawidzą wspomnienia o nim, bo mądrość Volta stanęła na przekór ich najskrytszym pragnieniom Tak więc wspominamy Volta z modlitwą i przekleństwem, bo jest on i bogiem, i demonem. Ale my czterej możemy się teraz przekonać, że był żywą istotą i że w tym przypominał nas. Choć może miał inne umiejętności, odpowiednie do charakteru jego rasy.

Tregarth jadł powoli, smakując każdy kąsek, pozwalając, by krzepiące ciepło pomieszczenia i starannie wybrane wino poprawiały samopoczucie, nawet jeśli nie wpływały na uspokojenie umysłu czy nerwów. Jednak ten pozorny relaks nie rodził żadnej fałszywej odwagi. To był koniec, Tregarth wiedział o tym – i już się z tym pogodził.

– Przepraszam...

Widelec z kawałkiem befsztyka nie zatrzymał się w drodze do ust. Jednak mimo absolutnego panowania nad sobą, dolna powieka Simona drgnęła niepostrzeżenie.

– Słucham?

Stojący przy stoliku człowiek mógł być maklerem, radcą prawnym, lekarzem. Odznaczał się właściwą dla tych zawodów pewnością i spokojem, które mają budzić zaufanie klientów. Nie był jednak tym, kogo Simon się spodziewał. Budził zbytni respekt, zachowywał się zbyt uprzejmie i poprawnie, aby mógł reprezentować śmierć! Chociaż organizacja miała swoich ludzi w najróżniejszych środowiskach!

– Czy mam przyjemność z pułkownikiem Simonem Tregarthem?

Simon rozłamał bułkę i posmarował ją masłem.

– Z Simonem Tregarthem, ale nie z pułkownikiem – skorygował i dodał z pewnością siebie: – O czym panu niewątpliwie wiadomo.

Mężczyzna w pierwszej chwili wydawał się nieco zaskoczony, potem uśmiechnął się tym swoim spokojnym, gładkim, pocieszającym, profesjonalnym uśmiechem.

– Cóż za niezręczność z mojej strony. Pan wybaczy. Jednak chciałbym od razu wyjaśnić: nie jestem członkiem organizacji, jestem natomiast pańskim przyjacielem, jeżeli oczywiście pan sobie tego życzy. Pozwoli pan, że się przedstawię. Doktor Jorge Petronius. Niech mi wolno będzie dodać, całkowicie do pańskich usług.

Simon zmrużył oczy. Sądził, że ta odrobina przyszłości, jaka mu jeszcze pozostała, nie kryje żadnych niespodzianek, nie liczył się jednak z takim spotkaniem. Po raz pierwszy w tych gorzkich dniach poczuł gdzieś w głębi duszy coś z lekka przypominającego nadzieję.

Nie przyszło mu nawet do głowy wątpić w tożsamość owego niskiego mężczyzny, który przyglądał mu się bacznie przez grube okulary w tak ciężkich i szerokich czarnych oprawkach z plastyku, że przywodziły mu na myśl maseczkę osiemnastowiecznego kostiumu na bal maskowy. Doktor Jorge Petronius był dobrze znany w owym półświatku, w którym Tregarth przeżył kilka gwałtownych lat. Jeżeli ktoś był w opałach, a do tego dysponował funduszami, zwracał się do Petroniusa. Tych, którzy to uczynili, nie udało się nigdy później odnaleźć ani przedstawicielom prawa, ani żądnym zemsty kompanom.

– Sammy jest w mieście – ciągnął precyzyjny głos z lekkim akcentem.

Simon z wyraźną przyjemnością sączył wino.

– Sammy? – zapytał z równą obojętnością. – Bardzo mi to pochlebia.

– No cóż, panie Tregarth, cieszy się pan niezłą reputacją. Z pana powodu organizacja spuściła swe najlepsze psy gończe. Ale po tym, jak obszedł się pan z Kotchevem i Lampsonem, został już tylko Sammy. On jednak ulepiony jest z innej gliny niż tamci. A pan, proszę mi wybaczyć to wtrącanie się w prywatne sprawy, od pewnego czasu już ucieka. Nie wpływa to na siłę ramienia trzymającego miecz!

Simon roześmiał się. Sprawiało mu przyjemność dobre jedzenie i trunek, nawet cieniutkie złośliwości dra Jorge Petroniusa. Ale nie przestał być czujny.

– A więc moje ramię wymaga wzmocnienia? Jakie lekarstwo pan proponuje, doktorze?

– Moje własne.

Simon odstawił kieliszek. Czerwona kropla wina spłynęła na obrus.

– Mówiono mi, że pana usługi są kosztowne.

Mały człowieczek wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Ale w zamian przyrzekam udaną ucieczkę. Ci, którzy mi zaufali, nie żałują poniesionych kosztów. Nie miałem dotychczas żadnych reklamacji.

– Niestety, nie mogę sobie pozwolić na pańskie usługi.

– Czyżby ostatnie pańskie działania tak nadwerężyły zasoby gotówki? Niewątpliwie. Jednak opuścił pan San Pedro z dwudziestoma tysiącami. W tak krótkim czasie nie mógł pan całkowicie wyczerpać tej sumy. A kiedy spotka się pan z Sammym i tak wszystko, co z niej zostało, powróci do Hansona.

Simon zacisnął wargi. Przez moment wyglądał na człowieka tak niebezpiecznego, jakim był w rzeczy-

wistości, wyglądał tak, jak zobaczyłby go Sammy, gdyby doszło do ich uczciwego spotkania twarzą w twarz.
– Dlaczego pan mnie śledził? W jaki sposób? – zapytał.
– Dlaczego? – Petronius znów wzruszył ramionami. – To zrozumie pan później. Jestem na swój sposób naukowcem, badaczem, eksperymentatorem. A co do tego, w jaki sposób dowiedziałem się, że jest pan w mieście i że potrzebuje pan moich usług, no cóż, powinien pan zdawać sobie sprawę, w jaki sposób rozchodzą się wiadomości. Jest pan człowiekiem napiętnowanym. I niebezpiecznym. Pana poruszenia nie przechodzą niezauważone. Szkoda, ze względu na pana, że jest pan taki uczciwy.
Prawa dłoń Simona zacisnęła się w pięść.
– Po moich wyczynach w ciągu ostatnich siedmiu lat używa pan takiego określenia?
Teraz roześmiał się Petronius. Był to przytłumiony chichot, zachęcający Simona do smakowania zaistniałej sytuacji.
– Ależ Tregarth, uczciwość czasami niewiele ma wspólnego z przestrzeganiem prawa. Gdyby nie był pan w gruncie rzeczy uczciwym człowiekiem, a także człowiekiem z ideałami, nie mógłby pan stawić czoła Hansonowi. Właśnie dlatego, że jest pan taki, jaki jest, wiem, że przyszedł czas na moją pomoc. Pójdziemy?
Simon zorientował się, że z niezrozumiałych powodów zapłacił rachunek i idzie za doktorem Petroniusem. Przy krawężniku czekał samochód, doktor nie podał jednak szoferowi żadnego adresu, kiedy ruszyli w ciemność i deszcz.
– Simon Tregarth – głos Petroniusa był teraz tak bezosobowy jakby recytował dane istotne jedynie dla niego samego. – Pochodzi z Kornwalii. Wstąpił do armii amerykańskiej 10 marca 1939. Awansował w czasie działań ze stopnia sierżanta do porucznika, doszedł do rangi podpułkownika. Służył w jednostkach okupacyjnych aż do chwili zdegradowania i uwięzienia za... Za co właściwie, pułkowniku? Ach tak, za przyłapanie na transakcjach czarnorynkowych. Na nieszczęście dzielny pułkownik nie zdawał sobie sprawy, że wciągnięto go w kryminalne transakcje, aż do chwili kiedy już było za późno. To właśnie postawiło pana poza prawem, prawda, Tregarth? A mając już taką etykietkę, uznał pan, że równie dobrze można na nią zasłużyć. Od czasów berlińskich uczestniczył pan w kilku wątpliwych przedsięwzięciach i wreszcie okazał się pan na tyle niemądry, by wejść w drogę Hansonowi. Czy w to też pana wmanewrowano? Wydaje mi się, że jest pan pechowcem, Tregarth. Miejmy nadzieję, że zmieni się to dzisiejszej nocy.
– Dokąd jedziemy? Do doków?
Znów dał się słyszeć stłumiony chichot.
– Jedziemy w tamtym kierunku, ale nie do przystani. Moi klienci podróżują, ale nie morzem, powietrzem ani lądem. Co pan wie o tradycjach swojej ojczyzny, pułkowniku?
– Nigdy nie słyszałem, by miejscowość Matacham w stanie Pensylwania miała jakiekolwiek tradycje...
– Nie interesuje mnie nędzne górnicze miasteczko na tym kontynencie. Mówię o Kornwalii, która jest starsza niż czas, nasz czas.
– Moi dziadkowie pochodzili z Kornwalii. To wszystko, co wiem.
– W żyłach pańskiej rodziny płynęła czysta kornwalijska krew, a Kornwalia jest stara, bardzo, bardzo stara. Jej legendy wiążą się z Walią. Znany był tam król Artur, Rzymianie z Brytanii przewalali się w jej granicach, dopóki topory Saksonów nie skazały ich na zapomnienie. Przed Rzymianami było tam wielu, wielu innych, niektórzy z nich przynieśli z sobą strzępy dziwnej wiedzy. Tregarth, uczyni mnie pan bardzo szczęśliwym.
W tym momencie opowiadający uczynił pauzę, jakby oczekując komentarza, a ponieważ Simon milczał, podjął dalsze rozważania.
– Zamierzam poznać pana, pułkowniku, z jedną z pańskich rodzimych tradycji. To bardzo interesujący eksperyment. No, to jesteśmy na miejscu.
Samochód zatrzymał się przy wjeździe do ciemnej uliczki. Petronius otworzył drzwiczki.
– Poznał pan jedyny minus mojej rezydencji, pułkowniku. Ten zaułek jest zbyt wąski, by można było wjechać samochodem. Dalej musimy iść.
Simon przez moment wpatrywał się w ciemność alejki, zastanawiając się, czy doktor nie przywiózł go

– Mówi się na Gormie – zaczął chropawym głosem, przypominającym rzężenie – że człowiek, którego przeznaczeniem jest poczuć na swym karku ciężar katowskiego topora, nie utonie. Często dawano mi do zrozumienia, że taki jest właśnie mój los. I jak tu nie wierzyć w stare porzekadła!
Z trudem doczołgał się do najbliższego z nieruchomo leżących mężczyzn i obrócił bezwładne ciało. Twarz gwardzisty wydawała się szarobiała, ale jego pierś unosiła się w regularnym oddechu, nie miał też żadnych widocznych obrażeń.
– Jivin – powiedział Koris. – Wspaniały jeździec. – Ostatnie słowa Koris wypowiedział w zadumie, a Simon zaśmiał się słabo, przyciskając ręce do żołądka, który najwyraźniej protestował przeciwko takim odruchom wesołości.
– Oczywiście – stwierdził, zanosząc się tym na pół histerycznym śmiechem – jest to najkonieczniejsza w tej chwili umiejętność.
Ale Koris zbliżał się już do następnego nieruchomego ciała.
– Tunston!

To odkrycie ucieszyło Simona. W ciągu krótkiego okresu, jaki spędził wśród gwardzistów Estcarpu, zdążył nabrać szczerego podziwu dla tego podoficera. Pomógł Korisowi przeciągnąć dwóch ciągle nieprzytomnych mężczyzn powyżej hałaśliwego kłębowiska przypływu. Potem, opierając się o skałę, spróbował stanąć na nogi.
– Wody... – Zniknęło dobre samopoczucie, jakiego doznawał przez chwilę po odzyskaniu przytomności. Chciało mu się pić, całe jego ciało spragnione było wody, chciał się napić i obmyć słony nalot z podrażnionej skóry.
Koris przyczołgał się bliżej, by obejrzeć ścianę. Istniały tylko dwie możliwości wydostania się z zatoczki, w której byli uwięzieni. Opłynięcie wystających ramion skalnych lub wdrapanie się na urwisko. Każdy nerw w ciele Simona buntował się na myśl o jakimkolwiek pływaniu czy powrocie do wody, z której cudem udało im się wydostać.
To nie jest zbyt trudna droga – oświadczył Koris. Miał lekkie dreszcze. – Niemal mi się wydaje, że były tu kiedyś specjalne uchwyty do wspinaczki. – Koris wspiął się na palce, przylgnął całym ciałem do skały, ramiona wyciągnął nad głową, jego palce natrafiły na niewielkie wgłębienia w skale. Muskuły na jego ramionach napięły się, uniósł nogę, umieścił czubek buta na jednej z rozpadlin i rozpoczął wspinaczkę.
Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na plażę i dwóch mężczyzn znajdujących się już poza zasięgiem fal, Simon poszedł w ślady Korisa. Okazało się, że kapitan miał rację. Istniały w skale otwory na ręce i palce nóg, nie wiadomo czy stworzone przez naturę, czy też ręką człowieka; w każdym razie pozwoliły Simonowi dostać się tuż za Korisem na półkę umieszczoną około dziesięciu stóp nad poziomem plaży.
Nie było wątpliwości, że półka ta była dziełem ludzkim, widoczne były jeszcze ślady narzędzi, które ją ukształtowały. Przypominała rodzaj rampy, choć dość stromo wznosiła się w stronę szczytu skały. Nie była to łatwa droga dla człowieka cierpiącego na zawrót głowy, słabość w rękach i drżenie nóg, ale łatwiejsza niż Simon oczekiwał.
Koris znów się odezwał. – Czy dasz sobie radę bez pomocy? Zobaczę, czy uda mi się poruszyć tamtych.

Simon skinął głową i natychmiast pożałował, że wybrał tę właśnie formę wyrażania zgody. Przyczepił się do skały i czekał aż świat przestanie układać się w nieprzyjemną, skośną spiralę. Zaciskając zęby podjął wędrówkę w górę. Większość drogi przebył na dłoniach i kolanach, aż znalazł się pod płytkim zakrzywionym daszkiem. Masując obolałe ręce, zaglądał do wnętrza pieczary. Z tego miejsca nie było już innej drogi w górę, należało się tylko spodziewać, że z jaskini prowadzi jakieś inne wyjście.
– Simon! – głos z dołu był niespokojny, pytający.
Podpełznął do skraju półki i spojrzał w dół.
Na dole stał Koris z głową maksymalnie odrzuconą do tyłu, próbował bowiem spojrzeć do góry. Tunston także był już na nogach i podtrzymywał Jivina. Na słaby znak ręki Simona ruszyli do akcji, jako przeciągając Jivina przez pierwszy etap wspinaczki.
– Jest w tym coś dziwnego – oznajmił Koris. – Nie mogłem dostrzec cię z dołu, dopóki nie machnąłeś ręką. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by ukryć to wejście.

Niewiele myślała o chwili, kiedy tak jak teraz znajdzie się na koniu. Wolność i wydostanie się z twierdzy wydawało się tak nieprawdopodobnym wydarzeniem, tak trudnym osiągnięciem, że cały wysiłek skoncentrowała tylko na tym, nie zastanawiając się, co nastąpi, kiedy będzie na górskim szlaku.

– Mówisz, że Estcarp walczy? – Nigdy nie myślała naprawdę o przeprawieniu się przez pasmo wyjętego spod prawa terytorium rozciągającego się pomiędzy Verlaine i południową granicą Estcarpu, ale skoro towarzyszyła jej jedna z czarownic z tego kraju, może najlepiej byłoby jechać właśnie tam.

– Tak, Estcarp walczy, żołnierzyku. A czy pomyślałaś o Kars, księżno? Czy nie spojrzysz z ukrycia na swoje królestwo, żeby zobaczyć jakiej to przyszłości się wyrzekłaś?

Zaskoczona Loyse zmusiła konia do truchtu, dość niebezpiecznego na tym odcinku drogi.

– Kars? – powtórzyła bezbarwnie.

Kars stanowiło centrum krain południowych i gdyby kiedyś potrzebowała pomocy, mogłaby tam znaleźć jednego lub dwóch krewniaków. W takim wielkim mieście żołnierz z sakiewką pełną pieniędzy może się zagubić. A jeżeli Fulk odkryje jakieś ślady jej ucieczki, nigdy nie wpadnie na pomysł, by szukać jej w Kars.

– Więc jedziemy do Kars – zgodziła się spokojnie.

Przygoda w Karsten

Pieczara Volta

Na brzegu maleńkiej zatoczki, na ubitym falami piasku leżało pięciu mężczyzn. Jeden z nich nie żył, jego głowę przecinała olbrzymia rana. Dzień był gorący i promienie słońca bez żadnej osłony padały na ich półnagie ciała. Zapach morza pomieszany z wonią gnijących wodorostów stwarzał tropikalną atmosferę.

Simon zakasłał unosząc na łokciach umęczone ciało. Czuł się jak jedna wielka rana i miał mdłości. Powoli odczołgał się na bok i zwymiotował, choć niewiele mógł wyrzucić z utrzęsionego żołądka. Czynność ta sprawiła jednak, że całkiem odzyskał przytomność i kiedy mógł już opanować własny ciężar usiadł na piasku.

Pamiętał jedynie urywki z bezpośredniej przeszłości. Koszmar zaczął się w chwili ucieczki z Sulcarkeepu. Zniszczenie przez Magnisa Osberica źródła energii dostarczającego portowi światła i ciepła musiało nie tylko wysadzić w powietrze niewielkie miasto, ale także wzmóc siłę sztormu. A w czasie tego sztormu garstka ocalałych gwardzistów, zdawszy się na łodzie ratunkowe, została rozproszona bez żadnej nadziei utrzymania się na kursie.

Trzy statki wypłynęły z portu, ale trzymały się razem do chwili, gdy po raz ostatni widać było eksplodujące miasto. Potem nastąpił czysty koszmar, statki miotane, kotłowane przez fale wreszcie rozbiły się o przybrzeżne skały, a dla pozostałych przy życiu czas dawno już przestał się liczyć normalnymi sekwencjami minut i godzin.

Simon przejechał rękami po twarzy. Rzęsy miał zlepione słoną wodą, z trudnością mógł otworzyć oczy. Jest ich tu czterech, po chwili dostrzegł na wpół roztrzaskaną głowę, a więc trzech mężczyzn i nieboszczyk.

Z jeden strony rozciągało się morze, teraz dość spokojne, zmywające plątaninę wodorostów przyczepionych do skał. Naprzeciwko sterczała stroma skała, ale Simonowi wydawało się, że dostrzega wystarczającą ilość uchwytów na ręce. Nie miał jednak najmniejszej ochoty próbować tej wspinaczki, ani w ogóle wykonywać jakiegokolwiek ruchu. Przyjemnie było siedzieć i wygrzewać się w cieple słońca po ostrym zimnie wody i sztormu.

– Saaa...

Poruszyła się jedna z postaci na piasku. Długie ramię odepchnęło masę wodorostów. Mężczyzna zakasłał, zwymiotował, podniósł głowę i nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się dokoła. Po chwili kapitan gwardii Estcarpu dostrzegł Simona, patrzył na niego bezmyślnie, zanim usta jego wykrzywiły się w nieudanej próbie uśmiechu.

Koris uniósł się nieco, poczołgał się w stronę skrawka czystego piasku, podtrzymując ciężar ciała głównie na rękach.

na jakieś umówione miejsce kaźni. Czy czekał tu Sammy? Ale Petronius zaświecił już latarkę i błyskał nią zachęcająco.

Alejka była krótka i po chwili znaleźli się na pustej przestrzeni między dwoma wysokimi budynkami. Zamknięty owymi gigantami przycupnął niewielki domek.

– Widzi pan tutaj całkowity anachronizm.

Doktor wetknął klucz do zamka.

– To farma z końca siedemnastego wieku w sercu dwudziestowiecznego miasta. Ponieważ jej prawa są tak niepewne, tkwi jak zmaterializowany duch przeszłości, nawiedzający współczesność. Proszę wejść.

Chwilę później, kiedy Simon grzał się przy kominku, trzymając w ręku napój, który zaoferował mu gospodarz, uświadomił sobie, że opis domu-widma był bardzo słuszny. Dla dopełnienia iluzji, że wkroczył z jednej epoki w drugą, wystarczyłby tylko spiczasty kapelusz z koroną na głowie doktora i szabla u boku samego Simona.

– Dokąd mam się udać? – zapytał.

Petronius przegarnął pogrzebaczem polana w kominku.

– Odjedzie pan o świcie, pułkowniku, wolny i swobodny, tak jak obiecałem. A dokąd – Petronius się uśmiechnął – to dopiero zobaczymy.

– Po cóż czekać aż do świtu?

Petronius, jak gdyby przymuszony, by powiedział więcej niż zamierzał, odłożył pogrzebacz, wytarł ręce w chusteczkę i spojrzał badawczo na swego klienta.

– Ponieważ dopiero o świcie otworzą się drzwi, te, które są przeznaczone dla pana. Może pan się wyśmiewać z tej historii, dopóki pan sam nie pozna prawdy. Co panu wiadomo o menhirach?

Simon odczuł absurdalną radość, że może udzielić odpowiedzi, jakiej jego rozmówca najwidoczniej się nie spodziewał.

– Były to kamienie, ustawione w kręgi przez ludzi prehistorycznych, jak w Stonehenge.

– Czasami ustawiane w kręgi, tak. Ale miały także inne zastosowania.

Petronius mówił teraz z nieukrywanym zapałem, domagając się od słuchacza poważnego potraktowania.

– W starych legendach wymienia się pewne kamienie obdarzone wielką mocą. Na przykład Lia Fail w Tuatha De Danaan w Irlandii. Kiedy wstąpił na ten kamień prawowity władca, głaz wydał głośne okrzyki na jego cześć. Był to kamień koronacyjny owej rasy, jeden z trzech jej wielkich skarbów. A czyż królowie Anglii nie czczą do dziś dnia głazu ze Scone, znajdującego się pod ich tronem? Ale w Kornwalii znajdował się inny kamień, obdarzony mocą – Siege Perilous. Mówiono, że głaz ten potrafi osądzić człowieka, ocenić jego wartość i oddać go jego przeznaczeniu. Podobno król Artur dzięki Merlinowi odkrył tę siłę głazu i umieścił go jako jedno z siedzeń przy Okrągłym Stole. Próbowało usiąść przy owym głazie sześciu z rycerzy króla Artura i wszyscy zniknęli. A potem przyszło dwóch, którzy znali jego sekret, i oni pozostali. Byli to Percival i Galahad.

– Proszę pana – Simon był tym bardziej rozczarowany, że już niemal ośmielił się znowu żywić nadzieję. – Król Artur i rycerze Okrągłego Stołu to bajeczka dla dzieci. Mówi pan tak, jakby...

– ... jakby była to historia prawdziwa? – przerwał mu Petronius. – Ale któż może powiedzieć, co jest historią, a co nią nie jest. Każde słowo, jakie dociera do nas z przeszłości, ubarwione jest i przekształcone przez erudycję, przesądy, a nawet samopoczucie historyka, który zapisał je dla późniejszych pokoleń. Tradycja patronuje historii, a czymże jest tradycja, jeśli nie ustnym przekazem? Jakiemu zniekształceniu mogą ulec owe przekazy w ciągu życia jednej generacji? Nawet pańskie życie uległo całkowitej zmianie w wyniku fałszywych zeznań. A przecież zeznania te znalazły się w aktach, stały się już historią, mimo że są nieprawdziwe. Któż może powiedzieć, że ta opowieść jest legendą, a tamta prawdą? Skąd może mieć pewność, że ma rację? Historię tworzą i zapisują istoty ludzkie, toteż jest ona pełna błędów właściwych naszemu rodzajowi. We wszystkich legendach znajduje się okruch prawdy, wiele ich jest także w przyjętej historii. Wiem o tym, ponieważ Siege Perilous istnieje!

Istnieją również teorie niezgodne z konwencjonalną historią, jakiej uczymy się w dzieciństwie. Czy słyszał pan kiedyś o światach alternatywnych, które mogą się zrodzić z istotnych decyzji? Może w jed-

nym z takich światów właśnie, pułkowniku Tregarth, nie odwrócił pan oczu tamtej nocy w Berlinie? W innym nie spotkał się pan ze mną godzinę temu, ale starał się pan stawić na spotkanie z Sammym!

Doktor kołysał się na piętach, jakby wprawiony w ruch siłą swych słów i przekonań. I trochę na przekór sobie Tregarth zaraził się częścią tego płomiennego entuzjazmu.

– Którą z tych teorii zamierza pan wykorzystać w moim przypadku?

Petronius się roześmiał, znów rozluźniony. – Proszę wysłuchać mnie cierpliwie do końca, nie wmawiając sobie, że słucha pan szaleńca. – Doktor spojrzał na swój ręczny zegarek i przeniósł wzrok na zegar ścienny. – Pozostaje nam jeszcze kilka godzin. A więc...

Simon posłusznie słuchał opowieści niewielkiego człowieczka, które sprawiały wrażenie kompletnych bredni. Ale Simonowi wystarczało, że może wygrzewać się w cieple, popijać alkohol i chwilę odpocząć. Może później będzie musiał wyjść, by spotkać się z Sammym, ale odsuwał w myśli tę ewentualność, starając się skoncentrować na tym, co mówił Petronius.

Łagodny kurant starego zegara trzykrotnie wybił godzinę, zanim doktor skończył mówić. Simon westchnął, może ów potok słów sprawił, że się poddał, ale gdyby tak, były to słowa prawdziwe! A poza tym, istniała wszak reputacja Petroniusa. Simon rozpiął koszulę i wyciągnął pas z pieniędzmi.

– Wiem, że nikt nie słyszał o Sacarsim i Wolversteinie, od czasu, gdy kontaktowali się z panem – przyznał.

– Nie, ponieważ przeszli przez swoje drzwi, odnaleźli światy, których zawsze podświadomie szukali. Tak jak panu powiedziałem. Wystarczy usiąść na kamieniu, by przed oczami roztoczyła się egzystencja, w jakiej umysł – duch, jeśli pan chce tak to nazwać – czuje się całkowicie u siebie. Toteż wkracza w ową egzystencję w poszukiwaniu własnego losu.

– Dlaczego pan sam nie spróbował? – To właśnie wydawało się Simonowi słabym punktem całej historii. Jeżeli Petronius posiadał klucz do takich drzwi, dlaczego sam go nie wykorzystał?

– Dlaczego? – Doktor wpatrywał się w swoje tłuściutkie dłonie złożone na kolanach. – Ponieważ stamtąd nie ma powrotu, a tylko desperat wybiera nieodwracalną przyszłość. W naszym świecie zawsze trzymamy się przekonania, że możemy kontrolować swoje życie, podejmować decyzje. Ale tam dokonujemy wyboru, z którego nie można już zrezygnować. Posługuję się słowami, wieloma słowami, choć w tym momencie wydaje się, że nie potrafię dobrać ich odpowiednio, by wyrazić to, co czuję. Wielu było strażników głazu, tylko nieliczni z niego skorzystali. Być może... kiedyś... ale na razie nie mam jeszcze odwagi.

– Więc sprzedaje pan swoje usługi ściganym? Jest to jakiś sposób zarabiania na życie. Lista pana klientów mogłaby być interesującą lekturą.

– To prawda. Zwracali się do mnie po pomoc bardzo sławni ludzie. Zwłaszcza pod koniec wojny. Nie uwierzyłby pan, kto mnie wtedy poszukiwał, kiedy koło fortuny się obróciło...

Simon skinął głową.

– Nie udało się złapać wielu zbrodniarzy wojennych – zauważył. – Pana kamień musi otworzyć dziwne światy, jeśli ta opowieść jest prawdziwa.

Simon wstał i przeciągnął się. Podszedł do stołu, policzył pieniądze, które wydobył z paska. W większości były to stare banknoty, brudne, zatłuszczone, jak gdyby interesy, którym służyły, pozostawiły część swojego brudu na ich powierzchni. W ręku Simona znalazła się pojedyncza moneta. Rzucił ją w powietrze i poczekał aż spadnie na wypolerowaną powierzchnią drewna. Opadła orłem do góry. Przez chwilę Simon przyglądał się monecie, potem znowu wziął ją do ręki.

– Tę zabieram ze sobą.

– Na szczęście? – Doktor pracowicie układał banknoty w regularny stos. – Wobec tego, niech ją pan zatrzyma, człowiek nigdy nie ma zbyt wiele szczęścia. A teraz, choć nie lubię poganiać odchodzącego gościa, ale moc kamienia jest ograniczona. Najważniejsze jest wybranie odpowiedniego momentu. Tędy, proszę.

Mógłby prowadzić mnie do dentysty czy na zebranie zarządu, pomyślał Simon. Może głupotą było słuchanie tego człowieka.

Deszcz przestał padać, ale na kwadratowym dziedzińczyku za starym domem było jeszcze ciemno. Petronius nacisnął kontakt i łagodne światło zalało dziedziniec. Trzy szare kamienie tworzyły łuk, znajdujący się zaledwie kilka cali nad głową Simona. Przed łukiem leżał czwarty kamień, podobnie jak inne

nie wznoszono już ołtarzy od tysiąca lat. Ich dawna moc rośnie! Gdzie jest wyjście? Musimy je znaleźć, dopóki jest to jeszcze możliwe.

– To twoje światło... – Loyse zamknęła oczy próbując odtworzyć w pamięci topografię miejsca, tak jak wcześniej wyszukała w pamięci wszystkie ukryte przejścia. – Tutaj! – znów otworzyła oczy i ruszyła przed siebie.

Krok po kroku kobieta posuwała się we wskazanym kierunku, a światełko kamienia, zgodnie z przewidywaniami Loyse, poruszało się wraz z nią. Po prawej stronie wznosiły się szerokie i nieociosane stopnie. Loyse wiedziała, że prowadzą one do płaskiego bloku z jakimiś ponurymi wgłębieniami, który znajdował się bezpośrednio pod otworem w górze, tak że czasami przenikało doń światło słońca lub księżyca.

Wzdłuż tej platformy, uformowanej z szerokich stopni, przeczołgały się do najdalszej ściany. W świetle kamienia widać było skrawek ziemi za furtką Loyse. Ryzykowne byłoby wspinanie się po tej mieszaninie kamienia i gliny w takiej ciemności, ale zdecydowany głos czarownicy podziałał na dziewczynę.

Wspinaczka okazała się rzeczywiście trudna. Choć jej towarzyszka nic nie mówiła, Loyse zdawała sobie sprawę, że przy jej popuchniętych rękach musiało to być torturą. Kiedy tylko mogła, podciągała i popychała kobietę, przytrzymując ją mocno, gdy ziemia uciekała im spod stóp, co groziło ponownym upadkiem na dno groty. I wreszcie znalazły się na trawie, powietrze pachniało solą, szara poświata na niebie świadczyła, że noc dobiega kresu.

– Morze czy ląd? – zapytała kobieta. – Czy szukasz statku przy brzegu, czy też zawierzymy naszym nogom i skierujemy się w stronę wzgórz?

Loyse usiadła. – Ani jedno, ani drugie – powiedziała krótko. – Tutaj kończą się pastwiska położone pomiędzy morzem i twierdzą. O tej porze roku pasą się tu wierzchowce. A w chacie w pobliżu furtki znajduje się uprząż. Tyle że może być strzeżona.

Czarownica roześmiała się. – Jeden strażnik? Cóż to znaczy tej nocy, czy raczej tego ranka, wobec dwóch zdeterminowanych kobiet i ich nieodpartego postanowienia. Pokaż mi tylko tę chatę z uprzężą, a dostaniemy się do niej bez względu na strażnika.

Przeszły przez skraj pastwiska. Loyse wiedziała, że konie będą w pobliżu szałasu, gdzie dwa dni przed sztormem ustawiono dwa bloki soli. Po wyjściu z pieczary kamień przestał świecić, musiały więc po omacku szukać drogi.

Nad drzwiami paliła się latarnia i Loyse dostrzegła spacerujące w pobliżu konie. Nie interesowały ją ciężkie wierzchowce przeznaczone dla jeźdźców w zbroi. Ale były tam także mniejsze koniki z długą sierścią, używane do polowań w górach, znacznie bardziej wytrzymałe od droższych koni, które Fulk trzymał dla siebie.

W kręgu światła latarni stanęły właśnie dwa takie kucyki, jakby przywołane myślą Loyse. Wydawały się jakieś nieswoje, kręciły głowami aż stargane grzywy opadły im na szyje, ale podeszły. Loyse położyła na ziemi torby, cicho gwizdnęła. Ku jej uciesze koniki zbliżyły się, parskając, z grzywami na oczach, pęki gęstej zimowej sierści sprawiały, że w świetle wstającego dnia kucyki wyglądały jak cętkowane.

Żeby tylko dały się złapać, kiedy już będzie uprząż! Obeszła koniki wolnym krokiem i zbliżyła się do chaty. Nie było śladu strażnika. Czyżby opuścił posterunek z powodu uczty? Gdyby Fulk się o tym dowiedział, równałoby się to wyrokowi śmierci.

Loyse pchnęła skrzypiące drzwi. Zajrzała do wnętrza pachnącego końmi, oliwioną skórą, ale także mocną wódką, jaką chłopi produkują z miodu i ziół, której trzy szklanki uśpiłyby nawet Fulka. Pod butem Loyse przewrócił się dzbanek, z którego wysączyła się powoli gęsta ciecz. Stróż pastwiska chrapał głośno na wiązce słomy.

Dwie uzdy, dwa lekkie siodła, jakich używają myśliwi i spieszni posłańcy. Łatwo było je zdjąć z haków i z półki. Po chwili Loyse była z powrotem na pastwisku, zamknąwszy za sobą drzwi.

Konie stały spokojnie, kiedy nakładała im uzdy i zapinała siodła, najciaśniej jak potrafiła. Obydwie kobiety dosiadły koni i kiedy znalazły się na jedynym szlaku prowadzącym z Verlaine, czarownica zapytała już po raz drugi:

– Dokąd jedziemy, żołnierzyku?

– W góry. – Większość konkretnych planów Loyse dotyczyła jedynie szczegółów ucieczki z Verlaine.

– Nie jestem księżną Karsten, pani. Och tak, wypowiedziałam dziś rano takie słowa w obecności wysłanników Yviana, którzy potem oddawali mi cześć na kolanach. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie, jaką torturą było to dla Sirica. – Nie wybierałam Yviana. Ten ślub odpowiadał mi, bo mógł umożliwić ucieczkę.

– A jednak przyszłaś mi z pomocą. – Kobieta przyglądała się jej swymi olbrzymimi ciemnymi oczami, aż Loyse pod wpływem tego wzroku ożywiła się.

– Nie mogłam zrobić inaczej! Coś mnie tu zatrzymywało. Może twoje czary, pani?

– Może, może. Na swój sposób zwracałam się do wszystkich w obrębie tych murów, którzy mogliby mi pomóc. Wydaje się, że wspólne jest nam nie tylko niebezpieczeństwo, pani Verlaine, czy raczej – teraz kobieta uśmiechnęła się otwarcie – zważywszy twój strój, panie Verlaine.

– Nazywaj mnie Briant, żołnierz z czystą tarczą – powiedziała Loyse, mając ten tekst przygotowany od dawna.

– Dokąd się udajesz, Briant? Szukać zajęcia w Kars? Na północy będzie zapotrzebowanie na żołnierzy chętnych zaciągnąć się w służbę.

– Estcarp idzie na wojnę?

– Powiedzmy raczej, że wojna przychodzi do niego. Ale to już inna sprawa. – Kobieta wstała. – Możemy omówić ją szczegółowo, kiedy znajdziemy się za tymi murami. Nie mam wątpliwości, że znasz drogę do wyjścia.

Znowu wyszły przez lustrzane drzwi i teraz poruszały się w kompletnej ciemności. Loyse nalegała, by trzymały się prawej ściany i by schodziły powoli. Ściana była mokra, powietrze wypełniał wilgotny zapach morza i zgnilizny. Schodziły coraz niżej, przez mury dochodził przytłumiony odgłos fal. Loyse liczyła stopnie.

– Teraz! Tu jest przejście prowadzące do dziwnego miejsca.

– Dziwnego miejsca?

– Tak. Nie lubię się tu zatrzymywać, ale nie mamy wyboru. Musimy poczekać, aż się rozwidni.

Loyse czołgała się dalej, walcząc z narastającą w niej niechęcią. Już trzykrotnie szła tędy i za każdym razem toczyła tę cichą wojnę z własnym ciałem. Znów poczuła przypływ niepokoju, owo zagrożenie płynące z ciemności, niosące coś gorszego niż tylko urazy cielesne. Ale mimo wszystko posuwała się dalej, ciągnąc za pas swą towarzyszkę.

W ciemności Loyse słyszała ciężki oddech, który nagle umilkł. I wtedy kobieta odezwała się, cichym szeptem, jak gdyby ktoś mógł podsłuchać jej słowa.

– W tym miejscu władają moce.

– To jest dziwne miejsce – upierała się Loyse. – Nie lubię go, ale stąd jest nasza furtka na świat.

Chociaż nic nie widziały, zdały sobie sprawę, że wydostały się z wąskiego przejścia na szerszą przestrzeń. Loyse dostrzegła nad głową jasny punkcik światła, gwiazdę nad skalną szczeliną.

Teraz jednak ukazał się jeszcze jeden słaby blask, który nagle pojaśniał, jakby odsunięto zasłonę. Blask poruszał się tuż nad ziemią – okrągły szary punkt. Loyse usłyszała rytmiczny śpiew, ale nie znała słów. Dźwięk ten wibrował w dziwnie nasyconym powietrzu. Kiedy światełko stało się mocniejsze, Loyse zrozumiała, że rzuca je kamień czarownicy.

Po skórze dziewczyny przebiegły ciarki, powietrze wokół naładowane było energią. Podczas poprzednich wizyt odczuwała strach, starała się więc zatrzymać tu dłużej, by go opanować. Teraz strach ją opuścił i nie potrafiła nawet nazwać uczucia, jakie ją ogarnęło.

Czarownica, widoczna w świetle kamienia, kiwała się z prawej strony na lewo, na jej twarzy malowało się napięcie i zaabsorbowanie. Strumień słów ciągle płynął z jej ust. Loyse nie potrafiłaby powiedzieć, czy była to prośba, spór, intonacja obronna. Wiedziała tylko, że obydwie objęte zostały silną falą energii płynącej ze skał i piasku pod ich stopami, z otaczających je ścian; energii, która drzemała przez stulecia, by teraz nagle się ożywić.

Dlaczego? Co to było? Powoli Loyse wykonała obrót, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność. Co kryło się za słabą plamą światła płynącego z kamienia?

– Musimy iść! – powiedziała rozkazująco czarownica. Jej ciemne oczy były szeroko otwarte, niezręcznie złapała rękę Loyse. – Nie mogę zapanować nad siłami, które są mocniejsze od moich. To jest stare miejsce, ale oddalone od rodzaju ludzkiego i od znanych nam mocy. Czczono tu kiedyś bogów, którym

chropowaty, niekształtny i kanciasty. Z drugiej strony łuku widać było wysoki drewniany płot, niemalowany, przegniły ze starości, nasiąkły miejskim brudem; dalej była już tylko niewielka płaszczyzna mulistej ziemi.

Simon przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, kpiąc z tego, że przed chwilą niemal uwierzył Petroniusowi. Teraz była pora na pojawienie się Sammy'ego, prawdziwy powód honorarium Petroniusa. Ale doktor zajął pozycję z jednej strony głazu i właśnie wskazywał na niego palcem.

– To jest Siege Perilous. Gdyby zechciał pan usiąść, pułkowniku. Już prawie pora.

Wąskie usta Simona wykrzywił pozbawiony humoru uśmiech, jakby podkreślający jego własne szaleństwo; stanął nad kamieniem jak nad koniem na biegunach i stał tak przez chwilę pod kamiennym łukiem zanim zdecydował się usiąść. Okrągłe wgłębienie zapewniało miejsce na biodra. Pełen ciekawości, a także przeczuć, Simon wyciągnął ręce. Owszem, były także dwa mniejsze zagłębienia, w których mógł oprzeć dłonie, tak jak obiecał Petronius.

Nic się nie wydarzyło. Pozostał drewniany płot, skrawek błotnistej ziemi. Simon miał już wstać, kiedy...

– Teraz – głos Petroniusa wymówił słowo, które było na pół wezwaniem.

Wewnątrz kamiennego łuku dało się odczuć wirowanie, jakby topnienie.

Simon spojrzał na pas wrzosowiska pod szarym niebem świtu. Jego włosy rozwiewał świeży wiatr, niosący ożywczy zapach. Coś w duszy Simona zapragnęło pójść za tym wiatrem, aż do jego źródła, pobiec po tym wrzosowisku.

– To pański świat, pułkowniku. Życzę panu wszystkiego dobrego.

Simon skinął głową, nie zainteresowany dłużej niewielkim człowieczkiem, który go przyzywał. Mogło to być złudzenie, ale to, co widział przed sobą, ciągnęło go bardziej niż cokolwiek w życiu. Bez słowa pożegnania Simon podniósł się i przeszedł pod kamiennym łukiem.

Poczuł strach, strach tak silny, że nigdy nie wyobrażał sobie, by mogło istnieć aż tak silne uczucie paniki, gorsze niż ból fizyczny – jak gdyby świat został brutalnie rozerwany na części, a Simon znalazł się w straszliwej nicości. I wtedy padł twarzą na grubą, twardą darń.

Polowanie na wrzosowisku

Światło brzasku nie zapowiadało wschodu słońca, ponieważ gęsta mgła wypełniała powietrze. Simon podniósł się i spojrzał wstecz przez ramię. Stały tam dwa ostre czerwonawe filary skalne, a pomiędzy nimi nie widać było miejskiego podwórka, jedynie to samo szarozielone wrzosowisko ciągnące się w mglistą nieskończoność... Petronius miał rację, to nie był świat, który Simon znał.

Zadrżał. Choć zabrał ze sobą płaszcz, nie miał kapelusza, wilgoć przyklejała włosy do czaszki, przedostawała się na szyję i policzki. Potrzebował schronienia, jakiegoś celu. Powoli rozejrzał się dokoła. Na horyzoncie nie było widać żadnej budowli. Wzruszywszy ramionami Simon postanowił oddalać się od skalnych filarów, w końcu każdy kierunek marszu był równie dobry.

Kiedy Simon z trudem posuwał się po rozmokłym torfowisku, niebo się rozjaśniło, mgła się podniosła, charakter krajobrazu powoli ulegał zmianie. Częściej występowały odkrywki czerwonych skał, falisty grunt wznosił się i opadał bardziej gwałtownie. Simon nie potrafił ocenić, w jakiej odległości przed nim przecinała linię horyzontu przerywana linia, sugerująca wzgórza. Ostatni posiłek zjadł już kilka godzin temu. Zerwał liść z krzaka i żuł go bezmyślnie, liść smakował cierpko, ale nieźle. I wtedy usłyszał odgłosy polowania.

Róg przyzywał kaskadę wznoszących się dźwięków, odpowiadało mu wrzaskliwe szczekanie i pojedynczy, przytłumiony krzyk. Simon zaczął biec truchtem. Kiedy dobiegł do rozpadliny wąwozu, nabrał pewności, że odgłosy dochodzą z drugiej strony i zbliżają się w jego kierunku. Refleks płynący z wyszkolenia w oddziale komandosów kazał mu skryć się między dwoma głazami.

Z gęstwiny krzaków na przeciwległym brzegu wąwozu najpierw wyłoniła się biegnąca kobieta. Jej długie nogi poruszały się spokojnym rytmem, biegła jak ktoś, kto ma za sobą długi pościg, a przed sobą jeszcze bardziej odległy cel. Na skraju wąskiej szczeliny zawahała się, by spojrzeć za siebie.

W słabym świetle brzasku jej szczupłe, jasne ciało, ledwie przykryte strzępami łachmanów, rysowało się na tle szarozielonej roślinności jak w blasku reflektorów. Niecierpliwym gestem odsunęła kosmyki

długich czarnych włosów, przeciągnęła ręką po twarzy i zaczęła torować sobie drogę na krawędzi wąwozu, poszukując ścieżki w dół.

Odezwał się dźwięk rogu, odpowiedziało mu szczekanie psów. Kobieta poruszyła się nerwowo, a Simon wychylił się ze swojej kryjówki i nagle zdał sobie sprawę, że to ona musi być łupem owych ponurych łowów.

Znowu przyklęknął na jedno kolano, kiedy kobieta wyrwała strzęp ubrania zaczepiony na kolcach krzaków. Siła tego niecierpliwego szarpnięcia sprawiła, że ześliznęła się z brzegu wąwozu. Nawet wtedy nie krzyknęła, szukając jedynie rękami oparcia, udało jej się przytrzymać gałęzi krzewu. Kiedy starała się znaleźć miejsce na postawienie nogi, pokazały się psy.

Były to chude, białe stworzenia, a ich szczupłe ciała poruszały się z niemal bezkostną płynnością, kiedy pojawiły się na szczycie. Spuściwszy ostro zakończone nosy w dół, w kierunku kobiety, zawyły triumfalnym, zawodzącym jękiem.

Kobieta obracała się, dokonując szaleńczych prób znalezienia oparcia dla stopy na wąskiej półce po prawej stronie, która mogła dopomóc jej w odkryciu drogi na dno doliny. I może by jej się to udało, gdyby nie nadjechali myśliwi.

Byli na koniach, a ten, który miał przewieszony przez ramię róg, pozostał w siodle, podczas gdy jego towarzysz zsiadł i szybkim krokiem zmierzał na skraj wąwozu, odkopując i odpychając psy znajdujące się na jego drodze. Kiedy dostrzegł kobietę, sięgnął ręką do pochwy przy pasie.

Kobieta na jego widok poniechała daremnych wysiłków dostania się na występ skalny i uwieszona na krzaku uniosła swą pozbawioną wyrazu twarz do góry. Myśliwy uśmiechnął się. Wyciągając z pochwy broń najwyraźniej rozkoszował się bezbronnością ofiary.

W tym momencie kula z rewolweru Simona pozbawiła go życia. Zachwiał się i z krzykiem wpadł do wąwozu.

Zanim umilkło echo wystrzału i krzyku, drugi myśliwy zdążył się ukryć, co pozwoliło Simonowi wyrobić sobie opinię o przeciwniku. Tymczasem psy jakby oszalały, biegając dziko we wszystkie strony, a ich wrzaskliwe ujadanie wypełniło okolicę.

Kobieta dokonała ostatniego wysiłku i znalazła oparcie dla stóp na występie skalnym. Pospiesznie opuszczała się w dół wąwozu, kryjąc się wśród skał i krzaków porastających jego zbocza. Simon dostrzegł błysk w powietrzu. Tuż obok miejsca, w którym przykucnął, by oddać strzał, kołysała się wbita w ziemię niewielka strzała. Drugi myśliwy podjął walkę.

Przed dziesięcioma laty Simon uprawiał takie zabawy niemal na co dzień i rozkoszował się nimi. Teraz odkrył, że niektóre odruchy ciała i mięśni trudno jest zapomnieć. Prześliznął się w gęściejsze zarośla. Psy zaczynały być zmęczone, niektóre wyciągnęły się na ziemi i leżały dysząc ciężko. Teraz była to już tylko sprawa cierpliwości, a tej Simon miał w nadmiarze. Zauważył drgania zarośli i wystrzelił po raz drugi. Odpowiedział mu krzyk.

Kilka minut później, zaalarmowany trzaskiem gałązek podpełznął do skraju wąwozu i znalazł się twarzą w twarz z kobietą. Ciemne oczy, osadzone ukośnie w trójkątnej twarzy, przyglądały mu się z nieco peszącą intensywnością. A kiedy zacisnął dłoń na jej ramieniu, by pociągnąć ją głębiej w zarośla, poczuł wszechmocną obecność niebezpieczeństwa, nieodpartą potrzebę ucieczki przez wrzosowisko. Bezpiecznie było tylko poza wrzosowiskiem, w kierunku, z którego przybył.

To wewnętrzne ostrzeżenie było tak silne, że Simon nawet nie zdawał sobie sprawy, kiedy przeczołgał się pomiędzy skałami, podniósł się i zaczął biec, próbując zrównać swój krok z krokiem kobiety. Ujadanie psów dochodziło coraz ciszej.

Choć kobieta musiała już przebiec wiele mil, Simon z trudem dotrzymywał jej kroku. W końcu dobiegli do miejsca, gdzie wrzosowiska ustępowały błotnistym jeziorkom, obrośniętym wysokimi do pasa chwastami. Poranny wiatr znowu przyniósł daleki odgłos nawoływania rogu. Na ten dźwięk kobieta roześmiała się i spojrzała na Simona tak, jakby zachęcała go do dzielenia z nią jakiegoś dowcipu. Wskazała na błotniste łaty gestem oznaczającym, że tam będą bezpieczni.

Jakieś ćwierć mili przed nimi mgła kłębiła się i wirowała, nabierała gęstości, rozciągała się w poprzek drogi. Za taką zasłoną mogą być bezpieczni, ale mogą też zgubić kierunek. Mgła wydobywała się jakby z jednego źródła, co wydawało się Simonowi dziwne.

Tylko oczy Hunolda pozostawały żywe, zdziczałe nienawiścią i rosnącym strachem, jednak ręka nie przestawała zataczać kół, a on sam nie mógł oderwać wzroku od matowego kamienia. Jego ramię drgnęło. Z niewielkiej odległości, jaka ich dzieliła, Loyse wyczuwała mękę jego bezowocnej walki. Już nie chciał zabijać, pragnął tylko uciec. Ale dla lorda komandora z Karsten nie było ucieczki.

Koniec lufy dotknął miękkiej, nie owłosionej, białej skóry torsu, w miejscu gdzie zaczyna się szyja. Hunold cichutko jęczał, niby zwierz w pułapce, zanim trzasnął spust.

Plując krwawą pianą, mężczyzna zatoczył się. Kobieta usunęła się zwinnie, pociągając za sobą Loyse. Hunold upadł na łóżko. Z kolanami na podłodze wyglądał jak pokutnik.

Po raz pierwszy kobieta spojrzała na Loyse. Spróbowała podnieść obrzmiałą i zmaltretowaną rękę do ust, może by potrzymać kamień. A kiedy jej się to nie udało, wciągnęła z powrotem kamień do ust, rozkazującym gestem głowy wskazując na otwór w ścianie.

Loyse nie była już tak całkiem pewna siebie. Przez całe życie wysłuchiwała historii o magii mieszkanek Estcarpu. Ale były to tylko opowieści nie wymagające od słuchacza pełnej wiary. Kiedy ubierała się do ślubu, Bettris opowiedziała jej o tajemniczym zniknięciu floty przy brzegu. Loyse była jednak tak zaabsorbowana swoimi obawami i planami, że uznała całą historyjkę za grubą przesadę.

To, czego była świadkiem, przechodziło jej wyobrażenia, wzdragała się na myśl o kontakcie z czarownicą, toteż potykając się w drodze do otworu w murze marzyła tylko o tym, żeby starczyło jej odwagi na zamknięcie drzwi i oddzielenie się od tamtej bezpieczną przegrodą ściany. Jednak kobieta szła za nią ze zwinnością świadczącą, że mimo brutalnego traktowania, ma jeszcze niespożyte zasoby energii.

Loyse nie miała ochoty zatrzymywać się przy zwłokach Hunolda. Nie była też pewna, czy Fulk pozbawiony swej rozrywki, nie wpadnie tu lada moment. A jednak z jakimś wewnętrznym oporem zatrzasnęła sekretne drzwi. Ciało jej przeszedł dreszcz, kiedy kobieta dotknęła ją jedną z tych swoich bezużytecznych rąk, pytając w ten sposób o drogę. Loyse złapała palcami za pas, który ciągle jeszcze przytrzymywał poszarpane szaty czarownicy i pociągnęła ją za sobą.

Kierowała się do swojego pokoju. Pozostało tak niewiele czasu. Gdyby Fulk poszedł za lordem komandorem, gdyby tak do pokoju Hunolda wkroczył służący, czy nawet gdyby ojciec z jakiegoś powodu przysłał po nią! Bez względu na czarownicę musi opuścić Verlaine przed świtem. Zdecydowana dotrzymać postanowienia, holowała kobietę wzdłuż ciemnych korytarzy.

Kiedy jednak znalazły się w oświetlonym pomieszczeniu, Loyse nie mogła pozostać tak nieczuła, jak jej podpowiadał pośpiech. Znalazła miękką szmatkę, żeby przemyć i zabandażować rany na nadgarstkach kobiety. Pozwoliła jej także wybrać ubranie ze swojej szafy.

Kobieta w końcu na tyle opanowała własne ciało, że mogła złożyć ręce pod wystającym podbródkiem. Wzięła w nie kamień z ust. Najwyraźniej nie chciała, by Loyse dotknęła kamienia, dziewczyna zresztą odważyłaby się to zrobić jedynie za obietnicą wolności.

– Proszę mi to założyć na szyję – kobieta odezwała się po raz pierwszy.

Loyse otworzyła zameczek łańcuszka i zapięła go poniżej poszarpanych końców włosów, które musiały być obcinane równie pospiesznie jak jej własne i prawdopodobnie z tych samych powodów.

– Dzięki, władczyni Verlaine. A teraz, jeśli możesz, poproszę o trochę wody – głos kobiety był szorstki, jakby ocierał się o suchą krtań.

Loyse przytrzymała jej filiżankę.

– Podziękowania są zbyteczne – odpowiedziała Loyse z taką śmiałością, na jaką potrafiła się zdobyć. – Wygląda na to, że masz przy sobie broń równie skuteczną jak stalowe ostrze!

Ponad brzegiem filiżanki oczy czarownicy uśmiechały się. Loyse na ten widok trochę opuściło przerażenie. Ale ciągle jeszcze z goryczą zdawała sobie sprawę, że jest młoda, niezręczna, niepewna.

– Nie mogłam użyć tej broni, dopóki nie odwróciłaś uwagi mojego niedoszłego łóżkowego partnera, szlachetnego lorda komandora. Jest to bowiem broń, której nawet za cenę uratowania sobie życia nie oddałabym w niczyje ręce. Ale dosyć o tym. – Kobieta uniosła ręce, przyjrzała się bandażom. Następnie obejrzała pokój, leżący na podłodze szal z obciętymi włosami, przygotowane na łóżku torby.

– Księżniczko, czyżbyś nie zamierzała jechać do swego małżonka?

Może sprawił to ton jej głosu, a może miała nad Loyse władzę. W każdym razie dziewczyna od razu powiedziała prawdę.

Za nimi była tylko ciemność. Musiała polegać jedynie na swej pamięci, na tych licznych wyprawach, które podejmowała w ciągu ostatnich trzech lat, od kiedy przypadkiem odkryła nowe, ukryte Verlaine, którego istnienia nikt w twierdzy nawet nie podejrzewał.

Zbiegając na dół liczyła głośno stopnie. Potem jedno przejście, w drugim gwałtowny skręt. Dotykała po drodze ścian, by się nie zgubić, starając się odnaleźć jak najkrótszą drogę do celu.

Znów schody, tym razem do góry. I krąg światła na jednej ze ścian, a więc ten pokój musi być zamieszkany. Loyse wspięła się na palce, by zajrzeć do wnętrza. Tak, to jedna z gościnnych sypialni.

Lord Duarte bez długiego płaszcza z futrzanym kołnierzem wyglądał na jeszcze bardziej wysuszonego i jeszcze niższego. Przeszedł właśnie obok łóżka i stanął przed kominkiem, wyciągając ręce do ognia, jego niewielkie usta poruszały się jakby przeżuwał jakieś gorzkie słowa czy myśli, których nie mógł wypowiedzieć.

Loyse poszła dalej. Następny otwór był ciemny, bez wątpienia to pokój Sirica. Przyspieszyła kroku, by dojść do trzeciego otworu, gdzie rysowało się złote kółko światła. Była tak pewna siebie, że nawet nie patrząc w otwór rozpoczęła poszukiwania zasuwki sekretnego wejścia.

Szarpanina, odgłosy walki. Loyse całą siłą nacisnęła ukrytą sprężynę. Sprężyna nie była jednak oliwiona, nie istniały wszak powody, by o nią dbać. Zacięła się. Loyse oparła się plecami o drzwi, położyła dłonie płasko na przeciwległej ścianie wąskiego przejścia i pchnęła całą siłą. Drzwi otworzyły się. Udało jej się nie upaść tylko dzięki temu, że zdążyła chwycić za framugę.

Loyse obróciła się na pięcie i obnażyła miecz z szybkością kogoś, kto długie godziny poświęcił na ćwiczenia. Przerażona twarz Hunolda patrzyła na nią z łóżka, do którego próbował przygwoździć swą walczącą ofiarę. Ze zwinnością zagrożonego kota ześliznął się z łóżka, puścił kobietę i skoczył po pas z bronią wiszący na najbliższym krześle.

Sekretne przejścia

Loyse zapomniała o swym przebraniu. Ale świadomość, że Hunold może widzieć w niej innego mężczyznę, popsuła jej teraz przyjemność. Hunold wyciągnął karabin, choć przeciwnik miał w ręku miecz. Ten odruch był wynikiem wiekowej tradycji. Wahał się jednak, czy celować do intruza, czy do leżącej na łóżku kobiety, która mimo krępujących ją więzów czołgała się w jego kierunku po skotłowanej pościeli.

Loyse, wiedziona raczej instynktem niż świadomym zamiarem, złapała płaszcz Hunolda i rzuciła przed siebie, ratując prawdopodobnie własne życie. Fałdy ciężkiej materii przeszkodziły Hunoldowi dokładnie wycelować i strzała utkwiła w oparciu łóżka, nie w piersi Loyse.

Miotając przekleństwa Hunold odkopał zwoje płaszcza i rzucił się na kobietę. Nawet nie próbowała ucieczki. Stała naprzeciwko niego zachowując dziwny spokój. Rozchyliła wargi i z ust jej wyleciał owalny przedmiot, zakołysał się na krótkim łańcuszku, którego koniec kobieta ciągle jeszcze trzymała w zębach.

Lord komandor nie poruszył się. Jedynie jego oczy pod półprzymkniętymi powiekami śledziły powolny wahadłowy ruch matowego kamienia.

Loyse była już przy nogach łóżka, zatrzymawszy się, by obserwować scenę, która mogła być częścią koszmarnego snu. Kobieta obróciła się, a Hunold wpatrzony w owalny kamień na wysokości jej podbródka, poruszał się w ślad za nią. Teraz kobieta wyciągnęła do Loyse skrępowane ręce, jej ciało tworzyło przegrodę pomiędzy dziewczyną i mężczyzną.

Wzrok Hunolda wędrował w lewo i w prawo, a kiedy kamień przestał się poruszać, on także znieruchomiał. Bezwiednie otworzył usta, a na skroniach u nasady włosów pojawiły się kropelki potu.

Loyse znajdowała się ciągle pod wpływem owego nakazu, który sprawiał, że działała jak pionek w czyjejś grze. Przecięła mieczem sznury krępujące nadgarstki kobiety, skóra pod węzłami była poraniona i purpurowa. Kiedy opadły ostatnie pęta, kobieta bezwładnie opuściła ręce, jakby dłużej nieposłuszne jej woli.

Hunold wreszcie się poruszył. Dłoń, w której trzymał karabin, zatoczyła powolne koło, jakby pod ogromnym ciśnieniem. Jego ciało lśniło od potu, pod opuszczoną dolną wargą zawisła olbrzymia kropla, opadła jak pajęcza nić na ciężko dyszącą pierś.

Kobieta uniosła prawe ramię. Szeroki metalowy pas na jej nadgarstku rzucił w stronę tej mgły snop światła. Drugą ręką wskazała Simonowi, żeby się nie ruszał, wpatrywał się więc w mglistą zasłonę i był niemal pewny, że widzi za nią poruszające się cienie.

Dobiegł do nich krzyk, trudno było rozróżnić słowa, ale brzmiał w nim ton wyzwania. Towarzyszka Simona odpowiedziała dwoma rytmicznymi zdaniami. Kiedy posłyszała odpowiedź, zadrżała. Opanowała się jednak i spojrzała na Simona, wyciągając rękę w niemym wołaniu. Simon schwycił jej rękę i ukrył w swojej ciepłej dłoni odgadując, że zapewne odmówiono jej pomocy.

– Co teraz? – zapytał. Mogła nie rozumieć słów, ale Simon nie miał wątpliwości, że dotarło do niej ich znaczenie. Ostrożnie polizała koniec palca i uniosła w górę, wystawiając go na wiatr zwiewający włosy z jej twarzy. W okolicy szczęki widać było opuchniętą ranę, a ciemne cienie pogłębiały wnęki pod wystającymi kośćmi policzkowymi. Następnie, ciągle z ręką w dłoni Simona, pociągnęła go w lewo, przedzierając się przez cuchnące jeziorka; zielone szumowiny ustępowały pod ich nogami i przylepiały się śluzowatymi plamami do stóp kobiety i przemoczonych spodni Simona.

W ten sposób udało im się obejść bagnisko, a mgła nad błotami wędrowała jakby równolegle z nimi, osłaniając ich bezpieczną kurtyną. Simon odczuwał niewypowiedziany głód, mokre buty obcierały mu stopy, na których tworzyły się pęcherze. Ale nie słyszeli już dźwięku rogu. Może droga przez bagna sprawiła, że psy straciły ślad.

Przewodniczka przeprowadziła Simona przez gąszcz trzcin i znaleźli się na skraju wyżej położonego gruntu, przez który biegło coś w rodzaju drogi, wprawdzie utwardzonej w wyniku używania, ale niewiele szerszej od ścieżki. Jednak teraz mogli posuwać się szybciej.

Musiało już być późne popołudnie, chociaż w owym szaroneutralnym świetle trudno było określać godziny, kiedy droga zaczęła się wznosić. Przed nimi widoczne były czerwone, skaliste zbocza, tak strome jak prymitywnie skonstruowany mur, przedzielone czymś w rodzaju bramy, którą przechodziła droga.

Szczęście opuściło ich, kiedy niemalże dochodzili do owej przegrody. Z trawy na poboczu dróżki wyrwało się niewielkie ciemne zwierzątko, przeleciało między nogami kobiety, która straciła równowagę i runęła na ubitą glinę. Wydała po raz pierwszy dźwięk, krzyk bólu, i złapała się za prawą kostkę. Simon pospiesznie odsunął jej ręce i posłużył się wiedzą zdobytą na polach bitew, by ocenić rozmiary obrażeń. Nie było to złamanie, ale dotyk jego palców sprawił, że kobieta w pewnym momencie gwałtownie wstrzymała oddech. Nie ulegało wątpliwości, że nie będzie mogła iść dalej. I wtedy, po raz kolejny, odezwał się dźwięk rogu.

– No to koniec! – mruknął Simon raczej do siebie niż do swej towarzyszki. Podbiegł do skalistego łuku nad drogą. Dalej trasa wiodła aż do rzeki po równym terenie, bez możliwości znalezienia kryjówki. Na przestrzeni wielu mil jedynym urozmaiceniem powierzchni były skaliste pinakle strzegące drogi. Simon uważnie obserwował skały. Zrzucił palto i przemoczone buty, próbując znaleźć uchwyty dla rąk. Po kilku sekundach doszedł do występu skalnego, który z drogi widoczny był jako ciemniejszy cień. Był jednak wystarczająco szeroki, by zapewnić im schronienie, toteż musieli się nim zadowolić.

Kiedy Simon zszedł na drogę, kobieta czołgała się w jego stronę. Dzięki sile Simona i wspólnej determinacji udało im się wydostać na półkę skalną. Przykucnęli tak blisko siebie w tej wyrobionej wodą i wiatrami szczelinie, że Simon czuł na policzku ciepło przyspieszonego oddechu kobiety. Zauważył, że kobieta nie była ładna. Była zbyt chuda, zbyt blada i wyniszczona. I chociaż ciało jej było prawie nagie, nie budziło w nim ani cienia pożądania. W momencie gdy sobie to uświadomił, zrozumiał także, że kobieta wie, o czym myślał i że to ją w jakiś sposób bawi.

Kobieta przysunęła się do brzegu wgłębienia tak, że dotykali się teraz ramionami, odrzuciła rękaw płaszcza i oparła rękę z szeroką bransoletką na kolanie Simona. Od czasu do czasu pocierała palcami owalny kryształ osadzony w owej metalowej bransolecie.

Poprzez zawodzenie wichru dawał się słyszeć róg i odpowiadające mu psy. Simon wyciągnął automat. Palce kobiety szybko dotknęły broni, jakby chciała tym dotknięciem odkryć jej charakter. Skinęła głową, kiedy spośród drzew na drodze wyłoniły się białe kropki psów. Za psami pojawiło się czterech jeźdźców, którym Simon bacznie się przyglądał.

Sposób, w jaki się pojawili, świadczył o tym, że nie spodziewali się kłopotów. Może nie znali jeszcze losu swoich kolegów nad wąwozem, może przypuszczali, że w dalszym ciągu ścigają jedną tylko ofiarę.

Simon łudził się, że tak właśnie było.

Jeźdźcy mieli na głowach metalowe hełmy z postrzępionymi grzebieniami, z których opuszczały się dziwne przyłbice, mające zakrywać górną połowę twarzy. Ich ubiory, sznurowane od pasa do szyi, przypominały zarazem koszulę i kaftan. Mieli pasy szerokości dobrych dwudziestu cali podtrzymujące broń w olstrach, noże w pochwach, a także różne torebki i ekwipunek, którego przeznaczenia Simon nie potrafił odgadnąć. Nosili dopasowane spodnie i długie buty ze szpicami po zewnętrznej stronie. Całość sprawiała wrażenie munduru, bo wszystkie ubrania, jednakowo skrojone, były z niebieskozielonego materiału, a na prawej piersi koszulo-żakietów widniały te same symbole.

Smukłe psy o wężowych głowach przetoczyły się przez drogę i rzuciły się do stóp skały, niektóre stanęły na tylnych łapach, skrobiąc przednimi powierzchnię poniżej skalnej półki. Simon, pomny na cichy lot strzały, wypalił pierwszy.

Przywódca myśliwych zachwiał się i zsunął z siodła, ale noga pozostała mu w strzemieniu, toteż galopujący koń powlókł bezwładne ciało wzdłuż drogi. W momencie gdy Simon oddawał drugi strzał, rozległ się krzyk. Mężczyzna próbujący się skryć złapał się za ramię, a tymczasem koń, ciągle wlokąc za sobą trupa pogalopował za bramę skalną na nadrzeczną równinę.

Szczekanie psów umilkło. Legły zdyszane u stóp skały, tylko ich oczy rzucały blaski. Simon przyglądał się im z rosnącym zaniepokojeniem. Znał psy wojenne, widział jak były wykorzystywane w charakterze strażników obozów. Te olbrzymie zwierzęta potrafiły zabijać, widać to było ze sposobu, w jaki oczekiwały na ofiarę. Mógłby wystrzelać je po kolei, ale nie miał odwagi marnować amunicji.

Dzień chylił się już ku upadkowi. Simon zdawał sobie sprawę, że w kompletnych ciemnościach szybko nadchodzącej nocy sytuacja będzie jeszcze gorsza. Wiatr przesycony wilgocią z bagnisk wdzierał się nieprzyjemnym chłodem na skalną półkę.

Simon poruszył się, jeden z psów poderwał się gwałtownie i oparłszy się przednimi łapami o skały zawył ostrzegawczo. Palce kobiety zacisnęły się na ramieniu Simona, zmuszając go do zajęcia poprzedniej pozycji. Po raz drugi otrzymał informację za pomocą dotyku. Choć sytuacja wydawała się beznadziejna, kobieta nie traciła odwagi. Domyślił się, że na coś czekała.

Czy potrafiłaby się wdrapać na szczyt skarpy? W ciemności dostrzegł, jak kobieta potrząsnęła nieuczesaną głową, jakby odgadła jego myśl. Psy znów leżały spokojnie u stóp stromej skały, obserwując czujnie znajdujące się ponad nimi ofiary. Ich panowie musieli być gdzieś w pobliżu, planując głębsze okrążenie uciekinierów. Simon wpatrywał się w zapadający zmierzch. Zdawał sobie sprawę, że jest świetnym strzelcem, ale warunki zmieniały się gwałtownie na korzyść myśliwych.

Mocno ściskał automat próbując posłyszeć najlżejszy dźwięk. Kobieta poruszyła się, zagryzieniem warg powstrzymała krzyk, z trudem łapała oddech. Nawet gdyby nie trąciła go energicznie w ramię i tak by na nią spojrzał.

W odchodzącym świetle dnia jakiś cień poruszył się na skraju półki. Kobieta wyszarpnęła Simonowi broń i zdecydowanym ruchem przycisnęła rękojeść do owej pełzającej rzeczy.

Wysoki pisk umilkł gwałtownie. Simon wyrwał kobiecie broń i dopiero kiedy poczuł, że jest bezpieczna w jego ręku, spojrzał na przetrącone, wyjące stworzenie. Spiczaste zęby, białe i osadzone w płaskiej wąskiej głowie, porośnięty futrem tułów, czerwone oczy, w których błyszczało coś, co przeraziło Simona – inteligencja w zwierzęcej czaszce. Stworzenie zdychało, ale jeszcze próbowało dosięgnąć kobiety, zza błyszczących kłów wydobywał się ledwo dosłyszalny syk, a każda linia poprzetrącanego ciała wyrażała zło.

Z pełnym obrzydzeniem Simon wyciągnął nogę, przewrócił stworzonko na bok i zepchnął w dół, pomiędzy psy.

Zobaczył, jak się rozpierzchły i przylgnęły do ziemi, jakby rzucił pomiędzy nie odbezpieczony granat. Niepokój psów, ich nagłe rozpierzchnięcie się – zgrupowały się teraz o kilka jardów dalej – zdawałyby się świadczyć o czymś przeciwnym. Jeżeli nawet polowały z pomocą owego zdechłego stworzenia, to nie z własnego wyboru. Przyjmując to jako kolejną tajemnicę świata, w który dobrowolnie wkroczył, Simon przygotowywał się do bezsennej nocy. Jeżeli milczący atak niewielkiego stworzenia był następnym posunięciem oblegających, to teraz mogą uderzyć otwarcie.

Jednak w miarę gęstnienia ciemności nie dochodziły z dołu żadne odgłosy, które można by interpretować jako oznaki planowanego ataku. Psy znów ułożyły się półkolem u stóp skały, widoczne jedynie

Teraz już trzeba iść! Loyse wiedziała, że w skórze, kolczudze i w płaszczu podróżnego jest tylko jednym spośród wielu cieniów w zamglonych winem oczach biesiadników, że przez chwilę jest bezpieczna. A poza tym było tak zimno, zimniej niż wtedy, kiedy mróz malował na murach swoje rysunki, a przecież zbliża się wiosna! Loyse postąpiła krok, potem drugi, zanim ów milczący rozkaz, który kazał jej przyjść na galerię, przywołał ją znów do balustrady.

Hunold właśnie się pochylił i mówił coś do jej ojca. Cieszył się względami księcia, nic dziwnego, że wzbudził zainteresowanie Bettris. Jego lisia twarz z lisią grzywą włosów była równie czerstwa jak twarz Fulka. Wykonał jakiś gest rękami, na co Fulk odpowiedział wybuchem śmiechu, którego echo dobiegło uszu Loyse.

Na twarzy Bettris pojawił się nagle wyraz konsternacji. Złapała za leżący na poręczy fotela rękaw stroju Fulka i coś mówiła, ale Loyse nie dosłyszała słów. Fulk nawet nie odwrócił głowy. Odepchnął ją zwiniętą pięścią tak, że padła na ziemię za krzesłem.

Lord Duarte wstał, odstawił swój kielich. Cienką białą dłonią z wyraźną siateczką niebieskich żył, poprawił futrzany kołnierz swej szaty, jakby jedyny w całym towarzystwie odczuwał ten sam chłód, który paraliżował Loyse. Wypowiedział coś powoli, ale nie ulegało wątpliwości, że były to słowa protestu. Również ze sposobu, w jaki odwrócił się od stołu, wynikało, że nie spodziewa się ani uprzejmej odpowiedzi, ani zgody ze strony swoich kompanów.

Hunold roześmiał się, a Fulk zabębnił palcami po stole dając znak podczaszemu, podczas gdy najstarszy z wysłanników księcia szedł wzdłuż stołów mniej ważnych gości w niższej części hallu, zmierzając w stronę schodów prowadzących do jego apartamentów.

Przy zewnętrznych drzwiach do hallu nastąpiło jakieś zamieszanie. Nagle weszli uzbrojeni i opancerzeni mężczyźni, a biesiadnicy rozstępowali się robiąc im drogę do podwyższenia. Gwar milkł, w miarę jak strażnicy z więźniem zbliżali się do Fulka. Loyse wydawało się, że poszturchiwali mężczyznę, którego ręce związane były na plecach. Nie mogła jednak odgadnąć, dlaczego uznali za stosowne narzucić mu na głowę worek, tak że posuwał się po omacku, nie reagując na szyderstwa.

Fulk machnął ręką, opróżniając stół pomiędzy sobą i Hunoldem. Przy okazji zrzucił puchar lorda Duarta, resztki wina oblały Sirica, na którego gorące protesty nikt nie zwracał uwagi. Władca Verlaine wyjął z kieszeni dwa krążki, rzucił w powietrze, pozwalając im przez chwilę toczyć się po stole, zanim się zatrzymały w taki sposób, że dało się odczytać napisy. Potem pchnął je w kierunku Hunolda, dając mu pierwszeństwo rzutu.

Lord komandor pozbierał krążki, obejrzał je ze śmiechem i rzucił. Głowy obydwu mężczyzn pochyliły się nad stołem, po chwili Fulk przygotował się do rzucenia krążków. Bettris, niepomna ostrej reprymendy, przysunęła się do stołu i wpatrywała się w toczące się krążki z taką samą uwagą jak mężczyźni. Kiedy krążki zatrzymały się, Bettris znów oparła się o poręcz krzesła Fulka, jakby rezultat zakładu przydał jej odwagi. Fulk tymczasem roześmiał się i skłonił kpiąco swemu gościowi.

Hunold podniósł się i podszedł do końca stołu. Krąg otaczający więźnia rozstąpił się, kiedy Hunold zatrzymał się przed zakapturzoną postacią. Nawet nie próbował ściągnąć worka z głowy jeńca, pociągnął jedynie za splamiony skórzany kaftan, próbując rozwiązać sznury podtrzymującego wiązania. Gwałtownym szarpnięciem rozerwał kaftan aż do pasa, co spotkało się z głośnym aplauzem zebranych.

Lord komandor patrząc na roześmiane twarze mężczyzn schwycił uwięzioną kobietę. Przerzucił ją sobie przez ramię z siłą zadziwiającą przy jego niezbyt mocnej posturze i skierował się w stronę schodów. Fulk przyłączył się do protestów wszystkich, którzy poczuli, że pozbawia się ich dalszej rozrywki, ale Hunold kontynuując swój marsz jedynie pokręcił przecząco głową.

Czy Fulk pójdzie za nim? Loyse już na to nie czekała. Jak da radę Fulkowi, nawet Hunoldowi? I dlaczego nagle wśród wszystkich nieszczęsnych ofiar Fulka i jego świty ta jedna skłoniła Loyse do pomocy? Choć starała się walczyć ze świadomością, że musi coś zrobić, nogi niosły ją bezwiednie, zmuszały do działania wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Raz jeszcze pobiegła do swego pokoju, stwierdzając, że w nowym przebraniu znacznie łatwiej się poruszać niż w szatach właściwych jej płci. Raz jeszcze zasunęła potrójne rygle, zrzucając płaszcz i nie zwracając uwagi na widoczne w lustrze odbicie smukłego młodzieńca w kolczudze. Zanim się spostrzegła, stała znów pod drzwiami.

Ze względu na panujące zimno Loyse szła szybkim krokiem po galerii głównego hallu, stanowiącego serce twierdzy. Stała podczas toastów, ale nie zareagowała na pobożne życzenia szczęścia w nowym życiu! Szczęścia! To nie mieściło się w planach Loyse. Chciała tylko mieć wolność.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi swego pokoju i zasunęła trzy rygle, które wytrzymałyby nawet uderzenia tarana, zabrała się do pracy. Zdjęła ozdoby z szyi, głowy, uszu i palców i ułożyła je na kupkę. Zdjęła długą, obszytą futrem szatę. I wreszcie stanęła przed lustrem na rozłożonym na podłodze szalu, zbyt podekscytowana, by czuć chłód wiejący od kamiennych ścian, a rozpuszczone włosy otulały jej nagie ciało aż do bioder.

Bezlitośnie obcinała wielkimi nożycami kosmyk po kosmyku, rzucając długie pasma na rozłożony szal. Najpierw skróciła włosy tak, by sięgały do nasady szyi, a potem już wolniej i bardziej niezręcznie strzygła je króciutko na taką długość, jakiej można się spodziewać pod wojennym hełmem. Z ogromnym namaszczeniem stosowała teraz sztuczki, które tak ją mierziły w zaleceniach Bettris. Starannie smarowała roztworem sadzy jasne brwi i krótkie gęste rzęsy. Tak bardzo zajęła się szczegółami, że zapomniała o całości. Cofając się teraz trochę od zwierciadlanej tarczy, krytycznie wpatrywała się w swoje odbicie, absolutnie zaskoczona tym, co zobaczyła.

Podniosło ją to na duchu, była przekonana, że gdyby nagle znalazła się w wielkim hallu na dole, Fulk z pewnością by jej nie rozpoznał. Podbiegła do łóżka i zaczęła nakładać na siebie rzeczy, które z taką starannością przygotowywała. Pas z bronią dokładnie przylegał do bioder. Sięgnęła po przytroczane do siodła torby. Ale jej ręce poruszały się dziwnie wolno. Dlaczego tak nie miała ochoty opuścić Verlaine? Przebrnęła przez całodzienne uroczystości, ukrywając swoje prawdziwe zamiary, myśląc o nich jak o niezwykłym skarbie. Wiedziała, że ta uczta była najlepszym parawanem dla jej ucieczki. Loyse wątpiła, by tej nocy jakikolwiek strażnik wewnątrz i na zewnątrz twierdzy szczególnie gorliwie wypełniał swe obowiązki. A ponadto znała sekretne wyjście.

A jednak coś ją powstrzymywało, traciła cenne minuty. Miała tak nieprzepartą ochotę powrócić na galerię, przyjrzeć się stamtąd ucztującym, że nawet nie zdała sobie sprawy, kiedy podeszła do drzwi.

Co powiedziała dziewczyna? Ktoś przybywa na skrzydłach sztormu, nie trać swojej szansy, Loyse z Verlaine, wykorzystaj ją! Dobrze, to była właśnie jej szansa i zamierzała ją wykorzystać z całą mądrością, jakiej nauczyło jej życie w domu Fulka.

A przecież, kiedy się poruszyła, to nie skierowała się w stronę tych swoich sekretnych przejść, o których Fulk i jego ludzie nie mieli pojęcia, tylko podeszła bezwiednie do drzwi. I nawet, kiedy próbowała walczyć z instynktem i tą bezsensowną niechęcią, jej ręka nieświadomie odsunęła rygle i Loyse znalazła się w hallu, obcasy jej wysokich butów stukały po stopniach schodów prowadzących na galerię.

Ciepło panujące w centrum twierdzy zdawało się nie ogrzewać jej górnych regionów, podobnie też hałas panujący na dole dochodził do Loyse, na galerię, jako jednolity szum, w którym nie wyróżniał się żaden głos, takt pieśni czy poszczególne słowa. Mężczyźni pili, jedli, a wkrótce zaczną myśleć o innych przyjemnościach. Loyse wzdrygnęła się, ale wciąż pozostawała na galerii wpatrzona w siedzących przy głównym stole, jakby niezbędne dla niej było pilnowanie ich poruszeń.

Siric, któremu w kaplicy udało się przez moment osiągnąć coś w rodzaju dostojeństwa, choć może to tylko szaty ceremonialne przyoblekły w ten chwilowy pozór godności jego rozdęte ciało, znów stał się samym brzuchem, wpychał do ust niekończące się dania, mimo że pozostali biesiadnicy dawno już zajęli się wyłącznie winem.

Bettris nie miała prawa do miejsca przy stole dopóki Loyse nie opuściła hallu i wiedziała dobrze o swej pozycji, bo Fulk z niewiadomych powodów upierał się przy zachowywaniu pozorów. Teraz czekała na swą szansę. Wystrojona w krzykliwą broszę ze skrabca, opierała się o poręcz wysokiego krzesła swego kochanka gotowa na jego skinienie. Ale Loyse zauważyła, a wszystko docierało do niej znacznie wyraźniej, bo była zwykłym obserwatorem, że Bettris od czasu do czasu rzucała badawcze spojrzenia na Hunolda. Jej krągłe pulchne ramię, okolone głęboką czerwienią sukni, jeszcze podkreślało to wyczekiwanie na względy obecnych.

Lord Duarte siedział pochylony, zajmując zaledwie trzy czwarte olbrzymiego gościnnego krzesła, wpatrując się kielich, jakby na jego dnie wyczytywał jakąś informację, której wolałby nie znać. Prosty krój jego śliwkowej szaty, wyostrzenie starczych rysów twarzy nadawały mu wygląd żebraka w tym bogatym zgromadzeniu, zresztą nawet nie udawał, że owa uczta sprawia mu przyjemność.

dzięki białej sierści. Tregarth ponownie pomyślał o wdrapaniu się na szczyt skał; mogliby nawet przeprawić się na drugą stronę owego rumowiska, gdyby pozwoliła na to noga kobiety.

Kobieta poruszyła się, kiedy było już niemal zupełnie ciemno. Jej palce pozostały przez chwilę na nadgarstku Simona, potem ześliznęły się i przytrzymała je w jego dłoni. Napięcie i nasłuchiwanie podszepnęły mu, o co chodzi. Kobieta prosiła o nóż! Uwolnił się z jej uścisku i wydobył składany nóż, który natychmiast mu wyszarpała.

Tego, co działo się potem Simon nie rozumiał, ale miał na tyle zdrowego rozsądku, by nie interweniować. Zamglony kryształ w bransolecie kobiety rzucał słaby blask. W tym nikłym świetle Simon dostrzegł ostrze noża wbijające się w opuszek kciuka jego towarzyszki. Na skórze pojawiła się kropla krwi, kobieta potarła nią kryształ i gęsty płyn zaciemnił na moment światło rzucane przez kamień. I wtedy w owalu kryształu pojawił się jaśniejszy błysk, promień ognia. Kobieta zaśmiała się, tym razem z wyraźną satysfakcją. W ułamku sekundy kryształ zmatowiał. Kobieta położyła ręce na pistolecie Simona i z tego gestu odczytał kolejną info.:nację. Broń nie będzie już potrzebna, nadejdzie pomoc.

Simon wstępuje na służbę

Ostra błyskawica oświetliła niebo tuż nad skałą. Rozległ się silny grzmot, zapowiadający tak dziką walkę żywiołów, nieba, ziemi, wiatru i burzy, jakiej Simon nie widział nigdy dotąd. Czołgał się po polach bitew, gnany strachem rozpętanej przez ludzi wojny, ale to w jakiś sposób było gorsze, może w wyniku świadomości, że nie ma kontroli nad owymi błyskami, grzmotami, płomieniami.

Skała drgnęła i jakby zapadła się pod nimi, kiedy przytulali się do siebie jak przestraszone zwierzątka, zamykając oczy po każdym grzmocie. Ryki żywiołów nie ustawały, nie był to jednak normalny łoskot burzy, ale jakby bicie ogromnego bębna, którego rytm wzburzał krew i przyprawiał o zawrót głowy. Kobieta przytuliła się do Simona, a on obejmował jej drżące ciało jak ostatnią obietnicę bezpieczeństwa w wirującym świecie.

Uderzenie, trzask, błysk światła, znów huk, podmuch wiatru - wydawało się, że nie ma temu końca, ale ciągle nie padał deszcz. Drgania skały, na której się schronili, zaczęły wtórować kolejnym uderzeniom piorunów.

Wyjątkowo silny błysk i huk ostatniego pioruna na sekundę ogłuszył i oślepił Simona. Kiedy jednak cisza zdawała się ciągnąć już nie sekundy, ale minuty, jakby nawet wiatr wyczerpał swoją siłę, objawiając się tylko niewielkimi, kapryśnymi podmuchami, Simon podniósł głowę.

Powietrze przesycał zapach spalonych zwierzęcych ciał. Falująca w pobliżu łuna wskazywała na pożar krzewów. Ale cudowna cisza ciągle trwała i po chwili kobieta poruszyła się i wyzwoliła z ramion Simona. Ponownie odczuł coś w rodzaju pewności siebie, pomieszanej z triumfem; jakaś gra została doprowadzona do zwycięskiego końca, ku zadowoleniu kobiety.

Simon marzył o nadejściu dnia, aby móc zobaczyć, co dzieje się u stóp skały. Czy myśliwy albo psy przeżyli burzę? Pomarańczowoczerwone blaski ognia oświetlały czasami rumowisko skał. Na dole można było dostrzec plątaninę sztywnych białych ciał. Na drodze leżał martwy koń, na jego szyi spoczywała ręka mężczyzny.

Kobieta pochyliła się do przodu patrząc uważnie. I zanim Simon zdążył ją zatrzymać, przerzuciła nogi przez występ skalny i znalazła się na dole. Simon, przygotowany na odparcie ataku, zszedł w ślad za nią, ale w świetle ognia zobaczył jedynie martwe ciała.

Teraz poczuł także i ciepło ognia. Kobieta wyciągnęła obydwie ręce w stronę żaru. Simon obszedł martwe psy, popalone i powykręcane od uderzenia pioruna. Zbliżył się do konia pragnąc zabrać broń jeźdźca. Dostrzegł, że palce zaciśnięte na szorstkiej końskiej grzywie, poruszyły się.

Myśliwy musiał być śmiertelnie ranny, a Simon z pewnością nie darzył go specjalnymi względami od czasu nękającego pościgu przez wrzosowiska i bagna. Ale nie mógł też zostawić bezbronnego człowieka w podobnej pułapce. Z trudem usunął martwego konia i ułożył ciało rannego w miejscu, gdzie w świetle ognia mógł dostrzec, kogo wyratował.

W napiętej, pokrwawionej, grubo zarysowanej twarzy nie było żadnych oznak życia, a jednak przygnieciona pierś z trudem unosiła się i opadała. Od czasu do czasu chory jęczał. Simon nie potrafił określić, do jakiej rasy należał. Krótko ostrzyżone włosy były bardzo jasne, niemal srebrnobiałe. Mocno

haczykowaty nos i szerokie kości policzkowe stanowiły dziwną kombinację. Simon domyślał się, że ranny jest człowiekiem młodym, choć w znękanej twarzy niewiele było cech niedojrzałego chłopca.

Na ramieniu myśliwego ciągle jeszcze znajdował się powyginany róg. Bogate ozdoby stroju, a zwłaszcza brosza na piersi wskazywały, że nie był to zwykły żołnierz. Simon, nie mogąc nic poradzić na rozległe obrażenia, jakich doznał myśliwy, zainteresował się jego szerokim pasem i uzbrojeniem.

Nóż zatknął za własny pas. Dziwną krótką broń wyciągnął z olstrów i uważnie ją oglądał. Miała lufę i coś, co mogło jedynie być spustem. Ale nie przystawała do ręki Simona, uchwyt ukształtowano niezręcznie, szwankowała równowaga. Jednak Simon schował tę broń za koszulę.

Właśnie miał wyciągnąć następny przedmiot, rodzaj wąskiego cylindra, kiedy wyprzedziła go biała ręka ponad jego ramieniem.

Myśliwy poruszył się, jakby dopiero to dotknięcie, nie obmacywanie Simona, dotarło do jego świadomości. Otworzył dzikie oczy, w głębi których czaił się błysk światła, jak w oczach zwierząt w ciemności. Było w tych oczach coś, co sprawiło, że Simon się cofnął. Spotykał ludzi niebezpiecznych, ludzi, którzy pragnęli jego śmierci i mogli do niej doprowadzić z właściwą businessmenom sprawnością. Potrafił stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, którego charakter sprawiał, że Simon nienawidził samego jego widoku. Ale nigdy dotąd nie zetknął się z taką koncentracją uczucia, jaka czaiła się w głębi zielonych oczu na zmaltretowanej twarzy myśliwego.

Simon zdał sobie sprawę, że oczy te nie patrzą na niego. Obok stała kobieta, nieco niezgrabnie, unikała bowiem obciążania zwichniętej kostki, i obracała w rękach różdżkę, którą wyciągnęła zza pasa rannego. Simon spodziewał się dostrzec w wyrazie jej twarzy odpowiedź na tę palącą, gryzącą wściekłość, z jaką wpatrywał się w nią leżący mężczyzna.

Kobieta bacznie obserwowała rannego, bez żadnych oznak emocji. Usta mężczyzny się wykrzywiły. Z widocznym wysiłkiem uniósł głowę, najwyraźniej sprawiało mu to tortury, i splunął. Głowa opadła mu z powrotem, leżał teraz nieruchomo jakby ten ostatni gest nienawiści wyczerpał wszystkie zapasy energii. W świetle dogasającego już ognia jego twarz nagle zwiotczała, usta się otworzyły. Simon nie potrzebował obserwować końca morderczych poruszeń zdruzgotanej piersi przy każdym oddechu, by wiedzieć, że mężczyzna nie żyje.

– Alizon – kobieta niezwykle starannie wypowiedziała to słowo, przenosząc wzrok z Simona na leżące ciało. Wskazała na emblemat na piersi zmarłego. – Alizon – powtórzyła.

– Alizon – zawtórował Simon, podnosząc się z klęczek. Nie miał już ochoty na dalsze obszukiwanie zmarłego.

Teraz kobieta obróciła się twarzą do rodzaju skalnej bramy, przez którą droga prowadziła na równinę nadrzeczną.

– Estcarp – znów bardzo starannie wymówiła nazwę, ale palec jej wskazywał równinę. – Estcarp – powtarzając to słowo, wskazała tym razem na własną pierś.

I w tym momencie, jakby na wezwanie, po drugiej stronie skalnej bramy dał się słyszeć przejmujący głos. Nie przypominał nawoływania myśliwych rogów, raczej gwizd przez zęby w oczekiwaniu na akcję. Kobieta w odpowiedzi wykrzyknęła coś, co wiatr rzucił echem na skalną barierę.

Simon usłyszał odgłos kopyt, brzęk metalu. Kobieta wpatrywała się wyczekująco w skalną bramę, toteż Simon nie wykonywał żadnych przygotowań do ataku. Jedynie ręka zacisnęła mu się w kieszeni na automacie, wycelowanym w prześwit między skałami.

Jeźdźcy ukazywali się pojedynczo. Prześliznęli się między głazami ustawiając się jakby w kształt półkola, z bronią gotową do strzału. Na widok kobiety zakrzyknęli radośnie, najwidoczniej byli przyjaciółmi. Czwarty jeździec podjechał wprost do kobiety i Simona. Jego koń był duży, szeroki w barach, jakby przystosowany do dźwigania ciężarów. Ale postać na wysokim siodle była tak niewielka, że dopóki mężczyzna nie zeskoczył na ziemię, Simon uważał go za chłopca.

W świetle ognia ciało przybysza pobłyskiwało, hełm, pas, tors i nadgarstki rzucały ognie. Mężczyzna był niski, a wrażenie to pogłębiała jeszcze niezwykła szerokość jego ramion; tors i ramiona zdawały się należeć do kogoś co najmniej dwukrotnie wyższego. Miał na sobie rodzaj zbroi, która fakturą przypominała kolczugę, ale przylegała do ciała, jak koszula z tkaniny. Hełm wojownika wieńczyło przedstawienie ptaka z rozpostartymi skrzydłami. A może był to prawdziwy ptak zmuszony czarami do tak nienaturalnego znieruchomienia? Bo oczy błyszczące w jego lekko uniesionej głowie wpatrywały się w

wyczuwało się w niej opór – na pewno dostarczy dobrej zabawy. Może Hunold będzie chciał się podjąć jej poskromienia. Żadna z czarownic nie była pięknością, a ta wydawała się tak wyblakła, jakby przez miesiąc walczyła z morskimi falami. Przyjrzał się dokładniej ubraniu kobiety.

Było skórzane, takie, jakie wkłada się pod kolczugę. A więc miała zbroję. Fulk drgnął. Czarownica w zbroi i ta flota widmo! Czyżby Estcarp wyruszył na wojnę, czyżby przypadkiem zmierzał w stronę Verlaine? Kraina Estcarp mogłaby wiele zarzucić jego twierdzy, ale dotychczas zdawało się, że żaden człowiek z północy nie orientuje się w działalności Fulka. Ale o tym wszystkim pomyśli później, teraz trzeba zająć się Hunoldem i tym, jak zatrzymać sprzymierzeńca z Karsten.

Starannie unikał spotkania ze wzrokiem kobiety. Przybrał jednak zwykłe maniery wyższości.

– Lordzie komandorze, czyż nie jest jeszcze powszechnie wiadomo w Kars, że te czarownice mogą nagiąć człowieka do swojej woli jedynie siłą swego wzroku? Widzę, że pańscy żołnierze nie przedsięwzięli żadnych środków ostrożności...

– Wygląda na to, że ma pan jakąś szczególną wiedzę o tych czarownicach.

Uważaj, ostrzegał się Fulk. Ten Hunold jest prawą ręką Yviana nie tylko dzięki sile swego miecza. Nie można go zbytnio prowokować, trzeba jednak pokazać, że Verlaine nie jest ani krainą zdrajców, ani głupców.

– Estcarp już wcześniej złożył daninę temu przylądkowi – Fulk uśmiechnął się.

Na widok tego uśmiechu Hunold wydał rozkaz swoim ludziom.

– Marc, zarzuć jej płaszcz na głowę!

Kobieta się nie poruszyła, nie wydała żadnego dźwięku od chwili, gdy ją wprowadzono. Sprawiała wrażenie bezdusznego, bezwolnego ciała. Może była jeszcze oszołomiona wydostaniem się na brzeg, półprzytomna od uderzenia o skały. Ale żaden mieszkaniec Verlaine nie osłabiłby swojej czujności tylko dlatego, że więzień nie wydaje okrzyków, nie błaga, nie próbuje walczyć. Kiedy na głowę i ramiona dziewczyny zarzucono płaszcz, Fulk pochylił się do przodu i znów zaczął mówić, kierując słowa raczej do kobiety niż do mężczyzn, do których się zwracał, jakby oczekując od niej odpowiedzi, aby móc zorientować się, do jakiego stopnia kobieta zachowała świadomość.

– Czy nie powiedziano panu, lordzie komandorze, w jaki sposób rozbraja się te czarownice? To bardzo prosta, czasami nawet przyjemna procedura. I z całą świadomością zagłębił się w sprośne detale.

Siric śmiał się głośno, podtrzymując rękami podskakujący brzuch. Hunold jedynie się uśmiechnął.

– Macie tu w Verlaine swoje wyrafinowane rozrywki – przyznał.

Jedynie lord Duarte zachował spokój, wpatrując się we własne dłonie złożone na kolanach. Od czasu do czasu obracał palcami. Powoli spod jego krótko ostrzyżonej brody na policzki wypływał mu głęboki rumieniec.

Na pół przykryta postać kobiety nie poruszyła się, w żaden sposób nie protestowała.

– Zabierzcie ją! – rozkaz wydany przez Fulka miał stanowić mały sprawdzian jego władzy. – Dajcie ją seneszalowi, bezpiecznie przechowa ją dla nas na później. Na wszystkie przyjemności przychodzi odpowiednia pora. – Fulk stał się eleganckim gospodarzem, pewnym swej pozycji. – A teraz musimy zająć się przyjemnościami naszego księcia, przywołajmy jego narzeczoną.

Fulk czekał. Trudno byłoby odgadnąć, z jakim napięciem wyczekiwał na reakcję Hunolda. Dopóki Loyse nie stanie przed ołtarzem rzadko używanej kaplicy, z rękami na toporze, dopóki Siric nie wypowie odpowiednich słów, Hunold może się wycofać w imieniu swego pana. Ale kiedy Loyse stanie się księżną Karsten, choćby tylko formalnie, Fulk będzie mógł robić, co się podoba, według dawno przygotowanych planów.

– Tak, tak – Siric westchnął i podniósł się z trudem, walcząc z fałdami swego płaszcza. – Ślub. Nie możemy pozwolić, by dama czekała, prawda lordzie Duarte, młoda krew to niecierpliwa krew. Chodźmy, panowie, wesele... – To był jego udział w sprawie, po raz pierwszy ten młody, zimnooki, wojskowy parweniusz nie będzie grał głównej roli. Znacznie lepiej byłoby gdyby lord Duarte, potomek najstarszego szlachetnego roku w Karsten, trzymał topór i występował w zastępstwie pana młodego. To właśnie Siric sugerował, a sam Yvian podziękował mu serdecznie za tę uwagę, zanim wyjechali z Kars. Tak, Yvian przekona się, już się przekonuje, że dzięki władzy Świątyni Braterstwa i poparciu starych rodzin, nie będzie musiał dłużej polegać na takich zawadiakach jak Hunold. Niech tylko dokona się małżeństwo, a gwiazda Hunolda zacznie gasnąć.

uciekli niektórzy z okrzykami strachu. Porzucone latarnie oświetlały wybrzeże, a puste sieci zwisały w spienionej wodzie bez jakiejkolwiek zwierzyny.

Znacznie później jakaś ręka chwyciła sieć i ściskała ją desperacko trzymając się życia. Jakieś ciało potoczyło się przez fale, ale sieć trzymała, nie puszczała też ręka. Potem zmęczony, pół martwy pływak padł twarzą na piasek i zapadł w sen.

Uwięziona czarodziejka

Mieszkańcy Verlaine uznali, że znikająca flota, którą zamierzali złupić, była po prostu złudzeniem zesłanym przez demony. Fulk następnego dnia nawet batem nie mógłby zapędzić nikogo na brzeg. Nie starał się zresztą wystawiać na próbę swego stanowiska i nikomu nie wydał takiego polecenia.

Sprawę małżeństwa należało doprowadzić do końca, zanim jakiekolwiek wieści dotrą do Kars i skłonią księcia do rezygnacji z ręki dziedziczki Verlaine. Aby więc przeciwdziałać przesądnym lękom, jakie mogliby żywić wysłannicy z Karsu, Fulk, co prawda z pewną niechęcią, zaprowadził ich do skarbca, ofiarowując każdemu cenną pamiątkę, nie zapominając też o mieczu z rękojeścią wysadzaną drogimi kamieniami, który miał stanowić dowód jego podziwu dla wojennych wyczynów księcia. Ale przez cały czas zimny pot oblewał jego ciało i musiał się powstrzymać siłą od zbyt intensywnego obserwowania ciemnych zakamarków klatki schodowej i korytarza.

Zauważył także, że żaden z jego gości nie uczynił najmniejszej aluzji do wydarzeń na brzegu i zastanawiał się, czy brać to za dobry, czy zły znak. Dopiero w pokoju prywatnej rady, na godzinę przed ślubem, Hunold wyciągnął spod poły obszytego futrem okrycia niewielki przedmiot, który starannie ustawił w świetle słońca, padającego z największego okna.

Siric oparł brzuch na kolanach i ciężko dyszał, pochylając się do przodu, by ten przedmiot obejrzeć.

– Co to jest, lordzie komandorze? Co to? Czy odebrał pan jakiemuś wiejskiemu dziecku zabawkę?

Hunold zaczął kołysać przedmiot w dłoni. Choć była to rzecz ukształtowana dość niezręcznie, nie ulegało wątpliwości, że jest to rzeźbiony statek. Za maszt służył złamany patyczek.

– To, wielebny panie – odpowiedział miękko – jest potężny okręt, jeden z potężnych okrętów, jakich zagładę za tymi murami obserwowaliśmy ostatniej nocy. Owszem, jest to zabawka, ale zabawka, jaką nie zwykliśmy się bawić. I ze względu na bezpieczeństwo księstwa Karsten, muszę zapytać pana, lordzie Fulk, jakie stosunki utrzymuje pan z tym nasieniem zewnętrznych ciemności, z czarownicami z Estcarpu?

Zdenerwowany Fulk wpatrywał się w wystrugany okręcik. Twarz najpierw mu zbladła, a po chwili spurpurowiała. Jednak rozpaczliwie próbował zapanować nad sobą. Jeżeli teraz popełni gafę, może przegrać całą grę.

– Czy wysyłałbym ludzi na brzeg, by łupili flotę wystruganą z patyczków? – Udała mu się jakaś namiastka pogody ducha. – Domyślam się, że wyłowił pan to z morza dziś rano, lordzie komandorze? Co pana skłania do przypuszczeń, że jest to część czarów Estcarpu, czy że statki, które widzieliśmy, były wytworem takich sztuczek?

– To zostało znalezione na piasku dziś rano, fakt – przyznał Hunold. – Od dawna znane mi są iluzje czarownic. Aby jednak mieć pewność, znaleźliśmy z moimi ludźmi jeszcze coś innego, a jest to tak wielki skarb, że można go porównać z tym, co pokazywał pan nam w swojej twierdzy. Marc, Jothen! – zawołał nieco głośniej i dwaj żołnierze księcia weszli prowadząc między sobą więźnia, choć wydawało się, że zajmują się jeńcem bez zbytniego entuzjazmu.

– Daję ci część floty, lordzie Fulk – Hunold rzucił wystrugany stateczek w stronę Fulka. – A teraz pokażę ci kogoś, kto przyczynił się do powstania owej floty i mam nadzieję, że się nie mylę.

Fulk, przyzwyczajony do noszących ślady słonej wody jeńców wydobytych z morskich trzewi, załatwiał się z nimi gładko, zwłaszcza że jego postępowanie zmierzało zazwyczaj do jednego celu. Raz już poradził sobie z takim samym problemem i to zupełnie nieźle. Hunold mógł go zdenerwować, ale tylko na chwilę. Teraz już znów był pewny siebie.

– A więc – poprawił się na krześle z uśmiechem wyższości człowieka, który obserwuje rozrywki mniej od siebie wyrafinowanych – zdobyłeś czarownicę. – Przyglądał się śmiało kobiecie. Była chuda, ale

Simona z posępnym okrucieństwem. Rodzaj gładkiej metalowej pokrywy, na której ptak siedział, przechodził w rodzaj siatkowego szala owijającego szyję wojownika. Mężczyzna niecierpliwie szarpnął ów szal, uwalniając połowę zasłoniętej nim twarzy. Simon zorientował się, że jego pierwsze wrażenia nie były całkiem bezpodstawne. Wojownik z ptakiem na hełmie był rzeczywiście młody.

Młody, ale także nieugięty. Wpatrywał się w kobietę i w Simona, i kiedy zadał jej jakieś pytanie, nie spuszczał z Simona badawczego wzroku. Odpowiedziała potokiem słów, wykonując ręką jakieś znaki w powietrzu między Simonem a nowo przybyłym, który w pewnym momencie dotknął ręką hełmu najwyraźniej w pokłonie cudzoziemcowi. Nie ulegało wątpliwości, że kobieta sprawowała tu rządy.

Wskazując na wojownika kontynuowała lekcję języka:

– Koris – powiedziała.

Mogło to być tylko imię. Toteż Simon szybko podjął decyzję. Dotknął kciukiem piersi.

– Tregarth. Simon Tregarth. – Czekał, by kobieta wymieniła swoje imię.

Ale ona jedynie powtórzyła „Tregarth, Simon Tregarth", jakby chciała dokładnie to zapamiętać. Ponieważ nie powiedziała nic więcej Simon zadał nurtujące go pytanie.

– Kto? – wskazywał prosto na nią.

Wojownik Koris drgnął, jego dłoń automatycznie powędrowała do broni przy pasie. Kobieta także najpierw zmarszczyła brwi, zanim wyraz jej twarzy stał się tak obcy i daleki, że Simon uświadomił sobie, iż popełnił straszną gafę.

– Przepraszam – rozłożył ręce usprawiedliwiającym gestem w nadziei, że kobieta zrozumie jego intencje. W jakiś sposób ją obraził, ale uczynił to nieświadomie. Kobieta musiała właściwie odebrać jego zamiary, bo tłumaczyła coś młodemu wojownikowi, który jednak przez najbliższe godziny nie patrzył na Simona zbyt przyjaźnie.

Koris z oznakami szacunku nie pasującego do łachmanów kobiety, ale całkowicie licującego z jej władczym sposobem bycia, posadził ją za sobą na czarnym koniu. Simon jechał za innym wojownikiem trzymając się jego pasa. Zmierzali w stronę równiny w tempie, które mimo kompletnych ciemności niewiele odbiegało od galopu.

Po wielu, wielu godzinach Simon leżał nieruchomo w cieple łóżka wpatrując się niewidzącymi oczami w rzeźbiony drewniany baldachim. Gdyby nie te otwarte oczy, można by uznać, że był równie głęboko uśpiony jak przed kilkoma godzinami. Jednak przejście do nowego świata nie osłabiło umiejętności przechodzenia z głębokiego snu do stanu pełnej czujności. Toteż Simon zajęty był teraz porządkowaniem swych wrażeń, próbą składania w całość faktów, które ułożyłyby się w konkretny obraz tego, co czekało go poza granicami łóżka i kamiennych ścian pomieszczenia.

Estcarp to nie tyko nadbrzeżna równina, to cały szereg fortów, obronnych warowni wzdłuż drogi znaczącej granicę. Fortów, w których zmieniali konie, jedli, i z których natychmiast odjeżdżali, gnani jakąś niepojętą dla Simona potrzebą pośpiechu. Aż wreszcie dojechali do miasta okrągłych wież, szarozielonych jak ziemia, w którą wrastały pod mizernym słońcem nowego dnia, wież strażniczych, murów obronnych i innych budowli służących wysokiej, dumnie kroczącej rasie z ciemnymi oczami i włosami równie czarnymi jak włosy Simona, rasie o manierach władców i wyraźnym piętnie ciężaru lat.

Kiedy wjeżdżali do owego Estcarpu, Simon był tak oszołomiony zmęczeniem, tak ogłupiały wymaganiami swego obolałego ciała, że zapamiętał tylko oderwane obrazy. I wszechogarniającą świadomość dawności, przeszłości tak starej, że owe wieże i mury mogłyby być częścią kręgosłupa świata. Simon zwiedzał stare miasta Europy, widział drogi, które pamiętały krok rzymskich legionów. A jednak owo dziwne poczucie dawności było tu znacznie bardziej przemożne i Simon starał się zapomnieć o nim, próbując posegregować fakty.

Zakwaterowano go w centralnym budynku miasta, masywnej budowli kamiennej, odznaczającej się zarówno powagą świątyni jak i bezpieczeństwem twierdzy. Pamiętał mgliście jak ów krępy oficer Koris przyprowadził go do tego pokoju i wskazał łóżko. A potem już nic.

Czy rzeczywiście?

Simon zmarszczył brwi. Koris, ten pokój, to łóżko... Kiedy patrzył w górę na skomplikowany wzór rzeźbionych ozdób, odnajdował w nim rzeczy znajome, dziwnie znajome, jak gdyby splecione ze sobą symbole sklepienia posiadały znaczenie, które za chwilę uda mu się wyjaśnić.

Estcarp! Stare, jakże stare miasto i kraj, i sposób życia! Simon się zamyślił. Skąd o tym wiedział? A jednak było to prawdziwe, równie realne jak to łóżko, na którym odpoczywało jego umęczone od siodła ciało, równie prawdziwe jak drewniane płaskorzeźby sklepienia. Ścigana kobieta należała do tej rasy, należała do Estcarpu, tak jak nieżyjący myśliwy koło skał należał do innego, wrogiego ludu.

Strażnicy w twierdzach granicznych pochodzili z tej samej rasy, wszyscy wysocy, ciemni, o powściągliwych manierach. Jedynie Koris, ze swym zdeformowanym ciałem, różnił się od mężczyzn, którym przewodził. A jednak słuchano rozkazów Korisa, tylko kobieta jadąca za nim na siodle zdawała się cieszyć większym autorytetem.

Simon zamrugał oczami, poruszył rękami pod kołdrą i usiadł na łóżku, wpatrując się w zasłonę po lewej stronie. Usłyszał odgłos niemal bezgłośnych kroków, toteż wcale się nie zdziwił, kiedy zabrzęczały metalowe kółka zasłon, i w otworze rozsuniętej materii ukazał się człowiek, o którym właśnie myślał.

Koris bez zbroi wyglądał jeszcze bardziej dziwacznie. Zbyt szerokie ramiona, wiszące wzdłuż tułowia zbyt długie ręce przeważały nad całą resztą postaci. Nie był wysoki, a jego wąska talia i szczupłe nogi wydawały się bardziej drobne w zestawieniu z górną częścią tułowia. Jednak na tych szerokich ramionach osadzona była głowa mężczyzny, jakim mógłby się stać Koris, gdyby natura nie spłatała mu tak paskudnego figla. Spod obfitej czupryny jasnych włosów spoglądała twarz chłopca, który dopiero niedawno osiągnął wiek męski, twarz, która zdawała się nie znajdować przyjemności w takim rozwoju wydarzeń. Uderzająco przystojne rysy pozostawały w rażącej sprzeczności z ramionami, jakby głowę bohatera osadzono na tułowiu małpy!

Simon spuścił nogi z wysokiego łóżka i wstał, odczuwając przez moment przykrość, że zmusza tamtego do patrzenia w górę. Ale Koris z szybkością kota przysiadł na szerokim kamiennym parapecie pod wąskim oknem, tak że jego oczy znalazły się na poziomie oczu Simona. Z wdziękiem nie pasującym do jego długich rąk wskazał na stojącą nie opodal skrzynię, na której leżał stosik ubrań.

Simon zauważył, że nie było to ubranie, które zdjął kładąc się do łóżka. Ale dostrzegł także coś więcej, subtelne potwierdzenie jego obecnego statusu. Obok nowego ubrania na schludnie ułożonej kupce znajdował się pistolet i zawartość pozostałych kieszeni. Nie był więc więźniem w tej twierdzy.

Naciągnął bryczesy z miękkiej skóry, przypominające spodnie, jakie miał teraz na sobie Koris. Były ciemnoniebieskie i dopasowane jak rękawiczki. Do tego dochodziły wysokie buty ze srebrnoszarego tworzywa, które jak przypuszczał Simon było skórą jakichś płazów. Założywszy owe bryczesy i buty zwrócił się w stronę Korisa i wykonał gesty mycia.

Po raz pierwszy na ładnie wykrojonych ustach wojownika pojawił się cień uśmiechu, kiedy wskazał ręką na alkowę. Simon przekonał się, że choć warownia Estcarp mogła się wydawać średniowieczna, jej mieszkańcy mieli nowoczesne poglądy na higienę. Ciepła woda płynęła z rury w ścianie po naciśnięciu prostej dźwigni, krem o słabym zapachu pozwalał usunąć wszelkie ślady zarostu. Odkryciom tym towarzyszyła lekcja języka. Koris cierpliwie powtarzał kolejne słowa tak długo, aż Simon zapamiętał je dokładnie.

Oficer zachowywał się z wystudiowaną obojętnością. Nie czynił żadnych przyjacielskich gestów, nie podjął też prób Simona, by sprowadzić rozmowę na bardziej osobiste tory. Kiedy Tregarth zakładał dziwny ubiór, służący zarazem jako koszula i kurtka, Koris odwrócił się w stronę okna i spoglądał w niebo.

Simon położył na dłoni pistolet. Wydawało się jednak, że mieszkańcom Estcarpu jest obojętne czy przybysz wyjdzie z pokoju uzbrojony czy nie. Wreszcie Tregarth zdecydował się wsunąć broń za pas, cienki teraz w miejscu, gdzie przedtem ukryte były pieniądze i dał znak, że jest gotów.

Z pokoju wychodziło się na korytarz, a po kilku metrach schodami w dół. Wrażenie niezwykłej dawności potwierdzały wgłębienia wydeptane w kamiennych stopniach i rowek biegnący wzdłuż lewej ściany, gdzie przez wieki musiały opierać się palce. Słabe światło dochodziło z kloszy zawieszonych w metalowych koszykach bardzo wysoko. Simon nie mógł jednak odgadnąć źródła tego światła.

Na dole schodów znajdował się szeroki hall, w którym widać było licznych mężczyzn. Niektórzy, ubrani w kolczugi, byli strażnikami na warcie, inni mieli na sobie bardziej swobodny strój, podobny do ubioru Simona. Pozdrawiali Korisa i przyglądali się jego towarzyszowi z nieco peszącą badawczością, ale żaden z nich się nie odezwał. Koris dotknął ramienia Simona, wskazując zasłonięte kotarą drzwi, przytrzymał ręką materiał w sposób przypominający rozkaz.

północy i o ich talentach. Teraz zdała sobie sprawę ze straconej okazji. Dlaczego nie wiedziała przedtem o istnieniu tej kobiety, dlaczego nie nauczyła się od niej niczego?

– Tak, czarownica. Tak nas nazywają ci, którzy niewiele rozumieją. Ale nie licz na mnie zbytnio, Loyse. Jestem jak wypalona szczapa w dawno wygasłym palenisku. Raczej wytęż swoje siły i inteligencję, żeby pomóc tej, która przybywa.

– Siły i inteligencję! – Loyse zaśmiała się gorzko. – Tego mi nie brakuje, ale nie mam tu żadnej władzy. Nie posłucha mnie ani jeden żołnierz, nikt nie wyciągnie ręki w mojej obronie. Lepiej zwróć się do Bettris. Kiedy mój ojciec jest z niej zadowolony, cieszy się ona pewnymi względami u ludu.

– Musisz wykorzystać szansę, kiedy się nadarza! – Dziewczyna zsunęła z ramion szal, złożyła go starannie i idąc w kierunku drzwi położyła na łóżku. Nie przegap okazji i wykorzystaj ją jak należy, Loyse z Verlaine. I śpij dobrze tej nocy, bo twoja godzina jeszcze nie nadeszła.

Zanim Loyse zdążyła wykonać ruch, aby ją zatrzymać, dziewczyna była już za drzwiami. I nagle pokój wydał się zadziwiająco pusty, jakby czarodziejka z Estcarpu zabrała ze sobą pulsujące życie, które czaiło się w mrocznych kątach.

Loyse powoli odłożyła ceremonialną szatę, przygładziła włosy ręką nie korzystając z lustra, jakoś nie miała ochoty spoglądać w zwierciadło, bo dręczyła ją myśl, że zza jej ramienia ktoś jeszcze będzie w nie zaglądać. Wiele złych uczynków popełniono w wielkim hallu w Verlaine, odkąd Fulk został tu panem. Loyse wierzyła, że za sprawą kobiety z Estcarpu zostanie mu wymierzona sprawiedliwość.

Loyse tak głęboko pogrążyła się w myślach, że zapomniała o jutrzejszym weselu. Nie wydobyła z dna skrzyni ubrań, po raz pierwszy odkąd je tam ukryła, i nie cieszyła się obietnicą wolności, jaką dawały.

Na brzegu ciągle jeszcze szalał wiatr, chociaż stracił już swą dawną siłę. Schowani przed jego podmuchami łowcy wyrzuconych przez fale skarbów, byli gotowi do działania. Flota, która prezentowała się tak dobrze z okien pokoju Loyse, robiła z brzegu jeszcze bardziej imponujące wrażenie.

Hunold ciasno zapiął pod szyją płaszcz i wpatrywał się w ciemność. Nie były to statki z Karsten i owo plądrowanie mogło jedynie przynieść pożytek księstwu. W głębi duszy był przekonany, że są to ostatnie chwile wroga. Dobrze, że mógł w tej sytuacji mieć Fulka na oku. Plotka głosiła, że Verlaine czerpie ogromne bogactwa z prawa grabienia wraków. A kiedy Yvian poślubi tę bladolicą dziewczynę, będzie mógł w imieniu żony domagać się rozliczenia z tych wszystkich bogactw. Fortuna niewątpliwie była łaskawa wysyłając Hunolda tego wieczoru na brzeg, by mógł obserwować, liczyć i przygotować raport dla księcia.

Pewni, że statki już teraz nie zdołają wyrwać się z zatoki, poławiacze skarbów pozapalali latarnie wzdłuż brzegu. Jeżeli szaleńcy z pokładu będą próbowali zejść na brzeg, kierując się tymi światłami, tym lepiej, oszczędzą jedynie czasu i trudu poszukiwań.

Wiązki światła sięgające rozhuśtanych fal, pochwyciły dziób pierwszego okrętu. Podnosił się wysoko, wynoszony na grzywach fal, na brzegu rozległy się krzyki, robiono pospieszne zakłady, w którym miejscu statek się rozbije. Przez chwilę uniósł się bardzo wysoko, jakby wyskoczył do przodu, a skały wdarły się pod przednią część dna. I w tym momencie zatonął!

Oczekujący na brzegu zetknęli się z zaskakującą niespodzianką. Początkowo bardziej przewidujący uważali, że obserwują tonięcie statku złamanego w połowie, i nie tracili nadziei, że wpłynie w ich sieci. Ale nie było nic, poza uderzeniami wiatru o fale. Ani statku, ani wraku.

Nikt się nie poruszył. Nie wierzyli własnym oczom. Nadpływał następny statek. Płynął prosto na skałę, na której stali Hunold i Fulk. Zdecydowanie trzymał się kursu. Na pokładzie nie widać było żywego ducha, nikt nie czepiał się takielunku.

I znów fale podniosły swój ciężar, by skruszyć statek o wystające zęby skał... Tym razem stało się to tak blisko brzegu, iż Hunoldowi wydawało się, że z opuszczonego pokładu można by przeskoczyć na skałę, na której stał. Dziób statku podniósł się wyżej i wyżej, jego cudownie rzeźbiona głowa wyszczerzała rozchylone szczęki w niebo. A potem w dół, w wirowanie wody.

I statek przepadł!

Hunold wyciągnął rękę, złapał za ramię Fulka i dostrzegł w bladości jego twarzy to samo pełne niedowierzania przerażenie. A kiedy ukazał się trzeci statek, zmierzający prosto na skałę, ludzie z Verlaine

Zdenerwowana własnymi kłopotami, zaniepokojona tym, co się wydarzy i tym, czego będzie musiała dokonać w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, Loyse przebiegła przez pokój, schwyciła kołyszące się okno, pokazując dziewczynie, że powinna była je zamknąć. Chociaż wiatr już ustał, niebo ciągle jeszcze rozdzierały błyskawice. I w świetle kolejnej Loyse zobaczyła to, co dziewczyna musiała obserwować od dłuższej chwili.

Do oczekującej przystani zmierzały statki, dwa... trzy. Takie właśnie statki, należące zwykle do kupców przybrzeżnych, Loyse już wiele razy widziała rozbijające się o zdradliwy ląd. Przybrzeżny prąd był jednocześnie bogactwem i przekleństwem Verlaine. Te statki mogły być częścią floty jakiegoś wielkiego pana. W krótkich momentach, kiedy błyskawice oświetlały teren, Loyse nie udało się dostrzec na pokładzie nikogo, żadnych prób uniknięcia losu. Były to statki widma dążące do własnej zagłady, a ich załogi najwyraźniej nie przywiązywały do tego wagi.

Przy wysokiej bramie Verlaine widać już było latarki łupieżców wraków. Czasami udawało im się na miejscu ukryć jakąś bogatą zdobycz dla siebie, choć ciężka ręka Fulka i niezwykły węch znacznie zmniejszyły rozmiary tego procederu. Za chwilę zarzucą sieci, by przyciągnąć wszystko. Biada temu, kto znajdzie się na brzegu jeszcze żywy! Loyse musiała zebrać wszystkie swoje siły, by odciągnąć na bok dziewczynę i zamknąć okno.

Ze zdumieniem dostrzegła, że na twarzy służącej nie maluje się już dotychczasowy strach. W głębi ciemnych oczu widać było błyski inteligencji, podniecenia i wzrastającej siły.

Dziewczyna lekko pochyliła głowę, jakby próbowała wyłowić jakiś pojedynczy dźwięk z wszechogarniającego ryku burzy. Jasne było, że skądkolwiek przyniosło ją morze do Verlaine, nie była to zwykła żołnierska dziewka.

– Ty, która od dawna przebywasz w tym budynku – głos dziewczyny był jakby nieobecny, jakby wydobywał się z dna jakiegoś doświadczenia, którego Loyse nigdy nie pozna. – Wybieraj, wybierz dobrze. Tej nocy zdecydują się nie tylko losy krajów, ale także losy ludzi!

– Kim jesteś? – zapytała Loyse, bo dziewczyna zmieniała się na jej oczach. Nie przypominała żadnego monstrum, nie przybrała postaci bestii czy ptaka, jak to głosiła plotka o czarownicach z Estcarpu. Ale coś, co drzemało zranione w jej wnętrzu, walczyło o powrót do życia, przedzierało się przez jej obolałe ciało.

– Kim jestem? Nikim... niczym. Ale przychodzi ktoś, kto jest większy niż ja kiedykolwiek byłam. Wybierz dobrze, Loyse z Verlaine i będziesz żyła, wybierzesz źle i umrzesz, tak, jak ja umieram, powoli, dzień po dniu.

– Ta flota... – Loyse zwróciła się w stronę okna. Czy to możliwe, by przypłynął tu jakiś najeźdźca, dość beztroski, by poświęcić swoje statki w celu wejścia na przylądek, a tym samym otwarcia sobie drogi do Verlaine? To była szalona myśl. Statkom groziła zagłada, a jeżeli komukolwiek z załogi uda się dostać na brzeg, przekona się, jak straszne powitanie zgotowali mu ludzie z Verlaine.

– Flota? – powtórzyła dziewczyna. – Nie ma floty, tylko życie albo śmierć. Masz w sobie coś z nas, Loyse. Teraz przyszedł czas próby. Musisz zwyciężyć.

– Coś z was? Ale kim jesteś?

– Jestem nikim i niczym. Zapytaj raczej, kim byłam, Loyse z Verlaine, zanim twoi ludzie wyciągnęli mnie z morza.

– Kim byłaś? – zapytała posłusznie Loyse jak dziecko na polecenie dorosłego.

– Byłam kobietą z wybrzeża Estcarpu. Rozumiesz teraz? Tak, dysponowałam mocą, dopóki nie została mi wydarta w tej sali, która jest pod nami, kiedy mężczyźni śmiali się i sławili swoje postępki. Bo moc należy do nas tak długo, jak długo pozostajemy czyste. W Verlaine stałam się tylko kobiecym ciałem, niczym więcej. Straciłam więc to, co pozwalało mi żyć i oddychać, straciłam siebie.

– Czy możesz zrozumieć co to znaczy stracić siebie? – przyglądała się bacznie Loyse. – Myślę, że możesz, skoro próbujesz teraz bronić tego, co masz. Mój dar zniknął, został zgnieciony tak jak zgniata się ostatni węgiel niechcianego ognia, ale pozostały jeszcze popioły. Dlatego wiem, że osoba znacznie ważniejsza niż ja kiedykolwiek byłam, spłynie tu na falach sztormu. I ona zdecyduje o niejednej przyszłości.

– Czarownica! – Loyse nie wzdrygnęła się na tę myśl, poczuła jedynie rosnące podniecenie. Dar kobiet z Estcarpu był legendarny. Zawsze łapczywie słuchała wszystkich opowieści o tych kobietach z

Weszli do kolejnego hallu. Ale tutaj kamienne ściany zawieszone były materią o wzorze złożonym z tych samych symboli, na pół znajomych, na pół obcych, jakie Simon obserwował na baldachimie nad łóżkiem. Na końcu korytarza stał na baczność strażnik, przyciskając do ust rękojeść miecza. Koris uniósł następną zasłonę, lecz tym razem polecił Simonowi, by wszedł równocześnie z nim.

Pokój, w którym się znaleźli, wydawał się olbrzymi dzięki bardzo wysokiemu sklepieniu. Tutaj światło płynące z kloszy było silniejsze i choć nie docierało do mrocznych kątów, oświetlało wyraźnie środkową grupę.

Oczekiwały na Simona dwie kobiety, pierwsze, jakie zobaczył od przybycia do twierdzy. Ale dopiero po chwili rozpoznał w kobiecie stojącej z ręką na oparciu wysokiego krzesła tę, która uciekała przed myśliwymi z Alizon. Włosy, zwisające wtedy w prostych wilgotnych strąkach, zwinięte były dostojnie w srebrnej siatce, a ciało kobiety od szyi do stóp spowijała suknia koloru mgły. Jedyną ozdobę stanowił owal zamglonego kryształu, takiego jaki miała przedtem na bransolecie, ale ten wisiał na łańcuchu, toteż kamień spoczywał pomiędzy niewielkimi wzgórkami piersi kobiety.

– Simon Tregarth! – przywołała go kobieta siedząca na krześle. Simon przeniósł na nią wzrok i nagle uświadomił sobie, że nie może go oderwać.

Kobieta miała również trójkątną twarz, równie badawcze oczy, jej czarne włosy także ukryte były pod siatką. Ale emanowała z niej szokująca moc. Simon nie potrafił określić jej wieku, mogła być świadkiem powstawania pierwszych budowli Estcarpu. Jemu jednak wydała się pozbawiona wieku. Wyciągnęła rękę i rzuciła w kierunku Simona kulę, zrobioną chyba z tego samego mglistego kryształu, co ozdoby, jakie nosili jej oficerowie i ona sama.

Simon złapał kulę. Przy dotknięciu nie wydawała się zimna, jak oczekiwał, emanowało z niej ciepło. Kiedy instynktownie zamknął kryształową kulę w obu dłoniach, kobieta okryła ręką kryształ w swoim naszyjniku, a gest ten powtórzyła jej stojąca towarzyszka.

Tregarth nigdy później nawet sobie samemu nie potrafił wytłumaczyć, co się stało. W jakiś niepojęty sposób w jego umyśle przesunął się szereg sytuacji poprzedzających jego pojawienie się w świecie Estcarpu; miał przy tym nieodparte wrażenie, że obydwie kobiety widzą równocześnie to samo co on i podzielają jego odczucia. Po chwili strumień informacji popłynął w jego kierunku.

Znajdował się w głównej fortecy zagrożonego, może skazanego kraju. Liczącemu wieki Estcarpowi groziło niebezpieczeństwo z północy, z południa, a także z zachodu od strony morza. Ciemnowłosi mieszkańcy pól, miast i fortec należących do kobiety potrafili powstrzymać napór jedynie dzięki temu, że byli dziedzicami wiekowej wiedzy. Może sprawa ich skazana jest na przegraną, ale padną walcząc do chwili, gdy ostatni żołnierz będzie miał siłę utrzymać miecz, gdy jakikolwiek mężczyzna czy kobieta znajdą ostatnią użyteczną broń.

Simon usłyszał ten sam rodzaj głosu, jaki ściągnął go do tego kraju, spod kamiennego łuku na podwórzu Petroniusa. Nie proszono go o pomoc, duma mieszkańców Estcarpu była zbyt nieugięta. Jednak ofiarował swą wierność kobiecie, która zadawała mu pytania, opowiedział się po jej stronie z wybuchem chłopięcego entuzjazmu. Choć nie padło ani jedno słowo, Simon zdecydował się służyć Estcarpowi.

Wezwanie z Sulcarkeep

Simon podniósł do ust ciężki kufel, nie przestając przy tym bacznie obserwować otoczenia. Początkowo uważał, że mieszkańcy Estcarpu są ponurzy, przytłoczeni ciężarem lat, ostatni przedstawiciele ginącej rasy, którym pozostały już tylko marzenia o przeszłości. Jednak w ciągu ostatnich tygodni powoli uświadomił sobie, jak powierzchowne i nieprawdziwe były te oceny. Teraz, siedząc w kantynie gwardii przeniósł wzrok z jednej twarzy na drugą, nie po raz pierwszy już rewidując swoje poglądy na temat owych mężczyzn, z którymi dzielił codzienne obowiązki i przyjemności.

Bez wątpienia posługiwali się dziwną bronią. Musiał nauczyć się posługiwać mieczem używanym do walki wręcz. Niewielki kłopot sprawiały mu miejscowe kusze strzelające strzałami, przypominały bowiem jego własny automat. Ale nigdy nie dorówna Korisowi, dla zręczności tego młodego wojownika żywił nieopisany podziw. Simon znał jednak na tyle dobrze taktykę innych armii, strategię innych wojen, by młody wyniosły dowódca nauczył się cenić niektóre jego wskazówki.

Simon zastanawiał się, jak zostanie przyjęty przez członków gwardii - stali w końcu w obliczu wielkiego zagrożenia i każdy cudzoziemiec mógł się im wydawać wrogiem, wyłomem w murze obronnym. Ale nie wziął pod uwagę obyczajów panujących w Estcarpie. Estcarp jako jedyny kraj na tym kontynencie potrafił zaakceptować przybysza mającego podobne jak Simon dzieje. Ponieważ moc tej starej twierdzy opierała się na magii...

Tregarth przytrzymał łyk wina na języku zanim go połknął i starał się obiektywnie ocenić sprawę magii. Ów przesądny hokus-pokus mógł równać się zwykłemu kuglarstwu, ale mógł obejmować sprawy znacznie istotniejsze. Magiczne bronie, jakimi posługiwano się w Estcarpie, to siła woli, wyobraźnia i wiara. Znano metody ogniskowania czy wzmacniania owej woli, imaginacji czy wiary. W wyniku tego bardzo tolerancyjnie przyjmowano w Estcarpie sprawy, których nie dało się zobaczyć, dotknąć, czy też także, których widzialnej egzystencji nie można było udowodnić.

Nienawiść i strach sąsiadów płynęły także z owego źródła, właśnie z magii. Mieszkańcom Alizon na północy i Karsten na południu moc czarodziejek z Estcarpu wydawała się wcieleniem zła. „Śmierć czarownicom". Ileż razy słyszał Simon to zdanie we własnym świecie jako przekleństwo wymierzone po równi w niewinnych i w pełnych winy, ale za to na znacznie mniejszych podstawach.

Matriarchat w Estcarpie dysponował mocą wymykającą się ludzkiemu pojmowaniu, a kiedy było to niezbędne posługiwano się ową mocą bezlitośnie. Simon pomógł jednej z czarodziejek wydostać się z Alizon, dokąd się zapuściła, by być oczami i uszami swego ludu.

Czarownica, czarodziejka. Simon pociągnął łyk wina. Nie każda kobieta w Estcarpie obdarzona była mocą. Był to dar, który przekazywano świadomie z rodziny na rodzinę, z pokolenia na pokolenie. Dzieci, które z powodzeniem przeszły próbę, przywożono do stołecznego miasta, kształcono odpowiednio, a potem wiernie wypełniały obowiązki. Przestawały nawet mieć własne imiona, jako że wypowiedzenie w czyjejś obecności własnego imienia równa się przekazaniu także części swej tożsamości, równa się daniu temu, kto owo imię usłyszał, władzy nad sobą. Simon teraz dopiero mógł pojąć ogrom swojego nietaktu, kiedy chciał poznać imię kobiety, z którą uciekał przez wrzosowiska.

Nie wszystkim była dana jednakowa moc. Wykorzystanie jej poza pewne granice bardzo odbijało się na samej czarodziejce. Nie zawsze też dawało się przywołać moc na życzenie. Czasami zawodziła w najistotniejszym momencie. Toteż pomimo swych czarownic i tajemnej wiedzy Estcarp dysponował także odzianą w kolczugi gwardią, siecią fortów przygranicznych, dużą liczbą drzemiących w pochwach mieczów.

- Sa... - Nowo przybyły gwardzista wyciągnął stołek stojący obok Simona. - Gorąco jak na tę porę roku. - Hełm stuknął o blat stołu, a długa ręka wyciągnęła się po dzban wina.

Jastrząb z hełmu wpatrywał się szklanym okiem w Simona, jego wspaniałe metalowe upierzenie przypominało prawdziwe pióra. Kiedy Koris pił wino, ze wszystkich stron zasypywano go pytaniami, które krzyżowały się nad stołem niby strzały w drodze do ostatecznego celu. W wojsku Estcarpu panowała dyscyplina, jednak po służbie nie przestrzegano różnic hierarchii, a wszyscy przy stole spragnieni byli nowin. Dowódca z trzaskiem odstawił kufel i odpowiedział rzeczowo:

- Moim zdaniem, przed godziną zamknięcia bram usłyszycie róg wzywający na apel. Magnis Osberic zwrócił się o swobodny przejazd od strony zachodniej. A ubrany był w pełny strój wojenny. Pewnie Gorm zaczyna sprawiać kłopoty.

Ledwo skończył mówić, zapadła cisza. Wszyscy, nie wyłączając Simona, wiedzieli, co oznacza Gorm dla kapitana gwardii. Zgodnie z prawem zwierzchnictwo nad Gormem powinno pozostać w mocnych rękach Korisa. Jego tragedia osobista nie zaczęła się, ale zakończyła na tej wyspie, kiedy ranny i samotny dryfował od jej brzegów, leżąc twarzą na dnie przeciekającej rybackiej łodzi.

Hilder, obrońca Gormu, został zatrzymany przez burzę na owych wrzosowiskach, które stanowiły ziemię niczyją pomiędzy Alizon i równiną Escarpu. Tutaj, oddzielony od swoich ludzi, spadł z konia i złamał rękę, potem półprzytomny z bólu i gorączki zabłąkał się do krainy Tormenów, dziwnej rasy, którą bagniska broniły przed nadejściem obcych, która nie pozwoliła żadnemu ludowi czy mężowi zapanować nad swymi rozmokłymi włościami.

Pozostanie tajemnicą, dlaczego Hildera nie zabito ani nie przeprowadzono z powrotem przez bagno. Ale jego historia pozostała nieznana nawet wtedy, gdy po paru miesiącach powrócił na Gorm, już wyleczony, z nową żoną u boku. Ale mieszkańcy Gormu, a ściślej mówiąc mieszkanki, nie uznawali tego

swoją hojnością. Na stoły powędrują niewątpliwie wszystkie zasoby napojów istniejące w warowni, co stworzy Loyse najlepszą szansę na zrealizowanie swoich planów.

Ale najpierw przyszedł sztorm, tak dziki ryk wiatru i morza, że Loyse, od wczesnego dzieciństwa oswojona z wybrzeżem, nigdy nie widziała czegoś podobnego. Fale wzbijały się tak wysoko, że na oknach pokoju w wieży rozbryzgiwała się słona piana. Służąca, którą Fulk przysłał do pomocy w szyciu sukien, podskakiwała z lękiem za każdym uderzeniem wiatru w kamienne ściany. Nawet nie udawała, że coś robi. Siedziała skulona w pobliżu paleniska, na którym płonęły morskie korale, kołysząc się w przód i w tył z rękoma przyciśniętymi do piersi, jakby chciała w ten sposób załagodzić jakiś ból. Loyse podeszła do niej. Nie interesowała się, ani nie litowała zbytnio nad kobietami w zamku, dotyczyło to zarówno Bettris i jej niezliczonych poprzedniczek, jak i kocmołuchów z kuchni. Ale teraz, niejako wbrew sobie, zapytała:

- Coś ci dolega, dziewko?

Dziewczyna wyglądała schludniej niż większość służebnych. Może kazano jej się umyć, zanim tu przyszła. Zwróciła twarz w stronę Loyse i twarz ta przykuła uwagę córki Fulka. Nie była to wiejska dziewczyna, chłopka ściągnięta do zamku dla przyjemności pana, która potem stawała się służącą. Ta twarz była jakby maską ukształtowaną przez strach, który towarzyszył dziewczynie tak długo, że wymalował jej rysy jak ceramik formuje glinę. Ale pod tą maską kryło się coś więcej.

Loyse podeszła do łoża, na którym leżała większość jej strojów. Leżał tam szal, który na tle błyszczących jedwabi i delikatnych brokatów wydawał się całkiem pospolity. Loyse wzięła go i narzuciła na ramiona drżącej przy ogniu dziewczyny. Uklękła, wzięła dłonie dziewczyny w swoje i patrzyła na wynędzniałą twarz, jakby starając się przezwyciężyć przerażające obyczaje Verlaine, które na każdą z nich w tak odmienny sposób oddziałały.

- Zostań tutaj. Nikt tu nie przyjdzie. Rozumiesz, nikt - powtórzyła.

Podczas uroczystości podpisywania kontraktu Loyse zachowała właściwą sobie spokojną rezygnację. Posłowie, których książę wysłał do Verlaine po żonę, stanowili trzy zupełnie odrębne typy, toteż z olbrzymim zainteresowaniem ich obserwowała.

Hunold był towarzyszem z dawnych dni wojowania Yviana. Jego reputacja jako żołnierza dotarła nawet do takiego zaścianka jak Verlaine. Ale jego wygląd nie odpowiadał ani owej reputacji, ani stanowisku. Loyse spodziewała się zobaczyć kogoś w typie seneszali jej ojca, może troszeczkę tylko ogładzonego, a tymczasem był to odziany w jedwabie, cedzący słowa, rozlazły dworzanin, który nigdy chyba nie nosił kolczugi. Zaokrąglony podbródek, długie rzęsy, gładkie policzki nadawały mu zwodniczy pozór młodości i niezmiernej miękkości. Loyse próbując dopasować tego człowieka do wszystkiego, co o nim słyszała, była bardzo zaskoczona i lekko przestraszona.

Siric, reprezentujący świątynię Fortuny był stary. Trzymając rękę na toporze wojennym wypowie jutro słowa, mocą których Loyse będzie należała do Yviana. Miał czerwoną twarz, a pośrodku skroni widniała gruba niebieska żyła. Kiedy kogoś słuchał lub sam coś mówił miękkim szeptem, przez cały czas żuł słodycze z pudełka, które służący trzymał w zasięgu jego ręki, a żółta szata kapłana przykrywała dość pokaźny brzuch.

Lord Duarte należał do starej szlachty. Ale on także nie bardzo pasował do swojej roli. Szczupły i niewielkiego wzrostu, z nerwowym tikiem w dolnej wardze i udręczonym wyglądem człowieka, któremu powierzono znienawidzone zadanie, odzywał się tylko wtedy, kiedy domagano się od niego odpowiedzi. I jako jedyny z całej trójki w ogóle zwracał uwagę na Loyse. Spostrzegła, że patrzy na nią, ale nic w jego zachowaniu nie wskazywało litości czy obietnicy pomocy. Loyse była raczej symbolem kłopotów, które chętnie odsunąłby ze swej drogi.

Loyse czuła się szczęśliwa, że zgodnie ze zwyczajem mogła nie uczestniczyć w nocnych zabawach. Nazajutrz będzie musiała wziąć udział w bankiecie weselnym, ale kiedy tylko zacznie się lać wino, wtedy... Uczepiwszy się tej myśli pospieszyła do swojego pokoju.

Zapomniała o szwaczce, toteż przestraszyła się na widok sylwetki rysującej się na tle okna. Wiatr cichł, jakby sztorm przeszedł już przez swoją najgorszą fazę. Ale dał się słyszeć inny dźwięk, zawodzenie kogoś pogrążonego w nieutulonym smutku. Z otwartego okna dobiegało pachnące solą świeże powietrze.

mią broszę, błyszczącą czerwonymi kamieniami i bogatą oprawą, błahostkę niezgodną z jej gustem, ale w jakiś sposób pasującą do niemal zbyt rozkwitłej urody jej towarzyszki.

– Coś takiego – zasugerowała wyjmując broszę.

Bettris wyciągnęła ręce, by porwać broszę, ale cofnęła je. Łapczywie oblizywała językiem czerwone wargi przenosząc wzrok z broszy na Loyse. Zwalczając odrazę Loyse przyłożyła ciężką broszę do wycięcia w szpic dekoltu sukni Bettris, z trudem panując nad chęcią odskoczenia w momencie, gdy jej palce dotknęły miękkiego ciała kobiety.

– Dobrze ci w tym, weź to! – wbrew pragnieniu jej słowa zabrzmiały jak rozkaz. Ale przynęta chwyciła. Myśląc jedynie o klejnotach Bettris zbliżyła się do stołu, a Loyse mogła przez chwilę, a może nawet dłużej, prowadzić swobodne poszukiwania w magazynie.

Wiedziała, czego szuka, nie wiedziała jednak, gdzie to może być schowane. Przechodziła powoli pomiędzy górami skarbów. Niektóre splamione były zaciekami słonej wody, z innych emanował egzotyczny zapach. Ustawiwszy niewielką przegrodę z pudeł pomiędzy sobą a Bettris, zainteresowała się skrzynią, która zapowiadała się obiecująco.

Wątły wygląd Loyse był zwodniczy. W oczekiwaniu na ten dzień ćwiczyła swego ducha, ale trenowała też ciało. Pokrywa skrzyni była ciężka, ale Loyse udało się ją podnieść. I wiedziała, że jest na dobrym tropie, wskazywał na to zapach oleju, bezbarwne szaty na wierzchu. Łapczywie grzebała w skrzyni, bojąc się splamić ręce, co zdradziłoby naturę jej poszukiwań. Wyciągnęła kolczugę przymierzając ją do siebie. Zbyt duża – może nie uda się znaleźć niczego, co pasowałoby do jej wątłej figury.

Zaczęła szukać głębiej. Następna kolczuga, i następna – musiała to być część ładunku należącego do kowala. Na dnie skrzyni znalazła coś, co zrobiono pewnie dla nieletniego syna jakiegoś lorda. Wydawało się, że wystarczą tylko niewielkie przeróbki. Upchnęła resztę w skrzyni, robiąc ze swojego znaleziska możliwie małe zawiniątko.

Skrzynka z biżuterią zafascynowała Bettris. Loyse nie miała wątpliwości, że zdążyła już ukryć w swoich szatach więcej niż jeden klejnot. Ale to umożliwiało Loyse swobodę działań, niemal jawne krążenie pomiędzy przyniesioną przez służących skrzynią i źródłami zaopatrzenia. Na koniec dodała do swoich zdobyczy belę jedwabiu, aksamitu i futrzaną etolę.

Aby przypodobać się Bettris i odwrócić jej podejrzenia, Loyse wybrała klejnoty także dla siebie i przywołała służących do odniesienia skrzyni. Obawiała się, że Bettris skłoni ją do rozpakowania skrzyni, ale łapówka zadziałała i kobieta przede wszystkim pragnęła jak najprędzej obejrzeć swoje łupy.

Gnana pośpiechem, hamowanym przez potrzebę ostrożności i starannego przewidywania, Loyse zabrała się do pracy. Rozłożyła na łóżku nieuważnie wybrane kupony materiałów, koronek i brokatów. Padła na kolana, by opróżnić kufer mieszczący jej ubrania. Niektóre rzeczy gotowe były od dawna. Ale teraz doszła cała brakująca reszta. Z niezwykłą pieczołowitością, jakiej nie okazywała wspaniałym materiałom Loyse składała posag, który zamierzała wywieźć z Verlaine na plecach i w torbach przy siodle. To było wszystko, co ośmielała się zabrać.

Kolczuga, skórzane ubrania, broń, hełm, złote próbki, biżuteria. Znów narzuciła na to swoje ubrania, wygładzając je ze starannością dobrej gospodyni. Oddychała nieco szybciej, ale kufer był już zamknięty, rozkładała właśnie pozostałe łupy, kiedy usłyszała kroki na korytarzu. To Fulk wracał po klucz.

Instynktownie złapała welon utkany ze srebrnej nici, delikatną pajęczynę kropel i narzuciła ją na głowę i ramiona, a wiedząc, że bardzo jej w tym nie do twarzy, była na tyle wspaniałomyślna, by – teraz, kiedy osiągnęła cel – pozwolić ojcu na kilka dowcipów. Nie odrzuciwszy welonu starannie upozowała się przed lustrem.

Rozbitkowie

W ciągu najbliższych kilku dni wszystkie okoliczności, które zdaniem Loyse powinny działać na jej korzyść sprzysięgły się przeciw niej. Bo chociaż Yvian z Karsten nie przyjechał sam do Verlaine, aby zobaczyć narzeczoną, przysłał jednak świtę odpowiednią do jej pozycji. Loyse musiała więc pokazać się na dole, ale pod zewnętrzną powłoką spokoju kipiała z niecierpliwości i wzrastającej desperacji.

Łączyła ogromne nadzieje z weselną ucztą, licząc, że z tej okazji większość mieszkańców i wartowników twierdzy znajdzie się w stanie zamroczenia. Fulk pragnął zaimponować wysłannikom księcia

małżeństwa, poszeptując, że zostało ono wymuszone na ich władcy w zamian za zachowanie przy życiu. Bo kobieta, którą ze sobą przywiódł, miała zdeformowane ciało i jeszcze dziwniejszy umysł, pochodziła przecież z czystej krwi Torów. We właściwym czasie urodziła mężowi Korisa i wtedy odeszła. Może umarła, a może powróciła do swych pobratymców. Hilder musiał wiedzieć, ale nigdy więcej o niej nie mówił, a mieszkańcy Gormu byli radzi, że pozbyli się takiej władczyni, toteż nikt nie zadawał pytań.

Pozostał tylko Koris z głową władcy Gormu i tułowiem bagiennego skoczka, o czym nigdy nie pozwolono mu zapomnieć. A kiedy Hilder pojął drugą żonę, posażną córkę dalekomorskiego kapitana, Ornę, cała kraina Gormu znów wypełniła się szeptami i nadzieją. Z ogromną więc radością przyjęli drugiego syna, Uryana, który najwyraźniej nie miał ani kropli obcej krwi w młodym i pięknym ciele.

Po pewnym czasie Hilder umarł. Ale umierał długo i ci, którzy szeptali, zdążyli się przygotować do owego dnia. Ci, którzy spodziewali się wykorzystać Ornę i Uryana do swoich celów, zawiedli się srodze, bo Orna, sprytna córka kupców, nie należała do naiwnych niewiast żyjących w zamknięciu dworu. Uryan był jeszcze dzieckiem, miała więc zostać regentką, ale gdyby nie okazała siły, znalazłoby się wielu przeciwników takiego rozwiązania.

Postępowała sprytnie wygrywając wielmożów Gormu jednych przeciwko drugim, osłabiając w ten sposób wszystkich, a własne siły zachowując nietknięte. Ale okazała się najgłupszą ze śmiertelniczek zwracając się o pomoc gdzie indziej. Orna bowiem spowodowała ruinę krainy Gorm, kiedy sekretnie przyzywała na pomoc flotę z Kolderu dla poparcia swych rządów.

Kolder leżało poza horyzontem mórz, w miejscu, które znał najwyżej jeden z tysiąca pytanych marynarzy. Bo żaden uczciwy, ludzki człowiek nie zbliżał się do tego ponurego portu i nie kotwiczył statku przy jego nabrzeżach. Wiedziano powszechnie, że ludzie z krainy Kolder nie są tacy jak inni i że utrzymywanie z nimi kontaktów jest przekleństwem.

Po dniu, w którym umarł Hilder, nastąpiła noc czerwonego terroru. Tylko nadludzka siła Korisa mogła mu umożliwić wydostanie się z przygotowanej na niego sieci. A potem była już tylko śmierć, bo kiedy mieszkańcy Kolderu zjawili się w Gormie, kraj ten przestał istnieć. Jeżeli ocalał ktokolwiek z poddanych Hildera, nie miał już nadziei. Bo Gorm znaczyło teraz Kolder, co było prawdą nie tylko w odniesieniu do wyspy Gorm, jako że w ciągu roku mocarne wieże wyrosły w innym miejscu wybrzeża i powstało miasto zwane Yle. Żaden mieszkaniec Estcarpu nie udałby się z własnej woli do Yle.

Owo Yle leżało jak rozlewająca się plama obrzydliwości pomiędzy Estcarpem i jedynym silnym sojusznikiem tego kraju na zachodzie – ludem morskich włóczęgów z Sulcarkeep. Ci bojownicy-kupcy, którzy znali niebezpieczne miejsca i różne lądy, zbudowali swą warowną siedzibę dzięki uprzejmości Estcarpu na skrawku wysuniętego w morze lądu. Marynarze z Sulcarkeep byli doświadczonymi kupcami, ale byli także walecznymi zuchami, których nie ośmielano się zaczepiać w tysiącach obcych portów. Żołnierze z Alizon i łucznicy z Karsten zwracali się do mieszkańców Sulcarkeep łagodnymi i uprzejmymi głosami, a gwardziści z Estcarpu uważali ich za swych towarzyszy broni.

– Magnis Osberic nie rozsyłałby wezwań, gdyby nie obsadził ludźmi murów obronnych – zauważył Tunston, starszy podoficer, który musztrował oddziały Estcarpu. Wstał i przeciągnął się. – Lepiej obejrzyjmy nasz rynsztunek. Jeżeli Sulcarkeep wzywa pomocy, pewnie wyciągniemy miecze.

Koris skinął głową, najwyraźniej zamyślony. Umoczył palec w kuflu i rysował linie na wyszorowanym stole, żując automatycznie kromkę ciemnego chleba. Simon patrzył przez ramię Korisa i linie te wydawały mu się zrozumiałe, ponieważ stanowiły powtórzenie map, które widział w pokoju sztabu gwardii w twierdzy.

Cypel, na końcu którego znajdowało się Sulcarkeep, tworzył jakby ramię obejmujące szeroką zatokę, tak że po drugiej stronie rozległego akwenu, na wprost miasta kupców – choć w odległości wielu mil – leżał Aliz, główny port krainy Alizon. W obrębie samej zatoki mieściła się wyspa Gorm. I na niej Koris starannie postawił kropkę, oznaczającą główne miasto Sippar.

Miasto Yle nie leżało, o dziwo, na wybrzeżu półwyspu od strony zatoki, ale na południowo-zachodnim brzegu wychodzącym na otwarte morze. Dalej na południe poszarpana linia brzegowa stanowiła granice księstwa Karsten, ale wybrzeże tu było skaliste, bez jednego bezpiecznego miejsca, do którego mogłyby przybijać statki. Zatoka Gorm od dawna stanowiła najlepsze okno Estcarpu na zachodni ocean.

Kapitan gwardii przez dłuższą chwilę przyglądał się swemu dziełu, po czym z niecierpliwym westchnieniem przejechał ręką po stole, zamazując wszystkie linie.

– Czy do Sulcarkeep jest tylko jedna droga? – zapytał Simon. Oddziały z każdej placówki Kolderu, mając Yle na południu i Gorm na północy, mogły bez większego trudu zagrodzić drogę przez półwysep.

Koris roześmiał się. – Jest jedna droga, tak stara jak czas. Nasi przodkowie nie przewidzieli, że władcy Kolderu zajmą Gorm. Zresztą kto przy zdrowych zmysłach mógłby to przewidzieć? Aby droga stała się bezpieczna, powinniśmy uderzyć tutaj – przy tych słowach położył palec w miejscu, gdzie oznaczył kropką miasto Sippar i przycisnął go do stołu jakby zgniatał owada. – Leczy się chorobę sięgając do jej źródła, a nie likwidując gorączkę czy inne objawy, które są po prostu oznaką istnienia choroby. A w tym przypadku – spojrzał z pewnym smutkiem na Tregartha – brakuje nam odpowiedniej wiedzy.

– A szpieg...

Oficer gwardii znów się roześmiał. – Dwudziestu ludzi z Estcarpu udało się na wyspę Gorm. Zgodzili się zmienić swą powierzchowność, choć nie wiedzieli, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczą w lustrze swoją własną twarz, ale przystali na to z ochotą. Wyposażeni zostali w całość wiedzy i tajemnych umiejętności, jakie są nam znane. Ale niczego nie osiągnęli w Sipparze. Bo mieszkańcy Kolderu nie przypominają żadnych innych ludzi i nie wiemy absolutnie nic o ich systemach detekcji, poza tym, że wydają się niezawodne. W końcu Strażniczka zabroniła dalszych wypraw, bo odpływ mocy był zbyt wielki. Ja sam chciałem się tam wyprawić, ale nie mogłem przełamać granicznego zaklęcia. Wylądowanie na Gormie oznaczałoby moją śmierć, a jednak lepiej mogę służyć Estcarpowi za życia. Nie uda nam się załatwić tej sprawy, dopóki nie padnie Sippar, a na to nie mamy na razie żadnych nadziei.

– Ale jeśli Sulcarkeep jest zagrożony!

Koris sięgnął ręką po hełm. – W takim przypadku, przyjacielu Simonie, jedziemy. Bo kiedy Kolder walczy na swoim terenie czy na swoich statkach, zwycięstwo zawsze należy do nich. Ale kiedy zapuszczają się na nieznane terytorium, na które nigdy jeszcze nie kładł się ich własny cień, istnieje pewna szansa wykrawienia ich, wbicia mieczy trochę głębiej. A łupy wojenne w Sulcarkeep zapowiadają się dobrze. Staram się niszczyć członków plemienia Kolder kiedy tylko mogę.

– Jadę z wami. – Było to raczej oświadczenie niż pytanie.

Kapitan bacznie go obserwował.

– Nie jedziemy po łatwy łup.

Simon nie poruszył się, znając niechęć Korisa do tego, by ktoś górował nad nim wzrostem; przez tę niewielką uprzejmość spodziewał się udobruchać dowódcę.

– Kiedyż to zrobiłem na tobie wrażenie człowieka, który szuka tylko łatwych zwycięstw? – w pytaniu tym było trochę zgryźliwości.

– A więc staraj się polegać jedynie na strzałach. Mieczem władasz niewiele lepiej od spokojnych kupców z Karsten!

Simon nie zareagował na to szyderstwo, wiedząc aż nazbyt dobrze, że odpowiada ono prawdzie. Posługując się karabinem na strzałki mógł dorównać najlepszym w twierdzy, nawet ich przewyższyć. Zapasy i walka wręcz, do której wprowadzał elementy dżudo przyniosły mu sławę, sięgającą już do granicznych fortów. Ale posługiwał się mieczem jak niezdarni rekruci, których brody porastał dopiero chłopięcy zarost. A maczuga, którą Koris manewrował ze zręcznością kota, w rękach Simona wydawała się przytłaczającym ciężarem.

– Karabin strzałkowy – przyznał. – Ale mimo wszystko jadę.

– Niech tak będzie. Ale najpierw musimy się przekonać, czy w ogóle jedziemy.

Decyzję podjęto na zebraniu, na które wezwano oficera Korisa i czarodziejki będące na służbie w twierdzy. Chociaż Simon oficjalnie nie należał do tego grona, postanowił iść za kapitanem i skoro nie odmówiono mu wejścia na salę, usadowił się na parapecie jednego z okien i uważnie obserwował zebranych.

Przewodniczyła spotkaniu Strażniczka, władczyni miasta i dookolnych ziem Estcarpu, bezimienna kobieta, która przesłuchiwała Simona po jego przybyciu. A za jej krzesłem stała kobieta, która uciekała przed psami z Alizonu. Było jeszcze pięć innych, których wieku nie dałoby się określić, wydawały się też bezpłciowe, ale wszystkie miały to czujne i uważne spojrzenie. Simon uznał, że w każdej walce wolałby

mość. Ciesz się z zaszczytu, a jeśli jesteś mądra, będziesz się dobrze obchodziła z Aldis i z innymi. Yvian nie uchodzi za cierpliwego czy łatwo przebaczającego człowieka.

Podniósł się z łóżka, gotów do wyjścia. Jednak przedtem odwiązał niewielki klucz z łańcucha przy pasie i rzucił go Loyse.

– Mimo twojej bladej twarzy, dziewko, nie pójdziesz do ślubu bez należnych ci błyskotek i wszystkiego innego. Przyślę tu Bettris, ona się na tym zna i pomoże ci wybrać coś na suknie. I welon na twarz, bo to ci na pewno będzie potrzebne! Ale uważaj na Bettris, nie pozwól, żeby wzięła dla siebie więcej niż będzie mogła unieść!

Loyse złapała klucz z takim entuzjazmem, że Fulk się roześmiał.

– Przynajmniej tyle masz w sobie kobiety, zależy ci na błyskotkach tak samo jak każdej. Niech tylko nadejdzie jeden i drugi sztorm, a nadrobimy wszystko, co zabierzesz z magazynów.

Wyszedł, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Loyse, idąc za ojcem, by je zamknąć, ściskała klucz w ręku. Przez całe miesiące i lata układała plany, jak zdobyć ten kawałek metalu. Teraz wręczono go jej oficjalnie i nikt nie będzie mógł kwestionować poszukiwania tego, co rzeczywiście chciała zabrać z magazynów Verlaine.

Prawo do plądrowania na lądzie i na morzu i do okradania wraków! Od kiedy wzniesiono twierdzę Verlaine na górze pomiędzy dwoma zdradliwymi przylądkami, morze przyniosło jej władcom obfite łupy. A magazyn w głównym korpusie budowli był prawdziwym skarbem, otwieranym tylko na rozkaz władcy. Fulk musiał uważać, że na małżeństwie Yviana robi bardzo dobry interes, skoro pozwolił na niekontrolowane plądrowanie. Loyse nie obawiała się towarzystwa Bettris. Ostatnia nałożnica Fulka była bardzo chciwa i z pewnością nie zwróci nawet uwagi na to, co wybiera Loyse, jeśli będzie miała szansę poszperać na własną rękę.

Loyse przerzucała klucz z jednej ręki do drugiej i po raz pierwszy na jej bladych wargach zagościł wątły uśmiech. Fulk byłby zdziwiony tym, co wybierze ze skarbca Verlaine! Byłby także zdziwiony jej innymi wiadomościami o tych murach, które wydawały mu się zaporą nie do przebycia. Przez moment wzrok Loyse powędrował na ścianę ze zwierciadłem.

Rozległo się nerwowe pukanie do drzwi. Loyse znów się uśmiechnęła, tym razem z pogardą. Nie trzeba było wiele czasu, by Bettris posłuchała rozkazów Fulka. Ale przynajmniej nie odważała się zakłócać spokoju córki swego kochanka bez uprzedzenia. Loyse podeszła do drzwi.

– Lord Fulk... – zaczęła stojąca w nich dziewczyna, której pulchna uroda była równie pełna i żywa jak męskość Fulka.

Loyse uniosła klucz. – Mam go. – Nie wymieniła żadnego imienia, nie obdarzyła przybyłej żadnym tytułem, obrzuciła jedynie spojrzeniem okrągłe ramiona wyłaniające się z sukni przylegającej do wszystkich obfitych okrągłości. Za Bettris stało dwóch służących ze skrzynią. Loyse uniosła brwi pytająco, a Bettris zaśmiała się nerwowo.

– Lord Fulk pragnie byś wybrała ślubne stroje, pani. Powiedział, żebyś poczynała sobie bez skrępowania w magazynie.

– Lord Fulk jest bardzo hojny – głos Loyse zabrzmiał bezbarwnie. – Idziemy?

Kobiety ominęły główny hall i zewnętrzne pomieszczenia twierdzy, ponieważ skarbiec mieścił się pod wieżą, w której znajdowały się prywatne apartamenty rodziny. Loyse była bardzo z tego rada, starała się trzymać z daleka od życia toczącego się w domu jej ojca. Kiedy wreszcie dotarły do drzwi, które otwierał upragniony klucz, Loyse cieszyła się, że jedynie Bettris wchodzi z nią do wnętrza. Służący wnieśli za nimi skrzynię i wyszli na korytarz.

Światło z trzech kloszy na suficie oświetlało skrzynie i pudła, zwoje i wory. Bettris obciągnęła suknię na biodrach gestem przekupki, która szykuje się do ubicia targu. Jej ciemne oczy przeskakiwały ze skrzyni na skrzynię, a Loyse podnieciła jeszcze ten olbrzymi głód

– Lord Fulk chyba nie zabroniłby ci wybrać czegoś dla siebie. W istocie nawet mi to powiedział. Ale ostrzegam, bądź ostrożna i niezbyt zachłanna.

Pulchne ręce Bettris przeniosły się z bioder na pełne, niemal obnażone piersi. Loyse przeszła przez środek magazynu, zbliżyła się do stołu i podniosła wieko stojącej na nim skrzynki. Nawet ona zadrżała na widok zgromadzonego wewnątrz bogactwa. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że przez te wszystkie lata grabież przyniosła aż takie rezultaty. Z plątaniny łańcuchów i naszyjników wyciągnęła olbrzy-

– Spójrz na to, co nazywasz swoją twarzą! Myślisz, że jakikolwiek mężczyzna mógłby pocałować tę twarz nie zamknąwszy oczu i nie wypowiedziawszy życzenia, by dzieliło go od ciebie tysiące mil? Ciesz się, dziewko, że masz jeszcze coś prócz tej twarzy i że może twoje kościste ciało skusi jakiegoś zalotnika. Zgodzisz się na każdego, kto będzie chciał cię wziąć. Ciesz się, że masz ojca, który może załatwić ci tak korzystne małżeństwo, jak mnie się udało. Tak, lepiej czołgaj się na tych swoich sztywnych kolanach i dziękuj swoim bogom, że Fulk czuwa nad swoją rodziną.

Jego słowa brzmiały jak pomruk burzy, Loyse nie widziała w lustrze nic, poza mglistymi obrazami, jakie podsuwała jej wyobraźnia. Któremu z brutali z orszaku Fulka zostanie rzucona, aby przyniosło to jakąś korzyść władcy?

– Sam Karsten... – We wzrastającym podnieceniu Fulka krył się rodzaj podziwu. – Karsten, wyobraź sobie! I ta kupa kości grzechocze coś o dobrowolnej zgodzie! Naprawdę, w głowie też masz pusto. – Uwolnił ją z uścisku i gwałtownie pchnął na lustro, tak że metalowa tarcza zadzwoniła w zetknięciu ze ścianą. Loyse przez chwilę walczyła o zachowanie równowagi, po czym obróciła się w stronę Fulka.

– Książę! – W to nie mogła uwierzyć. Dlaczego władca księstwa miałby się starać o córkę barona, nawet jeśli rodowód Loyse po kądzieli był tak stary i świetny?

– Tak, sam książę! – Fulk usiadł na brzegu łóżka kołysząc nogami obutymi w długie buty. – Mówisz o fortunie! Szczęście uśmiechnęło się do ciebie już w chwili narodzin. Dziś rano przyjechał posłaniec z Karsten z propozycją małżeństwa, w którym ślubny topór zastąpi pana młodego.

– Ale dlaczego?

Fulk przestał machać nogami. Nie wykrzywił się, ale twarz jego przybrała poważny wyraz.

– Kryją się za tym pewne powody. – Uniósł rękę i zaczął wyliczać na palcach.

– Po pierwsze, zanim książę stał się mocarnym władcą w Karsten, był najemnym żołnierzem i wątpię, czy wie cokolwiek o swojej matce, nie mówiąc już o ojcu! Zgniótł wszystkich panów, którzy stawiali mu opór. Ale to było wiele lat temu, a teraz nie ma już ochoty nosić kolczugi i wykurzać rebeliantów z ich zamków. Zdobywszy księstwo, chce mieć parę spokojnych lat, aby się nim cieszyć. Żona, pochodząca spośród tych, których zgniótł, to zapowiedź pokoju. I choć Verlaine nie jest może najbogatszą twierdzą w Karsten, w żyłach jego władców płynie bardzo stara krew. Czyż nie powtarzano mi tego zbyt jasno, kiedy starałem się o twoją matkę? A nie byłem przecież byle kim, tylko najmłodszym synem Farthoma z północnych wzgórz. – Usta Fulka wykrzywiły się, jakby na wspomnienie upokorzeń z przeszłości.

– A ponieważ jesteś dziedziczką Verlaine, stanowisz doskonałą kandydaturę.

Loyse roześmiała się. – Nie jestem chyba jedyną dobrze urodzoną panną na wydaniu w całym Karsten?

– Słusznie. Mógłby również dobrze trafić gdzie indziej. Ale, jak już powiedziałem, moja nadroższa córko, masz jeszcze pewne inne zalety. Verlaine jest nadbrzeżną twierdzą z prastarymi uprawnieniami, a ambicje księcia są teraz bardziej pokojowe niż posługiwanie się obnażonym mieczem. Co byś powiedziała, gdyby powstał tu port przyciągający cały północny handel?

– A co by się stało z Sulcarkeep, gdyby powstał tu taki port? Ci, którzy walczą z okrzykiem „Sul" są bardzo zazdrośni o swoje prawa.

– Ci, którzy przysięgają na to zawołanie, mogą wkrótce w ogóle nie być zdolni do żadnej przysięgi – odpowiedział ze spokojną pewnością człowieka dobrze poinformowanego. – Mają kłopotliwych sąsiadów, którzy stają się jeszcze bardziej kłopotliwi. A Estcarp, dokąd mogą się zwrócić o pomoc, to pusta łupina wysuszona przez te czarodziejskie praktyki. Wystarczy jedno pchnięcie, by cały ten kraj zamienił się w proch, który zresztą już dawno powinien go zasypać.

– A więc ze względu na krew płynącą w moich żyłach i plany budowy portu, lord Yvian proponuje małżeństwo – nastawała Loyse, niezdolna uwierzyć w prawdziwość tej wersji. – Ale czyż ten wielki pan może swobodnie przysyłać tutaj topór z ofertą małżeńską? Jestem wprawdzie trzymana w twierdzy, z dala od nowin, ale nawet ja słyszałam o pewnej Aldis, której rozkazy wykonują posłusznie wszyscy ludzie noszący znak księcia.

– Tak, Yvian będzie miał Aldis i wiele jej podobnych, ale to nie twoja sprawa. Daj mu tylko syna, jeżeli w ogóle jesteś do tego zdolna, co wydaje mi się wątpliwe. Daj mu syna i trzymaj wysoko głowę przy stole, ale nie zatruwaj mu czasu żadnymi płaczliwymi żądaniami czegoś więcej niż towarzyska uprzej-

raczej mieć te kobiety po swojej stronie. Nigdy nie spotkał nikogo podobnego, nigdy też nie zetknął się z podobną siłą osobowości.

A jednak stał teraz przed nimi mężczyzna, który wydawał się przytłaczać całe zgromadzenie. Zresztą górowałby pewnie w każdym innym zespole ludzi. Mieszkańcy Estcarpu byli szczupli i wysocy, ale przy tym człowieku sprawiali wrażenie niedorostków. Zbroja, która zdobiła jego piers, wystarczyłaby na tarcze dla co najmniej dwóch gwardzistów, jego tors i ramiona przypominały Korisa, ale reszta ciała pozostawała w odpowiedniej do nich proporcji.

Mężczyzna był ogolony, ale nad górną szeroką wargą błyszczały wąsy zasłaniające część policzków. Kolejną kreskę gęstych włosów na twarzy stanowiły krzaczaste brwi. Hełm przybysza wieńczyła zręcznie wykonana głowa niedźwiedzia, którego pysk wykrzywiał ostrzegawczy grymas. Olbrzymia niedźwiedzia skóra podbita żółtą materią służyła za płaszcz, spięty pod szyją niedźwiedzimi łapami o złoconych pazurach.

– My w Sulcarkeep dochowujemy wierności pokojowi kupców – najwyraźniej starał się dostosować brzmienie swego głosu do niewielkich rozmiarów pomieszczenia, ale i tak głos ten dudnił w pokoju. – Ale jeśli zachodzi potrzeba, utrzymujemy ten pokój ostrzem naszych kling. Ale jaki pożytek ze stali przeciwko czarownikom nocy? Nie spieram się z dawną wiedzą – zwrócił się bezpośrednio do Strażniczki, jakby rozmawiał z klientem po drugiej stronie sklepowej lady. – Każdy ma prawo do własnych bogów i sił, a Estcarp nigdy nie narzucał innym swoich wierzeń. Kolder jednak postępuje inaczej. Niszczy swych nieprzyjaciół! Mówię ci, pani, nasz świat zginie, jeśli nie postaramy się zatrzymać przypływu.

– A czy widziałeś kiedyś, wielki kupcu, mężczyznę zrodzonego z kobiety, który potrafiłby kontrolować przypływy? – zapytała kobieta.

– Kontrolować, nie, ale jechać na nich, tak! To jest właśnie moja magia. – Gest, jakim uderzył się w pierś, w innym wykonaniu mógłby się wydawać teatralny. – Ale nie ma to zastosowania wobec Kolderu, który teraz zamierza uderzyć na Sulcarkeep. Niech głupi szarlatani z Alizon trzymają się z daleka, przyjdzie na nich kolej tak jak na Gorm. Ale mieszkańcy Sulcarkeep przygotują się, będą walczyć. A kiedy padnie nasz port, owe morskie przypływy zbliżą się do ciebie, pani. Mówi się, że masz moc panowania nad wiatrem i burzą, że potrafisz zmienić wygląd i umysł człowieka. Czy twoja magia może zmierzyć się z krajem Kolder?

Ręka kobiety powędrowała do kamienia na piersi, pogładziła go.

– Mówię teraz prawdę, Magnisie Osbericu, nie wiem! Kolder jest siłą nieznaną, nie potrafiliśmy dokonać wyłomu w jego murach. Co do reszty, przyznaję ci rację. Nadszedł czas, kiedy musimy zająć stanowisko. Kapitanie – przywołała Korisa – jakie jest twoje zdanie w tej sprawie?

Przystojnej twarzy Korisa nie opuścił gorzki wyraz, ale oczy mu zabłysły.

– Uważam, że dopóki możemy unieść miecze nie traćmy czasu. Jeśli pozwolisz, pani, udamy się do Sulcarkeep!

– To twoja sprawa, kapitanie, do ciebie należy wojsko. Ale towarzyszyć wam będą także inne moce, żebyśmy wykorzystali wszystkie siły, jakimi dysponujemy.

Kobieta nie wykonała żadnego gestu, ale czarodziejka, która szpiegowała w Alizon, wyszła zza krzesła i stanęła po prawej ręce Strażniczki. A jej ciemne, skośne oczy przesuwały się z jednej twarzy na drugą aż dostrzegła siedzącego na uboczu Simona. Czyżby cień uśmiechu, trwającego tylko ułamek sekundy, przemknął z jej oczu na usta? Simon niemal mógłby to przysiąc, choć wydawało się to niemożliwe. Nie wiedział dlaczego, ale w tym momencie zdał sobie sprawę z istnienia pomiędzy nimi jakiejś bardzo wątłej nici, nie uświadamiał sobie tylko, jak cienka jest owa nitka.

Kiedy wczesnym popołudniem wyjeżdżali z miasta, Simon odkrył, że jego koń dziwnym trafem idzie krok w krok z wierzchowcem kobiety. Podobnie jak żołnierze gwardii miała na sobie kolczugę i hełm z siatką. Na pozór nie wyróżniała się wśród innych jeźdźców, u jej boku zwisał miecz, miała przy pasie taką samą broń jak Simon.

– A więc, wojowniku z innego świata – mówiła cicho, jak mu się wydawało chciała, żeby tylko on ją słyszał – znów jedziemy tym samym szlakiem.

Coś w jej pogodnej postawie zdenerwowało Simona.

– Miejmy nadzieję, że tym razem jako myśliwi, nie jako ofiary.

- Każdy ma swój dzień. - Głos jej wydawał się obojętny. - W Alizon zdradzono mnie. I byłam nieuzbrojona.
- A teraz masz miecz i karabin.
Spojrzała na swoje uzbrojenie i roześmiała się.
- Tak, Simonie Tregarth, mam miecz i karabin. I inne rzeczy. Ale w jednym masz rację, spieszymy na ponure spotkanie.
- Czy to przepowiednia, pani? - Niecierpliwość Simona rosła. W tej chwili stał się niedowiarkiem. Łatwiej było ufać stalowej klindze, przystającej do ręki, niż wierzyć w przeczucia, spojrzenia, znaki.
- Przepowiednia, Simonie. - Jej skośne oczy patrzyły na niego ciągle z tym cieniem zaczajonego gdzieś w głębi uśmiechu. - Nie nakładam na ciebie żadnych czarów, obcy przybyszu. Ale wiem jedno, nici naszego życia zostały splątane ręką najwyższego strażnika. To, czego pragniemy, i to, co się stanie, to dwie różne rzeczy. Powiem to nie tylko tobie, ale wszystkim: strzeżcie się miejsca, gdzie skały są wysokie i dźwięczy głos morskiego orła.
Simon zmusił się do uśmiechu.
- Wierz mi, pani, rozglądam się tak bacznie, jakbym miał oczy ze wszystkich stron głowy. To nie jest moja pierwsza wyprawa.
- Oczywiście. Inaczej nie jechałbyś z Jastrzębiem - wskazała ruchem podbródka na Korisa. - Gdybyś nie był z odpowiedniego tworzywa, nie chciałby mieć z tobą do czynienia. Koris pochodzi z rodu wojowników i jest urodzonym przywódcą, na szczęście dla Estcarpu.
- Czy widzisz, pani, owo nieszczęście w Sulcarkeep? - nalegał Simon.
Potrząsnęła głową. - Wiesz, jak to jest z tym darem. Dysponujemy tylko skrawkami, kawałkami, nigdy całym obrazem. Ale nie widzę murów miejskich. Wydaje mi się, że to jest bliżej skraju morza. Przygotuj swój karabin Simonie, i te swoje zręczne pięści. - Znów była rozbawiona, ale w jej śmiechu nie było szyderstwa, raczej przyjacielska pogoda. Zdawał sobie sprawę, że musi ją zaakceptować na jej własnych warunkach.

Walka demonów

Ranek był pogodny, czerwone plamy kwitnących krzaków odbijały promienie słońca. W powietrzu czuło się już zapach morza, serce Simona zabiło żywiej, choć sądził, że już nigdy nie potrafi odczuwać tak intensywnie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że cicho nucił, dopóki z lewej strony nie odezwał się znajomy matowy głos.
- Zanim jastrząb zaatakuje, ptaki śpiewają.
Pogodnie przyjął tę drwinę.
- Nie chcę słuchać ponurego krakania, dzień jest zbyt piękny.
Kobieta niecierpliwie szarpnęła siatkę okrywającą jej szyję i ramiona, jakby jej miękkie fałdy krępowały swobodę ruchów.
- Morze... czuje się je w podmuchach wiatru.
Wpatrywała się w falistą linię drogi na horyzoncie.
- Mamy w swoich żyłach morze. Dlatego krew mieszkańców Sulcar może się mieszać z naszą, co się zresztą czasem zdarza... Któregoś dnia wypuściłabym się na morze. Jest coś przyciągającego w kołysaniu fal odpływających od brzegu.
Słowa kobiety były zaledwie śpiewnym szeptem, ale Simon nagle zbystrzał, nucona melodia zamarła mu w krtani. Może nie dysponował mocą czarodziejek z Estcarpu, ale coś w jego wnętrzu drgnęło ostrzegawczo, poruszyło się, i zanim zdążył pomyśleć, podniósł rękę, ściągając równocześnie wodze swego konia.
- Tak! - Ręka kobiety powtórzyła jego gest i jeźdźcy za nimi się zatrzymali. Ukazała się głowa Korisa, powtórzył ręką sygnał i cały oddział stanął w miejscu.
Kapitan przekazał dowództwo Tunstonowi i podjechał do Simona i kobiety. Skrzydła oddziału były wysunięte, nie można było pozwolić sobie na osłabienie czujności.
- O co chodzi? - zapytał Koris.

Karsten wielu było krewnych matki, którzy szybko upomnieliby się o zwierzchnictwo nad Verlaine, gdyby Loyse umarła.
Wstała z parapetu, przeszła się do pokoju. Było w nim chłodno od morskiego wiatru, ciemno, bo nigdy nie dochodziło tu słońce. Ale Loyse przywykła do zimna i mroku, stały się już niemal częścią jej samej.

Zatrzymała się przed lustrem przy kotarze łóżka. Nie było to eleganckie kobiece lusterko, ale tarcza wypolerowana w ciągu długich godzin do takiego połysku, że cały pokój odbijał się w niej, lekko tylko zniekształcony. Odważne przyglądanie się temu, co pokazywało lustro stanowiło część surowej samodyscypliny.

Nagle Loyse na moment zacisnęła ręce. Równie gwałtownym ruchem opuściła je, choć dłonie ukryte pod spływającymi rękawami zaciskała w pięści, wbijając paznokcie w skórę. Nie odwróciła się w kierunku drzwi, nie wykonała poza tym żadnego ruchu, który by wskazywał, że usłyszała szczęk zasuwy. Wiedziała, jak daleko może się posunąć w swej wyzywającej postawie wobec Fulka i nigdy nie przekraczała tej granicy. Czasami, myślała z desperacją, ojciec nawet nie domyśla się jej buntu.
Trzasnęły drzwi. Władca Verlaine zazwyczaj traktował każdą przeszkodę tak, jakby atakował nieprzyjacielską fortecę. Wkroczył do pokoju jak człowiek, który właśnie podjął klucze do miasta z końca szpady pokonanego dowódcy.
Tak jak Loyse była bezbarwnym tworem ciemności, tak Fulk był panem słońca i oszałamiającego światła. Jego ciało zdradzało już pierwsze oznaki niezdrowego trybu życia, ale ciągle jeszcze był bardzo przystojny, trzymał rudozłotą głowę jak książę, a rysy jego twarzy dopiero zaczynały zatracać swój czysty rysunek. Większość mieszkańców Verlaine uwielbiała swego władcę. Kiedy był ukontentowany przejawiał szczerą, choć kapryśną wspaniałomyślność, a poddani rozumieli jego wystepki i na ogół również im ulegali.
Loyse dostrzegła w lustrze jego dzielne odbicie, na jego tle stawała się w jeszcze większym stopniu płomykiem nocy. Ale nie odwróciła się w jego stronę.
- Witam, lordzie Fulk - powiedziała bezbarwnym głosem.
- Lordzie Fulk, co? W ten sposób zwracasz się do swojego ojca? Pokaż choć raz, że masz w żyłach nie tylko lód!
Wsunął rękę pod jeden z warkoczy na jej ramieniu i obrócił dziewczynę do siebie; Loyse była pewna, że siła tego chwytu pozostawi na jej ciele siniaki. Wiedziała, że zrobił to specjalnie, postanowiła jednak nic nie okazywać.
- Przychodzę tu z nowiną, która każdą dziewczynę wprawiałaby w szał radości, a ty mi pokazujesz tę swoją rybią twarz bez cienia zadowolenia - przyglądał się jej z jowialnym wyrazem twarzy. Ale to, co czaiło się w głębi jego oczu, nie było wynikiem dobrego humoru.
- Panie, nie wypowiedziałeś jeszcze owej nowiny.
Palce Fulka zagłębiły się w jej ciało, jakby pragnął połamać jej kości.
- Pewnie, że nie! Ale ta nowina przyprawiłaby o bicie serca każdą dziewkę. Weselisko i noc poślubna, moje dziecko!
Loyse, z odczuciem nieznanego dotąd lęku, postanowiła udać, że go nie zrozumiała.
- Bierzesz dla Verlaine władczynię, panie? Niech fortuna będzie dla ciebie łaskawa!
Chwyt na ramieniu nie rozluźnił się, teraz Fulk potrząsnął nią na pozór z żartobliwym pobłażaniem, ale z siłą, która sprawiała ból.
- Twoja twarz może w niczym nie przypominać niewiasty, ale nie brakuje ci konceptu, choćby nawet inni dali się zwieść pozorom. W twoim wieku powinnaś być normalną kobietą. I nareszcie będziesz miała pana, który tego dokaże. Radzę ci nie próbować z nim żadnych twoich sztuczek. Przede wszytkim lubi, żeby towarzyszki jego łoża były posłuszne.
Nadeszło to, czego Loyse najbardziej się obawiała, toteż nie potrafiła zamaskować swoich uczuć.
- Ślub wymaga zgody... - urwała, zawstydzona swym chwilowym załamaniem.
Fulk śmiał się, zachwycony, że udało mu się wyrwać z niej ten protest. Poruszył rękę na jej ramieniu, by uszczypnąć ją w szyję. Potem obrócił ją jak marionetkę, pchając w stronę lustra i trzymał tak bezbronną smagając słowami, które uważał za bardziej raniące od ciosów zadawanych rękami.

Wyszli niewielkimi drzwiami, które im wskazał. Koris szedł ostatni, więc on zaryglował drzwi. Biegiem przelecieli korytarz. Na szczęście kule świetlne na suficie się paliły, a podłoga była gładka.

Kiedy dotarli do niewielkiej groty, w której stał na kotwicy stateczek, szum morza stał się wyraźny.

– Padnij! – Simon wraz z innymi został wepchnięty na pokład i Koris uderzeniem ręką w plecy popchnął go na dno. Obok niego i na nim kładli się następni, przygniatając go do kołyszącego się dna. Usłyszał trzask następnych drzwi, może to trzasnął pokład nad nimi? Nie było światła, nie było także powietrza; Simon leżał spokojnie, nie mając pojęcia, co nastąpi za chwilę.

Statek poruszał się, ciała się przesuwały, czuł się kopany, potrącany, ukrył więc twarz w ramieniu. Statek zakołysał mocniej, żołądek Simona buntował się przeciwko takim ruchom. Nigdy nie przepadał za podróżami morskimi. Zajęty głównie zwalczaniem ogarniającej go morskiej choroby, nie był przygotowany na grzmot, który zdawał się wysadzać cały świat w jednym wybuchu huku i ciśnienia.

Ciągle jeszcze unosili się na falach, ale kiedy Simon podniósł głowę, odetchnął czystym powietrzem. Obrócił się i wstał nie zwracając żadnej uwagi na jęki i protesty leżących obok. Przede wszystkim olśniło go spostrzeżenie, że nie ma już mgły i że jest dzień. Niebo, morze dokoła, widoczny w dali brzeg były jasne i czyste.

Ale kiedy słońce się podniosło, z lądowej bazy rozlały się falą sięgającą nieba płomyki ognia. Wybuch ogłuszył Simona, ale go nie oślepił. Zmierzali na otwarte morze, pozostawiając źródło owego ciepła i światła.

Naliczył trzy kadłuby statków. Nie miały żagli, musiał je więc napędzać jakiś silnik. Na rufie ich statku siedział nieruchomo mężczyzna, patrząc na jego ramiona nie można się było pomylić co do osoby. Ster trzymał Koris. Uwolnili się z piekła, jakim stał się port Sulcarkeep, ale dokąd zmierzali?

Nie było już mgły, a pożar na brzegu oświetlał drogę. Ale fale, na których się kołysali, nie zwiastowały spokojnego morza. Może było to wynikiem wybuchu, którym Magnis zniszczył twierdzę, może wybuch ten poruszył również ocean. Wiał tak silny wiatr, jakby jakaś ręka starała się wcisnąć okręty pod powierzchnię wody, toteż ludzie płynący na mizernych stateczkach zdali sobie sprawę, że udało im się co najwyżej zyskać kilka godzin życia.

Przygoda w Verlaine

Topór weselny

Matowe i szare morze przypominało kolor ostrza topora, które nigdy nie nabierze połysku bez względu na to, jak długo się je poleruje, czy też metalowego lustra zamglonego wilgocią, które nie da się zetrzeć. A niebo nad nim było równie bezbarwne, nie dawało się rozróżnić miejsca spotkania wody i nieba.

Loyse skuliła się na parapecie pod wąskim oknem. Nie znosiła wysokości, a ta wieża, wybrzuszona w murach twierdzy, zwisała akurat nad ostrymi, przystrojonymi pianą morską skałami wybrzeża. Jednak Loyse często siadała na tym właśnie parapecie, skąd patrzyło się przed siebie, w pustkę z rzadka tylko przerywaną lotem ptaka, skąd można zobaczyć wolność.

Loyse przyciskała wąskie dłonie o długich palcach do kamiennego parapetu po obu stronach okna, wychylając się na zewnątrz cal lub dwa, by spojrzeć w otchłań, która budziła lęk, ale wszak zmuszała się do robienia wielu rzeczy, przed którymi wzdragało się jej ciało i umysł. Kiedy jest się córką Fulka, trzeba sobie stworzyć powłokę ochronną z lodu i żelaza, której nie naruszy żadne maltretowanie ciała, żadne urąganie duszy. Zajęta była budowaniem tej cytadeli przez ponad połowę swego krótkiego życia.

W Verlaine wiele było kobiet, bo Fulk należał do mężczyzn o niezaspokojonym apetycie. Loyse od najwcześniejszego dzieciństwa obserwowała jak odchodzą i przychodzą, starała się nad sobą panować. Z żadną z nich Fulk się nie ożenił, z żadną nie spłodził potomka, co stanowiło niezaprzeczalną korzyść dla Loyse i powód ogromnego niezadowolenia samego Fulka. Bo Verlaine nie było dziedzictwem Fulka, wszedł w jego władanie przez swoje jedyne małżeństwo z matką Loyse i tylko dopóki żyła Loyse mógł nim władać i korzystać z przysługującego miastu prawa łupów, zarówno na lądzie, jak i na morzu. W

– Zbliżamy się do jakiegoś niebezpieczeństwa. – Simon obserwował leżący przed nimi teren, niewinnie skąpany w promieniach słońca. Poruszał się tylko wysoko lecący ptak. Wiatr ucichł, nawet najlżejsze powiewy nie ożywiały kęp zarośli. A jednak Simon postawiłby na szali całe swoje doświadczenie i zdrowy sąd, że czeka ich pułapka gotowa zacisnąć szczęki.

Koris był najwyraźniej zdumiony. Przeniósł wzrok z Simona na kobietę. Siedziała w siodle pochylona do przodu, wdychała powietrze rozdętymi nozdrzami. Wydawała się łowić zapach jak myśliwski pies. Wypuszczając wodze, wykonała palcami pewne znaki i skinęła szybko głową bez cienia wątpliwości.

– Ma rację. Jest przed nami pustka, której nie mogę przeniknąć. Może kryć się tam przeszkoda lub zasadzka.

– Ale w jaki sposób on... przecież dar nie należy do niego! – gwałtownie zaprotestował Koris. Obrzucił Simona spojrzeniem, którego znaczenia tamten nie potrafił odczytać, ale nie było to ufne spojrzenie. Po chwili Koris wydał rozkazy, wysuwając się naprzód, by poprowadzić manewr okrążający, którego celem miało być wyciągnięcie z zasadzki nieprzyjaciela.

Simon przygotował swój karabin. Skąd wiedział, że czeka ich niebezpieczeństwo? W przeszłości zdarzały mu się takie przeczucia – jak owej nocy kiedy spotkał Petroniusa – ale nigdy nie były one tak nagłe i wyraźne, nie nasilały się aż tak.

Kobieta jechała obok niego, tuż za pierwszą linią gwardii, zaczęła coś monotonnie zawodzić. Spod kolczugi wydobyła zamglony kamień, który był zarówno bronią, jak symbolem jej profesji. Podniosła go ponad głowę i wypowiedziała głośno jakiś rozkaz w języku nie przypominającym tego, którego Simon nauczył się z takim trudem.

Przed nimi ukazały się naturalne formacje skał sterczących w niebo niby kły z olbrzymiej szczęki i droga przebiegająca między dwoma głazami tworzącymi coś na kształt łuku. U stóp skał gęste zarośla krzaków, suchych i brązowych, żywych i zielonych formowały nieprzeniknioną ścianę.

Promień światła z tajemniczego kamienia w naszyjniku uderzył w najwyższy z owych skalnych kłów i to połączenie światła i skały zrodziło kłęby mgły, gęstniejącej w bawełnianą watę wokół rumowiska skał i roślinności.

Z tej szarobiałej kurtyny wyłoniła się fala uzbrojonych i opancerzonych mężczyzn idących do ataku w kompletnym milczeniu. Hełmy mieli głęboko osadzone na głowach i zaopatrzone w przyłbice, sprawiali wrażenie drapieżnych ptaków. Niesamowitość ich nagłego pojawienia się pogłębiało jeszcze to, że zachowywali kompletną ciszę, nie słychać było nawet żadnych rozkazów.

Z okrzykiem „Sul, Sul, Sul" morscy piraci wyciągnęli miecze i uformowali zakończoną klinem linię ataku, na czele której znalazł się Magnis Osberic.

Gwardziści również nie wydali żadnego okrzyku, Koris nie dał żadnych rozkazów. Ale już strzelcy wynaleźli swoje cele, szermierze wysunęli się naprzód z wyciągniętymi mieczami. Mieli nad pieszym nieprzyjacielem tę przewagę, że siedzieli na koniach.

Simon przyjrzał się bacznie wojskom Estcarpu i wiedział, gdzie kryją się słabe punkty. Nie umiał powiedzieć, czy to samo dotyczyło armii Kolderu. Wycelował w pachę żołnierza, który próbował dosięgnąć pierwszego z gwardzistów. Żołnierz Kolderu zatoczył się i padł, spiczasta przyłbica wbiła się w ziemię.

„Sul... Sul... Sul"! Wojenne zawołanie Sulcarkeepu falowało nad splątanymi ciałami walczących, którzy przeszli do walki wręcz. W pierwszych momentach starcia Simon miał jedynie świadomość własnego w nim udziału, konieczności trafienia w cel. Po chwili zaczął uświadamiać sobie, z jakim przeciwnikiem walczą.

Oddziały Kolderu nie czyniły żadnych wysiłków, by ocalić życie. Jeden żołnierz za drugim wpadał w objęcia śmierci, ponieważ nie potrafił w porę przejść od ataku do obrony. Nie stosowali żadnych uników, podnoszenia tarcz czy kling dla odparowania ciosów. Piesi żołnierze walczyli z tępą zawziętością, niemal mechanicznie. Jak nakręcone zabawki, myślał Simon.

A przecież uznawano ich za najlepszych żołnierzy na tym świecie! A teraz zwyciężało się ich tak łatwo jak szeregi dziecięcych ołowianych wojowników.

Simon opuścił karabin. Coś w nim buntowało się przeciwko strzelaniu do całkiem zaślepionych przeciwników. Skierował konia w prawo, akurat w samą porę, by dostrzec, że jeden z żołnierzy kieruje się w jego stronę.

Wojownik Kolderu podbiegł szybkim truchtem. Ale nie atakował Simona. Rzucił się natomiast dziko na jeźdźca za nim.

Znakomite panowanie nad koniem pozwoliło kobiecie uniknąć pełnej siły tego ataku, jej miecz zdążył opuścić się w dół. Ale cios nie był precyzyjny, zatrzymał się na wystającej przyłbicy żołnierza i z mniejszą siłą spadł na jego ramię.

Mimo pewnego rodzaju ślepoty, mężczyzna wydawał się świetnym szermierzem. Błysnęło stalowe ostrze, po sekundzie z ręki kobiety wypadł miecz. Żołnierz odrzucił swój miecz, opancerzoną rękawicą złapał za pas kobiety i mimo stawianego przez nią rozpaczliwego oporu ściągnął ją z siodła z taką łatwością, z jaką zrobiłby to Koris.

Simon już był przy nim i w tym momencie udziałem żołnierza stała się owa dziwna bezwolność, która sprawiała, że jego towarzysze przegrali walkę. Kobieta szarpała się tak desperacko w jego uścisku, że Simon nie odważył się użyć miecza. Wyciągnął nogę ze strzemienia, podjechał bliżej i z całą siłą kopnął żołnierza. Palce butów Simona dotknęły tyłów okrągłego hełmu, a siła tego uderzenia na moment obezwładniła mu nogę. Mężczyzna stracił równowagę i upadł na ziemię, trzymając ciągle kobietę. Simon zeskoczył z siodła, zachwiał się trochę w obawie, że nadwerężona noga nie wytrzyma jego ciężaru. Ręce Simona prześliznęły się po ramionach mężczyzny, udało mu się jednak odciągnąć go od tracącej siły kobiety; przewrócił go na plecy. Żołnierz leżał teraz niby olbrzymi robak, ręce i nogi poruszały się nieznacznie, haczykowata przyłbica patrzyła w niebo.

Zdjąwszy kolczugową rękawicę kobieta przyklękła przy żołnierzu, próbując odpiąć jego hełm. Simon złapał ją za ramię.

– Wsiadaj! rozkazał podsuwając jej swego konia.

Kobieta potrząsnęła przecząco głową, nie przerywając swojego zajęcia. Wreszcie klamerki puściły i zsunęła hełm z głowy żołnierza. Simon nie miał pojęcia, czego się spodziewała. Jego wyobraźnia, bardziej żywa niż chciałby przyznać, stworzyła wiele obrazów znienawidzonych wrogów, ale żaden z tych obrazów nie mógł dorównać twarzy leżącego.

– Herlwin!

Zwieńczony jastrzębiem hełm Korisa znalazł się nagle pomiędzy tą twarzą a Simonem. Kapitan gwardii klęczał obok kobiety, obejmując rękami ramiona leżącego, jakby chciał przyciągnąć go w przyjacielskim uścisku.

Oczy, równie zielononiebieskie jak oczy kapitana, w równie przystojnej twarzy, otwarte, ale nie patrzące na mężczyznę, który zawołał, ani na klęczącą przy leżącym kobietę. Czarodziejka odsunęła ręce Korisa. Ujęła w swoje dłonie brodę leżącego i podtrzymując jego głowę wpatrywała się w owe niewidzące oczy. Wreszcie puściła go, odsunęła się i starannie wytarła ręce w szorstką trawę. Koris obserwował ją bacznie.

– Herlwin? – Było to raczej pytanie skierowane do kobiety niż wezwanie do mężczyzny, którego Koris wciąż podtrzymywał.

– Zabij! – rozkazała przez zęby. Ręka Korisa sięgnęła po miecz, który położył na trawie.

– Nie możesz tego zrobić! – zaprotestował Simon. Facet był teraz bezbronny, na pół ogłuszony uderzeniem. Nie mogą go przecież zaszlachtować z zimną krwią. Stalowo zimny wzrok kobiety skrzyżował się ze wzrokiem Simona. Wskazała na głowę leżącego, obracającą się znów z lewa na prawo.

– Zobacz sam, przybyszu z innego świata! – Pociągnęła go do siebie, by przyklęknął obok.

Z dziwną niechęcią Simon powtórzył jej gest, biorąc głowę leżącego w swoje dłonie. I o mało się nie cofnął. W tym ciele nie było ludzkiego ciepła, nie miało też chłodu metalu czy kamienia, było jakimś nieczystym, wiotkim tworem, choć na oko wydawało się normalne. Kiedy spojrzał w nieruchome oczy, raczej wyczuł niż zobaczył kompletną pustkę, która nie mogła być rezultatem najmocniejszego nawet ciosu. Simon nigdy nie zetknął się z niczym podobnym – nawet człowiek nienormalny ma jeszcze jakieś pozory człowieczeństwa, zniekształcone czy zmacerowane ciało może wywołać litość, osłabiającą wstręt. To jednak było negacją wszystkiego, co słuszne, było rzeczą tak niezgodną ze światem, że trudno było uwierzyć, że miało w ogóle chodzić po ziemi.

Podobnie jak przedtem kobieta, Simon wycierał starannie ręce w trawę, próbując z nich zetrzeć zarazę. Podniósł się z klęczek i odwrócił plecami, kiedy Koris podnosił miecz. Ale kapitan uderzał w kogoś, kto już dawno nie żył; nie żył i był przeklęty.

Ostro zakończone przyłbice nie zwracały najmniejszej uwagi na zabitych i rannych, zarówno nieprzyjaciół, jak i swoich. Ciała spychali w dół, nie mogli sobie pozwolić na postój. Przeszkody musiały być usuwane niżej.

Simon podbiegł na pierwszą kondygnację otwierając kopnięciem kolejne drzwi. Mieszkańcy Sulcaru lubowali się w dość ciężkich meblach. Mniejsze przedmioty dawały się jednak przesunąć. Simon nawet nie przypuszczał, że ma aż taką siłę, kiedy zabierał się do blokowania drzwi wszystkim, co udało mu się poruszyć.

Znad uniesionej w górę nogi krzesła, które wieńczyło zbudowaną przez Simona barykadę, wyłoniła się charakterystyczna przyłbica, a czubek miecza niemal dotknął jego twarzy. Simon rozbił na hełmie następne krzesło. Na policzku poczuł niewielkie draśnięcie, ale napastnik stał się teraz częścią barykady.

– Sul! Sul!

Simona odepchnięto na bok, zobaczył twarz Magnisa, równie czerwoną jak szczecina jego wąsów, wyłaniającą się jak pokonany przed chwilą napastnik. Uderzyli na pierwszą falę wrogów, która dopadła zapory.

Cel, ogień, i znów cel. Odrzucenie pustego zasobnika po strzałach, ponowne ładowanie. Przekroczenie jęczącego gwardzisty, który musi tu zostać, dopóki nie będzie można go odciągnąć w jakieś bezpieczne miejsce, jeśli w ogóle takie miejsce istniało jeszcze w twierdzy. Ognia, ognia!

W jakiś sposób Simon znalazł się w centralnym pomieszczeniu twierdzy, a potem razem z resztą ocalałych zbiegł w dół innymi schodami. Widać było niezbyt gęsty dym. Czyżby macki mgły? Nie, bo przy każdym oddechu drażnił nozdrza i gardło, zmuszając do kaszlu. Cel, ogień, porwanie zasobnika strzałek od martwego gwardzisty, który już nigdy więcej nie użyje broni.

Schody pozostały teraz za nimi. Mężczyźni krzyczeli, dym gęstniał. Simon przetarł ręką załzawione oczy i pociągnął siatkę przy hełmie. Miał coraz krótszy, coraz bardziej urywany oddech.

Całkiem po omacku szedł ze swymi towarzyszami. Zamknęły się za nimi pięciocalowej grubości drzwi, zasunięto rygle. Jeden... drugi... trzeci... cztery pary drzwi. Znaleźli się w pomieszczeniu, w którym stała dziwna instalacja umieszczona w skrzyni wyższej od olbrzyma opierającego się o nią z nieprzytomnym wzrokiem. Gwardziści i żeglarze, którym udało się dotrzeć aż tutaj, stanęli pod ścianami, pozostawiając ową tajemniczą machinę władcy twierdzy.

Magnis Osberic postradał swój hełm z niedźwiedziem, a strzępy futrzanego płaszcza zwisały z jednego ramienia. Jego topór leżał na wierzchu dziwnej skrzyni, na drewnianą podłogę sączyła się z niego czerwona strużka krwi. Wszelkie odcienie czerwieni zniknęły z twarzy Magnisa, która nabrała ziemistej barwy. Oczy miał szeroko otwarte, wpatrywał się w obecnych, ale nie widział ich. Simon przypuszczał, że znajdował się w stanie szoku.

– Koniec! – Magnis podniósł topór przerzucając długą rękojeść w szorstkich od lin dłoniach. – Przyszli z powietrza jak skrzydlate demony. Żaden człowiek nie może walczyć z demonami. – Zaśmiał się ciepło, miękko, tak jak może śmiać się mężczyzna biorący w ramiona powolną mu kobietę. – Ale można także odpowiedzieć demonom. Sulcarkeep nie będzie służył temu przeklętemu nasieniu za gniazdo!

Jego olbrzymia głowa znów się pochyliła jakby do ataku, zakołysał nią powoli i wskazał na żołnierzy Estcarpu. – Walczyliście dzielnie, synowie czarownic. Ale ten los nie jest waszym losem. Uwolnimy siły żywiące moce miasta i wysadzimy port. Uciekajcie, a może uda wam się rozliczyć z nimi w taki sposób, jaki ci fruwający mędrcy potrafią zrozumieć. Możecie być pewni, tylu ich zabierzemy z sobą, że nigdy nie zapomną tego dnia. Idźcie swoją drogą, poddani czarownic i zostawcie nas naszemu ostatecznemu losowi.

Pod wpływem wzroku i głosu Magnisa pozostali przy życiu gwardziści zebrali się razem, jakby odrzuceni jego niedźwiedzim uchwytem. Koris był tu także, choć ptak na jego hełmie stracił jedno skrzydło. Była także kobieta, twarz miała poważną, ale usta jej się poruszały, kiedy przechodziła przez salę. I jeszcze dwudziestu mężczyzn, i Simon.

Gwardziści jednocześnie stanęli na baczność, unosząc skrwawione miecze w geście pozdrowienia tych, co zostawali. Magnis chrząknął.

– W porządku, poddani czarownic. Teraz nie pora na parady. Wychodźcie!

– Morze i ląd, więc co zostaje?
– Ziemia i powietrze – odpowiedział Koris. – Ziemia! Te podziemne przejścia!
– Ale nie możemy przecież zmniejszyć liczby strażników na górze, by obserwować podziemia.
Zielone oczy Korisa rozbłysły tym samym dzikim ogniem walki, jaki Simon dostrzegł przy ich pierwszym spotkaniu.
– Można obserwować podziemia, nie zmniejszając liczby straży na górze. Znam taką sztuczkę. Chodźmy do Magnisa. – Koris ruszył biegiem, a koniec jego miecza raz po raz uderzał o kamienne ściany w ostrych zakrętach wąskich korytarzy.
Na stole ustawiono miski różnych kształtów i wymiarów, ale wszystkie miedziane i Koris starannie dobierał do każdej z nich kulkę, również metalową. Miska z kulką ustawiona na murze znajdującym się bezpośrednio nad podziemnym przejściem zdradzi każdą próbę sforsowania drzwi dzięki poruszeniom kulki w misie.
Tak więc ziemia strzeżona była w sposób najlepszy, na jaki mogli się zdobyć. Zostawało tylko powietrze. Simon – może dlatego, że znał dobrze bronie powietrzne – aż do bolesnych skurczów w karku wpatrywał się i wsłuchiwał w ciemność mgły obejmującej wieże portu. A przecież cywilizacja uzależniona od stosunkowo prostych kusz, mieczy, tarcz i kolczug, służących do natarcia i do obrony, była niezdolna stworzyć środki do ataku z powietrza, bez względu na to jak subtelne sztuczki umysłowe przyzywałaby na pomoc.
Dzięki miednicom Korisa zostali ostrzeżeni kilka minut przed uderzeniem Kolderu. Ale sygnały alarmowe rozległy się niemal równocześnie ze wszystkich pięciu punktów, w których ustawiono miednice. Korytarze prowadzące do wejść z zewnątrz w ciągu paru godzin szalonej pracy wypełniono wszystkimi łatwopalnymi materiałami, jakie udało się znaleźć w magazynach warowni. Owczą wełnę i krowie skóry namoczone w oleju i smole, których cieśle okrętowi używali do uszczelniania statków, owinięto dokoła bel eleganckich tkanin, worków z suchym ziarnem i nasionami i te ogromne zatyczki polano strumieniami wina i oliwy.
Kiedy rozległy się ostrzegawcze odgłosy w miednicach, przytknięto pochodnie zamykając równocześnie drzwi odgradzające te rozpalone przejścia od centralnej części warowni.
– Niech nadzieją się na to zimnymi nosami! – Wojenny topór Magnisa Osberica rąbnął w stół w centralnym pomieszczeniu twierdzy. Po raz pierwszy od momentu, gdy mgła uwięziła jego włości, z twarzy władcy kupców zniknęło zaniepokojenie. Jako człowiek morza nie znosił mgły i obawiał się jej, bez względu na to, czy była tworem natury, czy działań mocy tajemnych. Skoro nadarzała się okazja do bezpośredniego działania, znów promieniował siłą i energią.
– Ach! – ten krzyk przeszył ciszę pomieszczenia jakby ostrzem szpady. Nie mógł być wywołany jedynie bólem fizycznym, tylko ostateczny strach mógł wydobyć go z ludzkiej krtani.
Na parę sekund w centralnym pomieszczeniu twierdzy wszyscy zastygli w bezruchu. Magnis z olbrzymią głową uszykowaną jakby do szarży na nieprzyjaciela, Koris z obnażonym mieczem, na nogach ugiętych tak, aby jego skarlałe ciało mogło uderzać z jak największą siłą.
Może dlatego, że niemal przez cały okres wyczekiwania Simon tego właśnie się spodziewał, teraz pierwszy zidentyfikował miejsce, z którego dochodził ów krzyk i rzucił się do schodów, wychodzących trzy piętra wyżej na strażnicę na dachu.
Nie dotarł jednak tak wysoko. Wystarczającym ostrzeżeniem były dochodzące z góry krzyki i uderzenia metalu o metal. Zwalniając kroku, Simon wyciągnął karabin. Ta ostrożność okazała się zbawienna, bo kiedy był w połowie drogi na drugie piętro, udało mu się uniknąć zderzenia ze spadającym ciałem. Było to ciało obywatela Sulcarkeepu, z rozdartego gardła ciągle jeszcze broczyła krew, pryskała na schody i ściany. Simon spojrzał na królujące wyżej szaleństwo.
Walczyło jeszcze dwóch gwardzistów i trzech żeglarzy, oparci plecami o ścianę próbowali zatrzymać napastników atakujących z jednoznaczną dzikością, jaką przejawiali żołnierze w zasadzce po drodze. Simon wystrzelił raz, potem drugi. Ale z góry napływała coraz większa fala spiczastych przyłbic. Mógł jedynie się domyślać, że nieprzyjaciel w jakiś sposób dostał się z powietrza i zajmował teraz górne piętra twierdzy.
Nie było jednak czasu na zastanawianie się, w jaki sposób wrogowie przedostali się do wnętrza fortecy, ważne było jedynie, że udało im się to zrobić. Padło kolejnych dwóch gwardzistów i jeden żeglarz.

Obecność oddziałów Kolderu znaczyły tylko trupy żołnierzy, zginęło dwóch gwardzistów, trupa jednego mieszkańca Sulcarkeepu przewieszono przez siodło. Atak był tak uderzająco nieporadny, że Simon zaczął się zastanawiać, po co w ogóle go podjęto. Zrównał krok swego wierzchowca z koniem kapitana, żądny poznania prawdy.
– Zdjąć im hełmy! – rozkaz podawały sobie kolejne oddziały gwardii. I pod każdą z haczykowato sklepionych przyłbic znajdowano tak samo bladą twarz okoloną gęstymi jasnymi własami, o rysach przypominających Korisa.
– Midir! – Koris zatrzymał się przy kolejnym żołnierzu. Ręka leżącego ścisnęła się, w krtani uwięzło rzężenie agonii. – Zabij! – rozkaz kapitana brzmiał beznamiętnie, został też sprawnie wykonany.
Koris przyglądał się każdemu z leżących i jeszcze trzykrotnie kazał dobić rannego. W kąciku pięknie wykrojonych warg zadrgał mięsień, a wyraz jego oczu daleki był od pustki, jaka odbijała się w oczach nieprzyjaciół. Kapitan, dokonawszy obchodu wszystkich zwłok, zbliżył się do Magnisa i kobiety.
– Oni wszyscy są z Gorm!
– Byli z Gorm! – poprawiła kobieta. – Gorm zginęło, kiedy otworzyło swe morskie bramy dla przybyszów z Kolderu. Ci, którzy leżą tutaj, nie są ludźmi, których pamiętasz, Korisie. Od bardzo, bardzo dawna nie byli już ludźmi. Składali się z rąk i nóg, byli walczącymi maszynami w służbie swych panów, ale nie było w nich prawdziwego życia... Kiedy tajemna moc wyprowadziła ich z ukrycia, mogli wypełniać tylko jeden rozkaz, jaki otrzymali: znajdź wroga i zabij... Władcy Kolderu mogli używać owych robotów, jakich stworzyli, by osłabić nasze siły, zanim zadadzą prawdziwy cios...
– Opowiadasz także o naszej śmierci, pani, gdyby władcy Kolderu mieli kiedykolwiek przyjść do Sulcarkeepu – mistrz kupców zrównał się z nimi.
– Tutaj daliśmy im radę, ale co będzie jeśli wyślą tysiące tych półumarłych na nasze mury? W twierdzy jest tylko niewielu mężczyzn, bo sezon handlowy trwa i dziewięć dziesiątych naszych statków jest na morzu. Potrzebujemy obrońców portu. Można siłą woli ścinać głowy, ale ramiona męczą się przy pracy. A jeśli nieprzyjaciel wezwie posiłki, łatwo nas zwycięży, choćby samą przewagą liczebną.Tym bardziej, że oni nie znają strachu i będą parli naprzód w sytuacjach, kiedy każdy z nas mógłby się zawahać.
Ani Koris, ani czarownica nie mieli na to gotowej odpowiedzi. Po wielu godzinach, kiedy Simon zobaczył port handlowy, już na pierwszy rzut oka widok ten wydał mu się pocieszający. Dwa skalne ramiona, niby otwarte pazury kraba, wychodziły w morze, a między nimi znajdował się port. Ale każde z tych ramion umacniały mury, wieże, miniaturowe forty, połączone z głównym miastem całym labiryntem podziemnych korytarzy. Gdzie tylko było to możliwe, zewnętrzne mury schodziły w morze, uniemożliwiając wspinaczkę.
Bombowiec mógłby podczas jednego lub dwóch nalotów obrócić mury Sulcarkeep w ruinę, artyleria po paru godzinach wyłamałaby mury, stwierdził Simon. Ale w skale pod budynkami krył się labirynt przejść i sal, niektóre z nich wychodziły na morze i te miały okratowane drzwi, więc jeżeli ludzie z Kolderu nie dysponowali jakąś bronią niepodobną do tych, jakie poznał w tym nowym dla siebie świecie, to zdaniem Simona, kupcy byli nadmiernie nerwowi. Można było tak przypuszczać, dopóki zapominało się o pustce w oczach wojowników Gormu.
Simon zauważył także wielką obfitość strażnic, stojaków z bronią – ciężkimi maczugami i łukami – ale wszędzie było bardzo niewielu ludzi, patrole pilnowały jedynie murów. W Sulcarkeep można było uzbroić i zmieścić tysiąc ludzi, ale niecała setka była tu pod bronią.
Koris, Simon i kobieta spotkali się na wieży, wieczorna bryza owiewała ich zbroje.
– Nie mam odwagi ogołocić Estcarpu – powiedział wściekle Koris, jakby odpowiadając na jakiś zarzut niedosłyszalny dla jego towarzyszy – i zgromadzić tu wszystkie siły. Byłoby to wszak otwartym zaproszeniem dla Alizon czy dla księstwa do najazdu z południa i północy. Osberic może się pochwalić zewnętrzną skorupą, której moim zdaniem nie skruszą nawet szczęki Kolderu, ale w tej skorupie nie ma mięsa. Zbyt długo czekał. Gdyby wszyscy jego ludzie byli w porcie, mógłby się utrzymać. Ale z tą garstką, to mi się wydaje problematyczne.
– Wątpisz Korisie, ale będziesz walczył – powiedziała kobieta. W tonie jej głosu nie brzmiała ani zachęta, ani zniecierpliwienie. – Bo tak należy zrobić. A może się zdarzyć, że na tej twierdzy Kolder wyłamie sobie zęby. Ale Kolder nadchodzi i tu Magnis miał rację.

Kapitan spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Masz dla nas przepowiednie, pani?

Potrząsnęła głową.

– Nie spodziewaj się po mnie tego, czego nie mogę dać, kapitanie. Kiedy wjeżdżaliśmy w tę zasadzkę, widziałam przed sobą tylko pustkę. Ten całkiem negatywny znak pozwolił mi rozpoznać Kolder. Ale nie mogę zrobić nic więcej. A ty, Simonie?

Simon drgnął.

– Ja? Ależ ja nie mam takiej mocy – zaczął i dorzucił już bardziej uczciwie – nie mogę nic powiedzieć. Choć jako żołnierz uważam, że to jest dobra twierdza, ale teraz czuję się w niej uwięziony.

Dodał tę ostatnią uwagę niemal bezwiednie, ale uświadomił sobie, że jest zgodna z prawdą.

– Ale nie powiemy tego Osbericowi – zadecydował Koris. Wspólnie obserwowali przystań w zachodzącym słońcu, a leżące poniżej miasto powoli zatracało wygląd schronienia, nabierając zarysów klatki.

Przekleństwo mgły

Zaczęło się to w chwilę po północy. Simon chodził po niewielkiej platformie strażniczej na centralnej wieży obserwacyjnej. Już połowa fortyfikacji portowych była niewidoczna. Jeden ze statków kurtyna mgły przecięła dokładnie na pół. Nie przypominało to jednak żadnej mgły, jaką Simon kiedykolwiek widział, nie miało nic wspólnego z mgłą londyńską, z zatrutym przemysłowym smogiem światem, z którego przyszedł. Sposób, w jaki nadciągała z zachodu ta gruba kurtyna, sugerował tylko jedno: zasłonę, za którą mógł koncentrować się atak.

Do uszu zmęczonego i zgłodniałego Simona doszedł dźwięk gongów alarmowych, rozmieszczonych co kilka stóp wzdłuż całych fortyfikacji. Atak! Dobiegł do drzwi prowadzących na wieżę i spotkał w nich kobietę.

– Atakują!

– Jeszcze nie. To są gongi sztormowe, pomoc dla statków zmierzających do portu.

– Dla statków Kolderu!

– Niewykluczone. Ale nie można stuletnich zwyczajów zniweczyć w ciągu godziny. W czasie mgły gongi Sulcarkeepu służą marynarzom, może je uciszyć tylko rozkaz Osberica.

– A więc znane tu są takie mgły?

– Mgły są znane. Czy takie jak ta, to już inna sprawa.

Kobieta przecisnęła się obok Simona wychodząc na otwartą platformę, wpatrując się w morze – tak jak on przed chwilą – na szybko znikający port.

– My, którzy dysponujemy mocą, mamy w pewnym stopniu możliwość kontroli żywiołów natury, ale podobnie jak w innych przypadkach mogą one zawodzić. I tego nie potrafimy przewidzieć. Każda z moich sióstr potrafi sprowadzić mgłę, która zmyli nie tylko oczy nieostrożnych, ale także ich umysły. Przez chwilę. Ale ta mgła jest inna.

– Jest naturalna? – nalegał Simon. Absolutnie pewny, że nie było to zjawisko naturalne. Skąd brała się ta pewność, nie potrafił wytłumaczyć.

Kobieta nie oderwała oczu od mgły, obserwując ją z uwagą asystenta laboratoryjnego, który przeprowadza niezwykle istotne doświadczenie.

– Oślepienie może być ich zamierzeniem, ale ślepota działa na dwa sposoby. Jeżeli chodzi im o iluzję, to odpowiemy im tym samym chwytem.

– Zwalczać mgłę za pomocą mgły? – zapytał kapitan.

– Nie zwalcza się podstępu tym samym podstępem. Oni posługują się wodą i powietrzem. Więc my też musimy wykorzystać wodę i powietrze, ale w inny sposób. – Kobieta uderzała kciukiem w swoje zęby. – Tak, to może być mylący ruch – wyszeptała, odwracając się od morza. – Musimy zejść do portu. Poproś Magnisa o drewno, najlepsze byłyby suche kołeczki. Ale jeśli nie ma, to przynieś noże, sami wytniemy. I trochę materiału. Przynieś to na główne nabrzeże.

Stłumione echo gongów dochodziło do portu, kiedy grupka mieszkańców Sulcarkeepu i gwardzistów zebrała się na nabrzeżu. Przynieśli naręcze drewnianych szczap. Kobieta wzięła najmniejszą. Niezręcznie manipulowała nożem próbując wystrugać stateczek, ze spiczastym dziobem i zaokrągloną rufą. Simon wziął od niej drewno i nóż, bez trudu strugając białe drzazgi. Inni poszli w jego ślady, co spotkało się z aprobatą kobiety.

Wystrugali flotę około trzydziestu stateczków, w każdym osadzili maszt, a kobieta przywiązała żagle. Uklękła przed tą flotyllą i pochylając się bardzo nisko, ostrożnie dmuchała w każdy z maleńkich żagielków, przyciskając na moment palce do dzioba.

– Woda i wiatr, woda i wiatr – zaintonowała. – Wiatr dla pośpiechu, woda, by niosła, mgła, by usidliła!

Ręce kobiety zręcznym ruchem zepchnęły kolejne stateczki na wody zatoki. Mgła niemal zupełnie je zasłoniła, ale nie była aż tak gęsta, by Simon nie mógł dostrzec zadziwiającego widoku. Maleńkie okręciki uformowały się w linię zakończoną klinem skierowanym w stronę niewidocznego teraz morza. A kiedy pierwszy z nich przekraczał skraj mglistej zasłony, przestał być naprędce skleconą zabawką, stał się ślicznym błyszczącym statkiem, znacznie elegantszym niż smukłe ścigacze, które z taką dumą pokazywał Osberic.

Kobieta chwyciła rękę Simona, by podnieść się z kolan.

– Nie wierz we wszystko, co widzisz, przybyszu z obcych stron. Często posługujemy się iluzją. Miej my nadzieję, że tym razem będzie ona równie skuteczna jak ta mgła i że odstraszy najeźdźców.

– To nie mogą być prawdziwe statki! – Simon z uporem zaprzeczał świadectwu własnych oczu.

– Zbyt mocno uzależnieni jesteśmy od naszych zmysłów. Jeżeli można oszukać oczy, palce, nos, to magia przez chwilę jest skuteczna. Powiedz, Simonie, gdybyś zamierzał wpłynąć do tej zatoki i zaatakować port i dostrzegłbyś we mgle flotę, której obecności nie podejrzewałeś, czyż nie zastanowiłbyś się dwa razy przed wydaniem walki? Usiłowałam tylko trochę zyskać na czasie, bo przecież każda iluzja pryska, kiedy wystawiona jest na próbę rzeczywistości. Okręt należący do Kolderu próbując podpłynąć do któregokolwiek z tych statków i dostać się na jego pokład szybko zorientuje się, o co chodzi. Ale czas może okazać się niezwykle cenny.

Do pewnego stopnia kobieta miała rację. W każdym razie, jeżeli nieprzyjaciel zamierzał pod osłoną mgły zaatakować port, zrezygnował z tego planu. Nie było żadnego alarmu w nocy, ale z nadejściem świtu zasłona mgły nad portem i miastem nie opadła.

Kapitanowie trzech stojących w porcie statków czekali na rozkazy Osberica, który nie mógł powiedzieć nic poza tym, że trzeba przeczekać mgłę. Simon wraz z Korisem dokonywali obchodu wart, czasami strażnik musiał łapać za pas kolegę, żeby utrzymać się na zewnętrznych posterunkach od strony morza. Wydano rozkaz, by gongi biły w regularnych odstępach czasu, nie tyle dla przyjścia z pomocą ludziom na morzu, ile dla umożliwienia kontaktu między wartownikami. Wartownicy zwracali zmęczone, wyczerpane twarze i na pół wyciągniętą z pochwy broń w kierunku swoich zmienników, dopóki nie rozległo się hasło umożliwiające indentyfikację.

– W ten sposób – komentował Simon, któremu udało się uniknąć ciosu przestraszonego żołnierza – nie muszą wysyłać żadnych wojsk, bo sami się powybijamy. Gdyby w tej ciemności pojawił się ktoś w ostro zakończonej przyłbicy, zostałby skrócony o głowę.

– Też o tym myślałem – odpowiedział oschle kapitan. – Oni liczą na iluzję, zrodzoną z naszych nerwów i lęków. Ale co więcej możemy zrobić?

– Każdy kto ma dobry słuch, może podchwycić nasze hasło. – Simon postanowił spojrzeć prawdzie w oczy. – Cała partia murów przejdzie w ten sposób w ich ręce.

– A skąd w ogóle możemy mieć pewność, kiedy nastąpi atak? – zareplikował gorzko Koris. – Cudzoziemcze, jeżeli potrafisz wydać lepsze rozkazy, przyjmę je z radością. Jestem żołnierzem i znam się na wojnie, przynajmniej zdawało mi się, że się znam. Zdawało mi się też, że znam metody czarowników, jako że całym sercem służę Estcarpowi. Ale z czymś takim nigdy się nie spotkałem. Staram się robić, co mogę.

– Ja także nigdy nie zetknąłem się z takim sposobem walki – przyznał Simon. – To może zmylić każdego. Ale teraz wydaje mi się, że atak nie nadejdzie od strony morza.

– Ponieważ stamtąd właśnie go się spodziewamy? – Koris szybko podchwycił myśl Simona. – Nie sądzę, by można tę fortecę zaatakować od strony lądu. Żeglarze zbudowali ją sprytnie. Potrzebne byłyby maszyny oblężnicze, których zgromadzenie zabrałoby całe tygodnie.

LINIA

Jacek M. Hohensee

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że to profesor O., starczyło mi, że codziennie mogłem go obserwować z ukrycia. Była to moja ulubiona zabawa. Oglądanie kogoś godzinami przez szpary w drzwiach, przez niedomknięte okno lub rozchylone liście miało coś z wielkiej przygody - niebezpiecznej, zakazanej i pełnej tajemnic.

To dziwne, że chociaż śledziłem go tak uporczywie, nie pamiętam jak był ubrany. Miał w ręku laskę, lecz nie był kulawy. Czasem nosił złożony parasol jakby udając, że się nim podpiera. Wiem, że nie był wysoki, nie wystawał znad muru grodzącego ogród. Ukryty za murem czekałem więc aż zejdzie na taras i niżej, po schodach na ścieżkę. Czujnie przemykałem wraz z nim wzdłuż ściany złuszczonych cegieł, pełnej dziur i prześwitów, czatując przy coraz to nowej szczelinie.

Nasza podróż wzdłuż obu stron muru kończyła się zawsze w tym samym miejscu. Dla mnie przy krzaku dzikiego bzu, dla niego przy linii na ścieżce. Czasem gdy deszcz spłukał linię, gdy zasypał ją śnieg albo liście, profesor odtwarzał ją bezbłędnie końcem parasola, laski, lub suchą gałęzią podniesioną z ziemi.

Tak było codziennie - on wychodził na spacer, a ja korzystałem z każdej okazji by mu towarzyszyć.

Nigdy go nie odprowadzałem. Czasem ostrożnie wchodziłem na drzewo patrząc jak oddala się ścieżką w stronę domu. Szedł zawsze wolno, z uwagą stawiał nogi pochylony do przodu, jakby sprawdzał stopami chwiejny pomost ścieżki. Tak przynajmniej wyglądało to z góry.

Ogród pamiętam dokładnie, chociaż pamięć, przekonałem się o tym wielokrotnie, potrafi zmieniać odległości. Przestrzeń zamknięta rośnie, zwłaszcza pokoje wydają się większe, podobnie drobne przedmioty i sprzęty stojące w mieszkaniu. Na zewnątrz z kolei wszystko jakby się zmniejszało, drogi stają się krótsze i świat zdaje się być w zasięgu ręki. Mimo to myślę, że ścieżka wzdłuż muru nie miała więcej niż sto metrów.

Zaraz za ścieżką rozciągał się trawnik i szpaler wysokich topoli, pamiętam ich zapach, kiedy wczesną wiosną wypuszczały lepkie pąki. Oczywiście nieraz bywałem sam w ogrodzie, choć pełen regularnych alejek i przystrzyżonych krzaków zdawał się nie mieć w sobie nic tajemniczego. Pośrodku, naprzeciw tarasu ciągnął się prostokątny staw. Kończył się niemal przy bramie, ciężkiej i rozpartej w murze między dwoma słupami.

Raz tylko spróbowałem zetrzeć linię ze ścieżki i dwa kroki dalej narysować drugą. Potem odwrócony tyłem do okna stałem wyprostowany i zapatrzony przed siebie. Zafascynowany trwałem w bezruchu, zapominając o wszystkim. Przed sobą jak w lustrze widziałem fragment ścieżki za moimi plecami. Brakowało tylko mojego odbicia. Obie części podzielonej ścieżki pasowały do siebie jak ulał. Były identyczne.

Ku mojemu rozczarowaniu profesor doszedł tego dnia jak zwykle do starego miejsca i starannie wykreślił laską swoją linię. Nie zwrócił uwagi na tę, którą rysowałem. Nawet jej nie zatarł.

Wróciłem tuż przed zachodem słońca, tym razem z drugiej strony. Złudzenie lustra było mniejsze: zmieniło się światło, drzewa rzucały już długie cienie w poprzek ścieżki. W dodatku symetrię psuło niskie czerwone słońce. Mimo to wyciągnąłem dłoń w poszukiwaniu przezroczystej tafli. Potem stąpnąłem dwa kroki do przodu stawiając nogi po obu stronach linii. Przed sobą miałem połyskujący staw. Słońce widziałem kątem oka z lewej strony. Ruszyłem głową i słońce drgnęło. Uniosło się nieco w górę. Cofnąłem się - z powrotem dotknęło horyzontu. Pamiętam, że było to zabawne, zwłaszcza że w stawie czerwona tarcza zmieniała miejsce. Staw lśnił nieruchomy, drzewa stały w miejscu, tylko słońce i cienie zmieniały położenie.

Zamknąłem jedno oko, to było jednak coś innego niż zabawa z przymykaniem powiek, kiedy przedmiot przed nosem pojawia się z jednej albo drugiej strony. Chciałem się jednak upewnić i znowu ruszyłem głową. Słońce znowu drgnęło, choć było już niżej, tarcza zaczęła kryć się za krzakami, zachód zapadał szybko, krzaki zjadały coraz więcej czerwonego blasku.

Po chwili wpadłem na pomysł, by uchwycić moment przesunięcia. Zamknąłem raz jedno oko i bardzo wolno ruszyłem głową starając się utrzymać źrenicę w bezruchu. W jednym krótkim momencie - zobaczyłem dwa słońca. Dwie zachodzące na siebie tarcze, przesunięte o kilka centymetrów. Zjawisko wydało mi się równie zwykłe jak każdy zachód słońca i nie bardziej zagadkowe niż cały ogród ze stawem i traszkami, których kolorowe brzuchy pokrywały magiczne znaki. Prędko o wszystkim zapomniałem, co innego musiało zająć moją wyobraźnię, świat za ceglanym murem przestał mnie interesować.

Profesor wkrótce umarł i wiem, że ciało znaleziono w ogrodzie. Być może przekroczył wreszcie swoją linię, ale wtedy o tym nie pomyślałem. Przypomniałem sobie o wszystkim wiele lat później, w innym mieście. Gdyby nie przypadek cała ta historia uciekłaby mi zapewne z pamięci.

Było to podczas pierwszych moich jesiennych i samotnych wakacji. Włóczyłem się całymi dniami po krętych uliczkach zaglądając do sklepów, wchodząc na ciemne podwórka. Wieczorami siadałem w opuszczonej kawiarni nad morzem - jak każda miejscowość po sezonie miasteczko zapadało w letarg i tarasy były puste. Nad stolikami łopotały parasole i słychać było muzykę, ale czułem wyraźnie, że wszystko toczy się już obok. Byłem za młody, żeby mówić o nostalgii, ale nastrój zmieniał mnie w małego chłopca skrytego pośród liści, przyglądającego się wszystkiemu. Krzesło na tarasie stało się wspaniałym punktem obserwacyjnym, każdy zachód słońca znów był widowiskiem, każdy ze sznura przechodniów pozwalał odczytać tajemnicę swych gestów.

Któregoś dnia w małym sklepiku wpadł mi w ręce skrawek gazety, pamiętam, że był pognieciony, musiał służyć do pakowania. Znalazłem tam fragment pracy profesora O. Gazeta była stara, nie znałem tytułu pisma, mogłem się tylko domyślać, że profesor zajmował się historią sztuki, może estetyką. Z ciekawością zacząłem czytać. Tekst przypominał mi ogród, profesora i jego linię na ścieżce. W sumie był to jednak nudny wywód o roli zwierciadła w sztuce: profesor porównywał obrazy, opisywał detale, ale gazeta była niekompletna i sens całej pracy pozostał dla mnie niejasny. Jeden tylko szczegół wydał mi się interesujący. Cała strona po rozprostowaniu przecięta była białą, niezadrukowaną linią. Musiała zagięta przejść przez maszynę drukarską i dlatego gazetę przeznaczono na opakowanie.

Ta właśnie linia wydała mi się bardziej godna uwagi niż pejzaż pędzla Aleida..., nazwisko malarza niestety zostało oddarte. Uznałem ją nawet za rodzaj szyfru i począłem szukać wyrazów, które po wstawieniu w puste miejsca nie niweczyłyby znaczenia zdań. Zniechęciłem się jednak do tej zabawy, mimo podejrzeń, że oto odkryłem coś bardzo ważnego.

Kilka dni z rzędu chodziłem nad morze. Próbowałem rysować na plaży linię, zdając sobie sprawę, że z obu jej stron ciągnie się taki sam piasek i takie samo morze, ale nie znalazłem miejsca gdzie czułbym brak swojego odbicia. Linię za każdym razem zmywały fale, zachód słońca co dzień przebiegał jednakowo i zwyczajnie.

Obraz Aleida Buytewijde odkryłem również, co wydaje się nieprawdopodobne, zupełnie przypadkiem. Nigdy nadmiernie nie interesowałem się malarstwem, do tamtego muzeum wstąpiłem, żeby się nieco ogrzać, cały dzień spędziłem w mieście załatwiając swoje sprawy i zostało mi parę godzin do odjazdu pociągu.

Być może nie był to pejzaż, o którym pisał profesor, ale zgadzało się wiele szczegółów. Żałowałem, że nie mam ze sobą tamtej kartki. Jedno jest pewne - obraz wyglądał na przecięty i niezbyt precyzyjnie sklejony. To oczywisty absurd, gdyż linia podziału nie była przypadkowa, przeciwnie, jej bieg spełniał reguły perspektywy. Przecinała ogród (nie wydawał się być podobny do ogrodu profesora), w którym grupa osób grała najprawdopodobniej w tenisa, w każdym razie grający mieli w rękach coś co przypominało rakiety. Linia przecinała piłkę w locie, przecinała niemal dosłownie, dzieląc ją lub raczej rozszczepiając na dwie niedokładnie złożone części. Zapewne chodziło o uzyskanie wrażenia ruchu; tak zrozumiałem intencje artysty. Podobne zabiegi powtórzyły się na płótnie w kilku miejscach - ptak lecący nad ogrodem, ręka jednego z grających, biegnący pies - gdzie coś ruchomego spotykało się z linią.

Stojąc przed obrazem, próbując być może bezsensownie połączyć w całość kilka epizodów z pamięci, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to, o czym wiedział profesor jest również namalowane na płótnie, tylko ja nie potrafię tego odczytać. W całej serii przypadków, czułem to wyraźnie, ja jestem najbardziej przypadkowy, cały czas jestem obok, a przesłanie, którego nie umiem odebrać, jest skierowane do kogoś innego. Nie czułem męczącej potrzeby rozwiązania zagadki. Chciałem raczej dowiedzieć się dlaczego mnie właśnie spotykają te zbiegi okoliczności niż odkryć w nich jakiś sens. Oczywiście, moja wyobraźnia zapełniała się jednak hipotezami, szukałem analogii, dokonywałem porównań.

Na stację wbiegłem w ostatniej chwili. Przedział był pusty, wkrótce zmęczenie dało znać o sobie i zasnąłem. Obudził mnie wstrząs. Spojrzałem na zegarek, sekundnik nagle przeskoczył połowę tarczy do przodu. Kiedy indziej uznałbym to za przywidzenie. W chwilę potem pociąg zaczął gwałtownie hamować.

W szpitalu dowiedziałem się o katastrofie. Ofiar śmiertelnych nie było, zaledwie kilku rannych. Ja sam wyszedłem obronną ręką, po wielu zabiegach pozostała mi niemal niewidoczna blizna w miejscu, w którym zabrakło chirurgowi skóry. Ta blizna biegnie na ukos, w poprzek twarzy dzieląc ją na dwie części, z których każda - odnoszę takie wrażenie oglądając się w lustrze - należy do innego człowieka.

Jacek M. HOHENSEE

(ur. 7.03.1943) - poeta, prozaik, plastyk, autor słuchowisk radiowych i telewizyjnych filmów eksperymentalnych. Opublikował: **„Dystans"** - Iskry-71, (wierze) i zbiory opowiadań: **„Opowieści Globtrottera"** - Iskry-75, **„Paranoja Picture, albo kronika-filmowa"** - Iskry-78, **„Teatr Nonsensacji"** - Iskry-80, **„Imagen Segundaria"** - Czytelnik-81.

Dobraczyński Jan

(1910–)

Powieściopisarz, publicysta

Urodził się 20 IV 1910 r. w Warszawie w środowisku inteligencji. W 1928 r., po uzyskaniu matury w gimnazjum im. A. Mickiewicza, rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Następnie przeniósł się do Wyższej Szkoły Handlowej, którą ukończył w 1932 r. W latach 1933–1939 pracował jako urzędnik w Warszawie i Lublinie. Po wybuchu wojny brał udział w kampanii wrześniowej. W czasie okupacji przebywał w Warszawie. Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim, a po jego upadku znalazł się w obozach jenieckich w Bergen-Belsen, Grossborn, Sandbostel, Lubece. Po powrocie do kraju kontynuował pracę literacką i publicystyczną.

Odznaczony Krzyżami: Oficerskim i Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Laureat wielu nagród polskich i zagranicznych, w tym Nagrody im. Pietrzaka (1949, 1954, 1957, 1980), Nagrody Ministra Kultury i Sztuki (1977), Nagrody Państwowej II Stopnia (1979), Nagrody Literackiej im. Reinolda Schneidera (1972). Członek Komitetu Wykonawczego SEC (Societe Européene de Culture) w Wenecji. Przewodniczący Tymczasowej Rady Krajowej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Dobraczyński opublikował przeszło 60 pozycji literackich, esejów i szkiców historycznych. Debiutował w roku 1933 jako eseista. W 1937 r. ogłosił studium „Bernanos – powieściopisarz" (Lublin, 1937). W Instytucie Wydawniczym „PAX" opublikował m.in. następujące powieści i opowiadania: „Najeźdźcy" (1946), „Wybrańcy gwiazd" (1948), „Święty miecz" (1949), „Listy Nikodema" (1952), „Pustynia" (1955), „Przyszedłem rozłączyć" (1959), „Piąty akt" (1962), „Doścignięty" (1967), „Nim ziemia powstała" (1976), „Cień ojca" (1977), „Tak biały, jak czerwona jest krew" (1978). Jego artykuły, recenzje, szkice krytyczne i tłumaczenia ukazywały się w wielu czasopismach.

Jedynym utworem Dobraczyńskiego nawiązującym do tematyki fantastyczno-naukowej jest powieść **„Wyczerpać morze"** (Instytut Wyd. „PAX", 1961; wyd. 2 – 1980). Przełożona na język angielski, niemiecki, holenderski, serbsko-chorwacki, czeski, flamandzki zyskała niemały rozgłos za granicą (tylko do 1965 r. miała 48 recenzji niemieckich i 10 angielskich). Sam autor ceni ją szczególnie wysoko uznając, obok „Listów Nikodema" i „Doścignionego", za najwartościowszą w swoim dorobku literackim. *„Pomysł tej książki"* – pisze w jednym ze wspomnień – *„przyszedł mi do głowy po parogodzinnej jeździe pociągiem, w czasie której w przedziale toczyła się żywa i dramatyczna dyskusja na temat sytuacji, w jakiej znalazł się świat współczesny".* Tematem utworu są losy cywilizacji europejskiej po katastrofalnym wybuchu bomby nuklearnej. Zagłada naszego kontynentu jest alegorią, jednym z ostrzejszych kryteriów sprawdzających wartość idei i organizacji katolickiej. Autor odsłania skostnienia, zbiurokratyzowanie wielu instytucji, a zwłaszcza bezradność Kościoła wobec narastania, wybuchu i następstw tragicznego kataklizmu. Dostrzega konieczność zmian o charakterze organizacyjnym uwzględniających aspirację, dążenia i potrzeby społeczeństw dwudziestego wieku. Ze szczególną wyrazistością kreśli portret wielkiego reformatora Halseya – późniejszego papieża Piotra I, oraz tragiczną sylwetkę dziennikarza Hearsta, w której, nie bez słuszności, dopatrywano się rysów znakomitego pisarza Grahama Greena. Co istotniejsze, w drugim wydaniu powieści Dobraczyński aktualizuje ostrzegawczą wymowę utworu, rezygnując z konwencji marzenia sennego, jaka patronowała pierwotnemu scenariuszowi zdarzeń. Wybór literackiego kostiumu science fiction w celu skuteczniejszej

WYCZERPAĆ MORZE

Jan Dobraczyński

„Ale Bóg rzekł: Głupcze! Tej jeszcze nocy utracisz życie. Do kogo będzie należało wszystko, coś uzbierał?"

(Łk. 12,20)

Siódmego dnia mgła znikła i nad miastem zapłonęło znowu jaskrawozłote słońce. Siedzieli na ziemi, na spękanych flizach atrium domu westalek. To Moreschi namówił Halseya do przyjścia tutaj. Tylko tu – wśród starych ruin – między urwiskami Palatynu i gładką skałą Tarpejską można było jeszcze oddychać. W nowych ruinach panował niemożliwy do zniesienia zaduch popalonych, rozkładających się ciał. Zresztą przy każdym mocniejszym podmuchu trujący odór zawiewał aż tutaj.(...)

Halsey, ubrany w dalszym ciągu w wytarty, żółto-niebieski kolet gwardzisty, siedział na płycie, opierając łokieć na torbie z aparatem radiowym. Kardynał Moreschi, wsparty plecami o jakiś zachowany postument, nadstawił policzki pod palący blask słońca. Mimo przeżyć ostatnich dni jego twarz zachowała swą rzymską urodę.

– Ta para fizyków, którą wczoraj spotkałem – mówił Halsey – opowiadała mi, że sejsmografy zanotowały wstrząs o nieznanej dotychczas sile. Ich zdaniem nie mogła tego spowodować jedna bomba, nawet najpotężniejsza. Musiała nastąpić jakaś nieznana reakcja łańcuchowa.

Moreschi zamyślony kiwał głową.

– Uczeni przewidywali coś takiego, jeśli się nie mylę.

– Owszem. Ale inni odrzucali tę tezę. Pamiętam, jak któryś tłumaczył mi, że wybuch nawet stu bomb nie dorówna sile wybuchu jednego wulkanu.

Po twarzy Moreschiego przemknął blady uśmiech.

– Rozum ludzki zawiódł. A jednak nawet tą klęską dowiódł swej potęgi. Okazał się jedynie wynalazcą bardziej śmiałym niż roztropnym. Synem czarnoksiężnika z bajki... Drogo świat zapłacił za ten eksperyment.(...)

Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Słońce piekło, kamienie rozgrzały się. Ale nie pachniała zieleń i nie odzywały się wśród niej cykady, ze szpar nie wysuwały się ciekawe jaszczurki. Liście na drzewach sczerniały i obwisły; spalona trawa pożółkła.

Halsey podjął:

– Mimo wszystko jestem przekonany, że cały świat nie mógł zginąć.

– Być może – przyznał Moreschi. – Lecz – westchnął – Rzym zginął. A on był dla wielu całym światem. – Chwilę milczał. Potem powiedział żywiej, zmieniając ton:

– Co jednak każe eminencji sądzić, że gdzieś zachowało się życie?

– Po prostu tak mi się wydaje.

– A radio?

Halsey położył dłoń na aparacie.

– Milczy... Nie schwytałem dotąd słów, ale chwytam pewne sygnały.

– Mówił eminencja, że to sputniki.

– Większość pochodzi od nich. Ale są także i inne. Jeżeli chodzi o sputniki, to schwytałem wczoraj rozpaczliwe wezwania jednego z nich. Są na nim piloci. Wołają, aby ich ściągnięto z powrotem na ziemię...

– Co to za ludzie?

– Anglicy.

– Więc i Anglia musiała ulec katastrofie?

– Przypuszczam, że tak.

– Rzym, Anglia ... Niewątpliwie także Francja i Niemcy. To, co stanowiło od setek lat oś kultury.

– Kultura zmieniała już nieraz swoje centra i swoje osie.

– A jednak, czy istniało kiedy miasto równe Rzymowi? Siedzimy w tej chwili na szczątkach domu, który liczy sobie kilka tysięcy lat. Te impulvia są starsze niż chrześcijaństwo. Jakbyśmy siedzieli na dnie.

polemiki ze współczesnością nie wydaje się przypadkowy. W wywiadach prasowych autor wielokrotnie podkreślał wagę rozstrzygnięć prozy przyszłościowej: *„Żyjemy w epoce opanowywania wielkich, wywołanych przez człowieka, ale i przekraczających ludzkie siły – przemian. Życie świata nabrało niezwykłego rytmu, którego nie potrafimy znieść. Nie potrafimy go nawet ująć. Literatura, podobnie jak ekonomia, ma swoje czulsze i mniej czułe struny. Najczulszą struną, która reaguje natychmiast na wszelkie przemiany dokonujące się w naszym otoczeniu – jest struna poezji. Myślę jednak, że proza futurologiczna jest jeszcze bardziej od niej czułą".*

Bibliografia wybrana
Ogólna:
– Z. Lichniak *„Szkic do portretu J. Dobraczyńskiego"* (zarys monograficzny), Warszawa 1962,
– W. Sadkowski *„Jan Dobraczyński"* (Słownik polskich pisarzy współczesnych) (w) „Tygodnik Kulturalny" 1963/6,
– K. Pieńkosz *„Apokryf, historia, współczesność"* (w) „Literatura" 1977/50.

Recenzje:
„Wyczerpać morze"
– (...) „Słowo Powszechne" 1961/250,
– Z. Lichniak *„Curriculum vitae i dzieła Jana Dobraczyńskiego"* (w) „WTK. Tygodnik Katolików" 1962/33,
– (...) „Nowe Książki" 1967/16.

■

Drzewiński Andrzej (1959–)

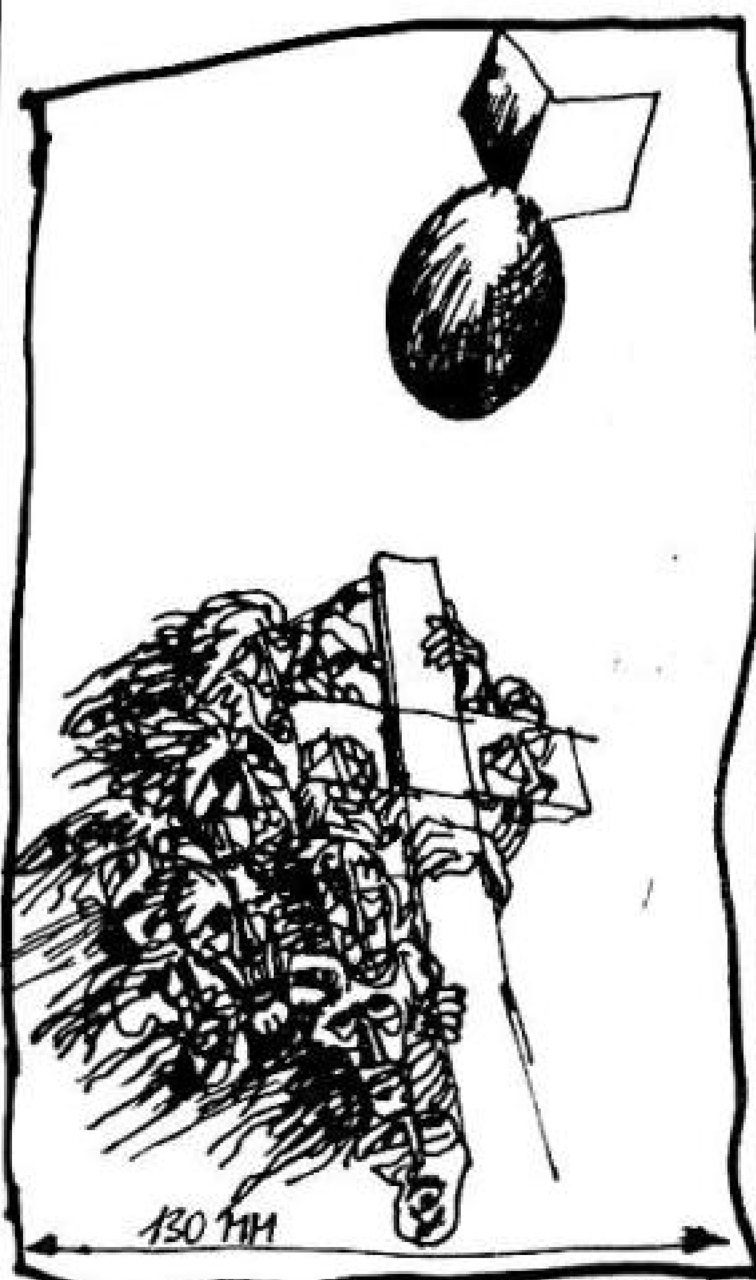
Fizyk, autor SF

Urodził się 16 X 1959 r. we Wrocławiu. W roku 1978, po ukończeniu XI Liceum Ogólnokształcącego im. St. Konarskiego, podjął studia na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Uniwersytetu im. B. Bieruta we Wrocławiu. Specjalizuje się w zagadnieniach fizyki teoretycznej. Jest członkiem wrocławskiego oddziału PSMF.

Debiutował w 1981 r. na łamach „Młodego Technika" („Zapomniany przez ludzi", „Prawda o przyjacielu", „Brawura") oraz w I tomie antologii „Spotkanie w przestworzach" (KAW 1982; „W objęciach snu", „Odnowa", „Ocalenie"). W pierwszym numerze „Fantastyki" (1982) opublikował nowelę **„Zabawa w strzelanego".** Pod tym samym tytułem, nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej, ukaże się w tym roku jego pierwszy tom opowiadań (zawartość: „Zapomniany przez ludzi", „Samodzielna decyzja", „Ich dwudziestu", „Człowiekiem jestem", „Ocalenie", „W próżni nie słychać twego krzyku", „Epidemia", „Nieśmiertelny", „Zabawa w strzelanego").

Drzewiński należy do najmłodszej generacji pisarzy science fiction, toteż nie dopracował się jeszcze własnej, odrębnej formuły twórczej. Sprawdzając wartość różnych konwencji i stylów z wyraźną rezerwą odnosi się do wszelkich programów i manifestów literackich. Jest przy tym zręcznym narratorem: potrafi zaciekawić czytelnika wartką, sensacyjną akcją, z wyczuciem operuje nastrojem, ironią i niespodziewaną pointą, nie stroni od alegoryzacji i wieloznaczności swoich utworów.

■



Szkic do projektu okładki „Wyczerpać morze" wyd PAX 1981

– Gdy się jest na dnie, trzeba się odbić i wypłynąć.
Moreschi zwrócił spojrzenie na Halseya i przez jakiś czas patrzył na niego bez słowa.(...)
– Świat ma za sobą tysiące tysięcy lat, eminencjo – kontynuował Halsey – i nie wiadomo, ile ich jeszcze mieć będzie.
– Być może...
– I dlatego Kościół musi żyć. Musi podjąć na nowo swoją działalność. Bóg nas skazał na wieczność. Ale On nie uczyni wszystkiego za nas. Dla zmienionych czasów będziemy musieli znaleźć nowe formy pracy. Dlatego (ciągle wracam do tego) trzeba jak najprędzej wybrać papieża. Będzie on musiał dotrzeć do największego z ocalałych miast i tam założyć swoją stolicę!
– Nie będzie już biskupem rzymskim.
– Nie będzie mógł się zamknąć w żadnym mieście, stać się jego niewolnikiem. Papież będzie jeździł, podróżował, brał udział w zjazdach i kongresach. Będzie docierał osobiście do najdalszych placówek Kościoła. Musi stać się znany całemu chrześcijaństwu.(...) Kościół stanie się znowu wielkim mecenasem sztuki. Zdobędzie na nowo kulturę.
– Cultura horret vacuum...
– O czym wasza eminencja mówi?
Moreschi zatoczył ręką szeroki łuk.
– O tym. Tutaj wszystko powstawało jedno z drugiego. Czy ludzkość zdoła przeskoczyć tę wielką próżnię?
– Siła ludzkości tkwi w niej samej. Były, eminencjo, całe wieki, które mogły się wydawać próżnią. Ale to były tylko chwile wahania przed wyborem nowej drogi! Czy pamięta eminencja rojenia Teilharda de Chardin, które wielu tak przeraziły?
– To była wizja poety.
– W wizjach poety bywa czasami więcej prawdy niż w hipotezach naukowych!
Nie mówił dalej, spostrzegłszy, że Moreschi go nie słucha. Nie rozumieli się. Prefekt Kongregacji nie istniejącej katedry zanadto był ciągle związany z Rzymem. Dla niego ta ruina była naprawdę końcem wszystkiego. Ale Halsey nie czuł się niewolnikiem skruszonych murów. Czcił je, póki stały, jak czci się cenną pamiątkę. W głębi serca jednak odczuwał już przedtem potrzebę wyjścia poza zaklęty krąg Wiecznego Miasta. Dlatego nie złamała go ta klęska.(...)
– Zagadaliśmy się – powiedział. – Już po czwartej. Otworzył torbę przenośnego aparatu radiowego. – Spróbuję teraz. Rozstawił składaną antenę, włączył aparat: rozległy się ciche zgrzyty i trzaski. Chwilę nasłuchiwali w milczeniu, aż w tych świstach i zgrzytach rozróżnili jakieś rytmiczne sygnały dźwiękowe.
– Co to? Sputnik?
– Chyba tak.(...)
Nagle z aparatu rozległ się głos ludzki. Zamarli w bezruchu.
– Czy naprawdę słyszę...? – zaczął szeptem Moreschi.
Halsey położył palec na ustach, dając mu tym znak, by nic nie mówił. Zmarszczył brwi i nasłuchiwał z całą uwagą.(...)
Głos odezwał się znowu, równie niespodziewanie jak za poprzednim razem. Mówił po angielsku obcym, gardłowym akcentem.
Słowa słyszeli wyraźnie:
„Uwaga, uwaga! Do wszystkich, którzy pozostali żywi na kontynencie Europy. Komunikat numer trzy: Należy kierować się do następujących miejscowości: Malaga, Barcelona, Marsylia, Genua, Neapol, Patras. Tam otrzymacie pomoc. Powtarzam: kierujcie się do następujących miejscowości..."
Halsey zamknął aparat. Podniósł wzrok na towarzysza.
– Mówiłem eminencji – rzekł. – Nie wszystko zginęło. Świat istnieje.
– Ale co to za świat? – odpowiedział Moreschi.

Instytut Wyd. PAX, Warszawa 1981, fragmenty s. 97-105

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

■

SEN O UFO I JAWA

Carl Gustav Jung (1875–1961), jeden z najwybitniejszych psychologów, twórca tzw. psychologii analitycznej, pod koniec życia zainteresował się fenomenem UFO i poświęcił temu zjawisku książkę, która wydana po raz pierwszy w roku 1958, ukazała się teraz w przekładzie polskim. Książka powstawała w okresie nasilenia się obserwacji UFO, a nawet opowieści o Bliskich Spotkaniach Czwartego Stopnia, brzmiących dość podejrzanie, jak chociażby „rewelacje" George'a Adamskiego z 1952 roku (o których, pamiętam, czytałem niegdyś w „Dookoła Świata") czy historie Orfeo M. Angelucciego z 1955 roku.

Obok tych spektakularnych przekazów pojawiło się wiele innych, ale ze zrozumiałych względów brak było w pełni przekonywających dowodów na realność UFO (dzisiaj zresztą też ich nie ma, a jeśli są, to często ukrywane), co pozwoliło Jungowi na wysunięcie kategorycznych stwierdzeń: „Niewątpliwie chodzi tu o złudzenie, fantazje i kłamstwa! Ludzie, którzy mogą o czymś takim opowiadać (...) mają chyba niedobrze w głowie! A zresztą opowieści te wywodzą się z Ameryki, kraju «niesłychanych możliwości» i science fiction". Ten typ myślenia przekonuje, że nie mamy do czynienia z pracą o ambicjach naukowych – Jung napisał esej starając się udowodnić z góry przyjętą tezę. Toteż rozpatruje UFO „jako czystą pogłoskę", posługuje się terminem „pogłoska wizyjna". Rozumie przezeń taką opowieść, której „treść wyraża się nawet w wizjach lub przynajmniej wizje dają jej, być może, początek i ją podtrzymują". Lokuje ją w pobliżu wizji zbiorowych, kiedy na ogół tłum widzi to, co chce zobaczyć, co w jakiś sposób zaspokaja jego tęsknoty.

Wychodząc z tych przesłanek, Jung rozpatruje UFO jako fenomen psychiczny, dokując się jego źródeł w sferze nieświadomości. Dowodów ma dostarczyć brawurowa analiza kilku opowieści sennych o wydarzeniach, które mniej lub bardziej wyraźnie kojarzą się z UFO oraz kilku przykładów prac malarskich, gdzie również występują motywy UFO-idealne. Czy fakt, że w snach i wizyjnych obrazach pojawia się coś, co można skojarzyć z UFO jest dowodem na to, że UFO to tylko pogłoska? Otóż nie.

Zgadzam się bez zastrzeżeń z twierdzeniem, że powszechny stress wywołany „zimną wojną", poczucie nieustannego zagrożenia mogło spowodować pogłoski o UFO, wywołać sny na ten temat. Zgadzam się z myślą Junga, że „archetyp, by uniknąć gorszącej dziś personifikacji mitologicznej, przyjął formę rzeczową, a nawet wręcz techniczną", że UFO jest mitem, ale z tego wszystkiego doprawdy nic nie wynika. Ten mit musi mieć jakieś podstawy realne, coś musiało być jego źródłem, jakieś zjawiska fizyczne obserwowane przez ludzi. Przecież równie dobrze można byłoby powiedzieć, że sny o UFO są spowodowane odwieczną wiedzą o „kontakcie", że nie one wpływają na wizję, lecz na odwrót – wizje są ich powodem. W jednym z przykładów Jung sugeruje, że to, co wyśniła pewna „dama" spotykamy w literaturze o UFO, ale zapomina, że kilkanaście stron wcześniej ustalił, iż owa kobieta interesowała się UFO. Co więc jest wcześniejsze? Sny i sfera nieświadomości wywołują wizje UFO, czy wiedza o UFO – widzenia senne?

Niestety tego Jung nie rozstrzyga, po prostu unika odpowiedzi oddając się interesującym dygresjom, w których dyskutuje z dogmatycznym freudyzmem i Adlerem (słusznie wnioskując np., że „życie seksualne nie jest jedyną możliwą dominantą w życiu psychicznym"), ale też – jak na freudystę przystało – dopatruje się uzewnętrznienia „instynktu płciowego" właśnie w zjawisku UFO. Może to i prawda, ale jakże nieprzekonywająca. Opierając się na tym pomyśle można odnaleźć przesłanki „płciowości" nawet w budownictwie przemysłowym i podróżowaniu pociągiem (ach, te kominy!, tunele!), a odwołując się do reguł podświadomości ustalić przyczynę ciepłych uczuć, jakimi darzymy fiata 126, „obciskającego" pasażera ze wszystkich stron (powrót do łona?).

Wszystkie podobne interpretacje są tyleż efektowne, co wątpliwe i na dodatek humorystyczne. Za kierunkiem rozumowania Junga przemawia jednak zauważalna zmiana jakości i rodzaju Bliskich Spotkań Czwartego Stopnia oraz ich wyraźnie kompensacyjny charakter. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, a więc w okresie nasilającego się napięcia międzynarodowego, pasażerowie UFO mieli przybywać niejako z misją mediacyjną, usiłowali wskazywać ludziom przyszłą drogę pokojowego rozwoju itd. (por. chociażby relacje Adamskiego i Angelucciego). Później, kiedy możli-

●●●

DZIEWIĘĆ LAT PÓŹNIEJ...

Pewnego dnia 1966 roku reżyser Stanley Kubrick zadzwonił do Artura C.Clarke'a z pytaniem, czy nie ma pomysłu na jakiś „dobry film fantastyczno-naukowy". W odpowiedzi na to pytanie narodziła się „2001-Odyseja Kosmiczna". Tryumfalny marsz filmu przez niemal wszystkie ekrany świata zrewolucjonizował wiele poglądów na temat fantastyki naukowej, zmieniając lekceważący stosunek krytyków i części publiczności do tego gatunku. Okazało się, że również w konwencji science fiction można przekazać niebanalne treści intelektualne. Perfekcyjne tricki techniczne, finezyjna praca laboratorium (któż z nas nie pamięta fascynującego, utrzymanego w baśniowych kolorach lotu przez „Gwiezdne wrota") torowały drogę wielu późniejszym realizacjom fabularnym, w tym także „Gwiezdnym wojnom".

Pamiętamy kształt czarnego prostopadłościanu, gest prehistorycznego człowieka dotykającego jego gładkiej, błyszczącej ściany powtórzony przez ubranego w skafander kosmonautę; bunt komputera Hala 9000 i tajemniczą podróż Dave'a Bowmana, kapitana statku o dumnej nazwie „Discovery", w nowy wymiar, w nieznaną przyszłość. Pamiętamy także, że wszystkie wątki autorzy pozostawili otwarte. Pewne więc było, że dalszy ciąg musi nastąpić. Czekaliśmy nań jednak aż do zeszłego roku, kiedy w Londynie ukazała się najnowsza powieść Clarke'a *„2010-Odyssey Two"*.

Książka ta, podobnie jak film, oparta na motywie kosmicznej wędrówki cieszy się dziś nie mniejszym powodzeniem, niż „Odyseja 2001". W dziewięć lat po starcie „Discovery", wyrusza w stronę Jowisza mieszana, radziecko-amerykańska załoga dowodząca statkiem „Leonov". Jej podstawowym celem jest wyjaśnienie losów poprzedniej wyprawy. W skład 10-osobowej ekipy wchodzi trzech amerykańskich specjalistów. Dwaj z nich znani są z filmu Kubricka: astronom Heywood Floyd uczestniczył w badaniach czarnego monolitu na Księżycu, cybernetyk dr Chandra był nauczycielem Hala 9000, zbuntowanego komputera „Discovery". Jakkolwiek w powieści obcujemy bez przerwy ze wszystkimi bohaterami, jakkolwiek o radzieckich członkach załogi autor wypowiada się ciepło i nierzadko z podziwem – tylko ta dwójka otrzymuje przywilej kształtowania wydarzeń fabularnych. W pisarstwie Clarke'a nie jest to żadną nowością. Podobnie postąpił w „Kowbojach oceanu" łącząc przyjaźnią Waltera Franklina i Dona Burleya podróżujących małą łodzią podwodną wśród bezkresnego oceanu. Floyd i Chandra różnią się jednak od siebie bardziej, niż bohaterowie poprzednich powieści Clarke'a. Fenomenalnie zdolny, obdarzony wybitną inteligencją, lecz zawsze samotny Hindus Chandra, mimo swych nadludzkich talentów, budzi raczej współczucie niż zazdrość, a jego namiętność do cygar, które pali w... toalecie „Leonova" powodując alarm pożarowy i stając się przedmiotem niewybrednych żartów, czyni go bliższym towarzyszom – i czytelnikowi. Astronom Heywood Floyd jest z kolei typowym WASP-em, towarzyskim i dowcipnym, lecz niezbyt szczęśliwym. Jego pierwsza żona zginęła w wypadku, druga zaś rozwiodła się z nim w trakcie wyprawy. Z racji zajmowanego stanowiska bohater wini siebie za porażkę poprzedniego lotu i śmierć załogi. Umieszczenie dwóch tak różnych indywidualności w zamkniętej przestrzeni statku kocmicznego służy szczegółowej, znakomicie udokumentowanej analizie zachowań poznających się, a jednocześnie skazanych na siebie ludzi.

Jakkolwiek nie wydaje się prawdopodobne, by „Odyseja druga" została przełożona na język polski przed końcem XX wieku, nie ma potrzeby streszczać jej fabuły. Swe powodzenie zawdzięcza bowiem nie tyle opisom dramatycznych wydarzeń, co finezyjnej charakterystyce postaci. Odtwarza-

wość konfliktu globalnego odsunęła się na dalszy plan, a świadomość potoczna poradziła sobie jakoś z poczuciem nieustannego zagrożenia, kiedy odrodziła się wiara w naukę, kontakty miały właśnie charakter „scjentyczny" – „zielone ludziki" badały Ziemian zaproszonych na pokład statku, przystawiały im najróżniejsze aparaty do ciała, pobierały nawet próbki odzieży (por. wypadki opisane w przedmowie do książki Junga przez Jerzego Prokopiuka czy też głośne polskie CE-IV: Hel, Lubelszczyzna). Ma więc Jung niewątpliwie rację, gdy stara się rozpatrywać zjawisko UFO w kategoriach psychologicznych, ale powinien ograniczać się tylko i wyłącznie do nich.

Nikt, kto jest przy zdrowych zmysłach, nie zakwestionuje opinii, że „nieświadomość, celem prezentacji swych treści, posługuje się pewnymi elementami fantazji, która da się porównać ze zjawiskami UFO", ale z drugiej strony można przytoczyć wiele, rozmaicie udokumentowanych faktów świadczących o realnym istnieniu UFO. Co jakiś czas zwłaszcza w „sezonie ogórkowym", prasa przynosi rewelacje o katastrofach UFO, o ciałach Kosmitów, o materiałach utajnionych przez armię amerykańską, o śladach Innych na Księżycu i z coraz większym trudem przychodziłoby dzisiaj obronić stanowisko, że UFO nie istnieje, że jest to tylko pogłoska. Niektóre opowieści – przynajmniej z punktu widzenia przeciętnego czytelnika – wyglądają na prawdziwe i niepodważalne (np. wspomnienia Argentyńczyka Carlosa Alberto Diaza z 1975 roku).

Dzisiejszy poziom wiedzy o UFO każe nam skłaniać się ku opinii, że UFO istnieje zarówno jako zjawisko fizyczne, jak i psychiczne. Najistotniejsze w książce Junga jest to, że po wstępnych, cytowanych tu inwektywach, autor odważnie przyznaje, iż możliwy jest pogląd na UFO jako na materialne zjawisko nieznanej natury, prawdopodobnie pochodzenia kosmicznego, które było obserwowane przez Ziemian od stuleci, lecz „poza tym nie mające żadnego rozpoznawalnego związku z Ziemią czy jej mieszkańcami". Teraz zjawisko to zbiegło się z obecnymi zainteresowaniami ludzi zwracających się w stronę Kosmosu oraz wzbogaciło znaczeniami symbolicznymi zrodzonymi przez poczucie zagrożenia egzystencji ziemskiej: „Treści nieświadomości uległy projekcji na nie wyjaśnione zjawiska niebieskie, tym samym nadając im znaczenie, na które w ogóle nie zasługują. (...) Psychiczne sytuacje ludzkości z jednej strony i fenomen UFO jako rzeczywistość fizyczna – z drugiej nie pozostają między sobą w żadnym rozpoznawalnym związku przyczynowym, lecz jak się zdaje, zbiegają się w sposób sensowny".

Jung nie pisze jednak wprost, dlaczego UFO wzbudza u współczesnych tak wielkie zainteresowanie, jakie potrzeby i uczucia zaspokaja? Wydaje się, że odpowiedź możemy znaleźć u niego samego. W „Die Beziehungen zwischen dem Ich und dem Unbewusten", w rozdziale „Osobowość magiczna" napisał, że „psychologicznie rzecz biorąc, ludzkość znajduje się jeszcze ciągle w okresie dzieciństwa – na szczeblu, którego nie można przeskoczyć". Ludzkość uświadamia sobie, że stoi wobec problemów, które sama stworzyła, ale z którymi nie wie, jak sobie poradzić – stąd dominująca potrzeba odnalezienia „starszych braci" czy „ojców", którzy mogą coś doradzić, pomóc. Podświadomie wszyscy ich oczekują. Ktoś taki musi się znaleźć. Ktoś musi nam pomóc „przeskoczyć" ten „szczebel, którego nie można przeskoczyć".

Pośrednio nawiązuje do tych spraw znany „ufolog" Brad Steiger, przywołany przez Prokopiuka w przedmowie, gdy pisze o „pozaziemskiej inteligencji" współdziałającej z ludzkością od początku jej istnienia. Niewykluczone, iż ta inteligencja „wciągnęła nasz gatunek w to, co nazywamy «grą o rzeczywistość»". Poznanie znaczeń owej gry może otworzyć przed ludzkością nowe perspektywy rozwoju, zwielokrotnić jej szanse, może być najwspanialszą „spuścizną, jaką ludzkość otrzymała od gwiazd". Steiger posuwa się zbyt daleko w swoich wnioskach, ale intuicyjnie ma chyba rację. Coś dzieje się wokół nas, coś dzieje się również z nami. Spostrzegł to Jung, chociaż zachował postawę bardziej sceptyczną, niż jego następcy zajmujący się zjawiskiem UFO. Jego książka zapewne rozczaruje współczesnych „ufologów", ale jest cennym powrotem do minionych sądów, jest również ostrzeżeniem przed bezkrytycznym i entuzjastycznym przyjmowaniem wszystkich „rewelacji", jakich wiele na temat UFO. I na tym też między innymi polega jej dzisiejsze znaczenie.

Leszek Bugajski

Carl Gustav Jung *„Nowoczesny mit. O rzeczach widywanych na niebie"* Przekład i przedmowa Jerzego Prokopiuka. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, s. 320 + ilustr., cena zł. 100,–

● ●

nie codziennej rutyny długiego lotu byłoby po prostu nudne, chociaż sama powieść wcale nudna nie jest. Monotonię wolno upływającego czasu burzy jedynie zagłada konkurencyjnej, chińskiej wyprawy kosmicznej. Przygotowany w tajemnicy, lecący według starannie przemyślanego sprytnego planu, miedzyplanetarny statek „Tsien" ulega katastrofie na księżycu Jowisza – Europie, zniszczony przez niezwykłą quasiroślinną formę życia. Do najbardziej wstrząsających fragmentów książki należy ten, w którym umierający naukowiec chiński opisuje zagładę swojego pojazdu, prosząc o nazwanie tajemniczej rośliny jego imieniem. Jedną z funkcji owego epizodu staje się przekonanie o konieczności współistnienia różnych form biologicznych w granicach Układu Słonecznego, nieobojętne dla finału Odysei 2010.

Z nowej powieści Clarke'a dowiadujemy się również o dalszych losach Dave'a Bowmana przeniesionego w inny czas i przestrzeń po przelocie nad powierzchnią Jowisza. Nie są to szczegóły pasjonujące, chociaż pozwalają zrozumieć przynajmniej część motywów, które skłoniły kapitana „Discovery" do wybrania zawodu kosmonauty. Najbardziej ciekawe jest to, co spotkało go po przekroczeniu „Gwiezdnych wrót", w tajemniczym pomieszczeniu ála Ludwik XVI. Bowman, mocą nieznanych istot, które u zarania ludzkości zaszczepiły przodkom człowieka Rozum, zyskał nową formę egzystencji. Istniejący w postaci energetycznej, chociaż nie pozbawiony świadomości, odwiedza na Ziemi swą matkę i dawną przyjaciółkę. Jest to dla autora znakomita okazja do wypowiedzenia paru niepochlebnych uwag na temat naszej cywilizacji. Dla swych tajemniczych „stwórców" Bowman jest też swego rodzaju narzędziem. W takiej roli osobiście kontaktuje się z Floydem, nakazując załodze „Leonova" opuszczenie strefy Jowisza. Jest to w istocie rodzaj egzaminu, testu na dowagę i pomysłowość ludzi. Trudny manewr odlotu przy niedostatecznej ilości paliwa udaje się dzięki lojalnej współpracy komputera Hala 9000. Ten ostatni, ożywiony i potwornie wyedukowany przez Chandrę, nie pamięta o swoim buncie. Pomaga ludziom, okupując swe dawne winy. W efekcie zostaje drugą po Bowmanie istotą, która osiąga nową formę egzystencji. Zakończenie powieści wiąże się z aktywnością czarnych monolitów, które okazują się wielofunkcyjnymi maszynami posiadającymi zdolność samoreprodukcji. Podstawowym zadaniem tych urządzeń staje się zaszczepianie Rozumu na planetach i czuwanie nad jego rozwojem. To właśnie one przemieniają Jowisza w słońce, by stworzyć warunki do rozwoju cywilizacji na powierzchni Europy. W epilogu utworu zatytułowanym „20001" owa cywilizacja znajduje się w pełnym stadium rozwoju. Dialog z obcymi nie jest na razie możliwy – ich autonomii broni czarny monolit. Lecz przecież nie pozostanie tam na zawsze...

Arthur C.Clarke nazwał obie Odyseje opowieściami o kontakcie. Szalone powodzenie „Odysei drugiej" można tłumaczyć zarówno niebanalną wariacją tego banalnego tematu, jak i mistrzowską realizacją starego, jak sama literatura, motywu wędrówki w poszukiwaniu korzeni ludzkości. Mam wrażenie, że nie jest to jednak cała prawda. Literatura fantastyczno-naukowa staje się w gruncie rzeczy, tak jak określił ją bohater „Końca wieczności" Asimova, prozą eskapistyczną. Clarke opisuje świat taki, jakim mógłby być: zdeterminowany współpracą ludzi różnych narodów i kultur. Swą tezę podkreśla dyskretnie podanym morałem – ludzie umiejący współpracować, jak załoga „Leonova" – tryumfują, unikający współdziałania, choćby planowali wszystko znacznie zręczniej i sprytniej, jak chińska załoga „Tsiena" – giną. Jedno jest pewne: autor „Odysei 2010" zawdzięcza swój sukces umiejętności łączenia wielu, pozornie niespójnych, elementów w nową konsekwentną całość. Nawet gdyby żadna z jego prognoz nie miała się spełnić, nie zmniejsza to walorów jego książki. Clarke przewidział ten fakt kończąc wstęp do powieści słowami: „prawda, jak zwykle, będzie – znacznie dziwniejsza".

Krzysztof Sokołowski

Arthur C.Clarke *„2010 – Odyssey Two"* Granada Publishing Limited, London-Toronto-Sydney 1982

„LUDZIE ERY ATOMOWEJ"

Andrzej Wójcik

Pisana na przełomie lat 1947 i 1948 – obok „Schronu na placu Zamkowym" Andrzeja Ziemięckiego, „Zaziemskich światów" Władysława Umińskiego oraz sensacyjnych utworów Lema – powieść Romana Gajdy „Ludzie ery atomowej" jest jedną z pierwszych powojennych propozycji polskiej literatury science fiction. Wydana w owym czasie mogłaby odegrać istotną rolę w kształtowaniu oblicza gatunku. Niestety, śmiałość swych wizji i niekonwencjonalność przekazu przypłaciła przymusowym „odleżeniem na półce". Opublikowana dopiero „na fali odnowy" w 1957 roku, ukazała się w niewielkim nakładzie 8000 egzemplarzy.

Dziewięć lat, które upłynęły od napisania do wydania utworu, niski nakład, odmienna sytuacja na naszym rynku wydawniczym monopolizowanym powoli przez Lema – sprawiły, iż powieść Romana Gajdy nie doczekała się należnego jej miejsca w historii polskiej fantastyki naukowej. A szkoda. Gdyby pozwolono jej funkcjonować w obiegu społecznym tak, jak w przypadku wczesnych utworów Lema, inaczej być może ocenialibyśmy dorobek gatunku w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, inaczej potoczyłyby się losy wielu innych, wtórnie odkrywczych książek.

W pobieżnej lekturze „Ludzie ery atomowej" to obraz zwycięskiego społeczeństwa socjalistycznego XXI wieku żyjącego w doskonałym, konsumpcyjnym raju, rządzonego przez najbardziej godnych zaufania obywateli, wolnego od codziennych trosk i zmartwień – widzianego oczyma człowieka XX wieku.

Człowiekiem tym jest Polak – inżynier Jerzy Relski – zamrożony w lodach Antarktydy uczestnik wyprawy poszukującej złóż uranu. Dzięki niezwykłemu osiągnięciu medycyny XXI wieku, jakim jest rewitologia, zostaje przywrócony do życia, zaś dzięki troskliwej opiece przydzielonych mu przewodników: Ireny Tarskiej i doktora Ramina, Dyrektora Instytutu Medycyny Doświadczalnej – włączony do społeczeństwa. Ponieważ w zbiorowości XXI wieku nie ma już miejsca na podziały klasowe, Relski jest traktowany od początku jako pełnoprawny obywatel, korzystając z wszelkich dóbr i przywilejów Ziemianina nowej epoki.

Poznaje więc zasady mądrych i obiektywnych rządów sprawowanych przez Parlament Światowy i jego prezydium – Najwyższą Radę Geniuszy. Bardziej dla przyjemności i rozwoju własnej osobowości, niż z konieczności wykonuje pewną pracę, która jest równomiernie rozłożona na wszystkich obywateli zgodnie z zasadą *„od każdego wedle jego możliwości, każdemu według potrzeb"*. Dostrzega i wykorzystuje zalety nieograniczonego dostępu do informacji i równie nieograniczonego wyboru rozrywki. Przeżywa pierwszą po odmrożeniu miłość i pierwszy zawód spowodowany nieznajomością zasad moralnych, form współżycia między obiema płciami. Jest zachwycony geniuszem swoich współbraci, którzy nie tylko opanowali siły przyrody i nauczyli się je wykorzystywać, lecz także uczynili wszystko, by życie poszczególnych jednostek stało się pasmem przynoszącej satysfakcję twórczej pracy, rozrywek i przyjemności. Co więcej – dzięki osiągnięciom elektrobiochemii zwyciężyli śmierć i wydarli Bogu umiejętność stwarzania życia.

Wszechświatowa łączność każdego z każdym, możliwość swobodnego wyboru miejsca zamieszkania, domki wśród drzew i kwiatów, torpedostratusy sunące trzykrotnie szybciej od prędkości dźwięku i przenoszące ludzi bez wiz i pozwoleń w każdy, dowolnie wybrany punkt globu; optymalne, sztucznie stworzone i sterowane warunki klimatyczne – to tylko niektóre z najistotniejszych osiągnięć XXI wieku, jakie jawią się zdumionym oczom Relskiego. Możliwość swobodnego rozwoju intelektualnego, likwidacja strachu przed śmiercią i kalectwem, uwolnienie spod bezwzględnej władzy pieniądza i nędzy, ciągły nadzór medyczny, wyzwolenie z seksualnego tabu, możliwość swobodnego współuczestniczenia w decydowaniu o losach swojego świata – wydają się prawdziwymi dobrodziejstwami tej wspaniałej Utopii.

Powoli zza owego parawanu szczęścia, dobrobytu, swobody i równości poczyna się jednak wyłaniać świat znacznie mniej doskonały, pozbawiony radości i euforii zwycięstwa nad przyrodą. Jego mieszkańcami są przede wszystkim ludzie US urodzeni sztucznie w naukowych laboratoriach. Są ich miliony. „Produkcja" tych istot, uznana przez naukę za szczytowe osiągnięcie ludzkiego geniuszu i zaaprobowana przez opinię publiczną, nie może być zahamowana. To nic, że ludzie ci są bezpłodni i oderwani od poczucia gatunkowej ciągłości, że nie mają nazwisk ani ojczyzny, popadają w neurozę i pozostają debilami pomimo osiągnięcia dojrzałości fizycznej, to nic, że szerzy się wśród nich „histerioza powrotna" – choroba psychiczna powodująca masowe samobójstwa. Przecież są równi wobec prawa i wobec urodzonych naturalnie – tak zwanych ludzi UN – mogą być pełnowartościowymi obywatelami świata. Tyle tylko, że urodzeni naturalnie nie zawsze traktują urodzonych sztucznie jak partnerów. Huxleyowskie humunculusy zamieszkujące Ziemię rządzoną przez ludzi ery atomowej wcale nie są szczęśliwe. Mają poczucie niższości, cechuje je wieczna melancholia, są pozbawione instynktu samozachowawczego, a wobec określonych uwarunkowań biologicznych nie znają pojęcia rodziny.

Czasem zdarzają się wśród nich jednostki wyjątkowe. Uosobieniem takiego ideału jest genialny fizyk, odkrywca wielu praw i propagator ich praktycznego zastosowania, członek Najwyższej Rady Geniuszy – Marek Fantom. I to on właśnie decyduje się wystąpić przeciw urodzonym naturalnie w imię praw swoich współbraci. Korzystając z uzyskania kontroli nad urządzeniami mającymi wprowadzić Ziemię na nową wokółsłoneczną orbitę, postuluje, pod groźbą całkowitego unicestwienia ludzkości, zaprzestania masowej produkcji nieszczęśliwych, naznaczonych symptomem defektu istot. Rada Geniuszy wniosek ten odrzuca. Do uspokojenia sumień uczonych wystarcza fakt, iż wciąż dąży się do udoskonalenia ludzi US. W polemice z Fantomem dyrektor Paryskiej Kliniki Chirurgii Psychicznej, profesor Amon Lenois mówi między innymi:

„Mój szanowny przedmówca poruszył problem niezwykłej wagi: czy osiągnięcia nauki należy wcielać w życie, choćby wyniki praktyczne nie osiągnęły jeszcze swojej ostatecznej, optymalnej doskonałości, czy też należy czekać, czyniąc doświadczenia, aż ten najwyższy szczebel doskonałości zostanie osiągnięty. Jestem zupełnie innego zdania aniżeli mój wielce szanowny kolega, Marek Fantom. Najmłodsza ze wszystkich nauk, elektrobiochemia, powstała lat temu dopiero kilkadziesiąt, gdy człowiek odkrył tajemnicę powstania żywego białka. I tak jak kiedyś szlachetni Grecy przyjęli ogień przyniesiony z Olimpu, a skradziony bogom, my przyjęliśmy dar bogów z atomowej góry Uranium i stworzyliśmy nową, nie znaną dotąd istotę, człowieka US... Każda nowa nauka, jeśli ma służyć dobru powszechnemu, przechodzi okresy prób i doświadczeń, nieraz bardzo bolesnych, ale przecież nic co żyje, nie jest nigdy skończone... Zgadzam się z tezą przezacnego kolegi Fantoma, że ludzie US cierpią nieraz katusze psychiczne i wierzę mu, bo i on sam, choć jest obdarzony genialnym umysłem, należy też połowicznie do tej wielkiej, bezimiennej rodziny ludzi, powołanych do życia przez naukę. Ale wiedza, nauka czynią wszystko, aby złagodzić cierpienia tych ludzi i znaleźć przyczynę ich cierpień... Przyroda potrzebowała wielu milionów lat aby wytworzyć człowieka w swojej skomplikowanej retorcie takim, jakim jest obecnie, dozwalając mu zakosztować wszelkich form biologicznego istnienia w długim procesie ewolucji. My, ludzie Atomowej Ery, stworzyliśmy sztuczne życie ludzkie w ciągu zaledwie jednego pokolenia. To był prawdziwy cud i największy sukces ludzkiego geniuszu. Nie wymagajmy zbyt wiele, ale idźmy z wiarą i szlachetnym uporem na spotkanie lepszego, doskonalszego człowieka, aniżeli ten, którego natura stworzyła w swojej leniwej i astronomicznie długiej pracy, pełnego niepokoju, lęku i nie ukojonej nigdy tęsknoty. Nie wolno zatrzymać biegu tej sprawy, jak nie wolno zatrzymać biegu Ziemi, gdyż groziłoby to nieuniknioną katastrofą".

Nie znalazłszy zrozumienia i poparcia wśród członków Rady, Fantom decyduje się na walkę. I oto okazuje się, że cudowny świat XXI wieku jest nie tylko oazą szczęśliwego postępu. Ludzie US dysponują „wspaniałą" bronią – generatorami promieni powodującymi wygaszenie biologicznych fal serca. Ludzie UN nie pozostają dłużni – obok broni atomowej posiadają całą masę innych środków niszczących: od pistoletów ultradźwiękowych rozrywających przeciwnika działaniem fal, po bomby wirowe zdolne zniszczyć każdą ochronną zaporę. Okazuje się, że zdalnie sterowane

torpedostratusy są równie dobrymi środmi komunikacji, jak i maszynami bojowymi, nosicielami broni masowej zagłady. Rozpoczyna się walka na śmierć i życie. Jej wynik jest zrazu niewiadomy, ale demokratyczny rząd w Norbant, nie czekając na rozwój wypadków, podejmuje decyzję o przygotowaniu Ziemian do ewentualnego opuszczenia Błękitnej Planety. Przy okazji wychodzi na jaw jeszcze jedna cecha tego pozornie egalitarnego systemu społecznego:

„Ucieczka na Marsa lub Wenus za pomocą torpedostratusów międzyplanetarnych była jedyną i bardzo problematyczną szansą ratunku przed zbliżającą się katastrofą kosmiczną (wytrąceniem Ziemi z jej orbity i spowodowaniem jej spadku na Słońce – przyp. A.W.).

Na planetach tych bawiły już od dłuższego czasu ekipy uczonych specjalistów i techników oddelegowanych do eksploatacji znajdujących się tam surowców, jak również grupy pierwszych osadników – pionierów, przygotowujących warunki dla osiedlenia się tam na stałe mieszkańców globu. Utrzymywano z nimi stałą łączność za pomocą stacji superradarowych i radiowych. Ale torpedostratusów, przystosowanych do lotów międzyplanetarnych, było zaledwie około tysiąca, w tym większa część znajdowała się już pod kontrolą ludzi US. Ponieważ jeden torpedostratus tego typu mógł zabrać na pokład zaledwie około pięćdziesięciu pasażerów, opuścić Ziemię mogło w najlepszym razie kilkanaście tysięcy obywateli UN. Reszta mogła próbować na zwykłych torpedostratusach międzykontynentalnych, nie mając jednak żadnej gwarancji dotarcia do którejkolwiek z wymienionych planet.

Postanowiono w wielkiej tajemnicy, że w razie nieuniknionej katastrofy w pierwszym rzędzie opuszczą Ziemię członkowie Rządu Światowej Federacji i Najwyższej Rady Geniuszy oraz ich rodziny, a potem członkowie poszczególnych rządów federacyjnej Europy, Azji i Ameryki".

Osobliwie wygląda ta decyzja wobec dwóch dokumentów, z jakimi zapoznał się Relski w czasie swojego pobytu w erze atomowej. Pierwszy z nich to Konstytucja Sfederowanych Państw Europy, paragraf pierwszy: *„Wszyscy wolni obywatele Zjednoczonej Europy są równi wobec prawa".* Drugi – to fragment książki mówiącej o nowym, socjalistycznym społeczeństwie, który dowodzi, że w wieku XXI *„nie było między ludźmi różnic stanowych czy klasowych. Walka klasowa, będąca motorem niezliczonych krwawych rewolucji przez całe tysiąclecia, zatraciła swój pierwotny sens, gdyż ogień tej walki wypalił się. Zabrakło wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Społeczność ówczesna była bezklasowa w świetle terminologii dawnych socjologów. Jedynie na tle różnic intelektualnych i zawodowych tworzyły się grupy społeczne. Grupy – nie zamknięte klasy i koterie".*

W chwili konfrontacji, w momencie bezpośredniego zagrożenia powszechnie głoszone prawdy okazują się pustymi frazesami, a rzekoma jedność społeczeństwa XXI wieku czystą fikcją, być może do ostatniej chwili niedostrzegalną dla wychowanych, żyjących w jej cieniu przedstawicieli konsumpcyjnego dobrobytu.

Całkiem innego znaczenia nabiera teraz stwierdzenie, iż przydzielony każdemu obywatelowi radioteleriks, będący dobrodziejstwem w kontaktach interpersonalnych, jest jego wizytówką. Jest również doskonałym instrumentem potencjalnego nadzoru:

„Próbował się połączyć za pomocą telefonowizora, lecz (Marietta) nie odpowiadała. W końcu udało mu się uzyskać połączenie za pośrednictwem Centrali Pierwszej Strefy. Stacja posiadała urządzenie sygnalizujące obecność lub nieobecność abonenta w domu i Marietta z d e k o n s p i r o w a n a w t e n s p o s ó b podeszła do ekranu".

I dalej:

„Żeby tak zasnąć i nie obudzić się więcej – zapragnął. Ale tutaj, w epoce wszechwładnego atomu, n i e d a d z ą c z ł o w i e k o w i u m r z e ć. Zaraz radioteleriks wyśle alarmowy sygnał, gdy tylko serce przestanie bić. A gdyby nawet zniszczył aparat i radiotelewizor kieszonkowy, to i tak nic nie pomoże, bo zgaśnie wówczas lampka kontrolna nad jego numerem w centrali i automatyczny sygnał alarmowy sprowadzi do mieszkania w ciągu kilku minut Pogotowie Ochrony Życia".

Co za cudowny, wspaniały świat, w którym człowiek poddawany jest bezustannej opiece w trosce o jego dobro. Stąd krok zaledwie do pamiętnej teleścianki z „Roku 1984" służącej wyrywkowej kontroli zachowania i poglądów obywateli. Zresztą świat ludzi ery atomowej ma już swoją teleściankę. Jest nią wspaniały wynalazek Marka Fantoma – elektryczna luneta pozwalająca nie tylko penetrować wnętrze Ziemi w celu wydarcia kryjących się pod jej powierzchnią tajemnic, ale i „podglądać na odległość":

„– I mimo, że rozmawialiśmy dość często na odległość – mówił głosem spokojnym i dziwnie łagodnym – nie wspomniałaś mi nigdy, że w sercu twoim zakwitła nowa miłość...

– Skąd wiesz o tym? Przecież to jest moją tajemnicą – wydawała się być niemile zaskoczona.

– Twoją tajemnicą? – uśmiechnął się z wymuszoną uprzejmością. – Jesteś zawsze tą samą czarującą, naiwną kobietką, Marietto.

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym było tyle lęku co zaciekawienia.

– Więc kazałeś mnie śledzić?

– Ależ skąd znowu. Mam inne sposoby, by sprawdzić wierność kochanki.

– Ach, domyślam się... Oglądałeś mnie przez swoją elektryczną lunetę..."

„Fantom wziął do ręki elektryczną lunetę, leżącą przed nim na stole obok kryształowego wazonu z hiacyntami i skierował jej wylot w stronę Pałacu Wiedzy... – No tak, spodziewałem się. Tajne posiedzenie Rządu. Radzą nad wytworzoną sytuacją".

W ostatecznym wyniku Fantom swoją walkę przegrywa. Przegrywa, ponieważ daje się zaślepić nienawiści i przekonaniu o własnej doskonałości, a te muszą ustąpić w konfrontacji z miłością. Jego rebelia wydaje się zresztą niepotrzebna, gdyż uczeni z Norbant w obliczu bezpośredniego zagrożenia życia wynajdują specyfik powodujący doprowadzenie organizmów ludzi US do stanu równowagi. Gdyby jednak nie było buntu US, gdyby niosące śmierć torpedostratusy nie były skierowane na Norbant, prace nad „Silenium" – owym cudownym środkiem – potrwałyby jeszcze długo. Bezpośredni bunt zdopingował władców świata, działających *„dla szczęścia i dobrobytu wszystkich obywateli"*, do odsunięcia na drugi plan *„spraw wagi ogólnoludzkiej w skali kosmicznej"* i zajęcia się problemami najbardziej pokrzywdzonych.

W tej warstwie przesłania „Ludzie ery atomowej" są interesującym studium społeczeństwa, władzy i ludzkiej moralności zmieniających się wraz ze wzrostem poziomu egzystencji, przeobrażeń obyczajowości i norm etycznych. Relski przez cały czas jest obcym ciałem w żywej tkance ery atomowej. Wprawdzie sprawia wrażenie dobrze przystosowanego, jednak swym zachowaniem, światopoglądem, żywiołowymi odruchami odbiega od przeciętnego mieszkańca XXI wieku. W świecie podzielonym na supermenów i submanów człowiek epoki minionej bliższy jest tym drugim. Jednocześnie cała narracja powieści sprawia, iż czytelnik większą sympatią darzy „biologiczne roboty" jak nazywa się tutaj pogardliwie ludzi US, aniżeli naszych bezpośrednich potomków – ludzi UN. Tym, co odczłowiecza UN jest ich bezkrytyczny stosunek do osiągnięć swojej epoki oraz całkowita fetyszyzacja nauki pozostającej na usługach Parlamentu Świata. Gdy staje się ona obiektem kultu, abstraktem, narzędziem władzy – z „dobrej wróżki" zmienia się w pożerającego wszystkich i wszystko demona.

Miejsce i funkcja nauki w życiu całych narodów, rola naukowca w ogranizacji nowego systemu społecznego – to w warstwie intelektualnej utworu elementy równie ważne jak ocena nowoczesnej, zjednoczonej utopii dobrobytu. Podejmując tę kwestię wyprzedził Gajda zainteresowania polskiej fantastyki o wiele lat. Te same problemy rozważane na podobnych bądź identycznych przykładach przez Borunia, Lema czy Peteckiego zapewnią ich książkom trwałe miejsce w historii polskiej science fiction. Boruniowi i Lemowi pozwolą nawet wywrzeć wpływ na literaturę innych krajów.

Polska fantastyka naukowa powstająca przed rokiem 1948 bliższa była koncepcjom Verne'a, aniżeli utworom utrzymanym w stylu socjologizującej i antyutopijnej beletrystyki Wellsowskiej. „Ludzie ery atomowej" nawiązują, w swej formie i treści, do tego drugiego nurtu science fiction i to w jego wzbogaconej wersji, pogłębionej przez twórczość Aldousa Huxleya. Co więcej, w obrazie nauki jutra sięgają do filozofii głoszonej przez stryja Aldousa – Juliana – wyznawcy eugeniki. W cytowanym wystąpieniu profesora Amona Lenois wyraźnie pobrzmiewają echa wystąpień Juliana Huxleya:

„W czasach biologicznie młodych jedna z linii Naczelnych wytworzyła ludzki typ organizmu. Skutkiem tego człowiek stał się ostatnim panującym gatunkiem w procesie ewolucji... rozmnożył się, dokonał cudów na polu kultury, doprowadził do cofnięcia się lub zniknięcia wielu innych gatunków, gruntownie przeobraził ekologię i cały proces ewolucyjny na naszej planecie. A jednak jest istotą bardzo niedoskonałą. Wlecze za sobą ciężki balast genetycznych braków i nieudolności. Jako organizm psychologiczny prawie wcale się nie ulepszył. Tak więc człowiek przedstawia typ nie ukończony, który uwspółcześnił zaledwie

dokończenie na str. 52

dokończenie ze str. 51

część swych ludzkich możliwości... Jeżeli ślepa, oportunistyczna i automatyczna selekcja naturalna zdołała w ciągu kilku miliardów lat z wirusa uczynić człowieka, to co potrafią stworzyć w ciągu kilku milionów świadome i celowe wysiłki ludzi...?"

I choć w powieści Gajdy nauka wygrywa swój pojedynek ze zwolennikami „rozwoju za wszelką cenę", jest to jednak zwycięstwo pyrrusowe. Postęp jest konieczny, rozpędzoną maszynę doskonalenia technicznego zatrzymać może jedynie kataklizm na skalę całego globu. Chodzi jednak o to, by w ślad za techniką nadążała etyka, by śmiała myśl eksperymentatora, przewidując czysto naukowy wynik eksperymentu, prognozowała również jego społeczne i psychologiczne konsekwencje.

Z Wellsowsko-Huxleyowskiego rodowodu fantastyki naukowej wywodzi się także zasada oparcia struktury utworu na podwójnym widzeniu prezentowanego świata, a tym samym konieczność jego dwoistej interpretacji: z pozycji stałego – nazwijmy to umownie – „właściwego mieszkańca" oraz z pozycji przybysza „z zewnątrz" dysponującego odrębnym zestawem pojęć, norm i wartości. Pierwszy z wymienionych opisów jest w przypadku utworu Gajdy znowu rozbity na dwa: z pozycji typowego człowieka UN i człowieka US. Ale i na tym nie kończy się dychotomizacja punktów widzenia. Świat z perspektywy US to z jednej strony świat przeżywany i opowiadany przez „przeciętną" Mariettę, z drugiej przez wyrastającego ponad przeciętność Fantoma. W każdym z tych przypadków świat niejednorodny, niejednoznaczny i posiadający co najmniej kilka oblicz.

Mało jest podobnych książek w całej powojennej fantastyce polskiej. W większości utworów fabuła zostaje relacjonowana z perspektywy zewnętrznego obserwatora wszechwiedzącego, bądź narratora utożsamionego z bohaterem i dociera do czytelnika za pośrednictwem jednego medium. Jeśli przekazów o owym świecie jest więcej, schemat sprowadza się do jaskrawego dysonansu pomiędzy „mieszkańcem właściwym" (indywidualnym lub zbiorowym) a przybyszem, jak to dzieje się w powstałym w tym samym czasie „Schronie na placu Zamkowym" Andrzeja Ziemięckiego, później w „Powrocie z gwiazd" Stanisława Lema czy „Ósmym kręgu piekieł" Krzysztofa Borunia.

Wielkość fantastyki Verne'a, Wellsa, Huxleya zwykło się nieraz określać ilością przewidzianych przez nich, zasygnalizowanych i opisanych wynalazków. Miarę tę stosują do dziś zarówno czytelnicy, jak i krytycy tego typu historii, którzy nowatorstwem środków instrumentalnych postawionych do dyspozycji bohaterów uzasadniają oryginalność i śmiałość przedstawionych wizji. I pod tym względem powieść Romana Gajdy wybiega daleko w przyszłość. Z najważniejszych instrumentaliów służących bohaterom utworu należy wymienić: reflektory słoneczne (odpowiednik dzisiejszych baterii i elektrowni słonecznych), hamulec wiatrów (dziś zrealizowany w postaci powietrznych falochronów), otrzymywanie pierwiastków z wody morskiej na skalę przemysłową, mikroskop ultra – antyprotonowy, przeszczepy serca, hodowlę naturalnych „sztucznych" organów ludzkiego organizmu, neurochirurgię, psychiczną kopię mózgu i zawartej w niej świadomości, eksperymenty profesora Magina polegające na częściowej „amputacji" pamięci, promienie P 47 i Z 48 (broń działająca przez wygaszanie bioprądów serca), pistolety ultradźwiękowe, bomby wirusowe, pociski zdalnie sterowane itp.

Tych i innych pomysłów wystarczyłoby nie na jedną, a na wiele książek. Powrócą one zresztą w postaci jednostkowych opracowań wielu poczytnych, głośnych utworów science fiction. I tak na przykład profesor Magin to protoplasta profesora Alla z „Fabryki szczęścia" Krzysztofa Borunia, a jego wynalazek – „kopia duszy" przejdzie do opowiadań Stanisława Lema, stanie się osią kompozycyjną „Operacji wieczność" Bohdana Peteckiego i wielu innych książek. Przykłady można by mnożyć. Każdy z nich funkcjonuje w kontekście moralnej odpowiedzialności twórcy za jego dzieło i tego dzieła społecznej przyswajalności. Powieść Romana Gajdy wydaje się pozornie książką bałwochwalczą wobec nieograniczonych możliwości nauki. W rzeczywistości jest jednak pełna refleksji i gorzkiej zadumy nad zasięgiem i zastosowaniem poszczególnych odkryć, nad dojrzałością moralną, społeczną i intelektualną człowieka, jego nadążaniem za własnymi dziełami. Podejmuje tym samym większość wątków i tematów właściwych najnowszej fantastyce naukowej. Rozważa kwestie socjologiczne, psychologiczne, historyczne, naukowe. Próbuje przedstawić wpływy uczonego na losy ludzkości, na przemiany obyczaju, etyki, filozofii, psychiki. Mimo istotnych braków literackich jest jedną z wartościowszych książek w swoim gatunku.

Andrzej Wójcik

Roman Gajda *„Ludzie ery atomowej"* „Iskry", Warszawa 1957

■

Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki ODDZIAŁ W ŁODZI

Po kilkunastomiesięcznej przerwie, spowodowanej rozwiązaniem się OKMFiSF (choć może właściwsze byłoby tu słowo „rozpad"), powstał Oddział Łódzki PSMF. Większość działaczy to dawni członkowie Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Fantastyki i Science Fiction. Właśnie oni, korzystając z różnorodnych doświadczeń z okresu 1976–1981, starają się teraz zbudować skonsolidowany i silny fan-club w Łodzi. Twierdzą, że ich wysiłki nie idą na marne: w ciągu kilku miesięcy zdobyli sobie wielu sympatyków i – co dla każdego fan-clubu jest ważne – kilkudziesięcioosobowe grono stałych uczestników wszystkich spotkań.

Spotkanie założycielskie oddziału PSMF odbyło się 11 października 1982 r. w klubie „Na piętrze" – pamiętamy ten klub jeszcze z Ogólnopolskiego Konwentu Klubów i Miłośników SF, który odbył się w Łodzi w 1979 roku. Rada Główna PSMF wpisała Oddział Łódzki do swojego rejestru pod numerem 5/23/82, a 10 grudnia 1982 r. Wydział Spraw Społeczno-Administracyjnych w Łodzi ostatecznie zalegalizował jego działalność wpisem do ewidencji pod nr 211. Dużą pomocą służy łódzkim fanom dyr. Jan Jakubiszyn z Łódzkiego Domu Kultury, udostępniając im w każdy piątek o godz. 19 na klubowe spotkania lokal Domu Filmu i Plastyki.

Jednym z celów Łódzkiego Oddziału PSMF jest zorganizowanie działań miłośników fantastyki na terenie Łodzi i województwa, ułatwienie im wzajemnych kontaktów. Organizatorzy koncentrują się na upowszechnianiu literatury i filmu SF, czemu służą spotkania z pisarzami, quizy i konkursy literackie, projekcje filmowe oraz cykl spotkań poświęconych historii filmu SF. W celu prezentacji swoich podlądów (podkreślmy, że nie jest to w naszym kraju jedyna „szkoła" oceniania literatury SF, bowiem oprócz łódzkiej istnieje np. gorzowska czy poznańska) oddział nawiązał współpracę z tygodnikiem „Odgłosy".

Mamy nadzieję, iż łódzcy fanowie postarają się przesłać do naszej redakcji kilka egzemplarzy wznawianego „Kuriera Fantastycznego", którego pierwszy numer ukazał się jeszcze za czasów OKMFiSF.

W łódzkim klubie gościli już autorzy: Krzysztof Boruń, Maciej Parowski i Janusz A. Zajdel. Na spotkanie zaproszono Stefana Otcetena i Sekretarza Generalnego Europejskiego Stowarzyszenia SF, red. Andrzeja Wójcika. Atrakcją były również eksperymenty hipnotyczne i telepatyczne. Stałą imprezą jest giełda książek SF organizowana w każdy pierwszy piątek miesiąca. W sumie działalność wygląda na prowadzoną konsekwentnie i energicznie. Czas pokaże, czy zamierzenia Romualda Szoki, prowadzącego obecnie działalność Łódzkiego Oddziału PSMF, uda się w pełni zrealizować. Póki co – życzymy powodzenia. Zaś wszystkich zainteresowanych szczegółami działalności Oddziału prosimy o kierowanie pytań na adres:

Łódzki Oddział PSMF
ul. Łagiewnicka 118c
91-471 Łódź.

KUBRICK, SPIELBERG, LUCAS I INNI

Michał Zabłocki

W związku z wprowadzeniem na nasze ekrany w ostatnich latach sporej liczby filmów SF, celowe wydaje się omówienie obecnych trendów w metodach realizacji tych obrazów, korzystając z najbardziej charakterystycznych przykładów. Najogólniej, z punktu widzenia technik produkcyjnych, są one następujące:

- Techniki kompilacyjne – polegające na tym, że stosuje się kolaż różnych tradycyjnych tricków, często doprowadzonych do perfekcji, np. wkopiowanie zdjęć aktorskich w tła animowane, zdjęcia makiet w atelier łączone z reprodukcją pojedynczą lub wielokrotną, deformacja zdjęć metodami optycznymi lub laboratoryjnymi.
- Techniki telewizyjne – polegające na „przełożeniu" metod rejestracji telewizyjnej (z wszystkimi konsekwencjami efektów elektronicznych) na taśmę filmową.
- Filmy przestrzenne – czyli trójwymiarowe i holograficzne.
- Filmy komputerowe – to znaczy współtworzone przez komputery.

„2001: Odyseja kosmiczna" i „Bliskie spotkania trzeciego stopnia"

Przełomowym filmem w dziedzinie SF była bez wątpienia „2001: Odyseja kosmiczna" Stanleya Kubricka z 1968 roku, której scenariusz napisał znany pisarz i astronom Arthur C. Clark. Do przygotowania zdjęć zatrudniono m.in. specjalistów z NASA. Powołano do życia kilka przedsiębiorstw realizujących poszczególne sceny i efekty. W trakcie produkcji dokonano kilkudziesięciu wynalazków z różnych dziedzin. Film jest uważany za klasyczny utwór z zastosowaniem kompilacji wielu oryginalnych tricków.

Niektóre z pomysłów były bardzo proste i dowcipne. Na przykład aby przekonywająco pokazać astronautę pokonującego w stanie nieważkości korytarz statku kosmicznego „do kamery", wybudowano całą dekorację korytarza w atelier i ustawiono ją pionowo. Leżący na plecach operator filmował zbliżającego się aktora, który był opuszczany, jak na wędce, cienką nylonową linką z kołowrotka zainstalowanego na pomoście oświetleniowym. Linka ta była wmontowana w kostium-skafander tak, aby jej nie było widać w kamerze, zaś sposób jej zamocowania uwzględniający środek ciężkości aktora zapewniał mu swobodę ruchów rąk i nóg.

W filmie tym wykorzystano po raz pierwszy na taką skalę możliwości łączenia zdjęć makiet różnej wielkości z ludźmi, głównie techniką maskowania. Metoda ta polega na wysłanianiu części kadru filmowego w kamerze lub maszynie kopiującej i dokręcaniu następnie dowolnych planów lub tła w miejsce wymaskowanej części i skopiowaniu razem obu taśm. Do uzyskania precyzji synchronu obu (lub więcej) planów używa się obecnie elektronicznych analizatorów obrazu. Ten typ tricków, wspaniale rozwinięty w takich filmach, jak „Gwiezdne wojny", „Imperium kontratakuje" i „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" jest kontynuacją pomysłów z „Odysei kosmicznej".

Wizję olśniewającej piękności prezentuje Kubrick w końcowej sekwencji „Odysei", gdy bohater wchodzi w „gwiezdny korytarz", czasowy skrót życia. Na ekranie pojawiają się feerie barwnych wzorów, zmieniających się z oszałamiającą prędkością. Jak to zostało zrobione? Tu już realizacja oparła się na współczesnej automatyce. Autorem urządzenia był, wówczas 25-letni, Douglas Trumbull, jeden z 4 techniczno-artystycznych doradców filmu (dziś właściciel przedsiębiorstwa Future General Corporation zajmujcego się tylko efektami specjalnymi). Standardową kamerę Mitchell 65 mm zamontowano na torze długości 4,5 m prowadzącym do ekranu ze szczeliną w środku. Za ekranem było silne źródło światła, przechodzącego przez przesuwane poziomo szklane płyty pomalowane w abstrakcyjne barwne wzory. Kamera miała specjalną przysłonę dobudowaną przed obiektywem, którą uruchamiano automatycznie z chwilą jazdy kamery. Jazda od początku toru do ekranu trwała 60 sekund i w tym czasie dokonywała się ekspozycja 1 klatki filmu. W czasie dojazdu obiektyw przesuwał się w prawo lub w lewo o pół klatki, co spowodowało powstawanie na taśmie smug świetlnych podobnych do tych, jakie dają światła jadących samochodów na zdjęciach nocnych robionych na czas. Efekt jazdy nieskończonym korytarzem świateł i form powstał przez zbieganie się smug w kolejnych klatkach (efekt ten wykorzystywano później wielokrotnie, m.in. w „Gwiezdnych wojnach" Lucasa). Gene Youngblood w książce „Kino rozszerzone" opisuje dokładnie urządzenia Trumbulla, który po zakończeniu zdjęć stwierdził z satysfakcją: „oto jak rozwiązanie problemów technicznych staje się treścią filmu". Tenże Trumbull został później głównym doradcą Stevena Spielberga przy realizacji „Bliskich spotkań trzeciego stopnia". Film ten jest również bardzo dobrym przykładem twórczego zastosowania technik kompilacyjnych.

Zdjęcia specjalne w „Bliskich spotkaniach..." zawierają około 100 malowanych dorysówek, wykonanych przez grafików na płytach szklanych. Do filmowania stosowano kamerę bipackową 65 mm – tzn. aparat do równoczesnego naświetlania dwóch taśm zwróconych do siebie emulsjami – umocowaną absolutnie stabilnie i wyposażoną w lampę projekcyjną. Dzięki lampie klatki filmu można było rzutować na płytki szklane (celem dokładnego odrysowania). Zwykle dorysówki kopiuje się z innymi rodzajami zdjęć przez zastosowanie masek. W „Bliskich spotkaniach..." opracowano metodę uniknięcia ostrych konturów, jakie dają maski, stosując superczarną matową farbę, którą malowano właściwe miejsca powierzchni dorysówek. Dało to możliwości łagodnych i nieostrych przejść konturów w czerń. „Ożywiono" te krawędzie przez dodanie jasnych plamek, blików światła itp. Przy okazji niejako skonstruowano prototypowy stół trickowy i wynaleziono nowe metody wysoko kontrastowego kopiowania taśm.

Wspaniałe świecące niezidentyfikowane obiekty latające zbudowano w skali 1:20 z tworzyw sztucznych, pleksiglasu, aluminium i drewna. W makietach UFO zainstalowano neonówki i lampki żarowe. Do zasilania użyto kwarcowego źródła światła umieszczonego z dala od makiet, połączonego z nimi światłowodami. Umożliwiło to zdalne sterowanie oświetleniem UFO. Wszystkie pojazdy były fotografowane w dymie o kontrolowanej przejrzystości, aby uzyskać miękki jarzący poblask. Scenopis obrazkowy każdego ujęcia określał sposób precyzyjnego sfilmowania w studio wszystkich ruchów makiet, aby je później „spasować" ze zdjęciami aktorskimi.

Podobnie jak przy realizacji „Odysei", obok zastosowania nowych urządzeń technicznych użyto wielu pomysłów „ad hoc", których opisy są niemal humorystyczne. Na przykład problem sfotografowania szybko rozwijających się chmur na niebie rozwiązano sposobem niemalże domowym: białą plakatówkę, rozrobioną mikserem, wpuszczano do akwarium metrowej głębokości, które można było szybko napełniać i opróżniać. Zbiornik z farbą miał elektryczny zawór, którego przełącznik trzymał operator. Włączając kamerę pracującą z prędkością 48-72 klatki na sekundę, można było „malować chmury" w dowolnym momencie.

Trzeba przyznać, że ekranowe efekty zdjęć z UFO są w „Bliskich spotkaniach..." najbardziej fascynujące.

Telewizja a film SF

Od czasu, kiedy opracowano metodę zapisu wizji dającą możliwość natychmiastowego odczytu z taśmy magnetycznej (a taką metodę, najlepszą z możliwych, zaprezentowała firma AMPEX w 1956 r.) rozpoczęto pierwsze prace nad stworzeniem systemu „przepisywania" obrazu z tejże taśmy na filmową taśmę światłoczułą. Okazało się bowiem, że techniki telewizyjne są bardzo atrakcyjne dla filmu fabularnego z uwagi na możliwości użycia tricków czysto elektronicznych, takich jak na przykład efekt mieszania obrazów.

W latach 70-tych pojawiły się przełączniki wizji obejmujące wielokanałowe efekty mieszania obrazów, czasem sterowane

przez komputer, co umożliwia płynność i powtarzalność. Najpopularniejszym efektem jest tzw. technika chroma-key (barwny klucz) nazywana czasem blue-box. Nazwa ta oznacza elektroniczny system maskowania lub „wpasowywania" obrazu przedniego planu do odpowiedniego pustego obszaru w obrazie tła. Najlepszym przykładem tej techniki jest realizacja dziennika telewizyjnego, gdzie spiker przy biurku zostaje „wpasowany" w tło stosowne do komentarza (tło jest odtwarzane z magnetowidu lub rejestrowane przez inną kamerę). Technika chroma-key wymaga barwnego, zwykle niebieskiego tła w scenie (w wypadku dziennika TV cała ściana za spikerem służy za tło). Sygnał „kluczowy", dzięki któremu powstaje cały efekt jest spowodowany różnicą w barwie między I planem a tłem.

Nie rozważając szczegółowo problemów z zakresu elektroniki warto wspomnieć, że opracowano już kilka systemów umożliwiających rejestrację obrazu telewizyjnego z kineskopu na taśmę światłoczułą w formacie 16, 35, 70 mm, a nawet Super 8 (VIDTRONIC w USA, TECHNICOLOR w Anglii, ASEK w ZSRR).

Przykładem praktycznego zastosowania takiej technologii w filmie SF jest amerykański serial „Niewidzialny człowiek", zrealizowany przez wytwórnię Universal Television z Dawidem Mc Callumem w roli głównej, według znanej powieści Wellsa. Rzecz jasna, wymagania wizualne i efekty specjalne były znacznie ambitniejsze niż w wersji kinowej Universalu z 1933 r.

Początkowo zamierzano całą produkcję nakręcić na normalnej taśmie negatywowej Eastman Color używając kombinacji konwencjonalnych efektów w rodzaju błądzącej maski, czarnego aksamitu, podwójnej ekspozycji itp. Po żmudnych próbach uzyskano dość mierne rezultaty. Sytuacja zmieniła się po zastosowaniu telewizyjnych technik wizyjnych, głównie chroma-key.

Jak wspomina operator „Niewidzialnego człowieka", E.A. Martinelli, system wypróbowano na najtrudniejszych fragmentach scenariusza, np. w sekwencji, w której Mc Callum rozpoczyna akcję z niebieską charakteryzacją twarzy, a jego partner grający lekarza maluje go kolorową szminką w celu uwidocznienia rysów. Jakość wizji TV „przepisanej" na film była doskonała. Podobnie zrealizowano sceny poruszania się niewidzialnego człowieka. Zastosowano niebieskie pończochy, buty itd. Spodnie czy płaszcz poruszały się same w rzeczywistej dekoracji. Scena stopniowego znikania niewidzialnego człowieka była rozwiązana przez ubranie aktora w zielone ubranie i uczulenie systemu elektronicznego na zieleń, co pozwoliło na stopniowe pogłębianie niewidoczności barw ciała. Całość zdjęć rejestrowano na magnetowidzie, a następnie przenoszono na film. Martinelli uważa, że system ten daje nieograniczone pole do pomysłów, choć barierami są niewątpliwie wysokie koszty i konieczność planowania z zegarmistrzowską precyzją każdego ujęcia. Nie oznacza to zaprzestania poszukiwań artystycznych naszych środków przedstawiania świata za pomocą techniki „wideosfery". Pracujący w Japonii i USA Koreańczyk Nam June Paik opracował już w końcu lat 60-tych metodę ingerowania w pole elektromagnetyczne lampy katodowej, pozwalającą dowolnie wpływać na każdy z czterech milionów punktów fosforowych 21-calowego ekranu telewizora o 525 liniach. Oznacza to możliwość elektronicznego, bardzo dokładnego wielobarwnego „rysowania" na ekranie i uzyskania efektów kolorystycznych i kompozycyjnych.

Filmy trójwymiarowe i holograficzne

Bohater powieści „Powrót z gwiazd" S. Lema, astronauta przybyły na ziemię po wielu latach pobytu w kosmosie, bierze udział w popularnej nowej rozrywce ziemian: seansie tzw. REALU, gdzie widzowie są jednocześnie uczestnikami akcji, np. walki z dzikimi zwierzętami w afrykańskim buszu, podróży pirogami przez wodospady.

Namiastką takiej formy uczestnictwa w zainscenizowanych przygodach mógłby stać się film trójwymiarowy. Mógłby, gdyż mimo rozwiązania problemu zdjęć do takiego filmu (sprzęzone 2 kamery filmujące ten sam obiekt z niewielką różnicą kątów widzenia) nadal są kłopoty z szerokim upowszechnieniem filmów trójwymiarowych – z powodu trudności z systemem projekcji.

Produkowanie filmów trójwymiarowych z kontrolowaną w pełni reprodukcją przestrzenną stało się możliwe po raz pierwszy w brytyjskim systemie TELECINEMA w 1951 roku, wykorzystującym matematyczną teorię przenoszenia stereoskopowego. Metodą tą Kanadyjczyk Mc Laren zrealizował film „Around is Around", pokazujący efekty barwne otrzymywane z przebiegów na lampie oscyloskopowej, krążące we własnej przestrzeni. Pierwszym sukcesem fabularnym był „Bwana Devil" nakręcony przez amerykańskiego producenta A. Obolera przy użyciu zsynchronizowanego zespołu kamer NATURAL VISION. Po wyprodukowaniu około 60 filmów trójwymiarowych (w tym przez tak znanych reżyserów jak Hitchcock, Sydney i Fleischer) koniunktura załamała się. Zainteresowanie widzów gwałtownie zmalało. Przyczynami były: zmęczenie oczu widzów, bóle głowy, niewygoda projekcji. Jednym z najciekawszych filmów wyprodukowanych przez entuzjastów kina trójwymiarowego (choć zaliczenie go do nurtu SF jest dyskusyjne) był „Andy Warhol's Frankenstein" Paula Morriseya z 1974 roku.

Obecnie prace nad filmem przestrzennym idą w kierunku holografii, jako zjawiska nie męczącego oczu.

Obraz w hologramie można porównać do widoku przez okno. Bliższe i dalsze przedmioty przesuwają się względem siebie w hologramie tak, jak to się dzieje, gdy wyglądamy przez prawdziwe okno. Pomijając proces powstawania hologramu, istotne jest to, że hologram oświetlony laserem wytwarza 2 obrazy: pozorny i rzeczywisty. Obraz pozorny przypomina własne odbicie w lustrze lub obraz wytworzony przez szkło powiększające. Poza hologramem nie ma obrazu rzeczywistego (tak jak nie ma go za lustrem), choć wydaje się, że jest. Nie występują tu niebezpieczeństwa metod stereoskopowych, które odtwarzają jedynie konwergencję wzroku, a nie powodują stanu akomodacji oczu.

Holografia gwarantuje więc korzystniejszą bazę dla filmu przestrzennego, choć prawdopodobnie struktura projekcji filmowych będzie radykalnie inna. Zamiast wyprawy do kina, będziemy organizować projekcje dla własnego kręgu widzów w domu, korzystając z filmów kasetowych telewizji holograficznej.

Kwestią czasu są problemy energetyczne związane z produkcją hologramów; aby dokonać zdjęć holograficznych w pokoju średniej wielkości (przy standardowej kamerze pracującej z szybkością 24 klatki/sek.) laser wymaga zasilania ze źródła o mocy od 1000 do 5000 KW. A do oświetlenia większych planów zdjęciowych potrzebny byłby laser o gigantcznej mocy 2 mln watów! Zdjęcia eksperymentalne do tego typu filmów wykonuje się więc na razie po klatce, w ściśle kontrolowanych warunkach luminacji. Rozwój technik holograficznych wymaga więc nowych wynalazków, przede wszystkim bezpiecznych laserów o dużej mocy.

Mimo braku przestrzennych filmów SF z prawdziwego zdarzenia, same techniki realizacyjne są tak pasjonujące, że warto się zastanowić nad ich perspektywami.

Filmy komputerowe

Wykorzystanie do produkcji filmów komputerów, jako elementu twórczego, wydawało się niemożliwe aż do czasu wynalezienia metody przenoszenia obrazów z monitorów konsoli komputera na taśmę filmową. Konsole te, zaopatrzone w klawiatury wejściowe i funkcyjne oraz pióro świetlne, najlepiej nadają się do prób artystycznych. W odróżnieniu od technik komputerowych „biernych" (polegających na użyciu urządzeń peryferyjnych komputera, np. mechanicznej kreślarki analogowej rysującej na błonie filmowej) urządzenie to pozwala na ingerencję w program maszyny lub wręcz malowanie piórem świetlnym. W ten sposób powstały w końcu lat 60-tych słynne filmy rodziny Whitneyów: „Permutations", „Lapis", „Binary Bit Patterns" i inne. Były to kompozycje form geometrycznych rozwijających się w skomplikowane i efektowne kształty.

Gene Youngblood w książce „Kino rozszerzone" uważa jednak te próby za dość ograniczone znaczeniowo. Natomiast „lwi pazur" pokazał, jego zdaniem, naukowiec Peter Kamnitzer w filmie-eksperymencie „City – scape" („Kształt miasta"). Podstawą produkcji stał się unikalny komputer NASA II używany w ośrodku kontroli lotów kosmicznych w Houston. Film jest obrazem miasta przyszłości, całkowicie wymyślonym przez maszynę cyfrową. Według programu Kamnitzera komputer NASA II, „wymyślił" budowle, autostrady, tunele, mosty itp. na podstawie tylko matematycznych

równań opisujących modele trójwymiarowej przestrzeni i przekształceń na dwuwymiarową płaszczyznę obrazu. Siedząc przed monitorem konsolety komputera Kamnitzer sterował wewnątrzkadrowym ruchem pojazdów, wind, helikopterów itd., co w końcowym efekcie stworzyło wrażenie poruszania się w realnym trójwymiarowym mieście, nie mającym przecież odpowiednika w rzeczywistości.

Barierą dalszych implikacji treściowych i artystycznych takich filmów – gier symulacyjnych, stał się bardzo wysoki koszt produkcji i ograniczenia techniczne.

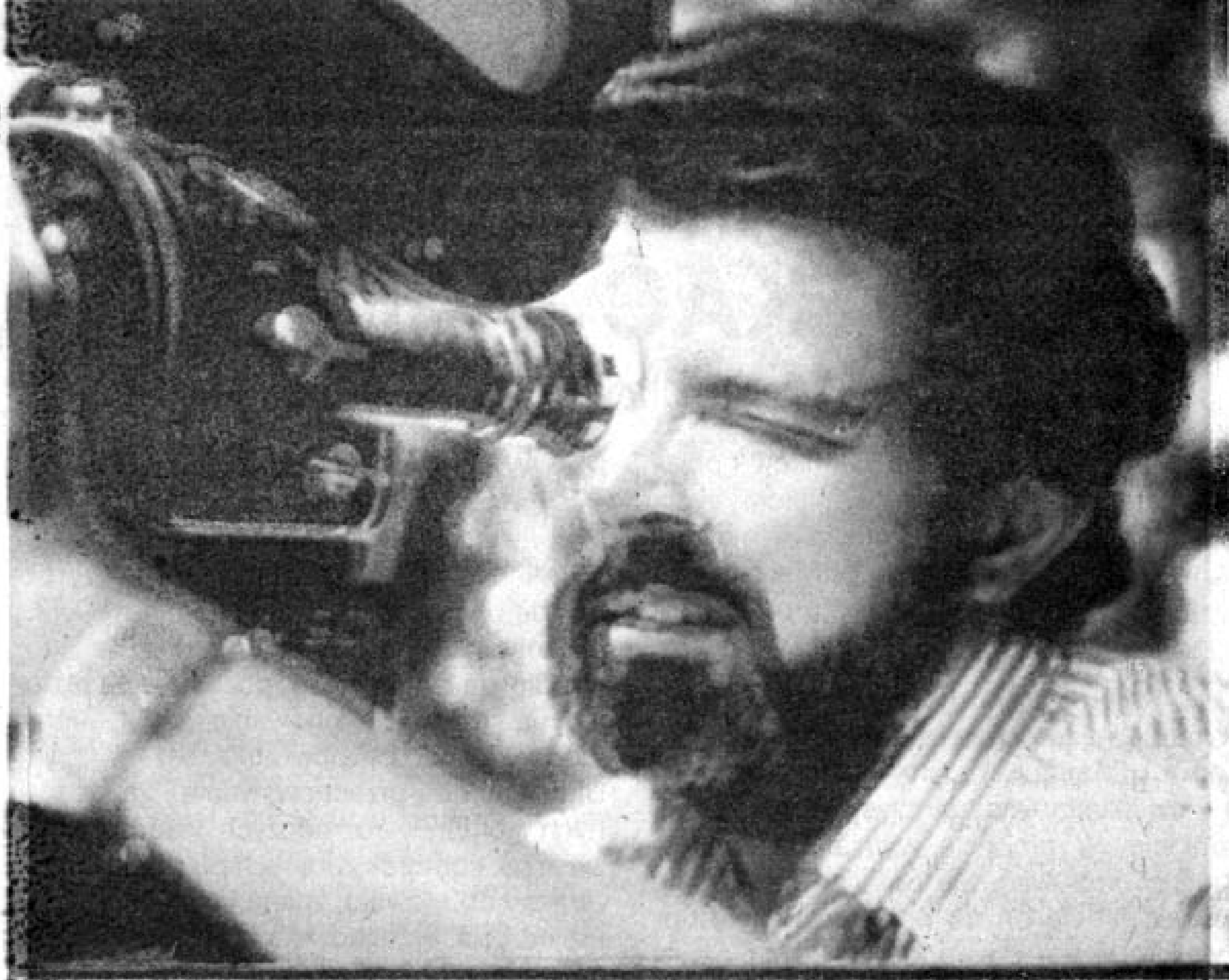
Poszukiwania twórcze poszły w nieco innym kierunku. Niedawno tygodnik FILM (nr 11/1983) przyniósł informację stałej korespondentki w Hollywood o nowym przełomie w technice komputerowej i wyznaczeniu nowego trendu filmów SF. Młody specjalista od gier komputerowych i rysownik, Steven Lisberger, zrealizował w wytwórni Disneya film „TRON". Tytuł jest literowym symbolem programu komputerowego, który otrzymuje na ekranie antropomorficzną osobowość. Film rozgrywa się w sferze realnej i komputerowej, pełnej oszałamiających efektów wizualnych. Intrygę tworzy dość skomplikowana historia konfliktu między dwoma programistami walczącymi o supertajne dane (z wojskowymi włącznie) a mózgiem elektronicznym Master Control Program. Najciekawszy jest moment unicestwienia jednego z bohaterów laserem na poszczególne cząstki. Budzi się on w innym wymiarze, a następnie przenika przez wszystkie elementy komputera, aby w końcu odzyskać ludzką postać i wspólnie z upersonifikowaną obroną człowieczeństwa – TRONEM – unieszkodliwić rywali. Jak to zostało zrobione? Świat geometrycznych kształtów pulsujących zmiennością i barwami zrealizował komputer (opracowywanie programów trwało 2 lata), inne efekty uzyskano klasycznymi metodami animacji. Współpracownikami reżysera byli doświadczeni „rysownicy-disneyowcy", Jean Giraud (współtwórca awangardowego pisma „Heavy Metal") oraz specjalista od efektów specjalnych w filmach reklamowych Peter Lloyd.

Jak pisze o „TRON-ie" L. Sorell:" (...) Liczy się efekt. Efekt jest jedyny w swoim rodzaju. Słynna podróż w inny wymiar z filmu „2001: Odyseja kosmiczna" wydaje się nieśmiałą próbą możliwości wizualnych. Laserowe promienie pozostawiają barwne smugi w bezkresnej przestrzeni, świetliste linie splatają się w zadziwiające kształty, odczłowieczone sylwetki bohaterów emanują zmiennym blaskiem (...)"

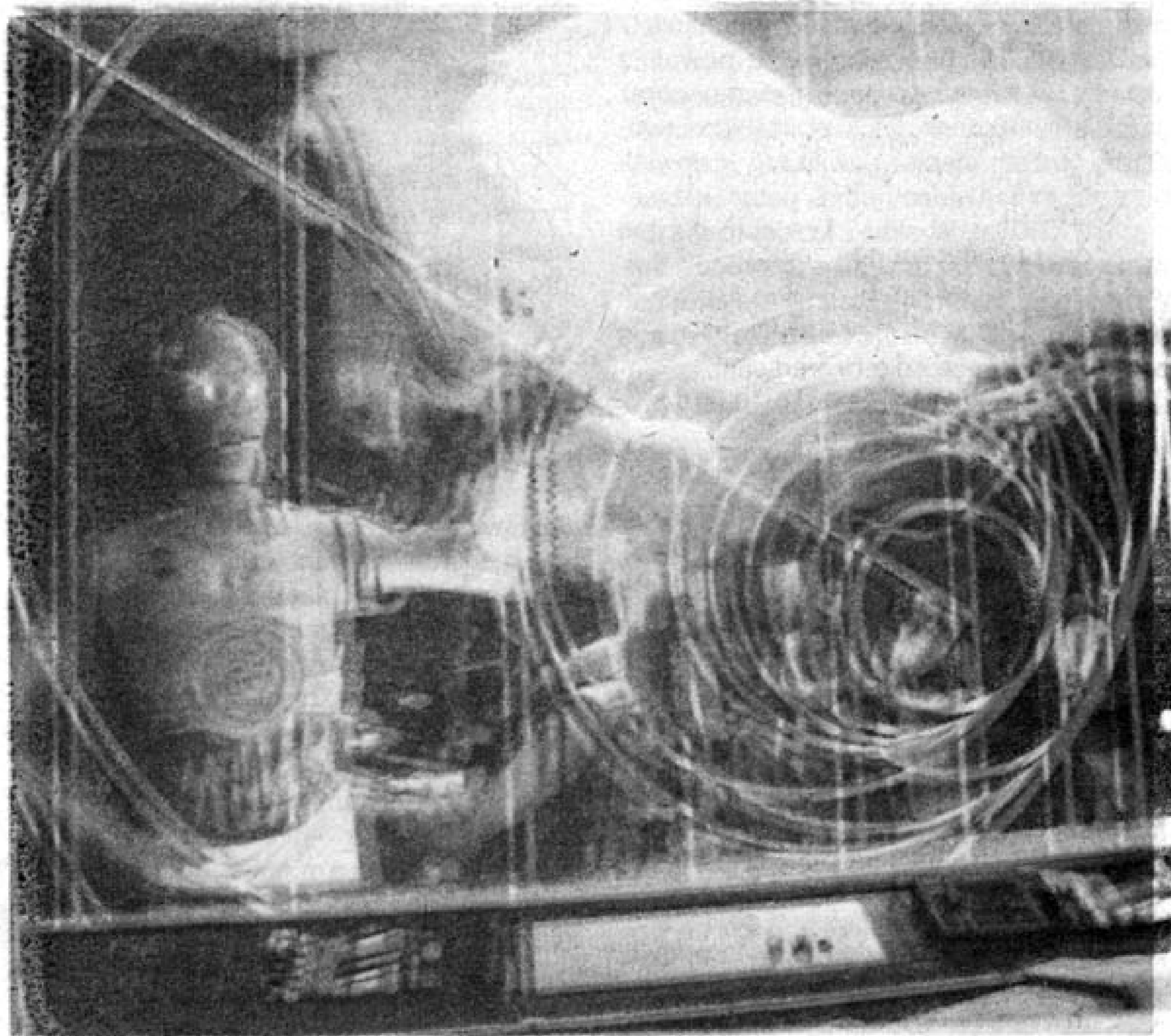
Rozpoczęła się więc era filmu elektronicznego.

Stałe przekraczanie pewnych progów percepcyjnych jest naturalnym zadaniem fantastyki naukowej, a filmu SF w szczególności – z uwagi na jego łatwość odbioru i „przyswajalność". Zaprezentowane – w skromnym wyborze – metody realizacji tego zadania uświadamiają możliwości artystyczne drzemiące we współczesnych technologiach.

Michał Zabłocki

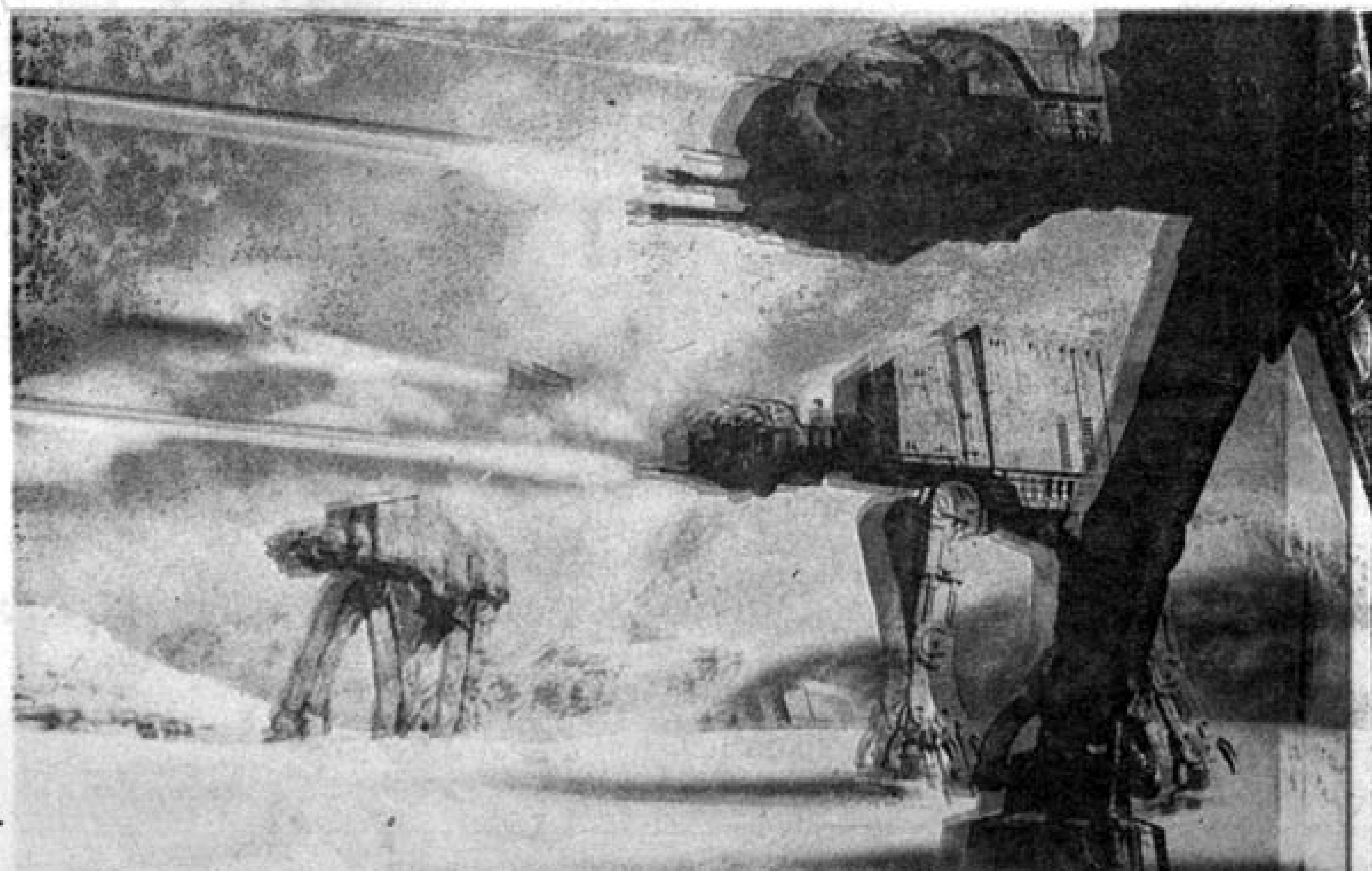


Georg Lucas w czasie kręcenia „Gwiezdnych wojen".



Jedna z głównych postaci Gwiezdnych wojen i Imperium kontratakuje – robot Threepio animowany przez Anthony Danielsa.

Efekt działania modelarzy i zastosowania najnowszej techniki komputerowej. Śniegołazy w ataku na bazę rebeliantów, kadr z filmu The Empire Strikes Back (Imperium kontratakuje).



z tamtej strony lustra

SPOTKAĆ MAMUTA

Maciej Iłowiecki

Znikanie z Ziemi jednych gatunków i pojawianie się innych było w historii życia czymś normalnym, zwyczajnym przejawem działania ewolucji. Można powiedzieć, że historia życia na Ziemi jest po prostu właśnie historią wymierania i tworzenia gatunków.

Wraz z pojawieniem się nowego gatunku, który sam siebie nazwał Homo sapiens – Człowiekiem mądrym, sytuacja uległa zmianie. W procesie wymiany gatunków począł odgrywać rolę czynnik dodatkowy; przyczynił się on do powstania wielu nowych odmian, ras, podgatunków i nawet gatunków zwierząt i roślin hodowlanych. Z drugiej strony zaczął wpływać na bezpowrotne z n i k a n i e pewnych gatunków z powierzchni Ziemi – z początku powoli, z czasem, w miarę własnego rozwoju, coraz szybciej. Obliczono, że w początkach tworzonej przez siebie cywilizacji człowiek niszczył mniej więcej jeden gatunek zwierząt na 1000 lat. W skali ludzkiej to niezbyt wiele, w skali ewolucyjnej – to proces bardzo szybki. Tempo niszczenia stale jednak rosło – trudno w to uwierzyć, ale w ciągu ostatnich czterech stuleci notowano zagładę jednego gatunku równo co 10 lat!

W XX wieku, w którym tak chlubimy się rozwojem nauki, jeden gatunek żywych istot ginie już c o d z i e n n i e i proces ten wciąż ulega przyspieszeniu. Wedle ocen słynnego z badań nad przyrodą Instytutu Smithsona w Waszyngtonie, do końca naszego wieku zniknie z planety trzy czwarte żyjących na niej gatunków. Pozostaniemy głównie z niewieloma gatunkami udomowionymi, z chorobotwórczymi mikrobami oraz z karaluchami i szczurami, które czują się coraz lepiej.

Nie zamierzam pisać kolejnego tekstu „ekologicznego", apelującego do rozsądku; w zakresie swej nieposkromionej działalności niszczycielskiej ludzie dawno wyzbyli się nie tylko rozsądku, ale i instynktu samozachowawczego (niszczenie biosfery jest pewną drogą do zniszczenia ludzi). Chciałbym natomiast przedstawić pewne rozpaczliwe pomysły, które – dziś realizowane – mogą kiedyś, kiedy „ludzie zmądrzeją", przywrócić światu wymarłe gatunki.

Kilka lat temu biolog amerykański pochodzenia chińskiego, T.C. Hsu z Uniwersytetu Stanu Teksas wystąpił z projektem, który niewątpliwie zapisze się w historii cywilizacji. Hsu zaproponował mianowicie, by zaczęto zamrażać w trwałych pojemnikach żywe komórki różnych zwierząt i roślin j e s z c z e istniejących na Ziemi. Kiedyś zdaniem uczonego – techniki klonowania i inżynierii genetycznej rozwiną się na tyle, że pozwolą z zamrożonych komórek o d t w o r z y ć wymarłe już wówczas gatunki. Hsu nie tylko zaproponował, ale i wprowadził w czyn swoją niezwykłą ideę, za jego przykładem poszli inni. Dziś już w kilku laboratoriach na świecie istnieją „banki komórek" – w temperaturze płynnego azotu przechowuje się tam komórki rozrodcze i somatyczne (głównie skóry) wielu gatunków. W „banku" w Teksasie utrwalono w ten sposób już 400 gatunków.

Ideą „zamrożonych zoo" zainteresowała się Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody i Jej Zasobów oraz różne agendy ONZ. Jakkolwiek bowiem pomysł profesora Hsu wydaje się fantastyczny, pozostaje na razie jedyną szansą zachowania istot, które mogą wyginąć bezpowrotnie.

Umiejętność przechowywania zamrożonych komórek rozrodczych hodowanych zwierząt, komórek zdolnych po zmianie warunków do rozwoju, znana jest hodowcom nie od dziś. Przechowuje się w ten sposób także zapłodnione już komórki jajowe – a nawet embriony! Więcej jeszcze – urodzili się ludzie, których ojcowie zmarli wiele lat przedtem (matki zapłodniono zamrożonym nasieniem, przechowywanym w specjalnych bankach).

Wszystko to nie oznacza jeszcze, że możliwe jest odtwarzanie gatunków w y m a r ł y c h, ale możliwość taka nie jest wykluczona. Teoretycznie istnieje nawet kilka dróg urzeczywistnienia podobnego pomysłu.

Możliwość najbardziej wszechstronną – choć jeszcze przez wielu uczonych uważaną za nierealną – oferuje inżynieria genetyczna.

Otóż jeśli chce się odtworzyć dokładnie jakąkolwiek strukturę, nie dysponując nią samą, warunkiem sine qua non jest posiadanie pełnego jej planu, zapisu wszystkich jej cech. O takie zapisy struktury, cech i nawet „programu rozwoju" wszystkich żyjących istot zatroszczyła się przyroda. Jak wiadomo bowiem, w każdej komórce ciała danego osobnika znajduje się pełny „plan struktury" jego organizmu, p r o g r a m jego rozwoju i, mało tego, nawet w pewnym sensie jego przeszłość i przyszłość (ta ostatnia przynajmniej potencjalnie). Jest to genotyp, zestaw genów, zapis wszystkich cech danej istoty (w ogromnym zresztą nadmiarze, bo nie wszystkie cechy ujawniają się w owej istocie, czyli w fenotypie). Tak więc z a p i s (w formie odpowiedniej budowy cząsteczek DNA w genach) już mamy. Pozostają trzy kwestie: jak ów zapis utrwalić bez zniszczenia jego potencjalnych możliwości, jak go dobrze odczytać i jak wreszcie uruchomić „program rozwoju" (inaczej – jak odtworzyć wedle planu materialną strukturę).

Pierwsza kwestia została właściwie już rozwiązana – to właśnie „zamrożone zoo". W kwestii drugiej uczyniono już sporo kroków naprzód – odczytano dość dokładnie pełny zapis genetyczny niektórych genów i postęp na tej drodze jest bardzo szybki.

Kwestia trzecia – rekonstrukcja organizmu na podstawie jego zakodowanego planu – wydaje się w istocie zupełną fantazją. Można tylko powiedzieć, że uczeni wkroczyli już na drogę, która kiedyś m o ż e do celu doprowadzić.

Istnieją wszakże inne możliwości. Na przykład, zamrożone komórki rozrodcze gatunku już wyniszczonego można skojarzyć z komórkami rozrodczymi gatunku pokrewnego, a jeszcze istniejącego, a następnie pobudzić je do rozwoju. Takie doświadczenia między gatunkami już robiono – np. między różnymi gatunkami jaszczurek albo jedwabników.

Można też próbować zapłodnioną komórkę jajową wymarłego ssaka wszczepić do macicy gatunku pokrewnego i doprowadzić do końca taką „zastępczą ciążę". I takie eksperymenty były już robione, choć na razie między żyjącymi gatunkami. Można wreszcie – jeśli nie istniałyby już gatunki pokrewne – próbować hodować zapłodnione jaja w „sztucznych macicach", czyli w specjalnych inkubatorach (i takie doświadczenia udają się – już w 1964 „sztuczna macica", skonstruowana w Kanadzie przez Johna Callaghana, „donosiła" aż do narodzin płód jagnięcia).

Pozostaje wreszcie metoda klonowania, to znaczy uruchomienia „programu genetycznego" w komórce somatycznej (nie płciowej). Wówczas z takiej komórki powstaje osobnik absolutnie identyczny z wyjściowym, ponieważ ma tylko jeden zestaw genów. Mniejsza o skomplikowaną technikę – i takie doświadczenia już się udały na żabach (nie mówiąc o roślinach.)


Marek Zalejski

Można się zgodzić, że wszystkie opisane metody bądą doskonalone. Wprwdzie dotychczas podobnych prób dokonywano tylko na gatunkach żyjących, ale pierwszy krok został zrobiony.

Tylko na gatunkach żyjących... Otóż dobrych parę lat temu dwoje radzieckich biologów, dr Natalia N. Rott i dr Borys N. Weprincew postulowali szukanie i gromadzenie tkanek i komórek już wymarłych gatunków (jest to zatem pomysł jeszcze śmielszy niż idea Hsu – gromadzenie komórek gatunków jeszcze żyjących).

Rott i Weprincew słusznie zwracają uwagę, że w licznych muzeach przyrodniczych i zapewne w niektórych laboratoriach przechowuje się zakonserwowane tkanki i narządy wymarłych zwierząt – np. słynnej krowy morskiej, którą wyniszczono w XVIII wieku, wilka tasmańskiego, który zniknął z Ziemi parę lat temu, wiele ptaków, gadów, owadów. Owe tkanki mogłyby być materiałem do przyszłej rekonstrukcji wymarłych istot.

Rott i Weprincew nie poprzestali jednak na tym. Tkanki niektórych gatunków – powiadają – zakonserwowała sama przyroda. Na przykład w zmarzlinie syberyjskiej, jak w gigantycznej lodówce przechowały się niemal całe mamuty, w burszytynie – owady sprzed milionów lat. Zachowaną w stanie zamrożenia, niezniszczoną komórkę ciała mamuta można (różnymi technikami) skojarzyć z komórką obecnie żyjącego słonia, bliskiego krewniaka mamutów i wyhodować dziś żywego mamuta! W 1977 r. w pobliżu Magadanu znaleziono doskonale zakonserwowanego mamuta, który żył tutaj przed 44 tysiącami lat. W 1980 r. w leningradzkim dzienniku „Trud" ukazał się artykuł sugerujący, iż leningradzcy uczeni, posługując się tym znaleziskiem, przystąpili do próby „rekonstrukcji mamuta" (podaję na podstawie relacji Associated Press, nie znam dalszych losów eksperymentu). W każdym razie ideę Weprincewa i Rott poparło wielu wybitnych znawców. Nie wykluczają oni, że uda się odtworzyć przynajmniej te wymarłe dawno istoty, których komórki w stanie nienaruszonym zachowały się do dziś.

Nie trzeba mieć za dużo wyobraźni, by dostrzec niezwykłość świata, w którym pojawiają się na nowo stwory zniknłe już bezpowrotnie w mroku historii. Mamuty i włochate nosorożce, na które polowali nasi przod-



kowie, albo stworzenia z czasów, kiedy nas jeszcze nie było na Ziemi...

Można tylko żałować, że na przykład w roku 1627, kiedy padł w Polsce ostatni na świecie tur, nie znano jeszcze odpowiedniej metody konserwacji, ani nie widziano jej potrzeby. Można się też łudzić, że być może gdzieś w naturalnych warunkach przetrwała tkanka dinozaura. Jest to praktycznie niemożliwe. Ale teoretycznie istnieje sposób rekonstrukcji nawet dinozaurów, nie mówiąc o turze. O tym pomyśle, jeszcze bardziej niesamowitym niż próba ożywienia mamuta – innym razem. ■

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Już w połowie tego roku...

.... dowiemy się, na czym śpią mieszkańcy okolic Ełku. Odkryte przed kilkunastu latami złoża wysokogatunkowej rudy żelaza to nie wszystko, czym może się Suwalszczyzna poszczycić. Zastosowana przez geologów metoda anomalii magnetycznej skłoniła ich do przeprowadzenia próbnych wierceń w tamtejszym masywie sjenitowym. Okazało się, że na niezbyt wielkiej głębokości zalegają tam złoża fosforonośne oraz pokłady o sporej zawartości tantalu i niobu. Geologia lubi nam płatać rozmaite figle, więc z tworzeniem legendy o bogactwie Ełczan poczekajmy do połowy 1983 roku, czyli do chwili zakończenia fachowych ekspertyz.

Inżynieria genetyczna w ofensywie

Gerald Rubin z Baltimore dokonał przeniesienia segmentu DNA muchy do organizmów innych much. Operacja udała się, pacjenci czują się doskonale, zaś przeniesiony gen jest trwale dziedziczony przez kolejne generacje i ujawnia się w cechach zewnętrznych potomstwa, do czego od lat dążyli specjaliści inżynierii genetycznej. Gerald Rubin jest zdecydowanym optymistą w ocenie możliwości stosowania opracowanej przez niego genotechniki. Od dziś redakcja „Fantastyki" zaczyna zbierać zamówienia od autorów fantastyki naukowej (i nie tylko) przewidując, iż z czasem Rubinowi uda się skrzyżować muchę z koniem. W literaturze zapotrzebowanie na pegazy nigdy nie maleje.

Detektory w kosmosie

W Instytucie Magnetyzmu Ziemskiego, Jonosfery i Rozprzestrzeniania Fal Radiowych (ZSRR) do badań nad trzęsieniami ziemi wykorzystano satelitę „Interkosmos 19" wyposażonego w aparaturę rejestrującą fale elektromagnetyczne emitowane przez skorupę ziemską. W rejonach, w których sejsmografy wykryły silne trzęsienie ziemi, satelita rejestrował natężenie szumów elektromagnetycznych.Wielkość tych sygnałów zależała od głębokości trzęsienia oraz od jego umiejscowienia na lądzie lub pod dnem morskim. Trzęsienia do głębokości 100 km odznaczają się wybuchowym wzrostem promieniowania. Lądowe dają o sobie znać wcześniejszym narastaniem emisji, podmorskie dają pierwszy sygnał równocześnie ze wstrząsem. Uczeni radzieccy sądzą, że silne naprężenia w skorupie ziemskiej przed trzęsieniem powodują przemianę energii mechanicznej mas skalnych w energię elektryczną. Silne prądy płynące w danym obszarze skorupy ziemskiej zmieniają lokalne pole elektryczne i magnetyczne na powierzchni Ziemi, co z kolei ujawnia się w postaci elektromagnetycznych szumów w jonosferze.

Belgowie nie Szkoci...

... ale też oszczędzać lubią. Do sieci energetycznej włączono w styczniu br. centralę Tihange-2 o mocy 900 MW. Centrala Doel-3 o takiej samej mocy będzie włączona do sieci w październiku 1983 r. Ponieważ spadną koszty wytwarzania energii, na każdej kilowatogodzinie Belgowie zaoszczędzą od 13 do 20 centymów. Tihange i Doel są elektrowaniami jądrowymi. Nie wiadomo więc, czy dzisiejsze oszczędności nie zostaną z czasem przewyższone przez koszty składowania promieniotwórczych odpadów.

Estetyczna teoria wynalazku użytecznego...

... to teoria stworzona przez Cyryla Stanleya Smitha, założyciela i dyrektora Institute for the Study of Metals, czyli pierwszej w USA placówki naukowej zajmującej się interdyscyplinarnymi badaniami materiałów metalicznych. Smith twierdzi, że nie jest prawdą stwierdzenie, iż „potrzeba jest matką wynalazków". Potrzeba może być co najwyżej matką ulepszeń. Poszukiwania nowych cudownych broni i pożywienia nie są sposobem dokonywania odkryć, lecz metodą ulepszania tego, co już jest znane. Cała nowożytna metalurgia zaczęła się w zamierzchłej przeszłości od wyrobu ozdób na długo przedtem, zanim ktoś wpadł na pomysł, że miedź naturalną (występującą w stanie czystym) można wykorzystać do wyrobu noży. Zaczynało się od odlewów statuetek w manufakturach, dopiero potem ktoś wpadł na pomysł odlewania spiżowych armat. Spawanie po raz pierwszy było używane do łączenia części rzeźb z brązu. W starożytności koło było najpierw częścią zabawek. Awansowało do rangi środka transportu nieco później. Wszysto to zdaje się potwierdzać teorię Smitha, że „prawie zawsze potrzeba piękna prowadzi do nowych osiągnięć w technice produkcji". A my? Przypomnijmy, że na podstawie książek SF opatentowano już ponad 2500 wynalazków. Nie dowodzi to jednak, że współczesna SF zawsze bywa piękna.

Woda na Wenus?

Do niedawna uważano Wenus i Ziemię za jednojajowe bliźniaczki. Ostatnie badania naukowców radzieckich wykazały jednak tak duże różnice dróg rozwoju obu planet, że możemy je uznać co najwyżej za siostry przyrodnie. Obliczono, że w ciągu 4,5 mld lat wulkany Wenus i Ziemi wydzieliły od swoich atmosfer podobną ilość dwutlenku węgla, pary wodnej i azotu. Ziemski CO_2 został uwięziony w skałach (dolomit, marmur, kreda) oraz przyswojony przez rośliny. Para wodna skropliła się, dając początek oceanom; azotu również nam nie brakuje. Natomiast poszukiwania pary wodnej w atmosferze Wenus początkowo w ogóle nie dały żadnych rezultatów. Dopiero sondy numer 13 i 14 z serii „Wenus" ujawniły nierównomierne koncentracje (od tysięcznych do dziesiętnych części procenta) pary wodnej w atmosferze planety. ■

LAS MIESZANY

mówi red. BRONISŁAW KLEDZIK, kierownik Redakcji Polskiej Literatury Pięknej w Wydawnictwie Poznańskim.

– Czym kierowali się Państwo w Wydawnictwie Poznańskim uruchamiając przed siedmioma laty serię SF – kalkulacją handlową czy miłością do gatunku? A może ożywienie w ruchu fanów i wśród młodych autorów przekonało was, że jest to sprawa, na którą trzeba postawić?

– O dużych zyskach trudno mówić. Przy nakładach tomików SF – 30–40 tys. nie sposób robić wielkich pieniędzy. Zarabiamy głównie na literaturze dziecięcej i na dużych nazwiskach, takich jak Fiedler, Iłłakowiczówna, Brandstaeter, Korczak... No a nasz flirt z fantastyką nie zaczął się w 1976 roku. Wtedy wystartowała po prostu seria w uniformie, który rzuca się w oczy. Przedtem, już w latach pięćdziesiątych, zaraz po Październiku, ruszyła w WP inna seria – PAS (Przygoda, Awantura, Sensacja). Ukazało się w niej m. in. trochę polskiej fantastyki Witolda Zegalskiego, Eugeniusza Morskiego, zbiory opowiadań Chmielewskiego, a także przekładowa „fantastyka z myszką": „Trujące pasmo" Conan Doyle'a i „Frankenstein" Mary Shelley. W latach 70-tych seria PAS już nie istniała, ale powiedzieć, że dopiero w 1976 roku fani ponownie otworzyli nam oczy na popularność gatunku, to byłaby przesada. Wydawaliśmy fantastykę i wcześniej – tyle że bez uniformu, a w 1974 roku przygotowałem z Jerzym Kaczmarkiem wielojęzyczny almanach z Międzynarodowego Spotkania Pisarzy-Twórców Literatury Fantastyczno-Naukowej (wrzesień-73), jakie udało się Czesławowi Chruszczewskiemu zorganizować w Poznaniu. Niedawno znowu zajrzałem do tej książki: powiedziano wtedy na temat gatunku wiele mądrych rzeczy, ważnych do dzisiaj. Bardzo dobre wystąpienia mieli np. Kagarlicki, Fiałkowski...

– Więc jednak miłość do SF?

– Raczej – zdrowy rozsądek. Wie pan, w mojej pracy, w profilu wydawniczym fantastyka zajmuje nie więcej niż 6–8%. To są w końcu zaledwie 3–4, czasem 5 książek rocznie. I mimo że lubię fantastykę, nie uważałbym za celowe odwracanie tego stosunku, żeby np. fantastyki było 90%. Nie jestem zacietrzewionym fanem. Jednocześnie wydałem w ciągu 7 lat 20 tytułów SF, co daje wg mnie nie przypadkowy, a na swój sposób programowy obraz tego gatunku. Tomiki autorskie, systematyzująca polską SF „Zaczarowana gra" Smuszkiewicza, antologie SF, które w tym gatunku zadziwiająco dobrze się sprzedają – węgierska, rumuńska, polska, zbiór opowiadań krajów socjalistycznych, czy przygotowywane antologie czechosłowacka i NRD-owska – to jest poważna sprawa już nie tylko czytelniczo i poznawczo, ale i w przypadku antologii – też edytorsko. Stosunkowo łatwo przecież porozumieć się z jednym autorem. Trudniej dogadać się z piętnastoma autorami naraz, zwłaszcza jeśli żyją za granicą.

– 6–8% to określenie ilościowe. A jak jakościowo wartościuje pan sobie SF na tle innej literatury?

– Nie mam pretensji do aspektów badawczych, traktuję SF jako część naszej literatury współczesnej i kwalifikuję ją na tych samych prawach. Stawki płacimy takie jak za literaturę piękną, nie deprecjonujemy gatunku. To znaczy zawsze sprowadza się to w końcu do pytania o warsztat – czy książka jest napisana dobrze czy źle? Dla mnie jest to gałąź literatury zapełniająca lukę współczesnej literatury masowej. Wiele w gatunku rzeczy wartościowych, ciekawych, ale wiele także dokonań groźnych, jałowych, bełkotliwych i kiksujących, na które my tu w Poznaniu jesteśmy bardzo wyczuleni. Istnieje wobec tego gatunku wiele powinności, które krytyka powinna dopełnić by go przestrzec i wyprowadzić na właściwe tory. Myślę o całej poważnej krytyce, a nie o grupce samozwańców, strzegących zazdrośnie swego SF-istycznego poletka. Pojawiają się przecież w prasie takie głosy – wara wam krytykom normalnej literatury od naszej specjalności. Tymczasem fantastyka winna stać się przedmiotem szerokiego odbioru i szerokiej krytyki. Nie tylko redakcja waszego pisma powinna się tym zajmować, choć rzeczywiście „Fantastyka" ma tu wielką rolę do odegrania. Ale i przyjemnością, i szansą gatunku, uważam, będzie jeśli stanie się ona przedmiotem powszechnego zainteresowania.

– Na pewno wszyscy w naszej redakcji zgodzą się z tym poglądem. Trudno sobie wyobrazić, by mogło być inaczej.

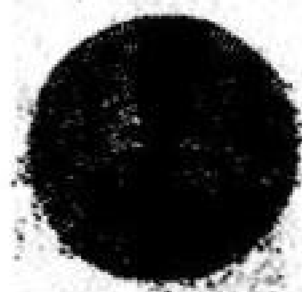
– Nie wszyscy jeszcze to rozumieją, niektórzy broniąc SF, nie wiem przed czym i przed kim, sami spychają ją w getto. Inni z kolei robią to z niezrozumiałej dla mnie niechęci do gatunku. A przecież kiedy my szukamy elementów SF już w pismach Mickiewicza, to nie po to, by raptem zmienić Mickiewiczowską optykę, lecz po to, by udowodnić żywotność fantastyki i jej głębokie zakorzenienie w kulturze. I tak na przykład robi nam antologię NRD-owskiej SF prof. Orłowski – zawodowy germanista, dyrektor Instytutu UAM – i są ludzie, którzy mają mu to za złe, bo oni by chcieli, żeby profesor niżej Manna nie schodził. Tymczasem profesor po prostu lubi SF, pochyla się nad nią wyposażony w instrumenty badawcze, i te narzędzia wcale nie kompromitują tej literatury, przeciwnie. Poważny profesor pisze o fantastyce ze smakiem, znawstwem, i powiedziałbym nawet – zaskakującym wigorem.

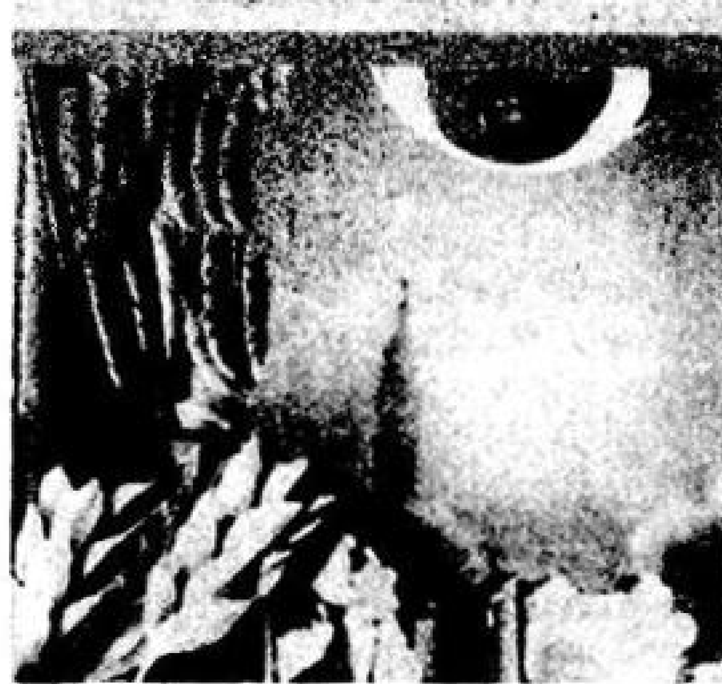
– Wspomniał pan także o kiksach i niebezpieczeństwach.

– Mnie osobiście spędza sen z powiek przywodzenie gatunku do granic bezwartościowości, bazowanie na stereotypach sensacyjnej niskiej rozrywki: nie chciałbym, by dotknął SF los powieści kryminalnej. Brakuje mi w wielu wydawanych dziś książkach wizerunku ludzkiego oblicza nauki, psychologicznych, politycznych uwarunkowań losu człowieka. Tryumfy święci obecnie utopijność, oniryczność, telepatia, psychotronika – słowem rzeczy nieweryfikowalne. Oczywiście SF jest częścią literatury, nie nauki, ale chciałbym żeby SF częściej ocierała się o próbę prognozy, by pokazywała ludzkie uwarunkowania nauki i rozwoju, by zastanawiała się serio do czego zmierzamy. Tu przecież wielkim światowym powodzeniem cieszą się powieści-ostrzeżenia w sensie społecznym, takie jakie piszą Strugaccy. My natomiast ostatnio zbyt często mamy do czynienia z czystą fantastycznością. Nauki, prób naukowego, racjonalnego spojrzenia na świat nie znajduję w wielu książkach za grosz.

– Ten grzech obciąża także książki wydawane w oficynie Poznańskiej. Niekoronowanym królem waszej serii był przecież Czesław Chruszczewski, pisarz zacny, poczciwy, pozbawiony zupełnie wyczucia dla egzystencjalnych i cywilizacyjnych diabolizmów. Jego książki pełne są utopijnego humanizmu i przesadnej wiary w człowieka, fałszujących prawdziwy kształt naszej egzystencji. Z tego co wiem, część fanów była z nim skonfliktowana.

– Pewnie ma pan rację. Ale jednocześnie Chruszczewski był znakomitym działaczem, organizował międzynarodowe spotkania, jemu po części zawdzięczamy powstanie naszej serii, on wprowadził fantastykę do Poznańskiego Radia, on dzięki swoim kontaktom umożliwił nam wydanie niektórych antologii. Ludzie u nas mówią, że gdyby Chruszczewski żył, to wasze pismo miałoby w Poznaniu konkurenta w postaci jakiegoś regularnego periodyku zajmującego się fantastyką. Jako prezez Poznańskiego Oddziału ZLP Chruszczewski na pewno potrafiłby to załatwić. Natomiast w konflikcie z fanami widziałbym także sprawy pozaliterackie, prestiżowe. Chruszczewski lubił bywać, należeć, prezeso-





wać; fanowie także mieli na to ochotę. Teraz, kiedy on umarł, niektórzy z nich bardzo szybko weszli w opuszczone przezeń prezesury i członkostwa przeróżnych towarzystw i bardzo im z tym do twarzy. To są anegdotyczne konflikty nieodłączne od życia literackiego. My, wydawcy, znamy je na pamięć i przyglądamy się im z pobłażaniem pełnym tolerancji i nawet rozrzewnienia. Ale wielkiej, bardzo pożytecznej dla gatunku roli inspiratorskiej nie odmówi Chruszczewskiemu nikt. Podobnie zresztą i jego onegdajszym krytykom, a dzisiejszym następcom.

– Każdy chętnie by poinspirował, gdyby miał tak szybki cykl produkcyjny. Zajrzałem do stopki „Powtórnego stworzenia świata" Chruszczewskiego; książka ukończona przez pisarza w styczniu 1979, została wydana już we wrześniu tego samego roku. Tymczasem książki młodszych pisarzy – Żwikiewicza, Oramusa i paru jeszcze autorów – ukończone w tym samym czasie i wcześniej, a niosące zupełnie różne rozumienie świata, ukazują się dopiero dzisiaj.

– Muszę jedną rzecz powiedzieć bardzo kategorycznie. Chruszczewski nikomu „zupy nie zjadł", nie torpedował niczyich książek, nie miał takich zapędów ani zresztą możliwości, nie był przecież naszym recenzentem. Żadna znacząca książka SF z jego powodu z planu na nie wypadła. Rzeczywiście, zapewne obca mu była ta nowa propozycja myślowa, jaką niosły książki młodych autorów, ale i jego, i ich książki swobodnie zmieściły się w szerokiej palecie wydawniczej, a pan i ja nie zawracalibyśmy sobie głowy opozycją między nimi, gdyby nie fatalna sytuacja polskiej poligrafii. Uważam, że większość naszych poważnych konfliktów literackich jest pochodną tej ciężkiej sytuacji w bazie wydawniczej. Po drugie, opóźnień w ukazaniu się wspomnianych książek nie mogę wziąć na swoje sumienie. Żwikiewicz np. przyniósł do nas „Drugą jesień" dopiero po tym, jak mu ją odrzucił „Czytelnik". Wcale też nie jestem pewien, czy książka „Senni zwycięzcy" czekałaby na druk aż pięć lat, gdyby Oramus zechciał złożyć swój maszynopis u nas. W ciągu siedmiu lat istnienia serii odrzuciłem tylko jedną książkę – „Bez przerwy wypełniać tę ciszę" Kurpisza; potem zresztą ukazała się ona w KAW, ale ja nie żałuję swojej decyzji. Od 1981 roku nie wydałem w serii żadnej książki Chruszczewskiego, a teraz, kiedy przygotowujemy się do wznowienia jego „Fenomenu kosmosu" sieć księgarska, mająca przecież rozeznanie rynku, zgłasza nam zapotrzebowanie na nakład 100-tysięczny, czego oczywiście nie zrealizujemy, bo nie możemy. Ten fakt, zdaje się, nieźle puentuje nasz spór i wskazuje na prawdziwe przyczyny konfliktu.

– Koniec w takim razie z literackimi anegdotami. Jak pana zdaniem ma się polska SF do pozostałych polskich książek współczesnych?

– Wielkim grzechem, nie tyle tych książek, ile ich odbioru jest fakt, że za często mówimy o polskiej SF w liczbie mnogiej. Komentuje się fakt istnienia pewnej liczby autorów, dostrzega wspólne dokonania, nie zauważając właściwie istotnych dla każdego z autorów indywidualnych wartości. Przy polskiej literaturze rozbijamy zawsze rzecz na nazwiska, tu przy SF mówimy o zjawisku zbiorowym. Indywidualizacji doczekał się właściwie tylko Lem. Owszem, krytycy powtarzają jakieś sloganowe definicje: Sawaszkiewicz – sprawność warsztatowa, Żwikiewicz – malarskość prozy, Zajdel – refleksyjność społeczna... Ale to trzeba rozszerzyć, krytyka musi nauczyć się dyferencjować. Polska fantastyka to już paleta zupełnie różnych autorów, z których każdy gra w co innego.

– Las mieszany?

– Właśnie. I to, a nie standaryzacja – stanowi prawidłowe zjawisko literackie. Bo przecież i w świecie, i u nas, jeśli autor 3–4 książek nie utrwali swojego znaku firmowego, swojego stylu, swojego image – to przegrywa. Zostaje rzemieślnikiem, na pewno nie będzie artystą. Krytycy muszą o tym wiedzieć, autorzy i ich wydawcy muszą wyciągnąć z tego wnioski. Wydawca musi poświęcić swój czas autorowi, wierzyć w niego, dawać mu szansę, pracować z nim, czasem – podtrzymywać pisarza wznowieniami. Musi patrzeć na swego autora jak na człowieka, któremu trzeba pomóc, a nie tylko jak na dostarczyciela złotówek. Jestem np. bardzo ciekaw dalszych pisarskich losów Snerga i wydaje mi się, że on jest wart takiej świadomej opieki wydawcy.

– Powinno się jednych pisarzy zachęcać do twórczości, a drugich mitygować czasem, by nie pisali zbyt wiele?

– Trochę za mało mamy autorów w WP, by uprawiać taką świadomą politykę, ale fakt, że np. Sawaszkiewicza nakłaniamy, by przemyślał swą zakrojoną na wiele tomów „Kronikę Akaszy", perswadujemy mu też nadmiar nie wnoszących nic scen erotycznych. Natomiast Żwakiewicza namawiamy wręcz do większej intensywności pisarskiej. Harmonijnie i z pewną satysfakcją współpracujemy zresztą z jednym i z drugim autorem. Powiem panu, że znaleźlibyśmy miejsce i czas dla jeszcze kilku.

– Nie myślał pan, by zróżnicować jakoś tomiki serii sugerując dodatkowym oznaczeniem przynależność tomików do różnych odmian SF; by wprowadzić jak na koniaku gwiazdkowe oznaczenie jakości, by grafiką okładkową zasygnalizować tę różnorodność gatunku?

– To zabieg niepraktyczny i raczej niecelowy. Projektujemy inną rzecz; zamiast znaku SF zamierzamy dać teraz na tomiku samo F. To uważam będzie uczciwsza gra z czytelnikiem, niektóre z wydawanych przez nas książek z nauką nie mają już nic wspólnego. Są czystą fantazją. Jak pan widzi na przekór własnym gustom muszę przyjąć do wiadomości, że polska fantastyka się zmieniła.

– A zamierzenia na przyszłość bliższą i dalszą?

– Z rzeczy nowych przygotowujemy wspomniane już antologie: czeską i NRD-owską. Myślimy też o antologiach: skandynawskiej, polskiej, amerykańskiej – tu jesteśmy na etapie poszukiwania autorów. Chcemy powtórzyć antologię najnowszych opowiadań polskich. Smuszkiewicz obiecuje przygotować tom zbudowany z fragmentów polskiej „fantastyki z myszką" podobny trochę do „Nowej cywilizacji" Przyrowskiego. Ja osobiście pieszczę pomysł kolejnej antologii krajów socjalistycznych, w której połowę opowiadań autorzy napisaliby specjalnie dla nas. W 1984 roku powinny ukazać się: „Człowiek-amfibia" Bielajewa i „Dziewczyna na urwisku" Szefnera. Zabiegamy o zgodę Asimova na druk za złotówki słynnej „Fundacji"; jesteśmy na etapie dogadywania się z autorem, no i szukamy odpowiedniego tłumacza. Ze wznowień zamierzamy ponownie przedstawić czytelnikom legendarnego „Frankensteina" i którąś z książek Smolarskiego. Oczywiście będziemy kontynuowali współpracę z młodymi autorami polskimi. Wkrótce też przedstawimy czytelnikom nasze odkrycie – Bronisława Kijewskiego, autora tomu opowiadań, do niedawna nieznanego nawet naszym, nieźle zorientowanym, poznańskim fanom.

– Bogate plany. Oby wypaliły z korzyścią dla wydawnictwa i radością czytelników. Dziękuję panu za rozmowę.

Notował Maciej Parowski





LĄDOWANIE PIĄTE

Dziękuję za trafne odczytanie moich intencji – w obopólnym interesie. Coraz więcej w listach opinii, propozycji, a nawet żądań. Ludzie wiedzą czego chcą i mówią o tym otwarcie, bez ogródek. Czasem grożą, czy ostrzegają. Jak np. pan **K. Gutral** z Gdańska-Wrzeszcza: *„Oczekiwaliśmy (my szeregowi odbiorcy tego typu pozycji) w prezentowanych w „Fantastyce" utworach problemów związanych ze zdobyciem kosmosu, z naukowymi badaniami. Niestety. Pan prezentuje nam (przepraszam, chyba zbyt mocno) majaczenia inteligentnych schizofreników. Lepiej chyba będzie sięgnąć po opracowania dające czytelnikom – przy okazji – jakąś wiedzę... Obawiam się, że „Fantastyka" będzie leżeć w kioskach i nie zdobędzie niestety nabywców".*

Najpierw ukażę problemy, które eksponują Czytelnicy (mniej więcej według ilości listów na dany temat), następnie dokumentacja w postaci fragmentów najciekawszych listów, a wreszcie mój komentarz, bynajmniej nie roszczący sobie pretensji do nieomylności.

Oto problemy

Większość naszych korespondentów jest za drukowaniem komiksu. I to takiego, który trafiałby zarówno do młodszych, jak i do starszych. Podobają się rysunki Polcha, w większości pozytywnie przyjmuje się teksty i scenariusz komiksu pióra Parowskiego i Rodka. Proponuje się rotację autorów, żeby ukazać zarówno różnorodność polskiej, jak i próbki zagranicznej komiksowej twórczości.

● Mniej od pierwszych trzech numerów podobał się numer czwarty. Wytyka się błędy zarówno redakcyjne, jak i drukarskie (a tych ostatnich było sporo, zwłaszcza w przedstawieniu ilustracji). Chwalono w numerze opowiadanka Browna, powieść Mac Appa i nowelę Baranieckiego.

● Wielu Czytelników krytykuje plastyczny wystrój numeru. Negatywnie ocenia papier (zwłaszcza okładkowy), na którym ilustracje bardzo źle wychodzą. Nie podobają się rysunki czy malowidła niektórych autorów, zwłaszcza te, które przypominają styl ilustrowania „Przeglądu Technicznego".

● Pojawiły się uwagi krytyczne pod adresem „pożółkłych kartek". Niektórym czytelnikom, rozmiłowanym we współczesnej science fiction, zupełnie nie odpowiadają fragmenty starych powieści czy opowiadań fantastycznych, które zamieszczamy.

● Żąda się bibliografii SF poszczególnych polskich wydawnictw w ramach „Parady wydawców". Chodzi o wymienianie przy omawianiu osiągnięć i potknięć naszych oficyn edytorskich także i spisu wszystkich książek SF, które dana oficyna w ciągu całej swej działalności wydała.

● Żąda się więcej nauki na naszych łamach. Krytyce podlegają notki z cyklu „Kosmos zaczyna się na Ziemi". Sprawa ewentualnych kontaktów z mieszkańcami innych dalekich planet, możliwości takich kontaktów, rozwój kosmonautyki i pokrewnych z nią dziedzin nauki i techniki – to tematy pożądane. Szuka się na naszych łamach aktualnych omówień z dziedziny różnych nauk, także i medycyny. Niechętnie wyczytuje się, lub też wprost opuszcza, trudniejsze naukowe pozycje, mimo że ambitne.

Dokumentacja

„Uważam, że wasze pismo szybko zyska sobie wielkie uznanie i liczne rzesze czytelników. Ma tę przewagę nad innymi czasopismami, że daje możliwość ucieczki od kłopotów dnia codziennego, stwarza okazję do dużego psychicznego relaksu. Przeczytanie jednego numeru to prawie jak spędzenie kilkudniowego urlopu – takie mam odczucie. Wady to brak materiałów np. o lotach kosmicznych, o dziwnych zjawiskach im towarzyszących..." **Jarosław Krajewski** (młody pracownik naukowy).

„Wasze pismo. Dobry pomysł, wykonanie często marne. Komiks – banalny... Chodzi mi o temat. Mocne uderzenie to fruwające szczęki, a za nimi ludzie, o ile można nazwać ich ludźmi... Wielu miłośników tego typu literatury spodziewało się innych treści. Więcej materiałów naukowych, np. o satelitach penetrujących Kosmos, o badaniach kosmicznych i wielu innych sprawach w Kosmosie i na naszej Ziemi... Zdjęcia i ilustracje nieczytelne. Np. „Komiks w dorosłym wydaniu", „Wioska elektroniczna". Propozycja – zająć się sprawami realnymi. Ślady Kosmosu na Ziemi. Różne nie rozwiązane zagadki nauki: trójkąt bermudzki, meteoryt tunguski i inne. Trzeba także pisać o działalności sympatyków SF na świecie. Nie zaprzestanę kupowania Waszego miesięcznika, może kiedyś uzupełnię z niego swą wiedzę... Jestem robotnikiem. Ręka bardziej przyzwyczajona do pracy jak do pisania – ale mi to wybaczycie". **Ryszard Pogorzelski** (Sokółka).

„Jeśli chodzi o sprawę komiksu, to uważam, że nie należy zmieniać „Fantastyki" w „Relaks", a należałoby raczej pomyśleć o miesięczniku komiksowym... W „Fantastyce" powinien się znajdować niewielki komiks w odcinkach, nieistotne, czy SF, czy fantasy, ale powinien być lepszy od stabiutkiego i obarczonego masą błędów i nieścisłości komiksu w numerze 4... Denerwuje mnie utożsamianie komiksu w ogóle z komiksem SF, komiksu dla dorosłych z seksem – z komiksem SF. Dobrze, że większość numeru stanowi całkiem udana space opera Mac Appa, aczkolwiek i przy tej lekturze męczyło mnie skojarzenie, że skądś pomysł już znam... Wasz zaciekły czytelnik **Krzysztof Grzywanowicz"** (Lublin).

„Moglibyście zamieszczać listę książek wydanych przez Czytelnika z serii z kosmonautą, lub książek wydanych przez Iskry itp..." **Dariusz D. Juszczewski** (Lublin).

„Nie bójmy się komiksów, tylko nie zastępujmy nimi dobrej literatury. Na koniec prośba o krótki przegląd współczesnych nurtów SF. Wyjaśnijmy wreszcie sobie, co to fantasy, space opera itd. Myślę, że to pomogłoby w poruszaniu się w gąszczu współczesnej fantastyki..." **Janusz Dębski** (Koszalin).

Wreszcie komentarz

Uwagi, jak widać z powyższego zestawienia, dotyczą zasad redagowania pisma, profilu „Fantastyki". Korespondencja, którą otrzymujemy nie może mieć charakteru sondażu naukowego. Niemniej jest dla nas źródłem bardzo cennych informacji o odbiorze pisma, z którego pragniemy, w miarę naszych możliwości, stale korzystać.

Nie ulega wątpliwości potrzeba w piśmie komiksu, choć w łonie samej redakcji i pośród sporej grupy czytelniczej są tego przeciwnicy. Drukować będziemy. Z tym, że postaramy się, aby nasi autorzy nie ciągnęli jednej historyjki komiksowej przez wiele numerów, ograniczając się do dwóch – w wyjątkowych przypadkach – do trzech odcinków. Spróbujemy uzyskać także komiksy z zagranicy.

Czwarty numer oceniam, podobnie jak kilku naszych Czytelników, niżej niż poprzednie i następne (już są w druku). Do gorszego odbioru przyczyniły się niewątpliwie błędy, za których powstanie już przepraszaliśmy.

Plastykę numerów naszego pisma próbujemy już zmieniać. Osobiście mnie również denerwuje daleko posunięta deformacja i karykaturalność wielu ilustracji, jakie dajemy. Taka jest moda.

Dziwię się niedocenianiu wypisów w ramach „Pożółkłych kartek". Urok starych tekstów jest dla mnie niezaprzeczalny, a porównanie ich ze współczesnymi również pomnaża naszą wiedzę, pozwala na śledzenie przemijających mód i uciekającej techniki. Nie chcemy z tego zrezygnować.

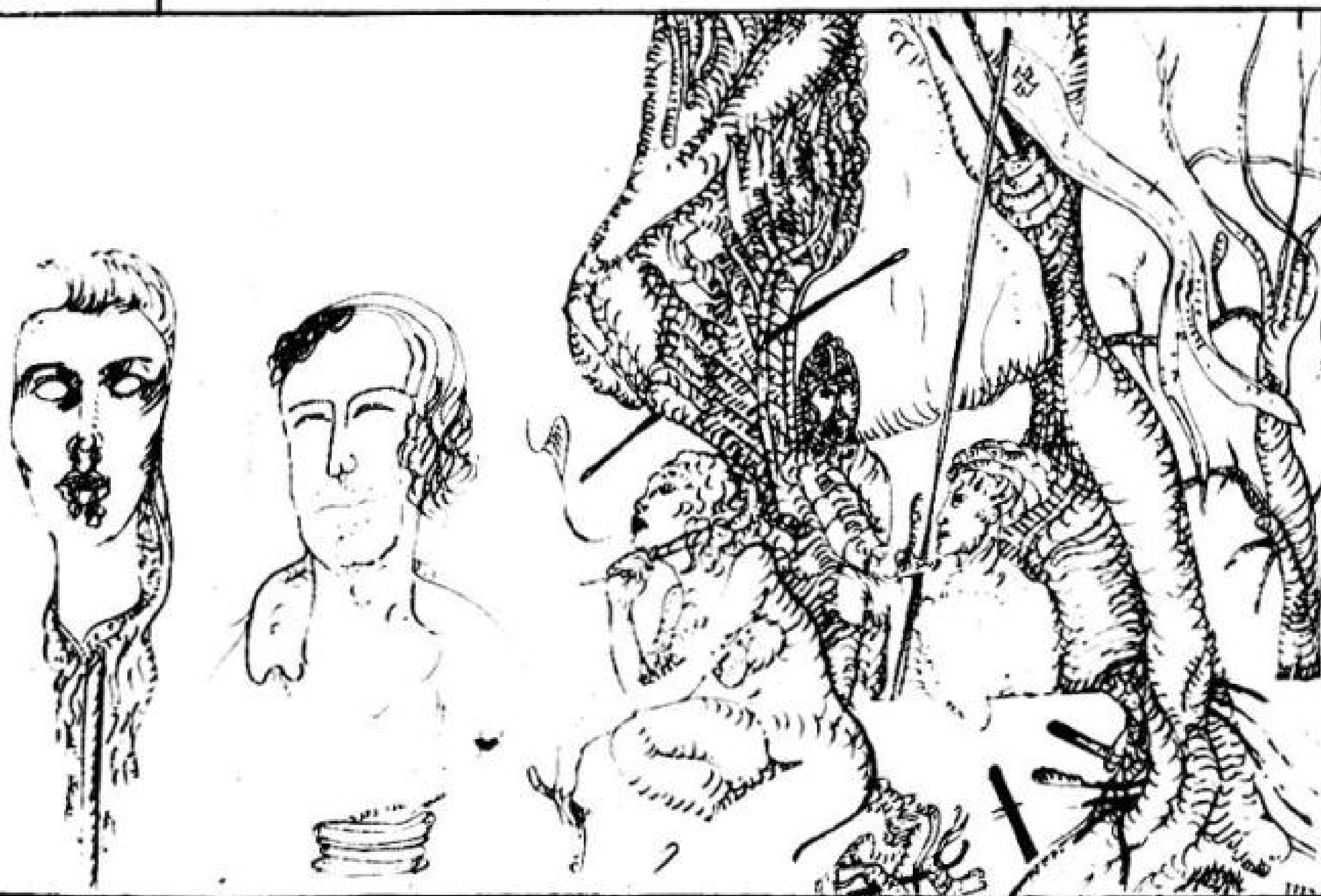
Spróbujemy przy omawianiu poszczególnych krajowych wydawnictw relacjonować, jakie dotychczas ukazały się w nich pozycje SF.

Zgadzamy się z koniecznością aktualizacji tematyki naukowej i systematycznej kontynuacji tzw. paranauki. Wkrótce uwagi na temat bardzo przecież znaczący w fantastyce, temat nieśmiertelności człowieka. Oczywiście będzie mowa o osiągnięciach i niedociągnięciach współczesnych nauk medycznych.

I jeszcze raz powtórzenie tego, co już pisałem – nie mamy w redakcji numerów zapasowych do wysłania Czytelnikom. To domena działalności „Ruchu". W razie niedociągnięć ze strony tej instytucji, prosimy pisać pod adresem lokalnych jej dyrekcji.

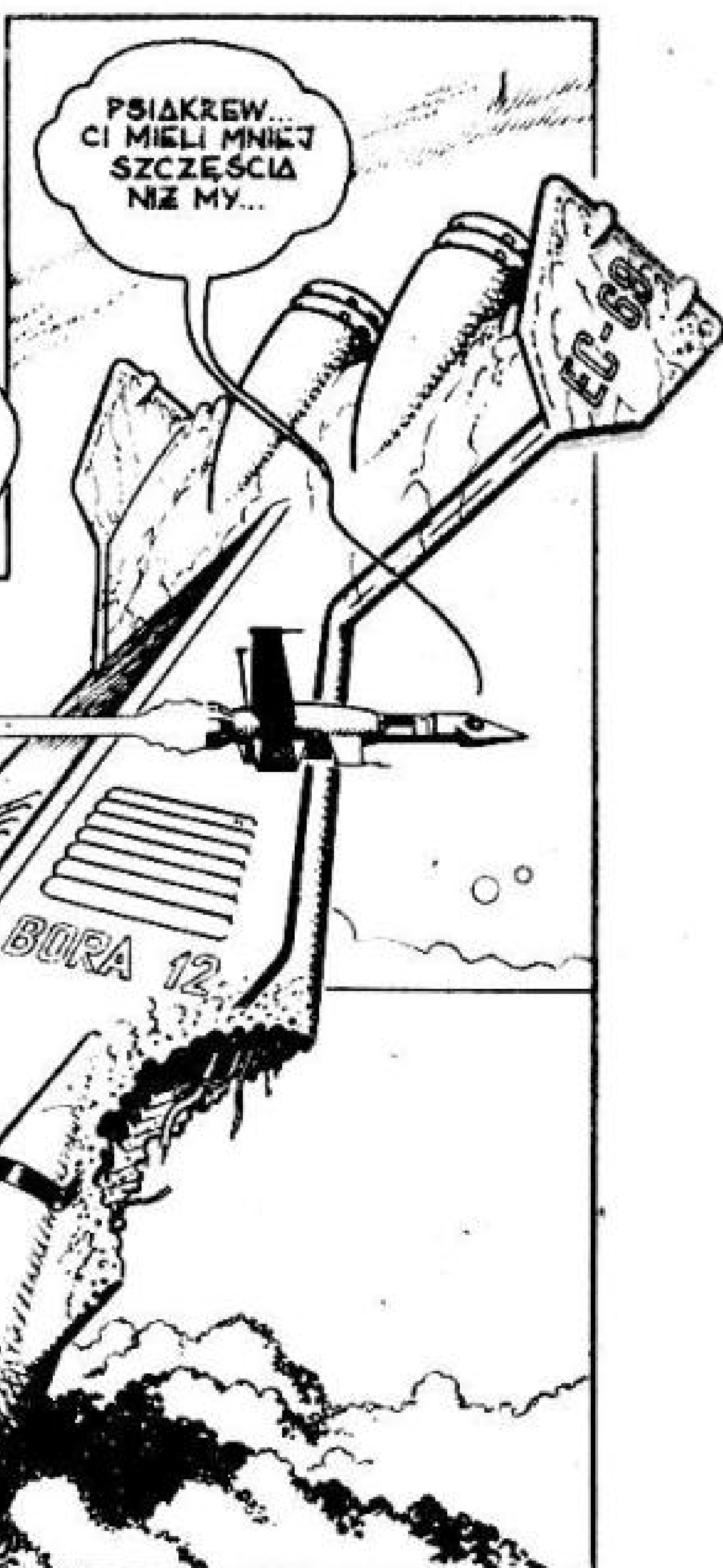
Redaktor

Grafika Hieronim Kozłowski




KIERUNEK: -BAZA!


UCZ SIĘ TEKSTU NA PAMIĘĆ! JEŚLI ZMIENISZ CHOĆ JEDNO SŁOWO, TO...
...PODOBNIE JAK LUDZIE I MY DROLLE. POPEŁNIAMY BŁĘDY ALE POTRAFIMY SIĘ DO TEGO PRZYZNAĆ, FUNKY...


PSIAKREW... CI MIELI MNIEJ SZCZĘŚCIA NIŻ MY...
26. MINUTA LOTU...
EC-68
BORA 12
EC-69


35. MINUTA LOTU...
ALEX, PATRZ! TU NAS TRZYMALI!


SZEFIE, PODOBNE INSTALACJE WIDZIELIŚMY Z KAPSUŁY POD WODĄ!
SUKINSYNY! ZNOWU KOGOŚ ZŁAPALI...
BĘDZIE MAŁE ZAMIESZANIE, TYM LEPIEJ DLA NAS.
UWAŻAM, ŻE JESZCZE NIE CZAS. POCZEKAJMY NA SYGNAŁ OD GREGORA.


W PATROLOWCU...
THORN DO BAZY! MAMY ICH! TO KOMANDO AGENCJI UNIVERSS-BARLEY, KOVAL I MISS LEAR! SZAMOTALI SIĘ TROCHĘ, I POPSULI NAM VIDEO. POZA TYM OK. -OVER!...


...ROGER! PRZEKAZUJĘ DO CENTRALI...
...OK! BRAWO THORN! DOSTARCZ JEŃCÓW NA A-1! SAM SZEF CHCE ICH OSOBIŚCIE POWITAĆ! PODAJĘ HASŁO...


TYMCZASEM W DIEGO SOL. GABINET PREZYDENTA...
PRZEPRASZAM ŻE MUSIAŁ PAN CZEKAĆ. DZIĘKUJĘ ZA DOTYCHCZASOWĄ WSPÓŁPRACĘ, ALE TERAZ JESTEM ZMUSZONY DEFINITYWNIE ODSUNĄĆ AGENCJĘ UNIVERSS OD TEJ SPRAWY.
PANIE PREZYDENCIE, SENATOR BOBBER JEST INNEGO ZDANIA.


..."SYNEK MARNOTRAWNY". -HEHEHE!... -OVER!
...SAM SZEF OSOBIŚCIE! ZNAKOMICIE...
NO, TO BOMBA!
CIIICHO...


SENATOR NIE MA TU NIC DO GADANIA! TA SPRAWA OD DZIŚ PRZESTAJE WAS INTERESOWAĆ.
NIE SĄDZĘ. WYSŁAŁEM TAM MOICH NAJLEPSZYCH LUDZI.
KAŻDY PRZYNAJMNIEJ RAZ W ŻYCIU PODEJMUJE DECYZJĘ, KTÓREJ POTEM ŻAŁUJE. DOTYCZY TO TAKŻE PREZYDENTÓW. -ŻEGNAM.


POROZUM SIĘ Z VISA-VIÑEGO... WEDŁUG MNIE ONI NIE ZREZYGNUJĄ.

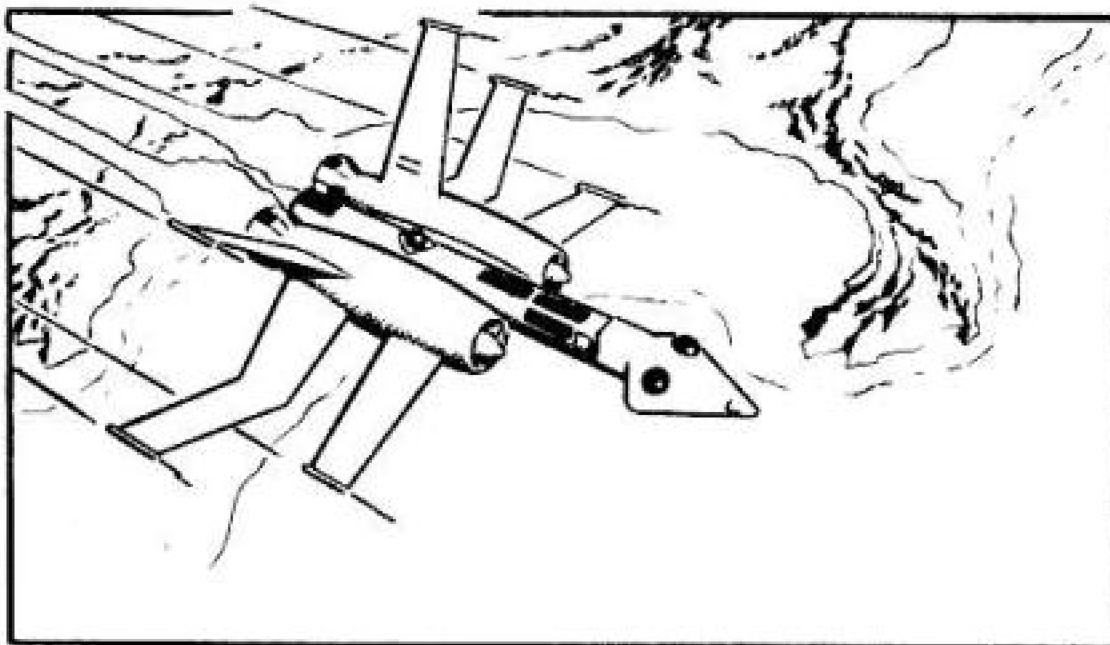

PANIE PREZYDENCIE, A MOŻE NATYCHMIAST ARESZTOWAĆ NACZELNIKA I WZIĄĆ AGENCJĘ POD KLUCZ? PAN VISA-VIÑEGO NAPEWNO POCHWALIŁBY TAKIE POSUNIĘCIE...


ŁAJDAKU! OŚMIELASZ SIĘ ROBIĆ SWOJĄ POLITYKĘ? TO UCZCIWI LUDZIE! A TWÓJ MOCODAWCA... PRZEKLINAM DZIEŃ W KTÓRYM ZWIĄZAŁEM SIĘ Z WAMI!...
SPOKOJNIE PANIE PREZYDENCIE. O 14^{00} PRZYJMUJE PAN LUDZI Z SHOW BIZNESU. BĘDZIE TAM RÓWNIEŻ OSTATNIA MISS UNIVERSUM... TA AKTORECZKA, KTÓRĄ KOVAL WYRWAŁ TEMPORYSTOM. NAPEWNO CHCIAŁBY PAN DOBRZE PRZED NIĄ WYPAŚĆ...


ŁAPY PRECZ!... -HIENO...

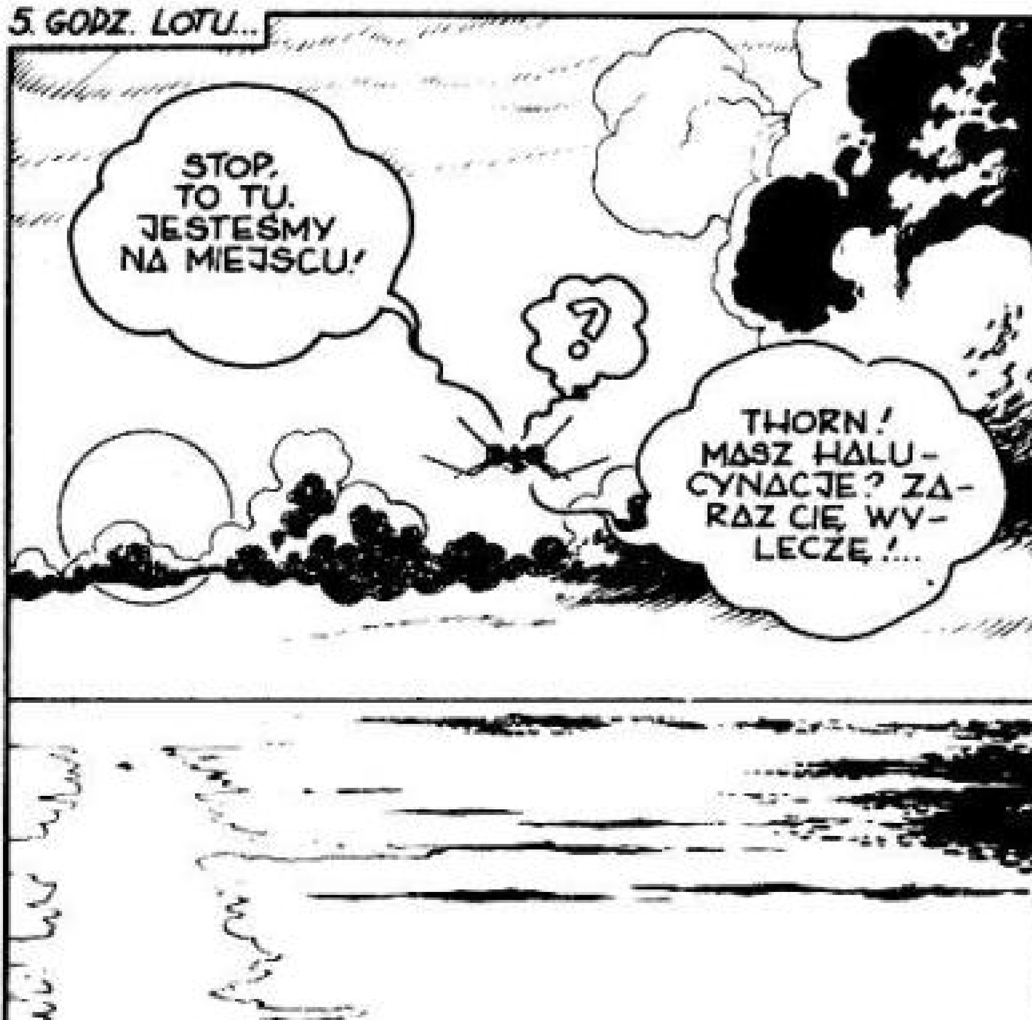








SZTUCZNA WYSPA, PLATFORMA ŁĄCZNIKOWA WYŁONIŁA SIĘ WŚRÓD RYKU FAL I ŚWISTU SPRĘŻONEGO POWIETRZA...




TYMCZASEM 107 M PONIŻEJ PLATFORMY W CENTRUM DOWODZENIA STACJI A-1...
I CO, NAJWAŻNIEJSZEGO WCIĄŻ NIE WIECIE?!
JESTEM CORAZ BLIŻEJ, GENERALE. TA CYWILIZACJA ISTNIAŁA MILION LAT! DOPIERO SIĘ JEJ UCZYMY. JA...


CHRZANIĘ TĘ ICH WYRAFINOWANĄ CYWILIZACJĘ! NIE INTERESUJĄ MNIE SKORUPY!... OD OŚMIU LAT ZWODZISZ SYNDYKAT OBIETNICĄ ROZSZYFROWANIA TAJEMNICY ICH BRONI!... CO Z CIEBIE ZA FIZYK?!


ZA KILKA DNI PRZEPROWADZIMY PIERWSZĄ PRÓBĘ ROZRUCHU GENERATORA. OBAWIAM SIĘ, ŻE BĘDZIE TO COŚ ZNACZNIE BARDZIEJ POTWORNEGO NIŻ PAN PRZYPUSZCZA.
POTWORNOŚĆ?! TEGO WŁAŚNIE CHCĘ, PROFESORZE! NIECH PAN ROBI SWOJE. ŻEGNAM, OCZEKUJĘ GOŚCI.


MAM NADZIEJĘ, ŻE DROLL PORADZI SOBIE Z RANNYM.
HASŁO: „SYNEK MARNOTRAWNY"!
GENERAŁ OCZEKUJE.
CHIEF COMMANDER


I CO?!.. ZNOWU NADZIAŁEŚ SIĘ NA MNIE, KOVAL?! CZEKAŁEM NA TO KILKA LAT!... NO... NARESZCIE CIĘ ROZDEPCZĘ... -ODSŁONIĆ MU PRZYŁBICĘ!
FUNKY KOVAL


JUŻ SŁUŻĘ... TYLKO UWAŻAJ ŻEBYŚ SOBIE Z WRAŻENIA OKA NIE WYDŁUBAŁ, STARY CAPIE.
FUNKY KOVAL
© by M. PAROWSKI & J. RODEK B. POLCH '83


?
GRETZ?!
!

LISTA BESTSELLERÓW



Gdy herosi naukowej fantastyki wyruszają w niebo, spotykają tam wysoko rozwinięte cywilizacje, z którymi sprzymierzają się w imię najwyższego bożka – postępu cywilizacyjnego, lub też w imię tego bożka walczą. Czasem trafiają na planetę, na której życie zdobywa sobie dopiero prawo obywatelstwa i wtedy jak legendarni bogowie z ziemskich legend pomagają mu w zrobieniu pierwszego kroku ku ROZUMOWI. Powracając na Ziemię przeżywają trudy adaptacji, stresy wynikające z upływu czasu i rozwoju cywilizacji, albo ratują resztki ocalałe z atomowej pożogi.

Przygód wymyślonych przez autorós SF są już dziesiątki tysięcy. Światów napotkanych w przestworzach również. I tysiące związanych z nimi problemów filozoficznych i etycznych. Ale nigdy jeszcze Autor nie zaprowadził swych Bohaterów do... kosmicznego Domu Starców. A problemów związanych z takim spotkaniem z pewnością jest nie mniej niż w przypadku kontaktu z nieznanym gwiazdolotem. Co więcej problemy te są nam wszystkim jakby bliższe, budzą więcej refleksji. Wydana ostatnio w zesztowej serii KAW ***„Zamieszkała planeta"*** Stefana Weinfelda powinna zaciekawić i zadowolić zarówno tych, którzy w SF szukają zaskakujących pomysłów i puent, jak i tych, dla których literatura ta jest punktem wyjścia dla rozmyślań nad dniem dzisiejszym i przyszłością zwierciadłem naszych problemów.

Na naszą listę powieść ta jeszcze nie trafiła, ale z pewnością na to zasługuje.

W tymże KAW-ie masowe wydanie ***„Bajek robotów"*** Stanisława Lema. Ogromny, rekordowy jak na SF nakład (400 000 egzemplarzy) i bardzo niska jak na obecne warunki cena (35 zł) z pewnością zapewnią dostęp do tej jednej z najbardziej znaczących książek w światowej literaturze SF każdemu, komu jeszcze nie udało się umieścić jej w swojej domowej bibliotecze.

Wśród innych marcowych wydań warto odnotować: w „Iskrach" – ***„Retrogenetykę"*** znanego i cenionego radzieckiego pisarza Kiryła Bułyczkowa oraz ***„Drugą planetę słońca Ogg"*** węgierskiego pisarza Petera Lengyela, zaś w „Czytelniku" –od dawna oczekiwaną i omawianą już w „Fantastyce" powieść młodego pisarza Marka Oramusa – ***„Senni zwycięzcy"***. ■

CZYTELNICY

1.	1.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	„Czytelnik"
2.	2.	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	„KAW"
3.	5.	Harry Harrison	**Planeta śmierci**	„Czytelnik"
4.		Stefan Wul	**Remedium**	„KAW"
5.	4.	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	„Czytelnik"
6.	3.	Stanisław Lem	**Solaris**	„Iskry"
7.	10.	Stanisław Lem	**Niezwyciężony**	„Iskry"
8.	–.	Janusz Zajdel	**Limes inferior**	„Iskry"
9.	6.	Andrzej Krzepkowski	**Śpiew kryształu**	„Wyd. Lubelskie"
10.	8.	Tadeusz Markowski	**Tak bardzo chciał być człowiekiem**	„KAW"
11.	7.	Kate Wilhelm	**Gdzie dawniej śpiewał ptak**	„Czytelnik"
12.	–.	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	„KAW"
13.	9.	Peter Zsoldos	**Zadanie**	Iskry
14.	–.	Jacek Sawaszkiewicz	**Kronika Akaszy**	„Wyd. Poznańskie
15.	–.	Janusz A. Zajdel	**Ogon diabła**	„KAW"

REDAKCJA

1.	1.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	„Iskry"
2.	2.	Wiktor Żwikiewicz	**Druga jesień**	„Wyd. Poznańskie"
3.	3.	Stanisław Lem	**Solaris**	„Iskry"
4.	4.	Stanisław Lem	**Wizja lokalna**	„Wyd. Literackie"
5.	5.	James G. Ballard	**Wyspa**	
6.	6.	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	„KAW"
7.	7.	Tadeusz Markowski	**Tak bardzo chciał być człowiekiem**	„KAW"
8.	8.	ANTOLOGIA	**Spotkanie w przestworzach**	„KAW"
9.	9.	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	„Czytelnik"
10.	10.	Peter Zsoldos	**Zadanie**	„Iskry"
–.	–.	Stanisław Lem	**Śledztwo**	„Wyd. Literackie"
–.	–.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	„Czytelnik"
–.	–.	Mark Twain	**Tajemniczy przybysz**	„Wyd. Literackie"

21-st CENTURY FOSS



